

BESTSELLEROWA AUTORKA
NEW YORK TIMES

**ERICA
SPINDLER**

OBSESJA

Erica Spindler

Obsesja

Tłumaczyła:
Klaryssa Słowiczanka

Część pierwsza

MOTYLE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Chicago, Illinois, 1971

Słoneczne światło, aby oświetlić pokój dziecinniej, najpierw musiało przedostać się przez wysokie po sam sufit witrażowe okno, a potem mogło już na podłodze malować tak bogate i mieniące się wszystkimi kolorami wzory, jakby były one ułożone z rubinów, szafirów i szmaragdów.

Witraż wprowadzono w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku, gdyż właśnie wtedy urodziło się pierwsze dziecko Monarcha. Szklany obraz przedstawiał anioła ze złotymi skrzydłami o słodkim obliczu. Niebieski posłaniec miał strzec nowo narodzonego.

Potem niewielu miał już podopiecznych, bowiem na nieszczęsną rodzinę raz za razem spadały kolejne klęski, jakby ciążyła na niej klątwa, która nie dość, że dziesiątkowała potomstwo, to na dodatek przez kolejne pokolenia nie pozwalała, aby wśród Monarchów pojawiła się córka. Przełamanie tego złego fatum stało się wręcz rodzinną obsesją.

Wreszcie jednak los się odmienił, bowiem dwa tygodnie temu urodziła się Grace Elizabeth Monarch. Nowa mieszkanka rezydencji przy Astor Street i wiekowego pokoju dziecinnego, a także podopieczna złotoskrzydłego anioła, na zawsze miała odmienić życie całej rodziny.

Prawda ta w największym stopniu dotyczyła jej matki.

Madeline Monarch cicho weszła do pokoju dzieciennego i zbliżyła się do kołyski, w której spała jej córeczka. Spojrzała na małą i jak zawsze w takiej chwili ogarnęło ją niedowierzanie: zdarzył się prawdziwy cud! Delikatnie dotknęła aksamitnego policzka, a maleństwo lekko poruszyło się, i wciąż śpiąc, usteczkami chwyciło palec matki.

Madeline poczuła ucisk w gardle. Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że oto została matką tej wspaniałej dziewczynki. Nachyliła głowę, by nacieszyć się niemowlęcym zapachem i przymknąwszy oczy w zapamiętaniu nim się syciła.

Co takiego uczyniła, że otrzymała aż tak wielką nagrodę? Dlaczego właśnie ją spotkało to szczęście? Nawet sam poród zdawał się cudem, bowiem Grace przyszła na świat łatwo i prawie bezboleśnie. Już w godzinę po odejściu wód stary położnik trzymał na rękach czerwonego i rozkrzyczanego, ale jakże ślicznego noworodka.

Madeline pokręciła głową, wciąż bowiem nie mogła uwierzyć. Bo jakże tak? Do tej pory nic nie przychodziło jej łatwo ani prosto. Należała do osób, które zdają się być skazane na nieustanne popełnianie błędów, dokonywanie niewłaściwych wyborów, zbieranie cięgów i wieczne cierpienia.

Jeszcze na chwilę przed otrzymaniem małej z rąk pielęgniarki była święcie przekonana, że w życiu niczego nie osiągnie łatwo, bez cierpień czy wyrzeczeń. Nie wierzyła, by mogła okazać się godną prawdziwej miłości

i oddania; sądziła, że do śmierci będzie tęsknić do tych uczuć i nigdy nie zazna spełnienia.

Jednak za sprawą Grace w jednej chwili wszystko się odmieniło. Madeline kochała córeczkę tak bardzo, że to uczucie zdawało się wręcz nie do udźwignięcia, a dziecko odpowiadało jej taką samą, bezwarunkową i absolutną miłością.

Madeline przesunęła palcem po jedwabistych ciemnych włoskach. Grace jej potrzebowała i kochała ją. Ta świadomość przyprawiała o zawrót głowy, niemal przerażała, lecz przy tym rodziła cudowne uczucie, najwspanialsze, jakiego Madeline zaznała w całym swoim życiu. Gotowa była uczynić wszystko, zmierzyć się z każdym złem i każdym niebezpieczeństwem, by chronić swoje dziecko.

Nawet oddać za nie życie, gdyby zaszła taka konieczność.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi i odwróciła się. W progu stał Griffen, jej sześćioletni pasierb. Chłopiec utkwiał wzrok w kołysce, a jego dziwna mina jednocześnie wyrażała fascynację i obawę, pociąg i odrazę. Madeline wciągnęła głęboko powietrze, tłumiąc złość na chłopca i niechęć, jaką do niego czuła.

Skarciła się w duchu. Powinna stale pamiętać, że przecież Griffen też jej potrzebował.

A jednak syn męża przyprawiał ją o niepokój, więcej, jego obecność nieraz działała na nią wręcz paraliżująco. Tak było od samego początku.

Nie chodziło o wygląd czy zachowanie Griffena. Był wyjątkowo ładnym dzieckiem, a także bystrym, grzecznym i sympatycznym, i chyba w nikim poza Madeline nie wzbudzał negatywnych emocji i reakcji. Dlaczego jednak, gdy patrzyła w jego oczy, przechodził ją lodowaty dreszcz?

Znała odpowiedź. Różniła się od innych ludzi, ponieważ inaczej postrzegała świat. Przez całe życie nękały ją, bo tak to trzeba nazwać, przerażająco trafne „odczucia” i „wizje”, dotyczące różnych osób oraz wydarzeń przeszłych i przyszłych. Odkąd sięgała pamięcią, ta zdolność wprawiała ją w wielkie zakłopotanie. Nie wiedząc, jak poradzić sobie ze swoim darem, usilnie starała się go ignorować, aż z latami nowe niechciane wizje nachodziły ją rzadziej i były mniej wyraziste.

Jednak ciąża oraz macierzyństwo spowodowały, że nadzwyczajne zdolności powróciły ze zdwojoną siłą i rozbudzony szósty zmysł ostrzegał Madeline, że z Griffenem Monarchem coś jest nie tak. Coś bardzo nie tak.

Być może jednak to z nią było coś nie w porządku, jak twierdzili jej mąż, a także jej teść, Adam Monarch. Może z powodu wzmożonej pracy hormonów straciła zdolność prawidłowej oceny wydarzeń, a jej poczucie rzeczywistości i równowaga psychiczna odbiegały od normy?

Omiotła Griffena spojrzeniem i poczuła wyrzuty sumienia. Jego matka nie żyła od trzech lat. Zmarła na skutek „przypadkowego” przedawkowania środków nasennych i alkoholu. Madeline rozumiała, że chłopcu musiało być

niełatwo. Dziadek nie zwracał na niego uwagi, z obsesyjnym utęsknieniem czekając na wnuczkę, a ojciec, który zupełnie nie rozumiał potrzeb sześciolatniego chłopca, nigdy nie miał dla niego czasu. Jakby tego było mało, w domu pojawiła się macocha.

A także nowe dziecko, jego przyrodnia siostra. To ku niej zwróciły się te wszystkie emocje, które zdołały przetrwać w tym skąnym w uczucia domu.

Biedne dziecko, pomyślała Madeline, próbując wykrzesać z siebie trochę serdeczności. Zrobi wszystko, aby okazać się dla Griffena dobrą macochą. Nauczy się o niego troszczyć.

Z uśmiechem skinęła na chłopca, zapraszając do wejścia.

- Podejdź, ale cichutko. Grace śpi.

Griffen bez słowa wszedł na palcach do pokoju, zbliżył się do kołyski i utkwiał wzrok w przyrodniej siostrze.

Obserwowała go przez chwilę, po czym przeniosła spojrzenie na córeczkę. Przez ostatnie półtora roku Madeline zdążyła dobrze poznać i odczuć ciężką atmosferę, jaka panowała u Monarchów.

Ponieważ dochodziły do tego niesłychanie skomplikowane relacje rodzinne, Madeline zaczynała nabierać przekonania, że ślub z Pierce'em Monarchem jest jej kolejnym błędem życiowym. Mąż okazał się zupełnie innym człowiekiem, niż początkowo myślała. Zamkniętym w sobie i sztywnym, a przede wszystkim - złym. Tak bardzo złym, że dziwiła się, jak mogła nie dostrzec tego wcześniej.

Zasępiła się. No cóż, nie jest ze sobą szczerą. Oczywiście dobrze wiedziała, dlaczego, będąc jeszcze panną, nie

chciała dostrzec prawdy. Oślepiło ją nazwisko Monarchów, ich majątek i pozycja społeczna w Chicago.

Majątek i status społeczny zawdzięczali Monarchowie swojej firmie jubilerskiej Monarch Design and Retail, specjalizującej się w projektowaniu klejnotów, która została założona w tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym roku przez Annę i Marcusa Monarchów za pieniądze odziedziczone po rodzicach.

W ciągu zaledwie kilku lat Monarch Design and Retail zajęła na rynku pozycję niemal równą Tiffany'emu, jako że powstawała tu biżuteria tak samo oryginalna i olśniewająca.

Madeline doskonale pamiętała, jak w czasach, gdy jeszcze nie знаła Pierce'a, nieraz zatrzymywała się przy witrynach sklepu na Michigan Avenue i tęsknym oraz pełnym pożądania wzrokiem wpatrywała w małe arcydzieła sztuki złotniczej, brosze, naszyjniki i pierścionki. Tak bardzo pragnęła mieć choćby jedno z nich, choćby najmniejszy drobiazg.

I pragnienie się spełniło.

O tak, była zaślepiona bogactwem Monarchów i ich pozycją. Kopciuszek bez rodziny i bez tak zwanego pochodzenia, skromna i biedna Madeline, którą Pierce wypatrył w domu towarowym Marshall Field's, gdzie pracowała na piętrze wyprzedaży, i którą sprowadził tutaj, do starego nobliwego domu w samym sercu Gold Coast.

Była wtedy pewna, że zupełnie jak w bajce dzięki czarodziejskiej różdżce spełniły się jej wszystkie marzenia.

Lecz bajka szybko zmieniła się w koszmar.

Madeline pokręciła głową. Z pojawieniem się Grace raz jeszcze wszystko uległo zmianie. Córeczka stała się prawdziwym cudem dla całego klanu Monarchów. W domu zaświeciło słońce, zapanował świąteczny, radosny nastrój, który udzielał się nawet służbie.

- Malutka Grace jest taka śliczna.

Madeline ocknęła się z zamyślenia, spojrzała na chłopca i poczuła przyływ czułości na widok malującego się na jego buzi zachwytu. Nie był ani trochę zazdrosny o siostrzyczkę, przeciwnie, fascynowała go i wzbudzała w nim uwielbienie.

Jak mogła źle myśleć o chłopcu, kiedy w taki sposób spoglądał na Grace?

Uśmiechnęła się.

- I ja tak myślę.

- Dziadek Monarch mówi, że Grace ma dar.

Uśmiech zastygł na ustach Madeline.

- Dar? - powtórzyła.

Griffen skinął głową.

- Wszystkie dziewczynki z rodziny Monarchów mają dar. Praprababcia Anna miała dar, a prapradziadek Marcus go dostrzegł i dlatego dorobili się wielkiego majątku. Grace też ma dar i dlatego cała rodzina musi o nią dbać, bo jest dla nas wszystkich bezcenna i zupełnie wyjątkowa.

Griffen jak papuga powtarzał tylko słowa, które wcześniej musiał słyszeć wiele razy, powtarzał je jednak z tak gorączkowym zapamiętaniem, że Madeline się przeraziła.

- Grace dlatego jest wyjątkowa, bo każdy człowiek jest wyjątkowy, a nie dlatego, że ma jakiś... dar, Griffenie. Poza tym to, że dotąd w rodzinie tylko dziewczęta były obdarzane talentami, wcale nie oznacza, by któryś z chłopców nie miał okazać się kiedyś artystą. - Z uśmiechem puknęła lekko chłopca w czubek nosa. - Może ty nim zostaniesz?

- Nie. - Chłopiec spochmurniał i pokręcił głową, jakby nie mógł się nadziwić, że dorosła osoba może być aż tak głupia.

- Dziadek mówi, że wyjątkowe są tylko dziewczynki. Zawsze tak było w naszej rodzinie. Dlatego Grace jest taka ważna.

Tylko dziewczynki... Madeline wzdrygnęła się.

- Kochanie, Grace jest jeszcze małeńka. Może się okazać, że wcale nie ma... daru.

- Ma. Dziadek tak mówi.

Madeline zmarszczyła czoło.

- A on wie wszystko?

- Jest najmądrzejszy ze wszystkich i kiedy dorosnę, chcę być taki jak on. - Griffen ponownie spojrzał na Grace. - Mogę jej dotknąć?

Madeline zawahała się, a potem skinęła przyzwalająco.

- Tylko delikatnie, o tak. - Przesunęła leciutko palcem po jedwabistych, ciemnych włosach ukochanej córeczki.

Chłopiec przyglądał się uważnie, a po chwili powtórzył gest macochy.

- Ona jest taka miękka - powiedział ze zdumieniem. - Dlaczego?

- Bo jest malutka. - Madeline wprawiała kołyskę w lekki ruch. - Kiedy będzie trochę większa, pozwolę ci ją potrzymać.

Chłopiec znowu powtórzył zachowanie Madeline i poruszył lekko kołyską.

- O ile większa?

- Troszkę większa. Noworodki są bardzo delikatne, dlatego łatwo można zrobić im krzywdę.

Przez chwilę, kołysząc Grace i nie odrywając od niej wzroku, w milczeniu stali obok siebie.

- Ożenię się z nią, kiedy dorosnę - oznajmił Griffen nieoczekiwanie, przerywając ciszę.

- Z kim, kochanie?

- Z maleńką Grace.

Madeline zaśmiała się cicho i zwichrzyła ciemne włosy chłopca.

- Nie możesz, skarbie. To twoja siostrzyczka.

Griffen nic nie powiedział. Znowu zaległa cisza i znowu to on odezwał się pierwszy.

- Ożenię się z nią - powtórzył ze spokojną zawziętością. - Jeśli będę chciał, to się z nią ożenię.

Madeline zobaczyła mgłę przed oczami, potem obraz stał się klarowny. Ujrzała mroczny, biały las i krew na błyszczącej posadzce. Usłyszała nieme wołanie o pomoc i zobaczyła małe rączki zmagające się z silnymi ramionami.

Pisk przerażenia wydobył się z jej ust. Zamrugła gwałtownie powiekami i na powrót znalazła się w pokoju swojej córeczki. Znow patrzyła w zimne, złe oczy pasierba.

Przemogła dławiący strach, wyprostowała się i zmierzyła chłopca spokojnym spojrzeniem.

- Nie możesz - oznajmiła stanowczo. - Brat nie może ożenić się z siostrą. To wykluczone.

Twarz chłopca zastygła w grymasie wściekłości.

- Ożenię się - powtórzył z uporem, chwytając krawędź kołyski. - Mów sobie, co chcesz, a ja i tak się z nią ożenię!

Pchnął kołyskę z całych sił. Zachybotła się gwałtownie i omal nie przewróciła. Matka z krzykiem rzuciła się ku dziecku, ale było już za późno. Grace przeturlała się na bok i uderzyła główką w szczeble.

Madeline chwyciła wrzeszczące wniebogłosy maleństwo i przytuliła je do piersi. Kołysała, czule przemawiała, ze wszystkich sił chcąc uspokoić zarówno Grace, jak i samą siebie. Trzęsała się tak, że z trudem mogła ustać na nogach. Powtarzała sobie, że małej nic się nie stało. Po prostu tylko się przestraszyła i nabiła sobie guza.

Krew na błyszczącej posadzce... wołanie o pomoc...

Mogło skończyć się o wiele gorzej.

Przeniosła wzrok. Griffen stał w progu pokoju i przyglądał się jej z beczelną, pełną zadowolenia miną.

Widząc spojrzenie macochy, uśmiechnął się wyzywająco.

Pod Madeline ugięły się kolana. Osunęła się na podłogę, kurczowo tuląc Grace do piersi. Za nic nie mogła się uspokoić i wciąż się trzęsała, zrozumiała bowiem rzecz wprost przerażającą: Griffen źle życzy swojej siostrze i Grace nigdy nie będzie przy nim bezpieczna.

Nigdy!

ROZDZIAŁ DRUGI

1976

Madeline stała przy oknie swojej sypialni. Serce jej waliło, a w ustach zaschło ze strachu. Obserwowała Pierce'a i Adama, którzy rozmawiali na podjeździe przed domem. Obaj byli ubrani w garnitury do pracy. Ich samochody czekały, a oni nie odjeżdżali, od dziesięciu minut pochłonięci rozmową.

Madeline raz jeszcze spojrzała na zegarek, cicho zaklęła i przymknęła oczy, modląc się w duchu, by mąż i teść wreszcie skończyli konwersację i odjechali stąd.

Te nieme błagania jednak nie odnosiły skutku, bowiem mężczyźni wciąż stali na podjeździe. Spięta do ostatnich granic Madeline nerwowo kurczyła i rozprostowywała palce. Dlaczego akurat dzisiaj musieli wdać się w długie dyskusje? Właśnie dzisiaj, kiedy liczyła się każda minuta, każda sekunda.

Wszystko dokładnie zaplanowała i przygotowała. Adam wyjeżdżał na kilka dni w interesach, a Pierce za moment powinien wyruszyć do biura. Zaraz po pracy miał udać się na koktajl, a potem był umówiony na mecz squasha. Gospodyni w środy robiła cotygodniowe zakupy, niania miała wychodne, schorowana babcia Monarchowa rzadko wychodziła ze swoich pokoi, zaś Griffen był w szkole.

Dzisiejszy dzień zdawał się wprost wymarzony do ucieczki.

Madeline poczuła ucisk w żołądku. To przez te nerwy i ogromne poczucie zawodu! Przepełniały ją gorycz i wielkie rozczarowanie zarówno sobą, jak i mężem. Pierce za nic nie chciał wnikać, co tak naprawdę dzieje się z Griffenem ani jakie ma on zamiary wobec Grace. Przez pięć lat, które minęły od incydentu w pokoju dzieciennym, Madeline niezliczoną ilość razy próbowała podzielić się z mężem i teściem swoimi lękami i przeczuciami dotyczącymi chłopca. Odpowiadali, że przesadza, że jest przeczulona i nadwrażliwa. Zbywali ją, nazywali neurotyczną i histeryczną matką, zarzucali, że jest zazdrosna o chłopca.

Ona miała być zazdrosna o Griffena? O czas, który spędzał z Grace? To już nawet nie było śmieszne, tylko po prostu uwłaczające.

Rodzina udawała, że nic się nie dzieje, ona zaś obserwowała, jak narastało dziwaczne, wręcz chorobliwe przywiązanie chłopca do siostry. To nie Madeline, lecz właśnie on był patologicznie zazdrosny, gdy Grace go ignorowała lub wolała bawić się z innymi dziećmi. Zdarzało się, że jako swych rywali traktował nawet zabawki i zwierzęta. O krok nie odstępował Grace i gwałtownie domagał się, by poświęcała mu cały swój czas. Patrzył z nieukrywaną nienawiścią na każdego, kto zbliżał się do jego siostry: na nianię, na inne dzieci, na Madeline. Na litość boską, czy nikt tego nie widział?

Z czasem było coraz gorzej: poniszczone zabawki, uduszony ukochany kot małej. No i wreszcie to: Griffen leżący na Grace, jedną ręką zamykający jej usta, a drugą zadzierający sukienkę.

Jeszcze teraz, po wielu miesiącach, tamten koszmary obraz sprawiał, że Madeline robiło się niedobrze. Nie bawili się i nie mocowali, jak z niewinnym uśmiechem zapewniał przyłapany na gorącym uczynku Griffen.

Madeline poszła do męża i teścia, by opowiedzieć im, co zobaczyła. Błagała, by jej uwierzyli. Panicznie bała się o Grace, a przy tym była przekonana, że chłopiec potrzebował porady psychologa, może nawet specjalistycznej terapii.

Oczywiście nie tylko nie uwierzyli jej, lecz teść zaczął jej grozić. Jeśli się nie opanuje i nie otrzeźwieje, powiedział wtedy Adam, zabiorą jej Grace.

Jest niezrównoważona, zaś dziecko nie powinno przebywać z matką, która ma omamy, a poza tym uważa, że widzi przyszłość. W takiej sytuacji każdy sędzia odbierze jej prawa rodzicielskie.

Na koniec Adam uderzył ją z całej siły w twarz, aż Madeline straciła równowagę i upadła. Pierce stał obok i nie zaprotestował choćby jednym słowem. Nie zareagował, nie stanął w jej obronie.

Madeline, tłumiąc szloch, podniosła dłoń do ust. Jeśli czuła jeszcze cień przywiązania do męża i miała dla niego resztkę serdecznych uczuć, na zawsze wygasły one tamtego

dnia. Znienawidziła go z taką mocą, że niemal czuła smak tego potężnego uczucia.

Smak gorzki i wstrętny, przeżerający serce, zabijający duszę.

W ostatnich miesiącach bardzo się pilnowała, by nie dać się ponieść emocjom. Wiedziała, że nie wolno jej popełnić kolejnego „błędu”, bowiem gra toczyła się o życie Grace, o jej dobro i pomyślność.

Przy swoich pieniądzach i stosunkach Adam bez trudu mógł spełnić pogroźki i zabrać jej córkę. Wystarczyło jedno jego kiwnięcie palcem.

A wtedy nie byłoby już komu chronić małej. Nie miałyby nikogo, kto chciałby dostrzec, co dzieje się z Griffenem.

Madeline zaczęła więc grać rolę kochającej, oddanej żony i idealnej synowej. Powiedziała obydwu mężczyznom, że wszystko przemyślała i wreszcie zrozumiała, iż to oni mieli rację. No cóż, była przewrażliwiona i bardzo przesadziła, jeśli idzie o Griffena.

Naprawdę nie wie, co w nią wstąpiło, mówiła. Nie ma pojęcia, dlaczego tak histerycznie zareagowała. Teraz jest jej przykro, wstyd jej za tamto zachowanie.

Pierce od razu przyjął jej słowa za dobrą monetę, natomiast Adamowi zajęło to trochę więcej czasu.

Wtedy zaczęła planować ucieczkę.

Pierce nagle podniósł wzrok i zauważył żonę w oknie. Zmrużył oczy, jakby coś podejrzewał, jakby domyślał się prawdy. Madeline zamarła, a potem serce zaczęło jej walić

jak oszalała. On wie, pomyślała w panice. Dobry Boże... przejrzał ją!

Co teraz robić?

Uspokoila się. Niemożliwe, aby Pierce coś wiedział lub choćby podejrzewał, bo była naprawdę bardzo ostrożna. Dziś rano, by wzbudzić większe zaufanie męża, przemagając wstręt, uległa mu nawet w łóżku. Wiedziała, że Pierce pojedzie do pracy dumny niczym kogut, a potem przez cały dzień nie poświęci jej ani jednej myśli. Niedobrze się jej robiło od jego dotyku, ale gotowa była zrobić wszystko, byle chronić córkę.

Trzeba uciekać!

Madeline zmusiła się do czułego uśmiechu, pomachała mężowi ręką i przesłała mu pocałunek. Pierce odpowiedział jej pewnym siebie, niemal aroganckim uśmiechem, po czym wrócił do rozmowy z ojcem.

Z uczuciem ulgi cofnęła się od okna. Pierce nic nie wie, podobnie jak Adam. Ona i Grace są bezpieczne.

Na razie.

Wróciła myślami do ostatnich miesięcy. Żyła w ustawicznym strachu, a jej egzystencja przypominała stąpanie po linie. Musiała udawać, że wszystko jest w porządku, a przy tym cały czas zachowywać najwyższą czujność. Pozornie nie przejmowała się Griffenem, a tak naprawdę całymi nocami z przerażeniem nasłuchiwała, czy chłopiec nie zakrada się do pokoju Grace.

Długo tak żyć nie można. Madeline była coraz bardziej wyczerpana i bliska załamania. Zeszczuplała tak bardzo, że

ludzie zaczęli zwracać na to uwagę. Nieraz, gdy późną nocą nerwowo chodziła po swojej sypialni, zastanawiała się, czy nie zaczyna tracić zdrowych zmysłów, czy nie ulega omamom, jak twierdził Pierce.

Jednak chwile zwątpienia i słabości szybko mijały. Wystarczyło, by przypomniała sobie, z jakim wyrazem twarzy Griffen patrzy na Grace, by wspomniała jego lodowate spojrzenie i chytry uśmiezek, a natychmiast wracała jej wiara we własne siły.

Tak, reszta rodziny była po prostu ślepa.

Madeline podeszła do łóżka i nachyliła się. Walizki czekały na swoim miejscu. Swoją już spakowała, a gdy Pierce odjedzie, do drugiej powkłada rzeczy Grace.

Wyprostowała się i omiotła wzrokiem pokój, raz jeszcze rozważając swoją decyzję. Nie miała rodziny, u której mogłaby szukać schronienia, a z dawnymi znajomymi straciła kontakt. Nawet Susan, niegdyś najlepsza przyjaciółka Madeline, nie wiedzieć kiedy zniknęła z jej życia.

Nie miała krewnych, do których mogłaby pojechać, ani środków na utrzymanie siebie i córki. Pierce tak wszystko urządził, aby nigdy nie stała się niezależna finansowo. Wszystko, co miała, zawdzięczała mężowi.

Siostra Adama była dla niej zawsze serdeczna, ale nie na tyle, aby pomóc Madeline, zdradzając przy tym najbliższych. Interesy Monarchów i rodzinna firma zawsze były u niej na pierwszym miejscu. Poza tym Dorothy, jak cała reszta Monarchów, miała obsesję na punkcie

tajemniczego daru, którym jakoby została obdarzona Grace. Starsza pani głęboko wierzyła, że pewnego dnia mała zajmie jej miejsce i będzie projektować biżuterię.

Nie mając innego wyjścia, Madeline zastawiła swój pierścionek zaręczynowy – Pierce'owi powiedziała, że oddała go do czyszczenia – i za otrzymane pieniądze kupiła samochód, stary model chevroleta, grata w porównaniu z mercedesem, którym zwykle jeździła. Wóz miał jednak niewielki przebieg, a kobieta, od której go kupowała, zarzekała się, że jest w idealnym stanie i na pewno nie zawiedzie.

Madeline zaparkowała auto kilkanaście przecznic od domu, w okolicy na tyle jeszcze zamożnej, że nikt się nie powinien na nie połasić, ale też niezbyt ekskluzywnej, gdzie opuszczony samochód nikomu nie powinien psuć estetyki otoczenia.

Spojrzała na zegarek i nerwowo spłotła palce. Do diabła, kiedy oni wreszcie odjadą? Liczyła się każda pozyskana chwila, zanim Adam i Pierce zrozumieją, co się stało.

Jakby w odpowiedzi na swoje bezgłośnie błagania usłyszała trzaśnięcie drzwiczek i odgłos odjeżdżających samochodów.

Nareszcie! Z bijącym gwałtownie sercem rzuciła się ku drzwiom. Zatrzymała się dopiero u podnóża schodów na parterze i przez hol przeszła już spokojnym krokiem, aby nie wzbudzać podejrzeń, gdyby przez przypadek ktoś pojawił się w pobliżu.

Weszła do gabinetu, zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku i oparła się o drzwi, by uspokoić rozdygotane nerwy.

Na ścianie w głębi pokoju wisiał niewielki pejzaż, a za nim mieścił się sejf.

Zbierając całą odwagę, utkwiała wzrok w obrazie. Od czterech miesięcy znajdowała niezliczone preteksty, by znaleźć się w gabinecie właśnie wtedy, gdy Pierce otwierał sejf. Każdy powód był dobry, nawet nagła i domagająca się natychmiastowego zaspokojenia ochota na seks. Byłe tylko poznać kombinację. Obserwowała, słuchała, liczyła i modliła się.

Aż nauczyła się całego szyfru. Tak przynajmniej sądziła.

Boże, niech te cyfry okażą się prawidłowe! Nie pozwól mi się pomylić.

Podeszła do obrazu i odchyliła go. Trzęsącymi się i lepkiemi od potu dłońmi ustawiła pokrętło na pierwszej cyfrze, potem na następnej i na następnej. Szarpnęła za uchwyt. Drzwiczki nie ustąpiły.

Omam nie krzyknęła rozczarowana. Bez pieniędzy nie zajędzie daleko. Bez odpowiedniej kwoty nie będzie mogła zabrać Grace z tego domu.

Uspokój się, Madeline, i spróbuj jeszcze raz, nakazała sobie.

Tym razem sejf się otworzył.

Oszołomiona strachem i pijana ogromną ulgą, szybko zajrzała do środka, wyjęła czarną staromodną sakiewkę z wyszytym złotym „M” Monarchów i odliczyła pięć tysięcy

dolarów. Wystarczy, aby wyjechać i jakoś przetrwać, zanim znajdzie bezpieczne schronienie i pracę.

Wsunęła banknoty do głębokiej kieszeni kardigana, położyła sakiewkę na swoim miejscu i już miała zamknąć drzwiczki, gdy nagle zaintrygował ją czarny aksamitny woreczek.

Niewiele myśląc, otworzyła go, wsunęła dłoń do środka i wyjęła garść iskrzących się brylantów, szafirów i rubinów. Zdumiona, patrzyła na nie z zapartym tchem. Zahipnotyzowało ją ich piękno, ich gorący blask, który zdawał się w tajemniczy sposób rozgrzewać dłoń.

Dlaczego leżą w domowym sejfie? – zastanawiała się, biorąc do ręki szczególnie duży brylant i oglądając go pod światło. O wiele bezpieczniejsze byłyby w sklepie, gdzie było ich miejsce. Nic z tego nie rozumiała, przecież Adam i Pierce byli wytrawnymi ludźmi interesu. Po co przywozili kamienie do domu, skoro tu nie były objęte ubezpieczeniem?

Madeline zmarszczyła czoło. Nie czas na rozwiązywanie zagadek, a poza tym nie jest jej sprawą, co Adam i Pierce robią z firmowym majątkiem. Nie jest i nigdy nie było. Wrzuciła kamienie do woreczka i na powrót włożyła do sejfu.

Weź je...

Ta myśl pojawiła się jakby gdzieś z zewnątrz, a wraz z nią Madeline ogarnęło dojmujące uczucie, że kamienie kiedyś okażą się bardzo potrzebne i jej, i Grace.

Pokręciła głową, walcząc z natrętną myślą i z przemożnym uczuciem. Jest spięta i zdenerwowana, dlatego nie potrafi logicznie myśleć. Jeśli zabierze kamienie, Pierce i Adam tym intensywniej będą jej szukać, a także uzyskają podstawy do oskarżeń.

Zatrzasnęła sejf, upewniła się, że zamknęła go dobrze, odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Na środku pokoju znieruchomiała w pół kroku oślepią niewyraźnym, ale przyprawiającym o ciarki obrazem.

Zobaczyła śnieg... i krew na błyszczącej posadzce. Blask kamieni i lśnienie lodowej tafli. Ujrzała ciemną toń, która bezpowrotnie wciągała kogoś w głąb.

Zaczęła się trząść.

Weź kamienie. Zrób to teraz!

Z krzykiem przerażenia podbiegła do sejfu, otworzyła go i chwyciła woreczek. Zatrzasnęła drzwiczki, szybko powtórzyła kombinację cyfr, po czym umieściła obraz na swoim miejscu.

Teraz nie miała już odwrotu.

Przyciskając woreczek do piersi, bliska hysterii uciekła z gabinetu. Dopiero po chwili się opanowała. Jeśli ma chronić Grace, bezwzględnie musi zachować spokój. Dzisiaj zrobiła pierwszy krok, ale każdy dzień będzie niósł z sobą nowe, równie trudne, a może nawet trudniejsze wyzwania.

Na dole nie spotkała nikogo, bo gospodyni najpewniej pojechała już na zakupy. Madeline poszła na górę do pokoju Grace i podeszła do łóżeczka.

- Maleńka - szepnęła, tarmosząc lekko córkę za ramię. - Kochanie, pora wstawać.

Dziewczynka mruknęła i odwróciła się na drugi bok, przytulając ukochanego misia do piersi. Madeline potrząsnęła nią raz jeszcze.

- Kochanie, dzisiaj wyjeżdżamy. Jedziemy na wycieczkę. Pora się budzić.

Grace ziewnęła i otworzyła oczy, a na jej buzi pojawił się uśmiech.

- Cześć, mammo.

Madeline nigdy nie mogła się dość nacieszyć, kiedy córeczka tak się do niej zwracała, wprost nie mogła się nasłuchać dźwięcznego dziecięcego głosiku i napatrzeć w utkwione w niej oczy Grace, tak jakby mama była najważniejszą i najlepszą osobą na całym wielkim świecie.

Kochała Grace tak bardzo, że ją to przerażało. Modliła się tylko o to, by decyzja, jaką podjęła, okazała się słuszna.

- Musisz się przygotować, maleńka. Tu jest twoje ubranie.

- Wskazała na krzesło, gdzie leżały przygotowane ciuszki. Zauważyła, że drży jej dłoń. - Możesz to dla mnie zrobić?

Grace skinęła głową, usiadła, włożyła kciuk do buzi - Pierce nigdy nie był w stanie zaakceptować tego zwyczaju - i spojrzała uważnie na Madeline.

- Mamusia jest zła.

- Wcale nie, kochanie, tylko musimy się spieszyć.

- Dokąd jedziemy?

Madeline zawahała się. Co miała powiedzieć Grace? Że zamierzała jechać przed siebie dopóty, dopóki nie będzie

w stanie dłużej utrzymać kierownicy w rękach, byle dalej od Monarchów? Tego małej zdradzić nie mogła.

- Będzie fajnie. Tylko my dwie, ty i ja.

- Bez tatusia?

Madeline pokręciła głową.

- Tatuś musi pracować.

Mała przyjęła wyjaśnienia matki bez słowa sprzeciwu i dalszych pytań. Grace i Pierce nie byli sobie bliscy. Jego wciąż pochłaniały sprawy firmy, a kiedy znalazł już chwilę dla córki, nieustannie ją strofował, bo zbyt głośno się zachowywała, bałaganiała, niepoprawnie wymawiała słowa. Nigdy jej nie pocałował ani nie przytulił, nie okazywał miłości, za to ciągle mówił o zasadach oraz o obowiązkach wobec rodziny i firmy.

- Bez dziadziusia i babuni?

Madeline znowu pokręciła głową.

- Bez.

Grace otoczyła się ramionami.

- Bez Griffena?

- Bez Griffena - ostro odpowiedziała Madeline. - Tylko my dwie. Zobaczysz, będzie fajnie.

- Aha. - Grace z szerokim ziewnięciem wygramoliła się z łóżka. - To ubranko?

- Tak, kochanie. - Madeline podeszła do drzwi, lecz zatrzymała się w progu. - Ubierz się, a ja zaraz wrócę, pomogę ci włożyć skarpetki i buty.

- Dziękuję, mamusiu.

Madeline przykucnęła i wyciągnęła ramiona.

- Należy mi się buziak. - Grace podbiegła do niej i zarzuciła jej rączki na szyję. - Kocham cię, skarbie, najbardziej ze wszystkiego na świecie... i zawsze będę kochała.

- Ja też. Najbardziej ze wszystkiego na świecie.

Madeline ucałowała córeczkę i podniosła się.

- Zaraz wracam. Ubieraj się.

Wyszła na korytarz i nerwowo spojrzała na zegarek. Czas uciekał, a ona powinna jak najszybciej znaleźć się daleko stąd. Kiedy Pierce i Adam zrozumieją, co zrobiła, wykorzystają wszystkie swoje wpływy, pociągną za wszystkie sznurki, żeby tylko ją odnaleźć.

Pobiegła do sypialni, wyciągnęła walizki spod łóżka i do swojej schowała woreczek z kamieniami.

Pierce wie!

Ta zatrważająca i nieoczekiwana myśl przyszła nagle, przyprawiając Madeline o dreszcz zgrozy i napełniając ją złymi przeczuciami. Obejrzała się przez ramię, niemal oczekując, że zobaczy męża, jak z morderczym błyskiem w oczach stoi w drzwiach.

Nikogo nie było.

A jednak przeszyły ją zimne ciarki.

On wie! Chryste, dowiedział się!

Pokręciła głową. Gdyby tak było, jej mąż nie czekałby z założonymi rękami, tylko natychmiast przystąpiłby do działania, a przede wszystkim zrewidowałby walizki.

Musi się opanować, powiedziała sobie. Ze względu na siebie i na Grace. Nie wolno jej tracić zimnej krwi. Gdyby

Pierce pojawił się w domu podczas próby jej ucieczki, Bóg jeden wie, co by wówczas z nią zrobił.

Może nawet zabił.

Wzięła głęboki oddech. Za dwadzieścia minut będą już w drodze, pędząc ku nowemu życiu, z dala od tej nieszczęsnej, obarczonej ciężkim brzemieniem i nienormalnej rodziny. Wszystko szło zgodnie z planem.

Zajrzała na dół do holu, żeby się upewnić, czy nikogo nie ma w pobliżu, i szybko wróciła do pokoju dziecinnego. Grace guzdrała się jeszcze w łazience.

- Mamusiu, umyłam porządnie zęby. Każdy ząbek osobno.

Madeline po raz kolejny wzięła głęboki oddech. Denerwowanie się na córkę tylko opóźni wyjazd.

- Grzeczna dziewczynka - powiedziała z wymuszonym spokojem. - A teraz, bardzo cię proszę, chodź ze mną. Musimy się pospieszyć.

Grace podreptała z powrotem do swojego pokoju.

- Dlaczego?

Madeline wzięła z krzesła sweterek Grace.

- Co dlaczego?

- Dlaczego musimy się spieszyć?

- Musimy i już - odpowiedziała Madeline podniesionym głosem. Spokojnie, tylko spokojnie, nakazała sobie z trudem i uśmiechnęła się do córki. - Pomogę ci się ubrać.

Po kilku minutach dziewczynka była gotowa do drogi. Madeline posadziła ją na dywanie obok spakowanej walizki, dała jej ukochanego misia i zaczęła pakować walizkę córki,

wrzucając ubrania, zabawki, przybory toaletowe, czyli to wszystko, co najpotrzebniejsze.

Rozległo się pukanie do drzwi. Madeline rzuciła się ku nim z bijącym sercem. Pukanie rozległo się ponownie.

- Pani Monarch? Jadę na rynek, ma pani specjalne życzenia?

A więc gospodyni jeszcze nie wyszła.

Jakby czytając w jej myślach, kobieta dodała:

- Wychodzę później, niż planowałam, bo dzwonił hydraulik. Przyjdzie dzisiaj po południu. Ma pani specjalne życzenia?

Madeline nie mogła wydobyć z siebie głosu. Otworzyła usta.

- Pani Monarch? Wszystko w porządku?

W pytaniu gospodyni zabrzmiały niepokój i troska. Jeśli nie odpowie, myślała spanikowana Madeline, ta kobieta tu wejdzie.

- W porządku, Alice. Nie, niczego nie potrzebuję. Jedź już.

- Dobrze, pani Monarch. Aha, dzwoniła sekretarka pana Monarcha i pytała o niego. Widać zapomniał czegoś i pewnie wraca do domu, bo w firmie jeszcze go nie ma.

Pierce zaraz tu będzie?

Madeline usiłowała oddychać równo i spokojnie. Podziękowała gospodyni oraz przypomniała jej, że po południu idzie z Grace do zoo. Odczekała parę chwil, by upewnić się, że kobieta poszła sobie na dobre, i rzuciła się do działania.

Była bliska paniki. Ile jeszcze ma czasu, zanim Pierce stanie w drzwiach? Przejrzała pobieżnie zawartość walizki Grace. Nic więcej nie zdąży już zapakować i to, co jest, musi wystarczyć. Nie ma już ani chwili czasu!

- Mamusiu, patrz! - pisnęła Grace radośnie.

Madeline odwróciła się i zobaczyła, że córka wysypuje na dywan zawartość woreczka z kamieniami.

- Nie wolno się tym bawić! - krzyknęła, a potem podbiegła do małej i wyrwała jej woreczek tak energicznie, że reszta kamieni rozsypała się po całej podłodze.

Grace przez moment wpatrywała się w matkę, nic nie rozumiejąc, po czym wybuchnęła płaczem.

Madeline niemal nigdy nie podnosiła głosu na córkę.

- Przepraszam cię, skarbie. Tatuś chciał, żebyśmy zabrały te śliczne kamyki na wycieczkę. Tylko widzisz, to są takie specjalne kamyki i nie możemy się nimi bawić. - Przytuliła małą. - Już dobrze, kochanie. Pomóż mi. Pozbieramy je teraz, dobrze?

Ciągle pochlipując, Grace skinęła główką. Razem zebrały kamienie do woreczka i schowały go do walizki. Madeline cały czas w napięciu myślała o upływającym czasie. Zatrzasnęła szybko walizkę, tym razem zamykając ją na kluczyk, potem tę samą operację powtórzyła z mniejszą walizką Grace.

- Chodź, kochanie. Czas ruszać w drogę.

Drzwi pokoju otworzyły się. Madeline zamarła. To nie Pierce wrócił do domu. Stało się znacznie gorzej.

Adamowi wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, co się dzieje. Na jego twarzy odmalowała się wściekłość.

- Wybierasz się dokądś, droga Madeline? W podróż?

Zwilżyła usta.

- To nie tak, jak ci się wydaje. My...

- Jedziemy na wycieczkę - zaszczębiotała radośnie Grace.

- Tatuś nie może jechać, bo musi pracować.

- Ty kłamliwa, podstępna suko! - Adam zrobił krok w stronę synowej. - A więc to ci chodziło po głowie! Dlatego byłaś taka miłutka, taka dobra i potulna. Chciałaś wykraść moją wnuczkę.

Madeline cofnęła się o krok.

- To moja córka, Adamie. Moja!

- Tatuś dał nam śliczne kamyki na drogę - zaszczębiotała znowu Grace.

Adam spojrzał na małą, ściągnął brwi, potem znowu przeniósł wzrok na synową.

- Nigdzie jej nie weźmiesz.

- Nie zdołasz mnie zatrzymać. - Madeline wyprostowała się i uniosła głowę. - Muszę ją chronić. Próbowałam powiedzieć ci o Griffenie. Usiłowałam przekonać, że...

- Griffen jest jej bratem! - oznajmił Adam z wściekłością. - Moim wnukiem. To Monarch, na litość boską!

- Tak, ale jest niezrównoważony! - zawołała Madeline. - I bardzo niebezpieczny. Powinieneś był to dostrzec. Musisz mi uwierzyć...

- W co mam uwierzyć? W przywidzenia kobiety, której się wydaje, że potrafi poznać przyszłość? Daj spokój!

- Mówiłam ci o tym, co zobaczyłam na własne oczy. Nie wyobraziłam sobie tego. Leżał na Grace, trzymał rękę...

- Zamknij się! - krzyknął purpurowy z wściekłości Adam.
- To ty jesteś nienormalna. To ty potrzebujesz pomocy! - Zaciskając i rozkurczając palce, zbliżył się do niej. - Powiem ci wprost, jedź, dokąd chcesz, ty obłąkana suko, wynoś się stąd, jeśli chcesz, ale nie zabierzesz ze sobą mojej wnuczki.

- Muszę ją chronić. Nie możesz mnie zatrzymać.

- Mogę i zatrzymam. Ona należy do naszej rodziny, należy do Monarchów.

- Ona nie jest rzeczą ani niczyją własnością! - zawołała Madeline, zasłaniając sobą Grace. - Nie jest częścią rodzinnego biznesu! Na Boga, ona jest człowiekiem! Osobą!

Adam pokręcił głową z jakimś fanatycznym, zapiekłym uporem.

- Ona ma dar, Madeline, i dobrze wiesz, że jej nie puszczę. Nie pozwolę ci jej zabrać.

Cofnęła się o krok.

- Bądź rozsądny, Adamie! Skąd możesz wiedzieć, że Grace ma dar? To zaledwie pięcioletnie dziecko. Skąd w tobie ta pewność...

Nagle zdała sobie sprawę, że owa pewność bierze się z szaleństwa. Adam miał obsesję na punkcie rodu Monarchów oraz „daru”, którym miały być obdarzone wszystkie kobiety w rodzinie. Ten człowiek opanowany był chorą myślą, że bez Grace i jej talentu Monarchowie upadną i skończy się czas ich świetności.

Mój Boże, on jest tak samo nienormalny jak Griffen!

Próbowała przejść koło niego, pociągając za sobą Grace, ale Adam chwycił ją za ramię i mocno szarpnął, a jego twarz wykrzywiła się w grymasie wściekłości i nienawiści.

- Nigdzie nie pójdziesz, Madeline.

Wyswobodziła się z jego uścisku.

- Owszem. Mój prawnik skon...

Uderzył ją, mierząc pięścią w policzek. Madeline pociemniało w oczach. Zachwiała się i uderzyła o krawędź komody, zrzucając przy tym lampę.

- Mamusiu!

Adam chwycił Grace i rzucił się do drzwi. Mała zaczęła krzyczeć i kopać.

- Do mamusi! Ja chcę do mamusi!

Madeline z trudem się wyprostowała, głowa pękała jej z bólu.

- Nie zabierzesz mi dziecka! - Dopadła Adama i wpiła paznokcie w jego kark.

Adam jęknął, puścił Grace, odwrócił się i zdzielił Madeline raz jeszcze tak mocno, że upadła na łóżko. Zbliżył się, kiedy usiłowała usiąść.

Wiedziała, że zamierzał ją zabić.

Poderwała się z krzykiem, ale pchnął ją z powrotem na łóżko i przygniótł ciężarem swojego ciała, zaciskając dłonie na jej szyi.

- Ty obłąkana, chora suko! Naprawdę myślałaś, że ci się uda? Sądziłaś, że możesz nam zabrać naszą Grace?

Madeline, próbując się uwolnić, wpiła paznokcie w jego dłoń. Szarpała się, rzucała i kopała, słysząc histeryczne łkania Grace i chrapliwy oddech Adama.

W płucach zaczynało jej brakować powietrza, przed oczami wirowały czerwone płatki. Z góry, z okiennego witrażu, spoglądał na nią anioł o słodkiej twarzy. Anioł stróż, który nie potrafił uchronić jej dziecka.

Madeline odrzuciła ręce i prawą dłonią natrafiła na duży rżnięty wazon, zrobiony ze szkła ołowiowego. Był to prezent od przyjaciela domu, ofiarowany z okazji narodzin małej Grace. Zawsze stały w nim herbaciane róże. Zacisnęła na nim palce, wzięła zamach i trafiła napastnika w skroń. Adam jęknął, ucisk jego dłoni zelżał.

Madeline gwałtownie zaczerpnęła powietrza, po czym uderzyła jeszcze raz. Tym razem usłyszała okropny chrzęst i poląła się krew. Grace przeraźliwie krzyknęła.

Adam podniósł się, dotknął dłonią skroni i spojrzał niedowierzająco na Madeline, a potem, jak na filmie odtwarzanym w zwolnionym tempie, z głuchym łomotem przewrócił się do tyłu. Krew obryzgała Grace, która wciąż histerycznie krzyczała.

Madeline podniosła się z wysiłkiem i podeszła do Adama. Leżał zupełnie nieruchomo. Śmiertelnie blada twarz, powiększająca się kałuża krwi wokół głowy. Zabiła go. Wielki Boże, zabiła Adama Monarcha!

Wyciągnęła dłoń, żeby sprawdzić puls, i znieruchomiała. Nagle wszystko stało się jasne. Jej wizje, które dzisiaj

nawiedziły ją w gabinecie, a pięć lat wcześniej w tym pokoju.

Krew na błyszczącej posadzce.

Lśniący lód i lodowato zimna woda, tonące ciało.

A więc to jeszcze nie koniec.

Podерwała się z krzykiem. Musi natychmiast uciec stąd, zanim ktoś odkryje, co się stało, zanim zabiorą jej Grace.

Chwyciła małą na ręce, dźwignęła walizki i pobiegła na dół.

Część druga

TRUPA WĘDROWNA

ROZDZIAŁ TRZECI

Lancaster County, Pensylwania, 1983

Krajobraz był tu łagodny, pagórkowaty. Pośród zieleni wzgórz rozciągała się żyzna ziemia uprawna, stały silosy zbożowe i wiatraki, a po polnych drogach jeździły wozy zaprzężone w konie.

Ten malowniczy świat pełen był spokoju i swoistego piękna. Turyści, którzy tłumnie napływali do Lancaster County, z lubością chłonęli tę sielską atmosferę, jakby żywcem przeniesioną z dziewiętnastowiecznej opowieści.

Chance McCord miał siedemnaście lat i doświadczył wszystkich ubiegłowiecznych rozkoszy życia. Niedobrze mu się robiło od tej sielskości. Obawiał się, że jeśli przyjdzie mu spędzić jeszcze jeden dzień w tym świecie poczciwych i surowych farmerów, gdzie wszyscy stawali za jednego, a jeden za wszystkich, to po prostu zwariuje, a jego cholerny mózg ostatecznie odmówi mu posłuszeństwa.

Podszedł do okna ascetycznie umeblowanej sypialni i spojrzał w wieczorne niebo. Chciał nosić dżinsy, słuchać rocka i oglądać telewizję. Pragnął spotykać się z kumplami, z kimś, kto czułby i myślał podobnie jak on. Cholera, cholera, cholera!

Nawet za szkołą było mu tęskno, ale amisz nie posyłają do szkół młodzieży w jego wieku. Kiedy mały amisz kończy szesnaście lat, zaczyna pracować na rodzinnej farmie,

w ten sposób wypełniając swoje zobowiązania wobec rodziny i całej wspólnoty. No więc od roku je wypełniał. Boże, jak on nienawidził krów!

Oparł dłonie na parapecie i wdychał łagodne, wieczorne powietrze. Rok wcześniej nie uwierzyłby, że będzie tęsknił za swoją wielką, hałaśliwą szkołą średnią w Los Angeles, gdzie czuł się więźniem. Teraz mógłby nawet siedzieć na lekcji angielskiego i słuchać starego Watersona, jak głądzi o jakimś mało ważnym, nikomu nieznanym poecie, który umarł wiele lat przed naprawdę wielkim wydarzeniem, jakim były narodziny gitary elektrycznej.

Chance dopiero teraz zrozumiał, co naprawdę znaczy być więźniem.

Jeśli stąd szybko nie ucieknie, uschnie, zwiędnie i umrze.

Wcale nie chodziło o to, że ciotka Rebeca, siostra matki, i jej mąż Jacob są złymi ludźmi. Przeciwnie, to ludzie bardzo poczciwi, zbyt poczciwi. Wzięli go pod swój dach, kiedy jego matka umarła, a bogaty ojciec chłopca, jeśli w ogóle Chance mógł go tak nazywać, nie uznał za stosowne, co zresztą robił od samego początku, zaopiekować się synem. Dali mu schronienie w swoim domu, choć przy gromadzie własnych dzieci nie było to dla nich łatwe.

Również nie w tym rzecz, że go nienawidzili, chociaż czasami odnosił takie wrażenie. Po prostu mieli swoją wiarę, przy której niezłomnie trwali, i oczekiwali, że Chance będzie żył tak samo jak oni.

A on nie miał w sobie takiej wiary.

Zaczął chodzić niespokojnie po pokoju jak zwierzę w klatce. Dzisiaj z wujem Jacobem i dziesięcioletnim kuzynkiem Samuelem pojechali bryczką do miasteczka. Tam Chance zobaczył afisz wędrownego lunaparku. Było tam nawet diabelskie koło i wróżka. Wędrowna trupa, która jeździła od miasteczka do miasteczka i dawała jarmarczne pokazy. Chance nie przypuszczał nawet, że coś takiego jeszcze istnieje.

Pomyślał, że to jakaś szansa. Kto wie?

Kiedy wuj załatwiał swoje sprawy, wziął małego Samuela i poszedł tam.

Kiedy wuj ich znalazł, był wściekły, choć nie podniósł głosu. A jednak to, co powiedział, oraz sposób, w jaki patrzył na siostrzeńca, a także to, co zostało niedopowiedziane, do głębi zabolalo Chance'a, choć nie dał niczego po sobie poznać.

Potem wuj i ciotka się pokłócili.

Chance podszedł do okna i spojrział w stronę miasteczka. W oddali widział słaby blask lunaparkowego neonu. Było mu smutno i dziwnie nieswojo. Wniósł w ten dom niezgodę, to przez niego idealne dotąd małżeństwo się sprzeczało, przez niego pojawiło się napięcie między wujostwem i ich dziećmi, wreszcie między całą rodziną a wspólnotą, która nie lubiła obcych.

Bo Chance był i zawsze pozostanie tu obcy.

Oparł czoło o framugę okna i zadumał się o swobodzie, o wędrowaniu od miasteczka do miasteczka, o życiu

wolnym od narzuconego kodeksu postępowania, wolnym od ortodoksyjnej, surowej wiary.

Wędrowną trupą była prawdziwą szansą, wyjściem z matni, w jakiej się znalazł.

Serce zaczęło bić mu szybciej. Nie pasował tutaj i nigdy nie będzie pasował. Dobrze znał to uczucie, bo zawsze był obcy, nawet wówczas, kiedy mieszkał razem z matką w Los Angeles i miał wielkie plany i marzenia, które tak bardzo chciał zrealizować.

Jego matka...

Ileokroć o niej myślał, stawał mu przed oczami jej obraz. Widział ładną twarz, miły uśmiech i trochę nieobecne, zapatrzone w przestrzeń spojrzenie. Poczuł bolesny ucisk w piersi, oparł zaciśniętą pięść o chłodną, gładką szybę. Connie McCord pragnęła tylu wspaniałych rzeczy, które za życia były dla niej niedostępne, aż wreszcie jej śmierć przekreśliła nawet prawo do marzenia o tym, co nieosiągalne.

On nie pozwoli, żeby i jego marzenia miały stać się tylko gwiazdami zawieszonymi na wysokim niebie. Chance dokładnie wiedział, czego chce, czego potrzebuje i na co zasługuje. Będzie czerpał z życia pełnymi garściami. Nie skończy tak jak jego matka, zawsze pełna utajonych tęsknot i nosząca w duszy bolesne, niszczące poczucie niespełnienia.

Nie umrze w przekonaniu, że nie spełnił swych pragnień i marzeń.

Odwrócił się gwałtownie od okna. Dzisiaj zrobi pierwszy krok. Odszuka właściwą drogę. Musi ją znaleźć.

Trupa wędrowną? Oto szansa, na którą czekał!

Pora ruszać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lunapark Marvela, nędzny i ponad wszelką miarę wyeksploatowany, należał do ostatnich w swoim, skazanym na wymarcie, rodzaju. Okres świetności przeżywał czterdzieści lat wcześniej, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o wielkich parkach rozrywki.

Ta dziwna krzyżówka cyrku i wesołego miasteczka latem wyruszała na wędrowkę po kraju, zatrzymując się w jednym miejscu najwyżej na tydzień, po czym udawała się w dalszą drogę.

Ponieważ lunaparki nie cieszyły się już taką popularnością jak kiedyś, trupa odwiedzała głównie małe miasteczka, gdzie ludzie nie mieli takich wymagań jak mieszkańcy wielkich miast, przyzwyczajeni do skrzących się od atrakcji parków tematycznych, które powstawały kosztem wielu milionów dolarów.

Wiejską i małomiasteczkową widownię, wyposzczoną przez brak rozrywek i nudzącą się w długie wieczory, mogły jeszcze fascynować osobliwości Marvela. Dzieciarnia z zachwytem przyglądała się połykaczom ognia i zaklinaczom węży, młodzież oblegała strzelnice i rzutnie do celu, dorośli woleli akrobatów i żonglerów, natomiast wszyscy podziwiali wróżkę, tym bardziej że tego lata właścicielowi lunaparku udało się zdobyć prawdziwą znakomitość.

Nie sposób było zaprzeczyć, że Claire Dearborne, znana jako Madame Claire, była prawdziwą artystką w swojej dziedzinie. Żadne tam udawanie, tandetne sztuczki i nabieranie klientów, jak się to często zdarza. Jeśli Abner Marvel miał jakieś wątpliwości w chwili, gdy ją zatrudniał, szybko się one rozwiały. Wystarczyło tylko spojrzeć na cisnącą się do niej publikę, spragnioną wiedzy o własnym losie, niepewnym uśmiechem maskującym nadzieję i niepokój, oczekującą na słowa wróżki.

Marvel potrafił docenić, jakim skarbem jest Madame Claire. Już po kilku dniach przydzielił jej i jej córce oddzielną przyczepę oraz z dwóch do pięciu dolarów podniósł cenę jednego seansu. Oczywiście za dodatkową opłatą można było, jeśli ktoś chciał bardziej szczegółowej przepowiedni, przedłużyć ów seans.

Dwunastoletnia Skye Dearborne uważała, że z takimi zdolnościami jej matka mogłaby zarabiać znacznie więcej niż w tym trzeciorzędnym objazdowym przedsiębiorstwie. Kiedy odważyła się podzielić z nią swoją opinią, usłyszała, że za pieniądze szczęścia się nie kupi i że Claire lubi podróżować.

Co do podróży Skye miała podobne zdanie, ale zupełnie nie rozumiała, o co chodzi z tym szczęściem. Z jej własnych skromnych obserwacji wynikało, że bogaci ludzie są o niebo szczęśliwsi od biedaków.

Skye wyszła z przyczepy i ruszyła w stronę głównej alejki. Już z daleka słyszała muzykę karuzeli i krzyki przerażenia dochodzące z toru kolejki górskiej.

Całe lato miały spędzić wraz z trupą Marvela, natomiast jesienią zamieszkają w jakimś małym miasteczku, gdzie matka znajdzie pracę w barze albo w sklepie, a ona pójdzie do szkoły. Skye skrzywiła się, bowiem nienawidziła budy. Lubiła tylko lekcje rysunków, ale często trafiała albo do małych, albo do źle prowadzonych szkół, w których w ogóle nie było zajęć plastycznych. Wtedy było już zupełnie do niczego.

Jednak, prawdę mówiąc, i tak nie miało to większego znaczenia, bo nigdzie długo nie zagrzały z mamą miejsca. I dobrze! Kiedy już wszyscy zdążyli się przekonać, że Skye jest pyskata i samowolna, przenosiły się gdzie indziej. W ciągu ostatnich dwóch lat zmieniała chyba z dziesięć szkół.

Odkąd sięgała pamięcią, wciąż podróżowały. Mama mówiła, że są niczym nomadzi, którzy poszukują przygód, natomiast Skye z wiekiem zaczynała podejrzewać, że są raczej kryminalistkami lub uciekinierkami. Tak naprawdę nie rozumiała, co je tak nosi po świecie.

Z chmurną miną kopnęła puszkę po coli. Gdyby tylko mama chciała powiedzieć jej prawdę! Ilekroć Skye ją pytała, Claire zaklinała się, że nie ukrywa przed córką żadnych sekretów.

Kłamała. Skye była tego pewna. Czuła, że mama ucieka, jakby ciągle oglądała się przez ramię w obawie przed pogonią. Jakby się czegoś bała.

Skye też zaczynała się bać. Dobrze wiedziała, że ma tylko Claire. Więc gdyby jej zabrakło...

Przeszła pod sznurem oddzielającym część mieszkalną i znalazła się na terenie lunaparku, w głównej, rzęsiście oświetlonej i zatłoczonej alejce. Stały tam namioty artystów, także namiot mamy, budy z grami zręcznościowymi i budki z jedzeniem.

Nawet jak na sobotni wieczór panował tu wyjątkowy tłok, publiczność dopisała i Skye nie miała wiele do roboty. Marvel, co prawda, nie wyznaczył jej żadnego stałego zajęcia - czasami w czymś pomogła, czasami zastąpiła któregoś z chorych członków trupy - ale jeśli było trzeba, występowała w roli naganiaczki przy grach zręcznościowych. Wszystkie opanowała po mistrzowsku i obserwujący ją ludzie nabierali przekonania, że każda z tych gier musi być śmiesznie łatwa, skoro dziewczynka bez problemu wciąż wygrywa. Skye rozejrzała się: przy wszystkich budach cisnęli się ludzie, tylko u Danny'ego, gdzie rzucało się ćwierćdolarówką na przyzmy szkła, było pusto.

Zabawa polegała na tym, że na im wyższej przyzmy wylądowała moneta, tym okazalsza była nagroda, pod warunkiem, że pieniędzy nie zsunął się ze szkła.

Skye podeszła do budy. Aby uwiarygodnić swoje wysiłki, dwa razy nie trafiła do celu, dopiero za trzecim razem pewnie rzucona moneta wylądowała na trzeciej, najwyższej półce.

Skye głośno klasnęła w dłonie.

- Wygrałam! - pisnęła na cały głos i okręciła się w stronę ludzi w alejce. - Wygrałam! Nie wierzę!

- Oto twoja nagroda, mała damo - powiedział z powagą Danny, wręczając jej wypchaną papugę. - Poszło ci tak dobrze, że może spróbujesz raz jeszcze?

- Pewnie! - uśmiechnęła się szeroko Skye.

Kiedy uboższa o kilkanaście ćwierćdolarówek odchodziła od budy, miała całe naręczce fantów, a Danny kilkunastu chętnych do gry.

Skye zaniósła fanty do wozu gospodarczego; nigdy nie zatrzymywała wygranych, bo byłoby to nie w porządku. Kiedy stamtąd wyszła, jej uwagę przyciągnęło zamieszanie przy budce z jedzeniem.

Stał tam jakiś chłopak, który jedną ręką trzymał się za brzuch, a w drugiej ścisnął ledwie napoczętego hot doga.

- Niedobrze mi - oznajmił głośno. - Ten hot dog jest chyba nieświeży.

Zaciekawiona Skye podeszła bliżej.

Martha, silna siwowłosa kobieta o równie silnej osobowości, zmierzyła chłopca podejrzliwym spojrzeniem.

- Co to znaczy, że ci niedobrze?

- Po prostu niedobrze. Sprzedajecie tu nieświeże mięso. To wbrew przepisom! - Chłopak jeszcze bardziej podniósł głos.

- Bzdury opowiadasz, młodzieńcze! - huknęła Martha. - Bardzo uważamy, żeby wszystko było świeże.

- Niech pani powącha. - Chłopak próbował podsunąć Marcie pod nos inkryminowanego hot doga. - Musi być nieświeże.

Martha odchyliła się z wyraźną odrazą.

- Niczego nie będę wachać. Jeśli masz jakieś zastrzeżenia, zwrócę ci pieniądze albo dam drugiego hot doga.

- Nie, tylko nie hot doga! Tak łatwo się pani nie wymiga. Chcę rozmawiać z właścicielem, kierownikiem, z kimś takim. To nie w porządku. Służba sanitarna powinna się wami zainteresować. Trujecie tu ludzi - awanturował się już na dobre chłopak.

W kolejce zapanowało poruszenie. Kilka osób zrezygnowało z jedzenia i odeszło, ktoś rzucił coś mało cenzuralnego na temat lunaparków. Skye z namysłem obserwowała chłopaka. Dziwnie wyglądał. W za krótkich dzinsach, z włosami przyciętymi „od donicy”. Na jego koszulce widniała nazwa kapeli, której od roku nikt już nie słuchał. Zamiast adidasów miał na nogach robocze buciorzy.

Dziwny typ, pomyślała ponownie, na pewno coś kombinuje. Wstawia Marcie kit, to pewne. Zauważyła cień uśmiechu na jego ustach, kiedy się zginał, żeby pokazać, jak mu niedobrze. Skye przechyliła głowę na bok. Po co on to robi? Co chce zyskać?

Widocznie chodzi mu o pieniądze. Założyła ręce na piersi, wyraźnie zde gustowana. Ludzie są w stanie naprawdę wiele zrobić dla pieniędzy.

- Właściciel nazywa się Abner Marvel. Znajdziesz go w tym małym namiocie na końcu alejki. - Martha wskazała ręką. Najwyraźniej miała dość tego przedstawienia i chciała czym prędzej pozbyć się awanturnika. - Jeśli tam go nie będzie, poszukaj w kasie przy głównym wejściu.

Chłopak bez słowa ruszył we wskazanym kierunku.

Skye zmrużyła oczy. Stawiała sobie za punkt honoru, by wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w lunaparku. Kto, z kim, kiedy, dlaczego i gdzie. Człowiek ledwie zdążył kichnąć, a Skye już była przy nim, aby sprawdzić, czy to przeziębienie, czy też jakiś pyłek wpadł mu do nosa.

Tę sprawę też postanowiła zgłębić. Jeśli ona miała tu coś do gadania, nikt nie będzie próbował nabierać Marvela.

Zachowując odpowiedni dystans, poszła za chłopakiem. Kiedy już oddalił się od budki Marthy, obejrzał się z uśmiechem, wyrzucił hot doga do kosza, wyprostował się i dziarsko pomaszerował dalej.

Skye gwizdnęła triumfalnie. Wiedziała, że ten cwaniaczek coś knuje.

- Ej, smarkata!

Skye zatrzymała się i spiorunowała wzrokiem Ricka, chłopaka, który prowadził strzelnicę i był wyjątkową kreaturą. Kiedy przyłączyły się z mamą do trupy, Rick i kilku jego kumpli, tyle samo co on wartych, zamknęli ją na noc w gabinecie śmiechu. Wcale się nie wystraszyła, tylko maksymalnie wściekła. Kiedy nocny dozorca wreszcie ją wypuścił, odnalazła Ricka i przyłożyła mu prosto w nos, tak że krew się połała. Nigdy jej tego nie wybaczył, ale też nie próbował już więcej dokuczać.

- Czego chcesz? - zawołała, ujmując się pod boki.

- Muszę wyjść, a zostałem sam. Marvel posłał Benny'ego na karuzelę.

- To idź. Nie mam czasu.

- Jak nie pójdę do klopa, to zleję się w portki. Zastąp mnie na chwilę.

Skye popatrzyła w ślad za tajemniczym chłopakiem, potem na Ricka i zmarszczyła nos.

- Zawsze musisz być taki ordynarny? Znajdź sobie kogoś innego.

- Jak mnie nie zastąpisz, to ci spuszczę taki łomot, że popamiętasz.

- Już się boję! - Uniosła głowę. - Sprytnie się wczoraj wymknąłeś z terenu do tej pani. Nikt cię nie widział oprócz mnie. Myślisz, że Marvel cię pochwali, jak się dowie, co robisz, zamiast pracować?

Rick zrobił się czerwony jak burak i wcisnął dłonie do tylnych kieszeni dżinsów.

- Mała jędra. Żebyś przepadła na zawsze.

- Bezmózgowiec.

- Jesteś zazdrosna, bo do ciebie żaden facet nie chciałby się wymykać. Pokręcona smarkata, niby dziewczyna, a zachowujesz się jak chłopak.

Skye na moment zatkało z wściekłości. Przycinek Ricka trafił w czuły punkt, ale nie mogła mu pokazać, jak bardzo ją dotknął.

Znowu uniosła głowę. Co ją obchodzi jakiś tam Rick. Niech sobie uważa, że jest brzydka i nikomu nie może się podobać. Niech sobie gada, że jest pokręcona. Głupi cham! Nienawidzi go!

- Ty lepiej uważaj, bo poproszę mamę, żeby rzuciła na ciebie zaklęcie.

Rick najpierw zamilkł i spoważniał, a dopiero po chwili prychnął, niby ubawiony tą pogrózką. Ludzie z tego świata często bywali absurdalnie przesądni i wierzyli w złe uroki, wiedźmy i duchy, a umiejętności mamy Skye napawały ich prawdziwym lękiem. Uważali, że skoro Madame Claire potrafi przewidzieć ich przyszłość, co niejedną raz udowodniła, może ją też odmienić. Na gorsze, oczywiście.

Dlatego na wszelki wypadek trzymali się od Madame Claire z daleka.

Skye uśmiechnęła się szeroko. Przesądny głupek. Zdolności mamy nie na tym przecież polegały! Ale niech sobie tak myślą. Dla niej tak będzie lepiej. Mama nie zamierzała zostać długo w lunaparku, a Skye lubiła od czasu do czasu wbić komuś drzazgę za paznokiec, wyrównując w ten sposób rachunki.

Wiedziała, że straszenie zdolnościami mamy nie przysparza jej popularności w trupie, ale nie przejmowała się tym. Przywykła do tego, że nie była lubiana i nie miała przyjaciół. Tak zresztą jest lepiej. Kiedy opuszczą z mamą lunapark Marvela, nie będzie musiała za nikim tęsknić. No cóż, rozstania potrafią być bardzo smutne.

Mogła nie znosić Ricka, ale obydwójce należeli do jednej trupy i chłopak prosił ją o przysługę. Musiała go zastąpić.

Po raz ostatni zerknęła w stronę, gdzie zniknął tajemniczy chłopak, i z westchnieniem powiedziała:

- Spadaj, ale zaraz wracaj. Mam jeszcze ważną sprawę do załatwienia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Chance obejrzał się za siebie. Kobieta w budce pewnie już o nim zapomniała, dlatego wyrzucił zupełnie świeżego hot doga do kosza.

Musi się udać. Abner Marvel musi dać mu pracę. Chance nie miał planu awaryjnego.

Wytarł wilgotne dłonie w odzyskane dzinsy.

Wydobył je z dna szafy, podobnie jak koszulkę. Przebrał się, spakował, napisał list do wujostwa i pełen nadziei ruszył w drogę.

Wierzył w sukces jeszcze w chwili, gdy wchodził do lunaparku, lecz potem jego nastrój szybko się zmienił. Przez pół godziny krążył między budami i namiotami, wypytując członków trupy, gdzie mógłby znaleźć właściciela. Spoglądali na niego z podejrzliwą niechęcią i niezmiennie odpowiadali: „Pracy nie ma”.

Szybko zrozumiał, że musi użyć podstępny, jeśli chce się dostać przed oblicze szefa. Wiedział, że ludzie najbardziej się boją odpowiedzialności, czego nauczył się od swojego ojca. Drań od chwili urodzenia Chance'a uciekał właśnie przed nią.

I tak zrodził się pomysł z nieświeżym hot dogiem.

Chance energicznym ruchem poprawił torbę na ramieniu i przyspieszył kroku. Za chwilę miał rozpocząć grę o swoją przyszłość.

W zatłoczonej alejce minął grupkę nastolatków. Jakaś dziewczyna zmierzyła go zdziwionym wzrokiem i parsknęła śmiechem. Chance zdawał sobie doskonale sprawę, że wygląda jak skończony głupek. Przez rok urósł i zmężniał, więc stare dzinsy były za krótkie, a koszulka ciasno opinała tors.

Niedługo to się zmieni, obiecał sobie z pasją. Zacznie wędrować po świecie, stanie się kimś ważnym, dziewczyny będą patrzyły na niego z podziwem i piszczały z radości, gdy zaszczyci je spojrzeniem.

Kierując się wskazówkami kobiety z budki, doszedł do końca alejki, gdzie zawahał się, nie wiedząc, do którego namiotu powinien wejść. Na chybił trafił zajrzał do pierwszego. Wewnątrz było pusto i tylko jakiś krępy człowiek zamiatał tu podłogę. Chance znowu się zawahał. Wątpliwe, żeby to był szef, mógł jednak wiedzieć, gdzie szukać właściciela lunaparku.

Chance postąpił kilka kroków i odchrząknął.

- Przepraszam, ja...

- Następny pokaz za godzinę - powiedział mężczyzna, nie podnosząc głowy.

- Nie przyszedłem na pokaz. - Chance podszedł bliżej. - Szukam właściciela.

- Właściciela, powiadasz? - Mężczyzna wreszcie łaskawie spojrzął na Chance'a. Jego twarz wyglądała tak, jakby znalazła się w zasięgu kija baseballowego, który, wzniesiony rozmachem do odbicia piłki, przez przypadek gruntownie rozpląszczył fizjonomię tego nieszczęśnika.

- Zgadza się. Nie wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

Mężczyzna omiół Chance'a niespiesznym, lustrującym spojrzeniem. Był zbudowany jak goryl i miał taką minę, jakby zastanawiał się, czy warto przyłożyć intruzowi.

- Już go znalazłeś - oznajmił.

- Pan jest Abnerem Marvelem?

Mężczyzna wykrzywił usta, słysząc wyraźne niedowierzanie w głosie Chance'a.

- We własnej osobie. A tyś co za jeden?

- Nazywam się Chance McCord. - Chance wyciągnął dłoń, ale mężczyzna zamiatał dalej, jakby nie zauważył gestu chłopca.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Chance McCord?

- Szukam pracy.

- Tyle zdążyłem się domyślić. Jakiej pracy?

- Jakiegokolwiek.

- Tego też się domyśliłem. - Mężczyzna raz jeszcze zmierzył chłopaka spojrzeniem, tym razem pełnym powątpiewania. - Skończyłeś osiemnaście lat?

- W zeszłym miesiącu - skłamał Chance, bo stać się to miało dopiero w październiku.

- No popatrz, a ja myślałem, że jesteś młodszy!

Chance wyprostował się i uniósł brodę.

- Jestem dorosły. I nie boję się żadnej pracy.

- Rodzice wiedzą, że tu przyszedłeś? Orientują się, że chcesz uciec z domu i przyłączyć do mojej trupy?

- Nie mam rodziców. Mieszkałem dotąd tylko z ciotką.

Mężczyzna odchrząknął, splunął i ponownie spojrzał na Chance'a.

- Ona wie?

- Nie musi. Mam osiemnaście lat.

- To ty tak mówisz. - Pan Marvel pokręcił głową. - Dlaczego chcesz pracować akurat u mnie? I skąd wiesz, czy sobie poradzisz? To ciężka robota. Trzeba znać się na rzeczy.

- Dam sobie radę.

- Jesteś amiszem?

- Moja ciotka owszem, ja nie.

- Rozumiem, że nie masz żadnego doświadczenia w takiej pracy jak ta tutaj?

- Nie, proszę pana.

Mężczyzna ponownie pokręcił głową.

- Posłuchaj, mały. Całe życie jeżdżę po świecie i napatrzyłem się w drodze na różne gówna. Od wieków jestem w tym interesie. Mój stary jeździł z lunaparkiem, przed nim robił to jego stary. Mam to we krwi. Inaczej - dodał i pstryknął palcami - już by mnie tu nie było. - Spojrzał Chance'owi w oczy. - Jest mnóstwo innych rzeczy, które może robić taki chłopak jak ty. Znajdź sobie coś innego. Wracaj do domu, na swoją farmę. Nie potrzeba mi nikogo.

- Ale ja potrzebuję pracy. - Chance zrobił krok w stronę mężczyzny. - Muszę mieć pracę. Będę ciężko pracował.

- Wszyscy w mojej trupie ciężko pracują. Wybacz, mały. Może w przyszłym roku.

Marvel odwrócił się i odszedł. Chance ruszył za nim. Nie mógł uwierzyć, że tak po prostu został odprawiony z niczym.

Wracaj na farmę, mały. Wracaj do piekła.

- Niech pan zaczeka! - zawołał za mężczyzną. - Mogę robić cokolwiek. Wezmę najgorszą robotę, jaką pan ma. Niech mi pan da szansę.

Brzydka twarz Abnera Marvela jakby złagodniała. Pokręcił głową.

- Nie mam nic dla ciebie, chłopcze. Żadnej pracy. Wybacz.

- Ale... może ktoś dzisiaj wieczorem zrezygnuje. - Chance chwycił się resztki nadziei. - Może będzie musiał pan kogoś wyrzucić. Przyda się panu dodatkowa para rąk. Na wszelki wypadek.

- Nie stać mnie, żeby trzymać ludzi „na wszelki wypadek”.

- Przez twarz Abnera przemknął cień sympatii, lecz zaraz potem pojawiło się na niej zniecierpliwienie. - Nikt nie odchodzi w samym środku sezonu, bo musiałyby mieć źle w głowie. Jedziemy tutaj przez cały kraj aż z Florydy, i każdy chce dotrzeć z trupą z powrotem do domu, na Florydę. A jakbym miał zamiar kogo wyrzucać, to byłaby kara albo za picie, albo za bijatykę, albo za to, że trafił za kratki, a żaden z moich chłopaków nie jest taki głupi. Nie będą ryzykować. Jasno się wyrażam?

Wskazał kciukiem wyjście z namiotu.

- Zabieraj się stąd. Mam robotę.

Tym razem Chance nie poszedł za Marvelem. Było oczywiste, że nie dostanie roboty.

Chyba żeby zdarzył się cud...

Chance zmrużył oczy. Musi być jakiś sposób. Nie zamierzał, tak jak matka, trawić życia na marzeniach, które nigdy nie miały się spełnić. Nie myślał czekać bezczynnie na okazje, które mogły przyjść albo nigdy się nie zdarzyć.

Czasami nadchodzi taki moment, że trzeba samemu dokonać cudu, stworzyć sobie szansę.

Jego matka tego nie rozumiała. On tak.

Chance odwrócił się i wyszedł z powrotem na główną alejkę. Czuł upływające szybko minuty. Lunapark następnego ranka ruszał w drogę, więc pozostawał mu tylko dzisiejszy wieczór.

Ze strzelnicy dobiegły go odgłosy głośnej sprzeczki. Dwóch obsługujących ją chłopaków kłóciło się o jakąś dziewczynę.

- Widzisz, palancie? - Brzydszy z chłopaków wyciągnął z kieszeni plastikową torebkę i potrząsnął nią przed nosem drugiego. - Jak Marlene to zobaczy, będziesz miał przerabane. Zapomni o tobie.

- Akurat ci się uda! - prychnął drugi. - Wystarczy tego raptem na jednego skręta.

Kilka osób podeszło do strzelnicy i pierwszy chłopak schował torebkę pod kasą, po czym obaj zajęli się graczami, wymieniając nadal kuksańce i obelgi.

Chance spod oka obserwował ich przez kilka minut. Był pewien, że pili. Byli agresywni, nie zwracali uwagi na to, że ludzie ich słuchają i patrzą na nich. Jeśli torebka

z marihuaną zniknęłyby, jej właściciel zacznie oskarżać kolegę i bójka gotowa.

Nie może tylko pozwolić, żeby go nakryli, bo wtedy marny jego los. Gdyby mu się udało...

To być może jego jedyna szansa. Musi ją wykorzystać.

Przyglądał się chłopcom i czekał, aż wreszcie okazja nadarzyła się sama, pojawiła się bowiem Marlene, owa dziewczyna, o którą wybuchła sprzeczka. Poza tym, że wyróżniała się szczególnie obfitym biustem, Chance osobiście nie widział w niej nic szczególnego.

Chłopcy ze strzelnicy zupełnie stracili głowę, na wyścigi starając się zwrócić na siebie uwagę obiektu raczej niezbyt wyrafinowanych pragnień. Chance błyskawicznie przechylił się przez ladę, chwycił leżącą koło kasy torebkę, wsunął ją do kieszeni na piersi i szybko odszedł.

Ale nie za daleko, bowiem chciał być w pobliżu, kiedy wybuchnie awantura.

Nie musiał długo czekać. Kiedy Marlene zniknęła, chłopcy zaczęli dociekać, którego z nich woli. W chwilę później Chance usłyszał pełen wściekłości krzyk i wiązaną przekleństw.

- Ty cholerny gnojku! Gdzie to jest?

- Gdzie co jest?

- Moja torebka, dupku! - Właściciel zaginionego skręta uniósł zaciśnięte dłonie. - Oddaj natychmiast.

- Nie mam twojego towaru. Ja nie muszę się podkręcać. - Chłopak uśmiechnął się i odwrócił. - Palant!

Poszkodowany kolega rzucił się na niego z wściekłym krzykiem.

- Oddawaj albo ci przypieprzę!

- Odczep się, sukinsynu! - Chłopak uwolnił się od napastnika i przyłożył mu pięścią. Właściciel skręta zachwiał się, odzyskał równowagę i zaatakował niczym rozjuszony byk, trafiając kolegę w zębra. Obydwaj uderzyli w ścianę strzelnicy, która rozstąpiła się i walczący wytoczyli się na zewnątrz. Jakaś kobieta krzyknęła, rozplakało się dziecko. Rozjuszeni i nieprzytomni z wściekłości przeciwnicy tarzali się po ziemi, obrzucali przekleństwami i okładali się pięściami.

- Dość!

Za strzelnicę wybiegł Abner Marvel z kijem baseballowym w dłoni. Towarzyszyło mu dwóch potężnych mężczyzn, uzbrojonych podobnie jak on. Chance cofnął się kilka kroków.

- Wstawać!

Chłopcy natychmiast zaprzestali walki i podnieśli się z ziemi. Jeden miał rozkwaszony nos, drugi podbite oko. Obydwaj kulili się, jakby w obawie, że Abner zaraz zrobi użytek z kija.

Widocznie nauczył się od ojca tego sposobu zaprowadzania porządku w trupie.

- On mnie okradł! - Właściciel skręta wskazał oskarżycielskim gestem kolegę. - Specjalnie to zrobił, żeby...

- Nic mu nie zabrałem! Jest zazdrosny, że Marlene woli mnie i...

- Milczeć! - zagrzemiał Abner Marvel z twarzą purpurową z wściekłości. - Pakujcie swoje rzeczy i żebym was tu więcej nie widział! Już tu nie pracujecie!

Chłopcy w pierwszej chwili zdębieli, po czym uderzyli w lament, żeby szef ich nie wyrzucał, ale Abner pozostał nieugięty.

- Już tu nie pracujecie! - powtórzył tym razem spokojnym głosem. - Znacie zasady, wiecie, że nie toleruję burd w trupie. A teraz znikajcie, zanim użyję tego. - Uderzył kijem w otwartą dłoń. - Zabierajcie swoje rzeczy i precz stąd.

Chance nie czekał nawet, aż chłopcy odejdą.

- Chwileczkę, panie Marvel! - zawołał, biegnąc za właścicielem lunaparku.

Marvel zatrzymał się i odwrócił.

- Słyszałem wszystko - rzucił szybko Chance, spoglądając niespokojnie na kij baseballowy. - Może teraz będzie pan potrzebował... To znaczy... Chyba zwolniło się miejsce.

- Owszem. - Marvel zmrużył oczy. - I co z tego?

- Może mógłbym je dostać.

Marvel wyjął cygaro z kieszonki na piersi, odgryzł końcówkę i wypluł ją, zapalił cygaro i przez kłęb gryzącego dymu zmierzył Chance'a uważnym spojrzeniem.

- W lunaparku - zaczął po dłuższej chwili - jesteś albo swój, albo obcy. Palant. Ciemniak. Mamy takie określenie: „Pierwszy Maja”? Wiesz, co to znaczy?

- Początek sezonu? - Odpowiedź wydawała się Chance'owi całkiem logiczna.

- Nie, to palant. Człowiek z zewnątrz, początkujący szczaw. Musisz pokazać, że jesteś coś wart, zanim trupa cię zaakceptuje i przyjmie jak swojego. Dostaniesz nieźle w kość.

Chance wyprostował się.

- Wiem, jak to jest - oznajmił. - Nieraz już musiałem wkupywać się do grupy. Dam sobie radę.

- Ja nie będę mógł cię chronić - ciągnął Abner, wydmuchując dym z cygara. - Chłopcy z trupy zjedliby cię żywcem, gdyby stwierdzili, że masz u mnie względy.

- Nie przestraszy mnie pan. - Chance zbliżył się o krok do Marvela. - Naprawdę bardzo potrzebuję tej pracy. Jeśli ją dostanę, będę harował dzień i noc. Za dwóch. Za tych dwóch, których pan wyrzucił. Przekona się pan.

Marvel zaśmiał się.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli już spotkałem kogoś takiego jak ty. Strasznie jesteś napalony na tę robotę, co? - Zdjął kapelusz i powolnym gestem otarł czoło. - Powiadasz, że będziesz pracował za dwóch? Chciałbym to zobaczyć.

- Niech mi pan da pracę, a przekona się pan.

- Jeśli przyłapię cię na piciu, wylecisz. Jeśli wdasz się w bójkę, wylecisz. Jeśli będziesz się pieprzył z klientkami, wylecisz. Nie mówiąc już o tym, co będzie, gdyby zdarzyło ci się trafić do aresztu. Pilnuj się, chłopcze, bo nie dostaniesz drugiej szansy.

- Nie będę jej potrzebował.

- Będziesz spał w przyczepie z sześcioma innymi chłopakami i nic mnie nie obchodzi, czy ci się będzie tam podobało, czy też nie.

- Wytrzymam.

- Powiedz jeszcze raz, jak się nazywasz?

- Chance McCord.

- Twardy jesteś, Chance McCord, tyle ci powiem.

Marvel zmierzył go po raz ostatni uważnym spojrzeniem i na jego ustach pojawił się przekorny uśmiech.

- Co tak stoisz? Robota czeka. Posprzątaj tutaj.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Skye, z rozłożonym na kolanach szkicownikiem, siedziała po turecku na łóżku swojej matki. Rysowała szybkimi, płynnymi ruchami, z przyjemnością wsłuchując się w skrzypienie węgla na papierze.

Uśmiechała się do siebie, szczęśliwa, że może w samotności cieszyć się sztuką. Mimo że luksusowa w porównaniu z innymi, przyczepa nie dawała jednak wielu możliwości odizolowania się. W głębi znajdowały się ubikacja i mała sypialnia, a na przodzie, w otwartej przestrzeni, były kuchenka, stół i rozkładana kanapa.

Skye zwykle sypiała właśnie na kanapie, ale czasami szła do łóżka do mamy, kiedy indziej znowu zamieniały się miejscami i mama spała na kanapie.

Skye brakowało własnego kąta. Nie tęskniła wprawdzie za pałacami, ale nigdy dotąd nie mieszkały w takiej ciasnocie ani nie podróżowały z tak niewielką ilością rzeczy. W przyczepie znajdowały się dwie wąskie szafy, wbudowana komoda i kilka niewielkich schowków.

Wielkie pudło z przyborami malarskimi okazało się prawdziwym luksusem. Skye przechyliła głowę, by ocenić powstający rysunek motyla. Jej dłoń poruszała się pewnie, jakby kierowana własną wolą, obraz bogacił się i zmieniał z każdym pociągnięciem węglowego ołówka. Nie wiedzieć kiedy jedno ze skrzydeł motyla przeobraziło się w ozdobną literę.

W literę „M”.

Patrzyła na inicjał z bijącym sercem. Szkicowała go już setki razy, po raz pierwszy stało się to przed trzema laty, podczas lekcji rysunków. Skye, pełna dziwnych emocji, patrzyła na swoje „M”, które było jednocześnie piękne i obrzydliwe, pociągające i odpychające.

To samo czuła w tej chwili.

Wciągnęła głęboko powietrze. Od tamtego czasu ciągle rysowała ów motyw, wypełniała nim szczelnie kartki szkicownika.

Dlaczego? Co owo „M” oznacza?

- Skye? Wszystko w porządku, skarbie?

Na głos matki i pukanie do drzwi sypialni dziewczynka gwałtownie poderwała głowę.

Matka zajrzała przez szparę w drzwiach.

- Wołam cię od pięciu minut. Zaraz będzie lunch.

- Przepraszam, nie słyszałam cię. - Skye na powrót pochyliła się nad rysunkiem. - Już kończę. Przyjdę za moment.

Matka, zamiast wrócić do kuchni, podeszła do córki i spojrzała na kartkę szkicownika. Skye nie musiała nawet podnosić wzroku, by wiedzieć, że na twarzy mamy malują się strach, odraza i niezadowolenie, jak zawsze, kiedy Skye rysowała swoje ozdobne „M”.

Walcząc z narastającą paniką i bólem głowy, Skye szybko dokończyła rysunek.

Claire, bez ruchu i bez słowa, nadal stała koło niej.

Milczenie mamy bolało. Skye pytała ją o literę „M” miliony razy i zawsze słyszała to samo: Claire nie miała pojęcia, dlaczego jej córka obsesyjnie wciąż rysuje „M”.

Jeśli to prawda, dlaczego mama zachowuje się tak dziwnie?

Skye podniosła rękę do skroni.

- Co się dzieje, kochanie? - Matka dotknęła włosów córki.

Skye przechyliła lekko głowę.

- Usiłuję sobie przypomnieć, gdzie widziałam to „M”. Musi być jakiś powód, że ciągle je rysuję. Po prostu musi być.

- Nie mam pojęcia, kochanie. - Mama uśmiechnęła się z przymusem. - To jedna z tych niewyjaśnionych spraw, które czasem zdarzają się nam w życiu.

- Jedna z tych niewyjaśnionych spraw... - powtórzyła z namysłem Skye. - Przecież to bez sensu.

Claire nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Musiałaś gdzieś zobaczyć ten inicjał i zapamiętałaś go.

- Ale gdzie? - Skye zacisnęła dłonie. Nienawidziła błędzenia w mroku, tego uczucia bezradności, które pojawiała się za każdym razem, kiedy usiłowała sobie cokolwiek przypomnieć.

Jak teraz. Nie sięgała pamięcią poza czasy przedszkola. Nie wiedziała, gdzie się urodziła, nie pamiętała swojego ojca. Nic, kompletna pustka, w której wciąż pojawiała się owo niesamowite „M”. Była pewna, że miało ono jakiś związek z jej dzieciństwem.

Ale jaki?

Dlaczego nic nie pamięta? Dlaczego? Ukryła twarz w dłoniach.

- Kochanie, daj spokój. - Mama przysiadła na skraju łóżka i ujęła dłonie Skye. - To przecież nie ma żadnego znaczenia. Nie zawracaj sobie tym głowy.

Miało znaczenie i Skye była tego pewna. Inaczej nie rysowałyby ciągle tej przeklętej litery.

- Nie mogę. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Chciałabym, ale... nie potrafię.

Mama otoczyła ją ramionami i przygarnęła do siebie.

- Tak mi przykro.

- To nie twoja wina. - Oparła czoło na ramieniu Claire. - Jesteś ze mnie dumna, mamó? Cieszysz się, że jestem taka, jaka jestem?

Mama ujęła ją pod brodę i spojrzała w oczy.

- Jak możesz w ogóle pytać, Skye? Jestem z ciebie bardziej dumna, niż możesz to sobie wyobrazić.

Ze mnie może tak, ale nie z moich talentów artystycznych, pomyślała Skye, przyglądając się mamie. Claire wolałaby, aby jej córka nie miała tak wielkich zdolności plastycznych. Byłaby szczęśliwa, gdyby Skye w ogóle nie brała ołówka do ręki.

Dlaczego?

Dziewczynka syknęła i ponownie dotknęła dłonią skroni.

- Znowu boli cię głowa? - Claire podniosła się z łóżka. - Dam ci coś.

Chwilę później wróciła z dwoma tabletkami i szklanką wody. Obie wiedziały, że przeciwdziałając w porę, można

było pokonać dokuczliwy ból, natomiast jeśli Skye za późno wzięła tabletki, migrena stawała się nie do zniesienia.

- Dzięki, mamó.

Claire nachyliła się i pocałowała córkę w czubek głowy.

- Poleż chwilę, a ja tymczasem skończę przygotowywać lunch. Zobaczymy, jak się będziesz czuła.

- Zostań ze mną i pomasuj mi głowę, dobrze?

- Oczywiście, kochanie. Ułóż się wygodnie.

Z każdym dotknięciem matczynych dłoni ból zdawał się ustępować, ale wystarczyło, by Claire na moment zaprzestawała masażu, a wracał z całą siłą, wraz z pytaniami, na które Skye nie znajdowała odpowiedzi.

- Już lepiej? - zapytała Claire.

- Trochę. Mamó?

- Tak, kochanie.

- Mój tata mnie nie chciał, prawda?

Claire wstrzymała oddech.

- Co to za pytanie? Oczywiście, że cię chciał.

- Nie musisz mnie okłamywać. Dobrze wiem, jak to się dzieje. Pewnie nie wiesz nawet, kto jest moim ojcem.

- Skye, co ty wygadujesz! Ma się rozumieć, że wiem, kto był...

- To dlaczego nie masz jego zdjęć? - Dziewczynka chwyciła matkę za rękę, krzywiąc się z bólu. - Czemu nigdy mi o nim nie opowiadasz? Proszę, mamó, powiedz mi prawdę. Nie będę płakała. Nie jestem już małym dzieckiem. Chcę znać prawdę.

Claire wbiła wzrok w podłogę i przez długą chwilę milczała. W końcu spojrzała w oczy Skye.

- Chciał cię mieć, wierz mi. Kiedyś o tym porozmawiamy, a teraz spróbuj odpocząć...

- Nie, chcę teraz o tym porozmawiać. Proszę cię. - Zacisnęła palce na dłoni matki. - Jeśli mnie chciał, to gdzie teraz jest? Co się z nim stało?

- Co się stało? - powtórzyła Claire wysokim, pełnym napięcia głosem. Uwolniła dłoń i cofnęła się o krok w kierunku drzwi. - Mówiłam ci już, że nie żyje.

- Tak, pamiętam, że mówiłaś, ale nigdy nie powiedziałaś mi, jak umarł.

- To był wypadek. - Claire stanęła przy drzwiach. - O tym też już rozmawialiśmy.

- Jaki wypadek? Samochodowy? - Skye uniosła się na łokciu i wbiła w matkę błagalne spojrzenie. Widziała, że Claire się waha, więc napierała dalej: - Kiedy się to stało? Byłam przy tym? Ty byłaś?

Matka milczała, wreszcie po chwili odchrząknęła i powiedziała:

- To był okropny wypadek. Nie chcę o tym mówić. Może kiedyś, w przyszłości...

Mama ją okłamuje, ukrywa coś przed nią! Ale co? I dlaczego? Skye ze ściśniętym gardłem popatrzyła na swój rysunek z ozdobnym „M”.

Dlaczego mama nie potrafi jej zaufać i nie mówi prawdy? Co aż tak okropnego musiało się wydarzyć, że mama...

- Ktoś go zabił? - zapytała, szeroko otwierając oczy. - O to chodzi? Został... zamordowany?

Skye dostrzegła, że mamie na moment zabrakło powietrza. Spojrzała na córkę tak, jakby targnęły nią nagłe wyrzuty sumienia.

- Mafia go zabiła? Nas też szuka mafia? - zgadywała Skye.

- Nie bądź niemądra. - Claire uśmiechnęła się z wysiłkiem. - To był po prostu wypadek i nic...

- Dlatego ciągle przenosimy się z miejsca na miejsce? - Podniecona Skye usiadła na łóżku i gwałtownie odgarnęła włosy z twarzy. - Uciekamy przed mafia, jak w filmach!

- Dość tego! - Claire podniosła głos. - Nie chcę więcej słuchać tych bzdur. Słyszysz? Koniec!

Dziewczynka ze łzami w oczach opadła z powrotem na łóżko i odwróciła się plecami do matki.

- Idź już sobie! Muszę odpocząć - mruknęła.

Claire westchnęła.

- Twój tata nie był dobrym człowiekiem, skarbie. Jego rodzina... - Głos się jej załamał. - Powiem ci tylko tyle, że cieszę się, iż ludzie ci na zawsze zniknęli z naszego życia. Dlatego nie lubię o nich mówić.

Skye odwróciła się i spojrzała na matkę.

- Co to znaczy... że tata nie był dobry? Czy on... No wiesz...
Bił cię?

Claire powoli pokiwała głową.

- Tak.

- Och! - Skye przygryzła wargę, bo głowa wprost pękała jej z bólu. - Mnie... też bił?

- Nie, ale... - Claire nachyliła się i ujęła twarz córki w dłoń. - Kiedy z nim byliśmy, bałam się o ciebie.

- To dlatego nigdy nie chciałaś mi powiedzieć, gdzie się urodziłam?

- Tak. Ja... - Claire westchnęła ponownie i oparła czoło o głowę Skye. - Zaufaj mi, kochanie. Kiedy będziesz starsza, powiem ci więcej.

- Obiecujesz?

Claire skinęła głową z uśmiechem.

- Zupa się nam pewnie wygotowała. Pójdę sprawdzić.

Skye chwyciła matkę za rękę.

- Mamo? Czy myślałaś kiedyś, jak to jest, gdy ma się... prawdziwą rodzinę? Gdy się mieszka w jednym miejscu, zamiast...

Zamilkła, widząc smutek na twarzy matki.

- Tak - powiedziała Claire cicho. - Czasami pragnę tego z całego serca. Nie takiego życia chciałam dla ciebie. Inaczej powinnam cię wychowywać. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Ja nie... - Przez moment dławienie w gardle nie pozwalało jej mówić. - Ja też nie miałam takiego dzieciństwa, jakie powinnam mieć. Myślałam, że chociaż ty...

Claire była sierotą. Skye nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to jest. Jak można żyć bez matki. Ona chyba umarłaby, gdyby zabrakło jej mamy. Zrobiło się jej głupio, że poruszyła bolesny temat i mocno objęła Claire.

- Przepraszam, mamusiu! Przepraszam, że zaczęłam cię pytać o... No wiesz.

- Tak, wiem. - Claire pogłaskała ją po głowie. - Prawda zazwyczaj boli, dziecko. Czasami lepiej nic nie wiedzieć.

Skye odchyliła głowę i spojrzała w oczy matki. Ujrzała w nich coś mrocznego i straszego. Tak straszego, że zaczęła drżeć.

- Co widzisz, mamó?

Claire pocałowała ją w czoło.

- Przeszłość... ale ona nie może nam zaszkodzić, dopóki nie będziemy przywoływać jej we wspomnieniach. Pomożesz mi?

Skye skinęła głową. Poczula nagły lęk przed przeszłością i przyszłością, a także paniczny strach, że może zostać sama. Przywarła do matki.

- Bądź zawsze ze mną. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś...

- Ciii. - Claire pocałowała ją raz jeszcze. - Nie bądź niemądra, moja maleńka. Nigdy cię nie zostawię. Jesteś całym moim życiem. Wiesz chyba o tym, głuptasku?

Skye uśmiechnęła się. Przypomniała sobie zabawę z czasów, kiedy była mała i wierzyła w potwory, złe duchy, czarownice, te wszystkie straszne stwory, które kryły się w mrokach nocy.

Każdego wieczoru przed pójściem do łóżka zadawała mamie to samo pytanie: „Wypędzisz potwory?” i mama przeszukiwała dom, wypędzając czające się w kątach strachy. Dopiero wtedy Skye mogła zasnąć spokojnie, pewna, że nic złego jej nie grozi.

Uniosła uśmiechniętą twarz ku mamie.

- Wypędzisz potwory?

- Jasne, nawet gdyby były największe i najokropniejsze. -
Claire odpowiedziała uśmiechem. - Kocham cię, maleńka.

Skye przytuliła się z całych sił do mamy i położyła głowę na jej piersi, chociaż wiedziała, że jest już za duża na takie pieszczoty. I nagle, w cudowny sposób, ból głowy minął.

- Ja też cię kocham, mamó. Najbardziej na świecie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Claire zamknęła drzwi sypialni i oparła się o nie ciężko. Podniosła drżącą dłoń do ust. Czuła zarazem ulgę i lęk.

Jak długo zdoła ukrywać przeszłość przed Skye? Ile jeszcze czasu upłynie, zanim córka zażąda od niej całej prawdy? Dzisiaj w swoich szalonych domysłach niebezpiecznie zbliżyła się do sedna tajemnicy.

Claire zamknęła oczy i westchnęła głęboko. Wkrótce nie będzie mogła już zbywać Skye półsłówkami, ratować się unikami i obietnicami.

Potrząsnęła głową. „Potwory”. Skye nie wiedziała i nigdy nie powinna się dowiedzieć, że matka stanęła już w oko w oko z nimi, spojrzała w twarz złu i pokonała je, by chronić córkę.

Zwyciężyła - i uciekła tak daleko, jak tylko mogła.

To prawda, umknęła przed złem, nie uśmierzyła jednak ciekawości Skye, nie powstrzymała rodzących się pytań i nie zniweczyła własnego lęku.

Claire zacisnęła powieki. Męczył ją ciągle ten sam koszmar: wielkie drapieżne ptaszyska atakują Skye, a ona usiłuje jej bronić. Czasami budziła się w środku nocy spocona, z walącym sercem, pewna, że ujrzy nad sobą twarz Pierce'a. Albo jeszcze gorzej. Obudzi się i zobaczy, że Adam i Pierce wykradli małą, gdy ta spała.

Bo Adam żył.

Szukał ich. Przez siedem lat, które minęły od ucieczki Claire z domu przy Astor Street, nie zrezygnował ani na moment, nie zaprzestał poszukiwań.

I nigdy ich nie zaprzestanie. Claire świetnie o tym wiedziała.

Oderwała się od drzwi i przeszła do małej kuchenki, gdzie zostawiła gotującą się zupę pomidorową. W powietrzu unosił się zapach spalenizny. Zupa wykipiała i zaschła na białej emalii.

Claire wpatrywała się w czerwone plamy, myśląc o tamtym poranku, kiedy uciekła z córką. Miała przed oczami zakrwawioną twarz Adama, widziała krew na lśniącej posadzce i na białym fartuszk małej i wciąż słyszała jej histeryczne krzyki.

Kiedy zorientowała się, że Skye nie pamięta tamtego strasznego zdarzenia, ani w ogóle nic z domu Monarchów, nie wiedziała, jak dziękować Bogu. Córka usnęła i obudziła się z amnezją. Stało się coś, czego Madeline początkowo nie mogła zrozumieć.

Najpierw była pewna, że Grace jest w szoku, ale minęło kilka dni, a mała ani razu nie zapytała o ojca i dziadka, ani o to, co zaszło w pokoju dzieciennym. Dopiero wtedy Madeline zaczęła domyślać się prawdy.

Bojąc się wizyty u lekarza, bo mogłaby zostać zdemaskowana, w bibliotece publicznej w jakimś miasteczku, gdzie akurat się zatrzymały, przejrzała kilka fachowych książek.

Dowiedziała się, że człowiek potrafi wymazać z pamięci przerażające i trudne do zniesienia wspomnienia, i potem żyć tak, jakby nic się nie stało. Określano to mianem wyparcia się albo stłumienia. Claire nie czuła się na tyle kompetentna, by stawiać diagnozę, ale była prawie pewna, że tak właśnie stało się w przypadku Skye. Po prostu zadziałała podświadomość, która kazała małej zapomnieć to wszystko, co się wydarzyło.

Początkowo Claire poczuła ulgę, ale z czasem zaczęła się niepokoić stanem córki. Skye wydawała się jednak taka szczęśliwa, pogodna i beztroska. Zachowywała się zupełnie... normalnie.

Wszystko zaczęło się zmieniać w ostatnich latach, gdy pojawiło się owo przekłete „M”, które jakimś sposobem wynurzyło się z podświadomości Skye.

Jakby chciało powiedzieć: „Pamiętaj, Skye. Musisz pamiętać”.

Razem z inicjałem pojawiły się pytania i bóle głowy córki oraz uniki matki.

Claire poczuła dobrze znany lęk. Dobry Boże, co robić? Jak dalej ukrywać prawdę przed Skye?

Zupa wylewała się z garnka. Zasyczał elektryczny palnik. Claire drgnęła, włożyła rękawicę, zdjęła garnek z palnika, wyłączyła prąd i zaczęła czyścić wilgotną gąbką zabrudzoną kuchenkę, wciąż zatopiona w niewesołych myślach o przyszłości.

Chociaż kłamstwo ją mierziło, nie mogła powiedzieć córce prawdy. W każdym razie jeszcze nie teraz, byłoby to

bowiem dla małej zbyt niebezpieczne. Dopiero wówczas, gdy będzie starsza, potrafi zrozumieć, jakimi ludźmi byli Monarchowie, a przede wszystkim Adam, Pierce i Griffen. Być może wtedy Claire wszystko jej opowie.

Dzisiaj Skye podsunęła matce łatwe rozwiązanie. Dlaczego z niego nie skorzystała? Gdyby powiedziała, że nie wie, kto jest jej ojcem, bo Skye urodziła się w wyniku przelotnej przygody, skończyłyby się pytania.

Dlaczego nie chciała przyjąć tego pozornie najprostszego rozwiązania?

No cóż, tak bardzo nienawidziła kłamstwa, a przez ostatnie siedem lat żyła w nieprawdzie. Okłamywała Skye, dyrektorki szkół, pracodawców, koleżanki w pracy. Gardziła sobą za to, że cały czas musi zmyślać.

Dzisiaj coś ją powstrzymało od kolejnego kłamstwa. Było zbyt istotne dla ich dalszego życia i nigdy już nie mogłaby go odwołać.

Oto dylemat: jak zjeść ciastko i zarazem je zachować?

Nie potrafiła skłamać, nie mogła jednak również powiedzieć prawdy, a tymczasem Skye żądała odpowiedzi i wymyślała szalone scenariusze. Claire wkrótce będzie musiała jej coś powiedzieć, wymyślić coś wiarygodnego i bezpiecznego, co na zawsze zaspokoi ciekawość córki.

Serce jej się krajało, że nie może być szczerą wobec Skye, ale bała się prawdy, która miała swoje imię, okrutną twarz i złe intencje.

Claire zamknęła oczy i ujrzała Adama takim, jakim widziała go ostatniego dnia: ogarniętego wściekłością,

z wytrzeszczonymi oczami, zaciskającego z całych sił dłoń na jej szyi. Widziała Griffena nieodstępującego Grace na krok i spoglądającego na siostrę pożądliwym, zaborczym wzrokiem.

Olbrzymie, groźne czarne ptaszyska krążące nad głową Skye.

Claire otworzyła oczy. Serce gwałtownie tłukło się jej w piersi. Ciotka Dorothy powiedziała jej, że szukają Skye. Claire czuła to i nikt nie musiał jej mówić o zagrożeniach. Widziała je w swoich snach, w swoich wizjach na jawie.

Odłożyła gąbkę i zaczęła niespokojnie chodzić po przyczepie. To od ciotki Dorothy dowiedziała się, że Adam żyje. W trzy miesiące po ucieczce z domu zaczęła miewać przecucia, więc zadzwoniła do ciotki Dot. Nie zdradziła swojego nowego nazwiska ani miejsca pobytu, powiedziała jej tylko, że mają się z Grace dobrze. Dorothy błagała ją, żeby wróciła. Opowiadała, jak wściekli są Adam i Pierce, mówiła o prowadzonych przez nich poszukiwaniach. Jednak ani wtedy, ani w żadnej z następnych rozmów słowem nie wspomniała o zabranych z sejfu kamieniach.

Claire wydawało się to bardzo dziwne.

Często brakowało im pieniędzy, ale bała się sprzedać któryś z kamieni. Nie miała pojęcia, do kogo powinna się zwrócić, ani jak taka transakcja miałaby wyglądać. Co więcej, bała się, że Pierce mógłby ją wtedy łatwiej wysledzić.

Claire podeszła do ławki przy stole jadalnym. Mieścił się pod nią schowek, w którym na samym dnie stało małe

staroświeckie pudełko z drewna wiśniowego.

Zerknęła przez ramię, po czym zdjęła z szyi kluczyk i otworzyła wieczko. W środku leżał czarny aksamitny woreczek z kamieniami. Aczkolwiek nie miała powodów podejrzewać, że zginął, odetchnęła z ulgą na jego widok. Kamienie stanowiły zabezpieczenie na czarną godzinę.

Otworzyła woreczek i dotknęła palcami chłodnych, gładkich kamieni. Czuła, jak bardzo są ważne, bo pewnego dnia uratują ją i Skye z opresji.

Znów zobaczyła lodową gładź i drapieżnego ptaka, kołującego nisko, coraz niżej...

Przerażona cofnęła palce - i obraz znikł. Zawiązała woreczek, włożyła go na powrót do pudełka, przekręciła kluczyk.

Pewnego dnia te kamienie uratują Skye życie. Claire wiedziała o tym.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Chance zmrużył oczy i wystawił twarz do słońca. Pot spływał mu po plecach. Nie było jeszcze ósmej, a z nieba już lał się niemiłosierny żar. Bardzo stosownie, bo pierwsze dni w lunaparku zdawały mu się prawdziwym piekłem.

Z Lancaster County przenieśli się do Zachary, położonej o prawie dwieście kilometrów na wschód zapadłej dziury w Pensylwanii. Nie tego Chance oczekiwał, ale lunapark Marvela mógł wzbudzić tutaj zainteresowanie.

Ledwie dotarli na miejsce, lunął rześisty deszcz, lecz mimo to trzeba było rozstawić budy i rozbić namioty.

Chance nie miał wyboru, musiał się zaaklimatyzować i zabrać do pracy. W niektórych miejscach błota było tak dużo, że wlewało się do butów i chlupotało między palcami.

Kiedy ulewa wreszcie ustała, zaczął rozkładać słomę, uginając się pod ciężkimi, mokrymi snopkami. Choć bolały go wszystkie mięśnie, ani na moment nie przerywał pracy, bo przecież przyrzekł Marvelowi pracować za dwóch i zamierzał dotrzymać słowa.

Pod wieczór niebo się przejaśniło. Do lunaparku zaczęła napływać publiczność i dopiero teraz przyszła pora prawdziwej inicjacji Chance'a. Marvel miał rację, chłopcy z trupy byli brutalnymi i agresywnymi prostytutkami. Chance nigdy dotąd nie zetknął się z takimi ludźmi. Trzeba jednak przyznać, że wobec siebie i miejsca pracy, a nawet wobec

Marvela, który zaprowadzał porządek w trupie za pomocą kija baseballowego, byli ślepo lojalni.

Część z nich obwiniła Chance'a za odejście kolegów, choć nie mogli wiedzieć, jaką naprawdę rolę odegrał w całej historii. Był dla nich obcy: frajer z publiki, który zajął miejsce ich starych kumpli.

Dokuczali mu i grozili. Od dwóch dni chodził z podbitym okiem. Uśmiechnął się krzywo. Właściwie powinien być zadowolony. Chłopak, który podbił mu oko, zapowiedział, że poderżnie mu gardło we śnie. Szczęśliwie skończyło się na pogróżkach.

Chance zdjął z szyi bandanę i zanurzył ją w beczce z zimną wodą, po czym ją wyjął. Musi zasłużyć sobie na szacunek chłopaków z trupy. Niestety, istniał na to tylko jeden sposób: powinien tak złoić któremuś z nich skórę, aby zapomniał, jak się nazywa, bowiem wyglądało na to, że przemoc była jedynym zjawiskiem, które rozumieli i przed którym czuli respekt.

Chance przyłożył mokrą chustkę do karku. Wytrzyma zarówno niechęć chłopców, jak i ciężką pracę. Była ona jedynym sposobem, aby wyrwać się w świat.

Nikt mu tego nie zabierze.

- Widziałam, co zrobiłeś.

Chance odwrócił się gwałtownie. Kilka kroków od niego stała brzydka, chuda dziewczynka. Ręce założyła na piersi, głowę przechyliła na bok i zerknęła na niego spod oka. Włosy nosiła niedbale upięte w koński ogon.

Chance uniósł brwi.

- Słucham?

- Widziałam, co zrobiłeś - powtórzyła, wyraźnie zadowolona z własnej spostrzegawczości. - Tamtego wieczoru, przy budce z hot dogami. Słyszałam, co powiedziałaś.

- Tak? - zagadnął Chance z udaną obojętnością i posłał małej lekceważące spojrzenie. - I co z tego?

- Wpuściłeś Marthę w maliny. Chodziło ci o pracę, prawda?

Ta cholerna smarkata jest za cwana. Wszystkiego się domyśliła. Nie warto zaprzeczać, z taką spryculą się nie wygra.

Chance wzruszył ramionami.

- A nawet jeśli, to co?

- Nie boisz się, że pójde do pana Marvela?

- Czego miałbym się bać? Że taki smark będzie na mnie donosił? A może ten hot dog naprawdę był nieświeży?

Mała wyduła wargi i zrobiła obrażoną minę.

- Nie jestem smarkiem, skończyłam już dwanaście lat.

- Dwanaście? Patrzcie ludzie, jaka dorosła. - Rozbawiony odwrócił się plecami do dziewczynki, przemył twarz wodą z beczki i zawiązał mokrą bandanę na szyi.

- W porządku. Masz rację. Pan Marvel wcale by mnie nie słuchał. Podobało mi się, jak to rozegrałeś, ale ta druga historia mogłaby go wkurzyć.

Druga historia? Chance okręcił się na pięcie i mrużąc oczy spojrzał na małą.

- O czym ty mówisz?

- Dobrze wiesz. O Bennym i Ricku, czyli o tych chłopakach ze strzelnicy i o ich bójce. - Zadarła brodę, jakby chciała powiedzieć: tylko nie próbuj zaprzeczać. - Pan Marvel wylałby cię od razu, gdyby tylko dowiedział się, co zrobiłeś.

Chance zaklął pod nosem.

- Bajki opowiadasz, mała! Nie mam teraz czasu wysłuchiwać twoich głupich historyjek. - Przeszedł obok dziewczynki. - Do zobaczenia.

Zaczęła biec obok niego, zaglądając mu w twarz.

- Dobrze wiesz, że to nie są bajki.

- Czyżby? A ty skąd niby jesteś taka mądra?

- Wiem o wszystkim, co dzieje się w lunaparku - oznajmiła z dumą.

- Pogratulować, matka musi być z ciebie dumna. A teraz spadaj i nie przeszkadzaj mi w pracy.

Raz jeszcze chciał ją wyminąć, lecz ona znów zastąpiła mu drogę.

- Kiedy zobaczyłam cię przy budce Marthy, wiedziałam, że coś kombinujesz. Obserwowałam cię i wszystko zobaczyłam.

- Tak? I myślisz, że ktoś ci uwierzy? Powtarzam, nie wiem, o czym mówisz, smarkata.

Odchyliła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem.

- Nie rób takiej zmartwionej miny. Nie znosiłam tych dwóch głupków, bo to skończone śwynie. Cieszę się, że odeszli. - Nachyliła się konspiracyjnie do Chance'a. - Mnie nie musisz się bać. Nikomu o niczym nie powiem.

Tego mu akurat trzeba! Musi wchodzić w układy z wścibską, bezczelną, dwunastoletnią smarkulą. Wspaniale, po prostu wspaniale!

- Posłuchaj, mała, powiedziałem ci już, żebyś spadała i nie przeszkadzała mi w pracy. - Ruszył przed siebie stanowczym krokiem, ale dziewczynka nie zamierzała się odczepić.

- Mam na imię Skye - oznajmiła.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Madame Claire to moja mama. - Widząc jego puste spojrzenie, nachmurzyła się. - Wiesz, przepowiada ludziom przyszłość.

- I co z tego?

- Chyba nie chcesz, żeby rzuciła na ciebie klątwę?

- Strasznie się boję!

- Ona potrafi rzucać uroki. Raz jednemu chłopakowi, jak go przeklęła, od razu wypadły wszystkie włosy.

Chance parsknął śmiechem.

- A innego zamieniła pewnie w ropuchę, co?

- Śmieję się, śmieję! Jeszcze zobaczysz.

- Naprawdę mnie przestraszyłaś. Cześć, smarku. Znikaj i żebym cię tu więcej nie widział.

Ruszył w stronę namiotu, w którym mieścił się magazyn, a dziewczynka wciąż szła za nim.

Dlaczego tak się przyczepiła? Jak ma się jej pozbyć?

- Jeśli poproszę, żeby rzuciła na ciebie klątwę, na pewno to zrobi.

Sapnął poirytowany i odwrócił się do dziewczynki.

- Chcesz powiedzieć, że twoja matka jest czarownicą, tak?

- Nie, moja mama stawia ludziom wróżby.

- Jest Cyganką?

- Nie jest Cyganką. - Dziewczynka ujęła się pod boki i wciągnęła gwałtownie powietrze. - Po prostu wróży ludziom.

Rozbawiony Chance powtórzył gest dziewczynki, to znaczy też ujął się pod boki i zrobił naburmuszoną minę.

- Skoro rzuca klątwy, to jest czarownicą, a przyszłość przepowiadają wróżki. Cyganki potrafią jedno i drugie, przynajmniej w filmach, ale ja nie wierzę w te bzdury. Spadaj wreszcie, dobrze?

Dziewczynka nie zareagowała.

- Kto ci podbił oko?

- Nie twój interes. - Chance ruszył znowu.

- Na pewno któryś z chłopaków. Max albo Len. - Zerknęła na Chance'a. - Raczej Len. To skończony palant. Są na ciebie wściekli, że zająłeś miejsce Benny'ego i Ricka.

- Może, ale z czasem złość im przejdzie.

Mała uśmiechnęła się.

- Dobrze, że nie wiedzą tego co ja.

Kiedy zmierzył ją lodowatym spojrzeniem, uśmiechnęła się znowu.

- Ja im nic nie powiem. Dałam ci słowo i możesz mi wierzyć.

Coraz lepiej! Chance przyspieszył kroku, licząc, że w końcu uda mu się pozbyć tej natrętnej smarkuli.

- Powiem ci, co masz zrobić - paplała, biegnąc za nim. - Musisz im przylać, to zostawią cię w spokoju.

Skrzywił się ze złości, bo smarkula podpowiadała mu dokładnie to rozwiązanie, o którym sam pomyślał przed chwilą.

- Co taki smark jak ty może wiedzieć? - Prychnął z pogardą. - W dodatku jesteś dziewczyną.

- I co z tego, że jestem dziewczyną? Tyle samo wiem, co każdy chłopak.

- Akurat - mruknął z przekąsem.

- Właśnie, że tak. - Uniosła głowę, dotknięta do żywego w swojej dumie. - Znam tu wszystkich - dodała. - I nikt nigdy nie podbił mi oka, rozumiesz?

Chance zatrzymał się tak gwałtownie, że wpadła na niego z rozpędu. Zniecierpliwiony odwrócił się do niej.

- Dlaczego akurat mnie sobie upatrzyłaś, żeby zawracać mi głowę?

Mała zaśmiała się.

- Lubię cię, Chance, bo jesteś taki zabawny.

Zabawny dla dwunastoletniej smarkuli?! Nie ma co mówić! Kolejny wielki sukces życiowy.

- Mam cię dość. - Ruszył znowu przed siebie.

- Pójdę z tobą.

- Poszukaj sobie innego towarzystwa.

Mógł sobie gadać, a mała i tak nie zrażała się ani trochę.

- Naprawdę nie powinieneś im pozwalać, żeby ci dokuczali. - Odgarnęła za ucho kosmyk włosów, który

wysunął się z końskiego ogona. – W szkole też jest sporo takich palantów, którym się wydaje, że mogą rządzić.

– Na pewno.

– Wiem, jak to jest, jak człowiek gdzieś jest nowy – oznajmiła z powagą.

Chance znowu się zatrzymał i spojrzał na dziewczynkę.

– Koniecznie musisz mi to wszystko opowiadać?

– Koniecznie.

– Nie mam ochoty cię słuchać. Zabieraj się stąd, panno wszystkowiedząca, i zostaw mnie wreszcie w spokoju.

– Nie musisz być taki opryskliwy. Postaraj się popracować głową, no i mięśniami. Jak ci dopieką, ty im też dopiecz. Ja zawsze tak robię.

– Musisz być bardzo lubiana.

Mała wzruszyła ramionami.

– Pan Marvel mnie lubi. Jest w porządku.

– Przemyślę twoją radę. – Chance skrzywił się, widząc, że z oddali obserwują go chłopcy z przyczepy. Nie chciał, żeby widzieli go rozmawiającego z dwunastoletnią smarkulą. – A teraz powtarzam ci po raz ostatni: spadaj wreszcie.

Tym razem nie pobiegła za nim. Zerknął z ulgą przez ramię, aby się upewnić, że dziewczynka dała wreszcie za wygraną. Stała na środku alejki i sprawiała wrażenie zagubionej i bardzo samotnej.

Przez moment zrobiło mu się przykro. Pokręcił głową. Jest samotna, bo wciąż się wtrąca w nie swoje sprawy, wszędzie jej pełno i ludzie omijają ją z daleka. Niech jej matka, ta cygańska wiedźma, martwi się o nią, bo to nie jego

problem. Ta mała jest po prostu okropna. Uprzykrzona smarkula, która każdemu zatruje życie.

Powinien trzymać się od niej z daleka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Skye nie miała zamiaru odczepić się od Chance'a i przez następny tydzień wszędzie za nim łąziła. Rano, w południe, wieczorem, cokolwiek robił, gdziekolwiek poszedł, dziewczynka szła za nim. Zanudzała go pytaniami, udzielała rad, rwała się do pomocy.

Nie wiedział, co aż tak bardzo interesującego w nim zobaczyła, i niewiele go to obchodziło. Mało, że go irytowała, to jej obecność komplikowała mu i tak już trudną sytuację. Chłopcy z trupy, którzy od początku patrzyli na niego krzywo, teraz zaczęli pokpiwać z jego „przyjaciółki”. Kiedy przechodził, słyszał, jak rechotali na jego widok i podśpiewywali pod nosem, na tyle jednak głośno, by piosenka dotarła do jego uszu. Najłagodniejsza wersja tego utworu brzmiała:

„Skye i Chance, Skye i Chance,
bardzo w sobie zakochani,
wciąż migdałą się pod drzewem,
aż przybędzie im maleństwo”.

Chłopcy uważali, że to bardzo zabawne i pokładali się ze śmiechu, jednak Chance nie widział nic śmiesznego ani w piosence, ani w towarzystwie upartej smarkuli. Postanowił z tym skończyć.

Gdy siedział przy stole ogrodowym, mała, jak diabeł z pudełka, znów się pojawiła.

Nawet nie podniósł głowy.

- Zjeżdżaj.

- Co robisz?

Chance skrzywił się, rzucił widelec i odsunął talerz.

- Próbowałem zjeść śniadanie.

- Nie przeszkadzaj sobie - mruknęła łaskawie, po czym usiadła na ławce obok niego i podciągnęła kolana pod brodę. - Ja już zjadłam w przyczepie.

Chance wytarł usta serwetką i wstał.

- To się ciesz.

Skye zeskoczyła natychmiast z ławki.

- Pójdę z tobą.

Widział, że ze swojego namiotu obserwuje ich dwójka rozbawionych akrobatów. Jeden z nich mrugnął do Chance'a i zaczął bezgłośnie coś nucić. Chłopak nie musiał słyszeć słów, żeby wiedzieć, jak brzmią.

„Skye i Chance, Skye i Chance...”

Ogarnęła go prawdziwa wściekłość.

- Czego ode mnie chcesz, smarkata?!

- Przyszłam, żeby ci pomóc ustawić strzelnicę. Myślałam, że...

- Pomagaj komuś innemu. - Zabrał jednorazowy talerz i ruszył z nim w stronę kosza na śmieci.

Skye szła za nim.

- Przecież dzisiaj jest sobota. Pomyślałam, że będziesz potrzebo...

- Nie potrzebuję. - Odwrócił się do niej plecami i wrzucił talerz z resztkami jedzenia do śmieci, po czym, nie patrząc na małą, ruszył szybko przed siebie.

Pociągnęła go za rękaw i wskazała na jego podrapany policzek.

- Znowu ci dołożyli.

- Drobiazg.

Pokręciła głową.

- Niedobrze mi się robi, jak widzę tych palantów.

- Życie jest ciężkie i pełne zasadzek.

Podskakując, szła cały czas obok niego.

- Mówiłam ci, że musisz dać im wycisk, inaczej nie zostawię cię w spokoju. Chyba że pójdziesz do pana Marvela i wszystko mu powiesz.

- Odczep się!

- Naprawdę powinieneś tak zrobić - przekonywała go, nie wyjaśniając, czy powinien spuścić lanie chłopakom, czy też poskarżyć się właścicielowi.

Chance zatrzymał się i spiorunował ją wzrokiem.

- Czemu się na mnie uwzięłaś? Koniecznie chcesz zatruć mi życie? Nie widzisz, że wszyscy się ze mnie nabijają? Ile razy mam ci powtarzać, żebyś zostawiła mnie w spokoju?

- Nie chcę zatruwać ci życia. - Pokręciła głową ze smutną miną. - Jesteśmy przyjaciółmi. Ja tylko myślałam, że mogę ci pom...

- Wcale mi nie pomagasz! I nie jesteśmy przyjaciółmi.

- Ale możemy nimi być.

- Nie, nie możemy! Dość tego dobrego! - Chance wziął się pod boki i spojrzał dziewczynce prosto w oczy. - Ja jestem dorosły, a ty jesteś smarkulą. Nie mamy ze sobą nic

wspólnego. Nie lubię cię. Dam ci pięć dolców, tylko się odczep i zawracaj głowę komuś innemu.

W oczach dziewczynki pojawiły się łzy. Cofnęła się o krok. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz szybko zamknęła je bez słowa. Chance zaklął pod nosem. Czuł się jak ostatni dupek. To przecież jeszcze dziecko, na litość boską!

- Przepraszam. Na pewno jesteś w porządku, ale ja po prostu nie mam...

- Kogo my tu widzimy! Naszego wiejskiego parobka i jego śliczną panienkę.

Cholera, Len i jego kumple! Chance odwrócił się powoli. Chłopcy stali za nim z kpiącymi uśmieszkami na twarzach.

Len wsadził ręce do kieszeni i stanął w rozkroku.

- Jaki słodki widok! Sam miód!

Chłopcy zawyli z uciechy.

Chance zacisnął dłonie i postąpił krok w kierunku Lena.

- Bujaj się, dupku!

Banda chłopaków zarechotała.

- Śliczna z was para! - zawołał Len ze śmiechem. - Lubisz takie młodziutki brzydule, parobasie?

- To chamstwo - wtrąciła Skye. - Niedobrze mi się robi na wasz widok. Powinniście się wstydzić, że...

- Zamknij się, Skye! - Chance chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Akurat potrzebna mu jej pomoc! Spaliłby się chyba ze wstydu. Omiótł wzrokiem bandę wyrostków.

- Zejdźcie nam z drogi.

W odpowiedzi chłopcy otoczyli ich kołem, a Len uśmiechnął się krzywo.

- To nas usuń, jeśli potrafisz.

Chance poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Niech go Marvel później wyrzuci, ale musi dać tym durniom wycisk. Albo ustąpią, albo ich pozabija.

- Powiedziałem, zejście nam z drogi. - W jego głosie zabrzmiała groźba.

Chłopcy zareagowali śmiechem, a Len powiedział:

- Nie mogłeś przygadać sobie innej dupy, parobasie?

Chance postąpił krok do przodu.

- Spróbuj to powtórzyć.

Len też postąpił krok.

- A jeśli powtórzę, to co? - zapytał z kpina w głosie. - Co mi zrobisz? Poprosisz swoją panienkę, żeby mi przyłożyła?

- Nie, sam ci przyłożę. - Chance skinął na Lena. - No, zaczynaj! Ty pierwszy.

Wpatrywał się w Lena nieruchomym wzrokiem. Chłopak był od niego starszy, silniejszy i bardziej agresywny, poza tym miał do pomocy trzech kumpli, ale Chance'owi było już wszystko jedno. Nie myślał się wycofać. Dostanie wycisk, ale najpierw sam dołoży Lenowi.

Len zawahał się, lecz Chance skinął na niego.

- Rusz się, dupku! Jeśli Marvel nas nakryje, obydwaj wylecimy. I bardzo dobrze!

Len wciąż się wahał i gorączkowo obliczał swoje szanse. Był wielki i silny, wiedział jednak, że bójka może skończyć się dla niego fatalnie. Jeśli Marvel zobaczy, co się dzieje,

straci pracę. Nie będzie żadnych tłumaczeń, żadnych usprawiedliwień.

Chance czekał z ponurym uśmiechem.

- Zostaw go w spokoju! - Skye wyrwała się do przodu, stanęła między Chance'em i Lenem, wsparła się pod boki i zadarła rezolutnie głowę. - On nic ci nie zrobił. Jesteś zazdrosny, bo on ma...

- Ciebie do ochrony - zakpił któryś z chłopaków.

Banda wyrostków zarechotała. Chance miał ochotę zapaść się pod ziemię. Chwycił małą za ramię i desperacko szarpnął ją do tyłu.

- Natychmiast przestań się...

Skye strząsnęła jego dłoń.

- To podłe, co tu robicie. Chce mi się rzygać na wasz widok!

Słowa Skye wywołały nowy wybuch entuzjazmu. Napastnicy skręcali się ze śmiechu.

- Smarkata musi bronić twardziela. Ale się boimy!

- To wstrętne! - wołała Skye. - Powinniście...

- Zamknij się! - Upokorzony Chance ze złością pociągnął małą za koszulkę. - Sam potrafię załatwić swoje sprawy.

- No, dalej, parobku! Pokaż, co potrafisz! - Len pochylił głowę, gotów do ataku.

W tej samej chwili zza namiotu wyszedł Abner Marvel z kijem w ręku i nic dobrego niewróżącą miną. Cała grupa zamarła.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - huknął, uderzając kijem w otwartą dłoń. - Przerwę sobie zrobiliście?

Zapomnieliście, że dzisiaj sobota i że za godzinę otwieramy?

Grupka rozpięzchła się. Kiedy i Chance chciał odejść, Marvel chwycił go za ramię.

- Obserwuję cię, McCord - powiedział. - Bardzo uważnie cię obserwuję.

Chance z trudem przełknął ślinę.

- Tak jest, proszę pana.

- Musisz się nauczyć żyć z trupą. Nie będę czekał w nieskończoność.

- To nie w porządku! - zawołała Skye. - To nie Chance...

Marvel spojrzał na nią groźnie.

- A ty, panienko, nie wtrącaj się do nie swoich spraw, bo to może się dla kogoś źle skończyć. Zrozumiano? Nie chcę iść do twojej mamy, ale jeśli będzie trzeba, zrobię to.

Obrócił się na pięcie i odszedł.

- Zabieraj się stąd. Nie chcę cię widzieć - wycedził Chance, spoglądając na Skye.

- Powinieneś być mi wdzięczny, że...

- Wdzięczny? Ty naprawdę nic nie rozumiesz? Nie widzisz, że wcale mi nie pomagasz? Pogarszasz tylko sprawę.

- Nieprawda. Mówisz tak, bo...

- Mówię tak, bo to prawda. - Chwycił ją za ramiona i zmusił, żeby spojrzała mu prosto w oczy. - Gdybyś nie wtykała wszędzie swojego nosa, przyłożyłbym Lenowi.

- Nie dałbyś mu rady.

- Nic nie wiesz! Zmywaj się!

Kiedy ruszył, znów poszła za nim.

- Ja przynajmniej nie jestem podła! - wołała, usiłując dotrzymać mu kroku. - Ja nie...

- Przestań wtrącać się w moje życie! - krzyknął. Zatrzymał się nagle, tak że Skye na niego wpadła. - Zmywaj się, spływaj, spadaj! Zniknij sprzed moich oczu. Jak mam ci to jeszcze wyraźniej powiedzieć?

- Spróbuj mnie splawić.

Spojrzał na nią wściekłym wzrokiem.

- Coś ty powiedziała?

- To, co słyszałeś. To wolny kraj. Mogę chodzić za tobą, jeśli tylko tak mi się podoba. - Założyła ręce na piersi i buńczucznie uniosła głowę. - Nie zabronisz mi.

- Zobaczymy - mruknął. Czuł, że jeszcze chwila, a eksploduje z gniewu i rozpadnie się na tysięczne kawałki. Podszedł do Skye i jednym mocnym ruchem chwycił małego uparciucha pod pachę.

Zaskoczona, pisnęła głośno.

- Co ty wyprawiasz?!

- Zamierzam pozbyć się ciebie raz na zawsze.

- Pozbyć się? Natychmiast postaw mnie na ziemi! - Próbowała się uwolnić, ale Chance trzymał ją mocno. - Puść mnie zaraz!

Skye wierzgała i z całej siły biła go piąstkami po plecach.

- Przestań! To boli! - wrzasnął.

- Postaw mnie na ziemi.

- Grzecznie cię prosiłem, żebyś się ode mnie odczepiła, ale nie chciałaś słuchać. Zaniosę cię do domu. Tam twoje

miejsce, smarkulo. Przy mamusi.

Krzyknęła w gniewie i Chance poczuł, jak jej zęby zagłębiają się w jego ciało. Ta mała zmijka ugryzła go! Nie mógł w to uwierzyć.

- Ty rozwydrzony szczeniaku! - Wymierzył jej solidnego klapsa w pupę, aż jęknęła. - Ugryź mnie jeszcze raz, a złoję ci tyłek tak, że przez tydzień nie będziesz mogła usiąść.

Widać ta groźba trafiła Skye do przekonania, bo już nie próbowała kąsać, choć cały czas wierciła się niespokojnie, usiłując uwolnić się z uścisku.

Zapukał głośno do drzwi przyczepy. Kiedy Madame Claire otworzyła, postawił przed nią czerwoną z wysiłku i upokorzenia Skye.

- Proszę ją trzymać z daleka ode mnie. Słyszysz pani? Niech się do mnie nie zbliża.

Madame Claire, ładna kobieta, która w niczym nie przypominała wiedźmy, jak przedstawiali ją chłopcy z trupy, najpierw spojrzała zdumiona na Chance'a, a potem na swoją córkę.

- Nie rozumiem... Co się stało, Skye? Naprzykrzałaś się temu chłopcu?

- Nie, mammo. Ja...

- Owszem, mammo - przerwał jej Chance. - Skye naprzykrzała się temu chłopcu. Ciągłe za mną łązi, a dzisiaj o mały włos byłbym przez nią zginął. Proszę trzymać ją ode mnie z daleka.

- Ja chciałam mu tylko pomóc. - Skye patrzyła błagalnym wzrokiem na matkę. - Nie chciałam go na nic złego narazić.

Naprawdę, mamó.

- Ale wyszło inaczej. - Madame Claire była zła na córkę. -
Wchodź do środka!

- Ale, mamó...

- Natychmiast!

Dziewczynka weszła potulnie do przyczepy, a wróżka zwróciła się do Chance'a:

- Przepraszam. Wiem, że Skye czasami bywa uparta.

- To pani tak to nazywa. Ja powiedziałbym, że jest rozpuszczona i samolubna. Proszę trzymać ją ode mnie z daleka.

Miał zamiar odejść, ale madame Claire go zatrzymała.

- W czym tak próbowała ci pomóc, że omal nie przyplącałeś jej pomocy śmiercią?

- To nie pani sprawa.

- Widzę, że chłopcy podbili ci oko, tak?

- Nawet jeśli tak, to co z tego?

Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

- Skye zawsze wstawia się za tymi, którzy dostają cięgi. Nie może patrzeć, jak komuś dzieje się krzywda... Pewnie dlatego, że sama często jest źle traktowana przez innych.

- To jej problem. Ja nie potrzebuję pomocy.

- Właśnie widzę. - Wzrok Madame Claire zdawał się przenikać do samej duszy i Chance nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Nie ma nic złego w tym, że ktoś chce nam pomóc -
powiedziała spokojnie Madame Claire.

- Ja od nikogo nie potrzebuję pomocy, a już szczególnie od Skye - oznajmił Chance. - Niech ją pani trzyma z daleka ode mnie.

Odwrócił się i chciał już odejść.

- Mogę ci przepowiedzieć przyszłość. Za darmo, żeby wynagrodzić ci kłopoty.

Obejrzał się przez ramię.

- Nie, dziękuję. Wiem, jaka przyszłość mnie czeka, i nie potrzebuję żadnych przepowiedni. Nie wierzę w takie bzdury.

Madame Claire uniosła brwi. Chance bardziej wyczuł, niż widział jej autentyczne rozbawienie.

- Tak? Jesteś jasnowidzem?

- Nie muszę - odparł Chance wyzywająco. - Wiem, jaka przyszłość mnie czeka, bo sam o niej decyduję. A na sobie nigdy się nie zawiodę.

- I jesteś tego absolutnie pewien, prawda?

- Owszem, jestem pewien - powiedział, zakładając ręce na piersi. - Pani myśli inaczej?

- To, co ja myślę, nie ma żadnego znaczenia. Życie nie zawsze układa się tak, jak byśmy chcieli.

Zirytowała go tą swoją mądrością.

- Niech się pani odczepi ode mnie - warknął i zmrużył oczy.

Znowu zamierzał odejść i znowu zatrzymał go jej głos tak cichy, że ledwie słyszalny. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał jej prosto w twarz.

- Co pani powiedziała?

- Wybacz prostemu człowiekowi z długą brodą. Chciał dla ciebie dobrze, ale inaczej nie potrafi myśleć. Teraz nad tym boleje.

Mówiła o wuju Jacobie. Poczuł ciarki na plecach. Skąd o nim wiedziała?

To sztuczka, pomyślał. Przejrzała go. Marvel musiał jej powiedzieć, kiedy i dlaczego przyłączył się do trupy, a reszty domyśliła się sama. Tacy jak ona, którzy trudnią się wróżeniem, muszą być dobrymi obserwatorami, jeśli chcą zarobić na życie.

Zważywszy, że byli w samym sercu kraju amiszów, nie musiała nawet specjalnie się wysilać. Powiedział jej to.

W odpowiedzi uśmiechnęła się domyślnym, łagodnym, denerwującym uśmiechem.

- Jest pani zwykłą oszustką, paniusiu. Nie dam się nabrać na te tanie sztuczki. Tyle pani wie, ile wyciągnie od ludzi, i kropka. W życiu liczy się tylko to, co samemu się zdobędzie, i los nie ma nic do rzeczy.

Nagle stanął mu przed oczami obraz matki. Jej marzenia, jej niespełnione, pełne rozczarowań życie.

Spojrzał na Madame Claire. W głębi duszy wiedział, że ta kobieta czyta w jego myślach, że w tej chwili równie wyraźnie jak on widzi jego matkę.

Poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie, i niepewnie się cofnął. Rozumiał, dlaczego reszta trupy wołała trzymać się z daleka od Madame Claire.

- Niech mnie pani zostawi w spokoju - bąknął, kiedy wreszcie odzyskał zdolność mówienia. - I proszę trzymać tę

smarkatą z daleka ode mnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Skye siedziała na łóżku z podwiniętymi po turecku nogami i rysowała. Na kartce szkicownika widniała wstrętna ropucha o karykaturalnie zdeformowanej twarzy, płaszcząca się przed piękną jak księżę, dorodną żabą ze złotą koroną na głowie.

Skye ostatnimi pociągnięciami szmaragdowozielonej kredki wykończyła sylwetkę żaby. Od kilku dni pracowała nad swoim rysunkiem.

Ropucha miała twarz Lena, a żaba do złudzenia przypominała Chance'a.

Samą siebie przedstawiła pod postacią uprzykrzonej muchy latającej nad głową księcia.

Zachmurzyła się na wspomnienie swojego zachowania i słów, które usłyszała pod własnym adresem. Prawdę powiedziawszy, przez ostatni tydzień nie mogła myśleć o niczym innym.

„Przestań wtrącać się w moje życie. Spadaj, spływaj, znikaj”.

„To wolny kraj i jeśli będę miała ochotę chodzić za tobą, nie zabronisz mi tego”.

Poczuła, że czerwieni się jak burak. Jak mogła tak się zachować? Zrobiła z siebie ostatnią idiotkę. Jak on ją nazwał? Rozwydrzoną smarkulą?

Przyjrzała się rysunkowi. Chciała tylko, żeby ją polubił... i się z nią zaprzyjaźnił.

Nadal tego pragnęła.

Łzy napłynęły jej do oczu. Odłożyła kredkę do pudełka. Okropność! Powinna mieć w nosie to, co Chance o niej myśli. Dlaczego tak jej zależy, żeby spojrzał na nią łaskawszym okiem? Nigdy nie przejmowała się tym, co inni o niej myślą, i wcale się jej nie podobało, że teraz tak się zamartwiała.

Chance nie chce jej znać. Widać już taki jej los. Nikt jej nie kocha, oczywiście poza mamą. Nawet ojciec nie chciał jej kochać, chociaż mama zapewniała ją, że to nieprawda.

Zacisnęła powieki, aby powstrzymać łzy. Tego dnia, kiedy Chance przyniósł ją do przyczepy, powiedziała o wszystkim mamie. No i mama stanęła po stronie Chance'a.

Bardzo ją to zabolalo. Dotąd mama zawsze trzymała jej stronę i zawsze jej broniła, nawet kiedy Skye była wzywana na dywanik do dyrektora w kolejnych szkołach. Myślała, że to się nigdy nie zmieni.

Skoro nawet mama miała wątpliwości, naprawdę musiała zachować się karygodnie.

Podciągnęła kolana pod brodę. Wtyka wszędzie swój nos, zawsze ma coś do powiedzenia, naprzykrza się ludziom. Naprawdę jestem okropna, pomyślała z rezygnacją.

Bardzo siebie nie lubiła.

Ale nadal lubiła Chance'a i chciała, żeby został jej przyjacielem.

Był inny niż reszta chłopców z trupy. Po pierwsze był mądrzejszy, a poza tym ciężko pracował, nie pił, nie palił skrętów ani nie uganiał się za dziewczynami. Zawsze ładnie

pachniał, nawet po całym dniu pracy. Nie wiedziała, jak on to robi. Inni czasami tak cuchnęli, że człowiekowi zbierało się na wymioty.

Podobał się jej jego uśmiech, lubiła, jak głośno się śmiał. Zaimponował jej tym, że nie przestraszył się Lena i jego chamskich kumpli, zupełnie jakby był bohaterem jakiejś powieści. Wcale się nie bał. Ani trochę.

Westchnęła tęsknie. Nigdy dotąd nie spotkała takiego chłopaka.

Wyprostowała się, przechyliła głowę, spojrzała ponownie na swój rysunek i po chwili namysłu podpisała go:

„Żaby rządzą, ropuchy się ślinią. Ropucha zawsze będzie ropuchą. Przyrzekam, że nigdy już nie zachowam się tak głupio”.

Zwinęła rysunek i naciągnęła na niewielki rulon gumkę recepturkę, marszcząc przy tym czoło w zamyśleniu. Jak przekaże ten rysunek Chance'owi? Może wsunie mu go do kieszeni albo zostawi gdzieś, gdzie będzie musiał go znaleźć? Jeśli ciągle jest na nią zły lub jeśli rysunek mu się nie spodoba, nie będzie musiała spojrzeć mu w oczy.

Pokręciła głową. Można jej było zarzucić wiele, ale na pewno nie tchórzostwo. Nie, poczeka, aż nadarzy się stosowny moment, i podejdzie do Chance'a. Kiedy akurat nie będzie zajęty pracą i nikogo nie będzie w pobliżu. Podaruje mu rysunek i może Chance jej wybaczy?

Stosowny moment nadarzył się dwa dni później o siódmej rano. W niedzielę lunapark otwierano dopiero w południe i większość trupy jeszcze spała. Ale nie Chance. Zobaczyła

go wychodzącego z namiotu-jadalni, zebrała się na odwagę i podeszła.

- Chance?

Zatrzymał się i odwrócił. Nie rozgniewał się na jej widok, ale nie był też szczególnie uszczęśliwiony. Poczwała, że policzki zaczynają jej płonąć, miała ochotę uciec, taka była speszona.

Wyciągnęła przed siebie zwinięty rysunek.

- To dla ciebie.

- Co to takiego?

- Rysunek. Ja... - Wbiła wzrok w ziemię. Teraz żałowała, że nie podrzuciła mu rysunku. - Zachowałam się... głupio. Przepraszam.

Chance rozwinął rysunek, oglądał go przez chwilę, wreszcie spojrział na Skye.

- Ja jestem żabą?

Pokiwała głową.

- A Len jest ropuchą.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Fajne.

- Dzięki. Ja... - Głos uwiązł jej w gardle. - Muszę już iść.

Obróciła się na pięcie. Czuła się jak największa idiotka na całym świecie. A ona wyobraziła sobie, że będą przyjaciółmi. Kretynka!

- Ej, smarkata, poczekaj. Chciałem cię o coś zapytać.

Zatrzymała się i obejrzała przez ramię.

- Naprawdę przypominam ci żabę?

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. W jej oczach był najbardziej kapitalnym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek poznała. Nie mogła mu tego przecież powiedzieć. Patrzyła na niego czerwona jak piwonia i nie zdołała wykrztusić słowa.

Uśmiechnął się szeroko.

- Wyluzuj się, mała. Żartowałem. Podoba mi się twój rysunek. Dziękuję. - Włożył kartkę do tylnej kieszeni spodni. - Do zobaczenia, smarku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Skye obudziła się wystraszona. Serce tłukło się jej gwałtownie w piersi. Zdezorientowana, rozejrzała się po mrocznej sypialni. Coś ją obudziło, jakiś dźwięk. Jakby ktoś chrząknął albo przekręcił klucz w zamku.

- Mamo? - szepnęła. - To ty?

Cisza, żadnej odpowiedzi. Skye ułożyła się wygodnie i podciągnęła kołdrę pod brodę. Dźwięk musiał dobiec z drogi koło ich obozowiska. Skye obróciła się i spojrzała w okno. Zostawiła je otwarte, chociaż noc była duszna i bezwietrzna, a niebo ciemnogranatowe. Skye słyszała świerszcze i cykady, poza tym żadnych odgłosów. Było tak późno, że nawet najgorsi awanturnicy z trupy dawno poszli spać.

Ponownie się umościła w pościeli. Ty też już śpij, Skye, nakazała sobie. Nic się nie stało. Zamknęła oczy i próbowała się odprężyć, ale głowę miała nabitą ponurymi myślami. Martwiło ją, że mama w ostatnich dniach była rozdrażniona. Skye zastanawiała się, co przyniesie koniec lata.

Odwróciła się na bok, potem znowu na plecy. Chance! Usiłowała nie narzucać mu się ze swoim towarzystwem. Gdy go spotykała, zatrzymywała się na chwilę, mówiła „cześć” i zaraz zniknęła. Przestała za nim chodzić, chociaż miała wielką ochotę побыć z nim trochę.

Powoli między nimi coś zaczęło się zmieniać. Chance na jej widok nie robił już ponurej miny, czasami nawet witał ją uśmiechem.

Nie znaczyło to wcale, że ją polubił, ale jej obecność już go nie denerwowała. Może się przyzwyczyił do niej, tak jak reszta trupy przyzwyczyła się do niego?

W głębi duszy Skye chciała wierzyć, że Chance nie widzi w niej już przemądrzałej, wścibskiej smarkuli, a może nawet polubił ją na swój sposób. To byłaby najfajniejsza rzecz, jaka mogła się jej przytrafić.

Usiadła na łóżku, zapaliła lampkę nocną, podniosła leżący na podłodze szkicownik i odnalazła portret Chance'a, który narysowała tydzień wcześniej. Lubiła przysiąść z boku i portretować go, kiedy wieczorami pracował na strzelnicy, a ten ostatni rysunek naprawdę jej się udał.

Chance niewidzącym wzrokiem spoglądał gdzieś w przestrzeń z takim wyrazem twarzy, jakby dojrzał tam coś godnego uwagi. Dotknęła lekko rysunku, żeby nie rozmazać kredki. Przesunęła palcem po zarysie szczęki, po wysokich kościach policzkowych.

Chance lubił jej rysunki. Uważał, że naprawdę jest w tym dobra. Tak jej powiedział. Wcale się nie śmiał, kiedy zwierzyła mu się, że chce zostać artystką i że pewnego dnia będzie sławna.

Jeszcze teraz paliły ją policzki na wspomnienie tamtej rozmowy. Żałowała, że zdradziła mu swoją największą tajemnicę, ale nie mogła już cofnąć wypowiedzianych słów. Zresztą Chance naprawdę fajnie się wtedy zachował.

Powiedział, że powinna wierzyć w siebie, bo pewnego dnia ta wiara we własny talent może okazać się dla niej jedynym oparciem.

Zamyśliła się, przywołując w pamięci wyraz twarzy Chance'a, kiedy to mówił. Był tak bardzo pewny swych słów. Zdeterminowany i bardzo samotny. Poczła bolesny ucisk w gardle i ponownie spojrzała na rysunek, przechylając lekko głowę. Na co Chance patrzy? Co takiego dojrzał w oddali?

Nigdy się tego nie dowie. Chance miał swoje sekrety, zupełnie jak mama.

Poczła ciarki na ciele. W przyczepie było cicho jak makiem zasiał, wokół czarna noc. Zdjął ją strach. Omiotła wzrokiem pokój. Cienie w kątach pogłębiły się i nabrały tajemniczości, jakby coś się w nich kryło. Coś albo ktoś. Z piskiem przerażenia wyskoczyła z łóżka i pchnęła drzwi. Mama spała tej nocy na kanapie. Skye przytuli się do niej, mama ochroni ją przed strachami kryjącymi się w ciemnościach.

Czaiły się w kątach i obserwowały ją. Złe, groźne strachy. Ale mamy nie było w przyczepie.

Skye z bijącym sercem wpatrywała się w puste pośłanie.

- Mamo - szepnęła. I potem głośniejszym głosem zawołała: - Mamo!

Jej głos odbił się w pustym wnętrzu. Claire dokądś poszła.

Zostawiła ją samą.

Nagle zdała sobie sprawę, co to za dźwięk ją obudził. Szczęk zamykających się za mamą drzwi.

Mama wyszła! Skye przypomniała sobie te wszystkie noce, kiedy to nagle się pakowały i ruszały w dalszą drogę. Za każdym razem coś zostawiały: meble, jej zabawki, jedzenie w lodówce, w spiżarni.

Może tym razem mama postanowiła pojechać dalej bez niej. Może uznała, że musi zostawić właśnie córkę.

Skye ledwie mogła oddychać, czuła narastającą histerię. Co teraz pocznie? Co będzie?

Mama zawsze zabierała ubrania. Z sercem w gardle pobiegła do sypialni, szarpnęła drzwi wąskiej szafy, potem otworzyła szuflady wbudowanej w ścianę komody. Przerzucała nerwowo zawartość: bielizna mamy, jej ulubiona bluzka, wytarty fartuch. Wszystko było na swoim miejscu.

Tylko mama zniknęła.

Skye wróciła do dużego pokoju i przysiadła na brzegu kanapy. Zaszleścił papier. Zanurzyła dłoń w skotłowanej pościeli i wyciągnęła pierwszą stronę gazety. „Philadelphia Inquirer” sprzed dwóch dni. Trzymała w dłoni gazetę i coś zaczęło świtać jej w pamięci. Tak, mama czytała ten dziennik w pralni automatycznej, a jedną stronę zabrała ze sobą.

Od tamtej chwili dziwnie się zachowywała. Chodziła rozdrażniona, rozkojarzona, wszystko ją denerwowało.

Skye zaczęła czytać nagłówki.

„Wytyczne polityki zagranicznej Reagana”. „Katastrofa kolejowa, są zabici i ranni”. „Projektant biżuterii

gospodarzem koncertu na cele dobroczynne”. „Szeef mafii zeznaje...”

Szeef mafii?! Skye zaczęła się trząść. Raz jeszcze przebiegła oczami ostatni nagłówek i zaczęła czytać artykuł relacjonujący przebieg procesu jednego z najgroźniejszych gangsterów ze Wschodniego Wybrzeża, który toczył się właśnie przed Sądem Najwyższym.

A więc miała rację. Mama uciekała przed mafią.

Może mama wcale nie wyszła, tylko została uprowadzona?

Mój Boże!

Skye z krzykiem rzuciła się do sypialni i błyskawicznie zaczęła się ubierać. Obudzi Chance'a. On będzie wiedział, co powinna zrobić, pomoże jej. Wciągnęła obcięte nad kolanami džinsy i koszulkę, złożyła stronę gazety, wsunęła ją do kieszeni i wybiegła w noc.

Nie chcąc budzić pozostałych lokatorów przyczepy, w której mieszkał Chance, podeszła do okna znajdującego się tuż obok jego łóżka i wspięła się na palce.

- Chance - szepnęła. - Obudź się. To ja, Skye.

Usłyszała szelest pościeli i cichy pomruk. Odczekała chwilę i spróbowała jeszcze raz:

- Chance, to ja, Skye. Obudź się, proszę.

Wreszcie w oknie pojawiła się zaspana twarz Chance'a. Spojrzał na Skye nieprzytomnym wzrokiem.

- Mała? - Przesunął dłonią po twarzy, ziewnął szeroko. - Co ty tutaj robisz po nocy?

- Musisz mi pomóc! Zupełnie nie wiem, co robić.

- O czym ty mówisz? - Wsunął głowę i rozejrzał się. - Późno jak diabli. Twoja mama wie, że wyszłaś z przyczepy?

- Mamy nie ma! - powiedziała Skye zdławionym głosem. - Obudziłam się... Nie wiem dlaczego, chyba jakiś hałas mnie obudził, ale potem nic już nie słyszałam. Dziwnie mi się zrobiło... Przestraszyłam się. - Zaczęła szcząkać zębami i rozcierać sobie ramiona. - Poszłam do mamy, ale ona... Nie było jej. - Wybuchnęła płaczem.

- Cholera, tylko nie płacz. - Zerknął do wnętrza przyczepy, po czym szepnął: - Poczekaj, już wychodzę.

W chwilę potem Chance pojawił się przed przyczepą. Skye rzuciła się w jego stronę.

- Co mam robić, Chance? Jak ją teraz znajdziemy?

Objął ją ramieniem.

- Chodź. - Podprowadził ją do drzewa, pod którym usiedli na trawie. Ujął jej dłonie i zaczął je rozcierać. - Niepotrzebnie się denerwujesz. Pewnie mama poszła na spacer.

- W środku nocy?

- Ty też wyszłaś w środku nocy. Na pewno nie mogła usnąć i pomyślała, że zaczerpnie świeżego powietrza.

Skye pokręciła głową, ocierając łzy.

- Nigdy przedtem nie wychodziła w nocy. Musiało się coś stać.

- Skąd wiesz? Może wychodziła, tylko ty spałaś i nie wiedziałaś o tym.

Skye przygryzła wargę.

- Najpierw pomyślałam, że mnie zostawiła, ale wszystkie jej rzeczy są na swoim miejscu. Myślę, że ktoś ją porwał.

- Porwał? - powtórzył Chance z ledwie zauważalnym uśmiechem. - Nie sądzisz, Skye, że to dość... nieprawdopodobny pomysł?

- Nie. Popatrz. - Skye wyciągnęła z kieszeni złożoną stronę gazety i podała ją Chance'owi. - O, tutaj.

- Co właściwie chcesz mi pokazać? - zapytał zdziwiony i trochę oszołomiony.

- To, o facecie z mafii.

Chance przeczytał i pokręcił głową.

- Uważasz, że to ma coś wspólnego z twoją mamą?

Skye ze łzami w oczach skinęła głową.

- Znalazłam to w łóżku mamy. Musiała to przeczytać... i teraz... nie ma jej. - Znow zaczęła płakać. - Co ja zrobię, Chance? Mam tylko ją.

Pochylił się i poklepał Skye po plecach.

- Posłuchaj, mała, mama na pewno cię nie zostawiła i nie porwała jej mafia. Po prostu poszła na spacer albo z kimś się umówiła.

- Nie zrobiłaby tego. - Skye przytuliła głowę do piersi Chance'a. Czowała, że znowu zaczyna się jeden z tych okropnych ataków bólu głowy. - Nic nie rozumiesz. Ja myślę, że ona... że my obie... mamy kłopoty.

- Jakie kłopoty?

Skye zaczęła masować skronie.

- Nie wiem. Mama nie chce mi powiedzieć, ale ciągle przenosimy się z miejsca na miejsce. Wyjeżdżamy czasami

w środku nocy... i jedziemy dalej. Prawie nic z sobą nie zabieramy. Nie uważasz, że to dziwne?

Chance milczał przez moment, a Skye odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Powiedz, że ty też myślisz, iż to dziwne.

- To, co myślę, nie ma żadnego znaczenia. Musisz zapytać mamę.

- Sądzisz, że nie pytałam? Robiłam to wiele razy. Zawsze mi mówi, że jesteśmy poszukiwaczkami przygód, podróżniczkami.

Chance parsknął krótkim śmiechem.

- I pewnie tak jest, mała. Brzmi to bardziej prawdopodobnie niż pomysł, że ściga was mafia i musicie się ukrywać.

- Nie ma w tym nic śmiesznego! Mama nie chce mi powiedzieć, gdzie się urodziłam ani kim był mój tata. Mówi, że on nie żyje, ale tego też nie rozumiem. Skoro nie żyje, dlaczego nie chce mi o nim opowiedzieć?

- Nie wiem, Skye. Musi mieć jakieś powody.

Dziewczynka syknęła, bowiem ból z każdą chwilą stawał się coraz bardziej nieznośny. Ścisnęła skronie palcami i zamknęła oczy.

- Co z tobą?

- Często boli mnie głowa. Teraz też. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Przejdzie.

- Akurat. Chodź, odprowadzę cię do przyczepy. Powinnaś wziąć aspirynę albo jakiś inny proszek.

- Poczekaj! - Skrzywiła się, ból wprost przeszywał czaszkę. - Czy twoja mama ukrywała przed tobą prawdę? No wiesz... czy też nie chciała mówić ci o ojcu?

Chance zaśmiał się gorzko.

- Nie, chociaż czasami myślę, że byłoby lepiej, gdybym nic o nim nie wiedział. Mój ojciec był wyjątkowym draniem. - Wstał i pomógł podnieść się Skye. - Odprowadzę cię do domu. Założę się, że twoja mama już wróciła i czeka na ciebie. Na pewno zastanawia się, gdzie jesteś.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jednak Madame Claire nie było w przyczepie. Chance stał w pustym wnętrzu i zastanawiał się, co teraz powinien zrobić, natomiast Skye była bliska hysterii, a na dodatek ból głowy stał się nie do zniesienia.

Nie chciała wziąć lekarstwa, twierdząc, że po nim zasypia, a uparła się, że teraz musi być przytomna. Dopiero gdy Chance obiecał jej, że nie wyjdzie z przyczepy, dopóki nie wróci Claire, zgodziła się wziąć dwie tabletki i się położyć.

Usiadł na podłodze koło łóżka, z trudem mieszcząc się w ciasnej przestrzeni. Usiłował nadrabiać miną, ale z każdą minutą coraz bardziej udzielał mu się niepokój Skye.

- Wszystko będzie dobrze, mała. Zobaczysz, twoja mama lada chwila stanie w drzwiach. Nie będzie ci wtedy głupio, że tak się przejmowałaś?

Spojrzała mu uważnie w oczy.

- A jeśli się nie pojawi?

- Na pewno się pojawi.

- A gdzie jest twoja mama?

Zawahał się przez moment, ponieważ pytanie Skye otworzyło ledwo zabliznioną ranę.

- Nie żyje.

- Och. - Skye ściągnęła brwi. - Co się stało? Miała wypadek, czy...

- Zachorowała - powiedział schrypniętym głosem - i potem umarła.

Zapadło niezręczne milczenie. Wreszcie Skye odchrząknęła.

- Chance?

- Tak?

- Jak to jest żyć bez mamy?

- Nie zastanawiam się nad tym, a w każdym razie teraz już o tym nie myślę.

Skye napłynęły do oczu łzy i Chance domyślił się, że mała myśli o swojej matce, o tym, że może już nigdy jej nie zobaczy. Nachylił się ku Skye.

- Daj spokój, smarku. Madame Claire lada chwila wróci do domu.

- A jeśli nie wróci? - Skye trochę plątał się język, bo lekarstwo zaczynało działać.

- Wróci na pewno.

Opadły jej powieki.

- Nie... zostawiaj mnie. Obiecałeś.

- Obiecałem i nie zostawię cię.

Po chwili oddech Skye stał się głęboki i równy. Chance siedział obok łóżka i przyglądał się śpiącej. Niemądra, kochana Skye. Udawała twardą, chciała uchodzić za niepokonaną, teraz jednak wyglądała dziecinnie. Zdawała się taka krucha, bezbronna i zagubiona. Dotknął delikatnie jej policzka i szybko cofnął dłoń, zdumiony, ile czułości budzi w nim ta dziewczynka.

Nie miał rodzeństwa. Kiedyś marzył o siostrze albo bracie, o kimś, z kim mógłby się wszystkim dzielić, z kim by się

bawił, gdy matka nie miała czasu albo ochoty, żeby się nim zajmować.

To było dawno temu. Tak dawno, że pamięć tamtych czasów niemal się zatarła w umyśle Chance'a. Kiedyś chyba nie był samotny, pewnie czuł się szczęśliwy i bezpieczny. Podniósł się i podszedł do drzwi. Od progu jeszcze raz spojrzął na Skye. To, co powiedziała mu o nocnych, potajemnych wyjazdach, o przenoszeniu się z miejsca na miejsce, brzmiało naprawdę dziwnie. Ale żeby w grę wchodziła mafia? Niemożliwe! Zbyt trąciło to Hollywoodem.

Nie, Claire uciekała prawdopodobnie przed komornikiem i wierzycielami. Nie chciała nic powiedzieć Skye o jej ojcu, bo widocznie sama nie wiedziała, kto nim jest.

Niezbyt to miłe, a nawet paskudne, ale prawdziwe... zbyt prawdziwe, żeby mogła to znieść mała, kochająca matkę dziewczynka.

Wyszedł z sypialni i przeszedł do większego pomieszczenia, gdzie stała kanapa. Chodził niespokojnie, siadał, raz po raz spoglądał na zegarek. Minuty płynęły, a Claire nie wracała.

Pokręcił głową. Pewnie poznała jakiegoś faceta i wymknęła się do niego na noc. Nie, to do niej nie pasowało. Nie znał jej prawie wcale i nie wiedział, skąd w nim ta pewność, ale czuł, że Claire nie poszła do kochanka.

Widział, w jaki sposób patrzyła na córkę, jak bardzo kocha Skye. Mała była dla niej wszystkim. Nie zostawiłaby jej

samej, żeby obściskować się z jakimś małomiasteczkowym lowelasem.

Dlaczego więc zniknęła?

Ledwie zadał sobie to pytanie, usłyszał, jak otwierają się cicho drzwi.

Weszła do kuchni i zamarła na jego widok.

- Cześć, Claire.

Spojrzała niespokojnie w stronę sypialni, gdzie spała Skye, potem znowu na Chance'a.

- Co ty tutaj robisz?

- To chyba ja powinienem zapytać, dlaczego ciebie tu nie było?

- Wyszłam na spacer. Nie mogłam usnąć i...

- Jest środek nocy. - Zerwał się na równe nogi. - Chryste, Claire, Skye była śmiertelnie wystraszona. Przyszła po mnie, bo tak bardzo się bała. Nie wiedziała, co się dzieje.

Claire pobladła, a jej ręka powędrowała do gardła. Drżała.

- Przepraszam. Mówiłam ci już, nie mogłam zasnąć i wyszłam... - Spojrzała ponownie na drzwi sypialni. - Śpi?

- Tak myślę. Wzięła dwie tabletki przeciwbólowe, ale zrobiła to dopiero wtedy, kiedy przyrzekłem, że z nią zostanę. Bała się być sama.

W oczach Claire pojawiły się łzy.

- Dziękuję ci. Przepraszam... ale muszę ją zobaczyć.

Chance chciał już wyjść, ale zmienił zdanie. Wyjaśnienia Claire brzmiały nieprzekonująco. Skye miała rację, jej matka była rozdrażniona i spłoszona. Na pewno bała się czegoś. Albo kogoś.

Postanowił na nią zaczekać, usiadł więc przy stole. Z sypialni dochodziły stłumione głosy i szloch. Nie wiedział, czy to szloch Skye, czy Claire. A może płakały obydwie?

Claire wróciła po kilku minutach, blada i roztrzęsiona.

- Nie mogę uwierzyć... Nie pomyślałam, że może się obudzić. Zawsze śpi tak spokojnie... Ja...

Głos się jej załamał. Spojrzała w oczy Chance'a.

- Muszę się napić. Masz ochotę na piwo?

- Chętnie.

Podeszła do małej lodówki i wyjęła z niej dwie butelki. Na moment jasne światło oświetliło jej twarz. Naprawdę działa się coś złego, Chance nie miał już żadnych wątpliwości.

Podawała mu butelkę.

- Chcesz szklanek?

Pokręcił głową.

- Dzięki, nie trzeba.

Usiadła bez słowa naprzeciwko niego, po drugiej stronie stołu, wypila łyk piwa i zapatrzyła się w przestrzeń. Zupełnie jak jego matka. Chance zamrugał gwałtownie powiekami. Szybko otrząsnął się ze wspomnień i skupił uwagę na Claire.

- Co się dzieje, do cholery?

Zaskoczona, ocknęła się z zamyślenia.

- Słucham?

- Nic mi się nie zgadza. Nie pasujesz tutaj, ani ty, ani Skye. Dlaczego włączycie się z tym bajzlem na kółkach?

- A ty?

- To był jedyny sposób, żeby wydostać się w świat. Nie zamierzam zostać u Marvela.

- My też nie. Jesienią odejdziemy.

- Pytanie jednak pozostaje. - Chance podniósł butelkę do ust, nie odrywając oczu od Claire.

- Jakie pytanie?

- Zaufaj mi. - Z głośnym stuknięciem postawił piwo na stole. - Pytam, co tutaj robisz? To nie miejsce dla ciebie. Masz... - Przechylił głowę, usiłując dociec tego, co od początku zastanawiało go w osobie Claire. - Masz klasę. Ci ludzie są prymitywni i nieokrzesani. Nic cię z nimi nie łączy.

- Może lubię takie życie.

- Bzdura.

- Dziękuję, że zająłeś się Skye. - Wstała i podeszła do drzwi. - Dobranoc, Chance.

Nie ruszył się.

- Skye myśli, że uciekasz przed mafią.

Claire gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Fantazjuje.

- Czyżby?

- Oczywiście.

- Pokazała mi pierwszą stronę jakiejś gazety, z informacją, że pojutrze jakiś gangster ma zeznawać przed sądem w Filadelfii. Znalazła tę gazetę w twojej pościeli i zaczęła kojarzyć fakty. Czy ma rację?

- Nie, w jej domysłach nie ma krzty prawdy.

Patrzył przez chwilę z namysłem na Claire.

- Jaka jest w takim razie prawda?

- To nie twoja sprawa! Byłabym wdzięczna, gdybyś już sobie poszedł.

- To jest już moja sprawa, skoro musiałem zająć się Skye, kiedy ciebie tu nie było.

- Popełniłam błąd, Chance. Nie powinnam była zostawiać jej samej. To się więcej nie powtórzy. - Otworzyła drzwi. - Dziękuję, że się nią zaopiekowałeś.

Podniósł się zza stołu i stanął naprzeciwko Claire.

- Skye uważa, że masz jakieś kłopoty. Jest przekonana, że uciekasz przed czymś albo przed kimś. Jeśli nie przed mafią, to przed kim, Claire? Przed ojcem Skye?

Otworzyła drzwi szerzej.

- Proszę, żebyś stąd wyszedł.

- Z przyjemnością.

Kiedy przechodził obok, chwyciła go za ramię.

- Kocham moją córkę jak nikogo na świecie. Poruszyłabym dla niej niebo i ziemię, stawiałabym czoło najgorszemu złu. Tyle tylko mogę ci powiedzieć.

Coś w wyrazie jej twarzy i w tonie głosu kazało Chance'owi pomyśleć, że już stawiała czoło złu, co jednak nie tłumaczyło zdarzenia z dzisiejszej nocy.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Jestem pewien, że kochasz córkę, ale Skye myślała, że albo uciekłaś, albo zostałaś porwana. Wystraszyła się nie na żarty. Zastanów się nad tym.

- Dobranoc, Chance.

Był już na stopniach przyczepy, kiedy powiedział:

- Skye nie wierzy w to, co mówisz jej o ojcu. Nie wierzy, że ukradkiem, w środku nocy, opuszczasz kolejne mieszkania tylko dlatego, że lubisz takie życie. Szczerze mówiąc, ja też tego nie kupuję.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Upływały tygodnie, minął czerwiec, a za nim lipiec z Dniem Niepodległości. Sierpień przyniósł nieznośne upały i, choć trudno w to uwierzyć, pierwszy przedsmak złotej jesieni. Trasa lunaparku Marvela wiodła z Pensylwanii przez Wirginię Zachodnią, Ohio, wreszcie przez małe miasteczka Indiany. Stąd trupa zamierzała skierować się na południe i przed zimą dotrzeć do domu, na Florydę.

Chance zamierzał odłączyć się znacznie wcześniej. Claire i Skye, o czym wiedział, również. Pozostawało tylko pytanie, kto opuści Marvela pierwszy.

Nie miało to zresztą większego znaczenia, bowiem czuł, że będzie mu brakowało małej i jej matki.

Cała trójka zdążyła się zaprzyjaźnić i teraz stanowili swego rodzaju rodzinę. Połączyła ich burzliwa, pełna napięcia noc sprzed wielu tygodni, i od tamtego czasu trzymali się razem, żyli ze sobą. Pomagali sobie wzajemnie, wspólnie spędzali czas między występami. Chance często siadał do stołu z Claire i Skye, a już zawsze jadał z nimi śniadania, jedyny posiłek, jaki mógł zjeść w spokoju, bo nie goniły go wówczas codzienne obowiązki.

Rano pojawiał się w przyczepie niby to przywitać się z jej mieszkankami, a Claire nieodmiennie częstowała go kawą i jajkami na bekonie. Żartowali potem, jak to poranne powitanie przeradza się w domowy posiłek.

Prawdę powiedziawszy, lubił zaglądać z rana do „swoich dziewcząt”, żeby sprawdzić, jak minęła im noc, oraz upewnić się, że nie zniknęły niespodziewanie. Claire z każdym dniem stawała się coraz bardziej niespokojna i rozdrażniona. Zeszczuplała, a w jej oczach pojawił się strach. Sprawiała wrażenie zaszczutego zwierzęcia.

Chance zaczynał nabierać przekonania, że Skye miała rację: jej matka musiała mieć poważne kłopoty i dlatego przed czymś lub przed kimś uciekały.

Zastanawiał się, o co tak naprawdę tu chodziło. Skąd pochodziła Claire? Kim był ojciec Skye?

Trapiły go te pytania, choć zdawał sobie sprawę, że praca u Marvela jest dla Claire, podobnie jak dla niego, tylko epizodem, środkiem do celu, nie zaś celem samym w sobie. Wiedział, że Claire opuści wkrótce lunapark i ich przyjaźń będzie musiała się skończyć.

Prawdę powiedziawszy, cieszył się, że nie wie więcej o „swoich dziewczynach”, że Claire nie obarczyła go zwierzeniami na temat przeszłości. Musiałby wtedy zrewanżować się tym samym, a nie chciał zbyt wiele się przywiązywać, bo wtedy rozstanie byłoby znacznie trudniejsze.

Wolał żyć w izolacji, a przynajmniej zachować pewien dystans. Nigdzie i z nikim nie czuł się szczęśliwy, nigdy nie odchodził z żalem z żadnego miejsca, nie musiał z ciężkim sercem opuszczać bliskich sobie ludzi.

Wyszedł ze swojej przyczepy i spojrzał na pochmurne niebo. Prognozy pogody na najbliższe dwie doby

zapowiadały opady deszczu i burze w całym regionie. Wyglądało na to, że będzie niezła zabawa, bowiem Marvel zarządził pogotowie i kazał wcześniej zwijać namioty. W zależności od tego, jak rześista okaże się ulewa, mieli albo przeczekać najgorsze w przyczepach, albo ruszać dalej i uciekać przed deszczami.

Tak czy inaczej, najbliższe godziny dadzą im się porządnie we znaki, myślał Chance.

- Chance! - Skye biegła ku niemu z szeroko otwartymi oczami. - Słyszałeś prognozę pogody? W Fulton była trąba powietrzna! - Zatrzymała się, po czym zrównała krok z krokiem Chance'a. - Niesamowite.

Posłał jej rozbawione spojrzenie.

- Jesteś podniecona od samego rana.

- Bo to jest podniecające. Wyobraź sobie! Trąba powietrzna!

- Masz rację, w ułamku sekundy może być po nas. To rzeczywiście podniecające - powiedział kpiąco.

Skye, puściwszy mimo uszu ironiczną uwagę, zaczęła skakać koło Chance'a.

- Myślisz, że Marvel każe nam wcześniej ruszać?

Ponieważ w oddali rozległ się pierwszy grzmot, Chance pokręcił głową.

- Nie, to zbyt niebezpieczne. Tyle przyczep... Myślę, że tutaj przczekamy burzę.

Skye trajkotała przez całą drogę dzielącą ich od przyczepy: a to, że mama przygotowuje na śniadanie jej ulubione francuskie tosty, a to, że Len ma jakąś dziewczynę

na Florydzie. Jeszcze trzy razy wspomniała o trąbie powietrznej. Wreszcie oznajmiła, że mamie ostatniej nocy śniły się koszmary.

- Koszmary? Jakie koszmary? - zainteresował się nagle Chance.

- Nie wiem, ale okropnie krzyczała przez sen. Kiedy do niej pobiegłam, żeby zobaczyć, co się dzieje, była spocona i ledwie mogła oddychać. - Skye przygryzła wargę. - Mama zawsze miała koszmary, ale ostatnio... ostatnio jest z nią gorzej.

Miał ochotę zadać Skye jeszcze kilka pytań, ale właśnie dotarli do przyczepy. Weszli do niej w momencie, kiedy Claire stawiała na stole talerz ze stertą francuskich tostów.

- Cześć - powiedziała, odwracając się do kuchenki. - Jedzcie, póki gorące. Nalejcie sobie kawy.

Skye nie trzeba było powtarzać dwa razy. Chwyciła talerz, nałożyła sobie kilka grzanek i polała je syropem klonowym. Chance nie spieszył się. Zgodnie ze zwyczajem, którego nabrał w ostatnich czasach, zaczął od kawy, a dopiero potem napełnił swój talerz.

- Jak myślisz: zostaniemy czy jeszcze dziś ruszymy w drogę? - zagadnęła Claire.

- Skye zadała mi to samo pytanie. - Polał syropem swoją grzanekę. - Na pewno zostaniemy. Jechać byłoby zbyt niebezpiecznie.

- Masz rację - powiedziała Claire. - Marvel nie będzie ryzykował.

Nadziała kawałek tosta na widelec. Dłoń jej drżała. Chance zerknął na jej twarz i zasępił się. Claire wyglądała okropnie.

Powiedział jej to. Claire rozpostarła serwetkę na kolanach.

- Nic mi nie jest. Po prostu źle spałam ostatniej nocy, to wszystko.

- Mówiłam mu, że miałaś koszmary - wtrąciła Skye z ustami pełnymi jedzenia.

- Nie ma z czego robić problemu - mruknęła Claire, próbując zlekceważyć temat. Spojrzała na Chance'a i nieznacznie wskazała głową na Skye. Zrozumiał, że nie chce opowiadać o sobie w obecności córki.

Dwadzieścia minut później, kiedy Skye poszła dowiedzieć się, jak brzmi najnowsza prognoza, Claire zwróciła się do Chance'a:

- Chciałam prosić cię o przysługę.

- Oczywiście. O co chodzi?

- Mógłbyś zostać ze Skye dzisiaj wieczorem, kiedy pójdzie już spać?

- Kiedy pójdzie spać? - Chance poczuł ciarki na plecach. - Oczywiście. Co się dzieje?

- Nic.

- Akurat!

- Naprawdę. Chciałam tylko...

Chwycił ją za rękę, spojrzał na poobgryzane paznokcie, a potem w oczy.

- Widzę przecież, co się z tobą dzieje. Drżysz na każdy, nawet najcichszy dźwięk, ciągle oglądasz się za siebie, jakbyś się bała, że ktoś stoi za twoimi plecami, nie możesz spać. Nie muszę być jasnowidzem, żeby zorientować się, że coś jest nie tak.

Wyrwała mu dłoń.

- Nie jesteś jasnowidzem.

- Owszem, nie jestem. Nie powiesz mi, o co chodzi? Może mógłbym ci jakoś pomóc?

Przez chwilę był pewien, że Claire, tak jak zawsze, wykręci się od odpowiedzi. Odwróciła się, podeszła do zlewozmywaka i zapatrzyła się w niewielkie okno umieszczone nad nim.

- Nie możesz pomóc - powiedziała cicho. - Bardzo żałuję.

- Spojrzała na Chance'a. - Muszę iść wieczorem do miasteczka. Muszę... do kogoś zadzwonić, a nie chcę... zostawiać Skye samej. Szczególnie w taką pogodę.

- Dlaczego nie zabierzesz jej ze sobą, Claire? Do kogo zamierzasz dzwonić? Do ojca Skye?

- Nie. - Claire zdecydowanie pokręciła głową. - Nie, nie do jej ojca.

- Kiedy poprzednio zniknęłaś, też poszłaś, żeby zadzwonić?

Odwróciła wzrok. To wystarczyło Chance'owi. Nie musiała nic mówić.

- Wiem, że masz kłopoty, Claire, i jestem prawie pewien, że łączą się one w jakiś sposób z ojcem Skye.

- Mylisz się. - Podeszła do stołu i chwyciła Chance'a za rękę. Miała dłonie zimne jak lód. - Potrzebuję twojej pomocy. Proszę, zostań ze Skye. Zrobisz to dla mnie? Tak czy nie?

- Claire...

- Tak czy nie? To dla mnie bardzo ważne, Chance!

Wahał się przez chwilę, niepewny, czy podejmuje właściwą decyzję, wreszcie skinął głową.

- O której mam przyjść?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Claire poprosiła, żeby Chance przyszedł o wpół do jedenastej. Właśnie zbliżała się umówiona godzina. Rosło napięcie i poczucie wiszącego nad głową niebezpieczeństwa. Musi zadzwonić do Dorothy. Dzisiaj, zaraz! Nie może dłużej zwlekać.

Spojrzała w głąb przyczepy, na drzwi do sypialni. Skye usnęła około dziesiątej, ale Claire bała się, że córka może się obudzić, a ona będzie musiała później tłumaczyć się, dokąd i dlaczego znów wychodziła o tak późnej porze.

Silny wiatr kołysał przyczepą, przy szczególnie mocnych uderzeniach wydawało się, że ją przewróci. Claire podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz, usiłując dojrzeć coś w strugach deszczu. Myślała o swoim ostatnim telefonie do Dorothy. Rozmawiała z nią nerwowo i chaotycznie, jakby była czemuś winna.

Kiedy przeczytała w filadelfijskiej gazecie, że Monarch ma być gospodarzem koncertu dobroczynnego, natychmiast zadzwoniła do starszej pani, ale nie podała jej żadnych szczegółów, które mogłyby zdradzić, gdzie ona i Skye obecnie przebywają.

Ponownie spojrzała na zegarek. Wpół do jedenastej. Wreszcie! Włożyła płaszcz przeciwdeszczowy, wzięła kluczyki do samochodu i ponownie podeszła do drzwi. Czekwała. Samochód odczepiła od przyczepy, zanim zaczęło padać. Po lunchu pojechała na stację i zatankowała do

pełna. Kupiła też trochę jedzenia i dwa galony wody, które zostawiła w bagażniku. Na wszelki wypadek przygotowała torby podróżne do spakowania i wsunęła je pod stół.

Liczyła się z tym, że nocą opuszczą ze Skye trupe Marvela.

Wszystko zależało od tego, co usłyszy od Dorothy.

Wciągnęła głęboko powietrze. Nawet jeśli informacje będą pomyślne, być może porzuci lunapark. Zbliżał się początek roku szkolnego. Gdyby zdecydowała się ruszyć teraz w drogę, miałyby więcej czasu na znalezienie nowego miejsca pobytu. Skye dobrze by to zrobiło, jej samej również.

Co prawda, nie wprost, niemniej uprzedziła Marvela o swoim ewentualnym odejściu. Powiedziała mu, że niedaleko mieszkają jej przyjaciele i że najchętniej w ich domu przeczekałaby nawałnicę, a pod jej nieobecność Chance pilnowałby przyczepy. Marvel o nic nie pytał, skinął tylko głową i mruknął pod nosem, że sam chętnie schroniłby się w bezpiecznym miejscu na kilka następnych dni.

Claire zaczęła nerwowo rozcierać ramiona. Nie mogła tak dalej funkcjonować, każdej nocy dręczona koszmarami, a za dnia najgorszymi przeczuciami.

Ostatniej nocy śniło się jej, że ogromne ptaszyskoomal nie zabiło Skye, już nawet wbijało ostre szpony w jej ciało. Claire w ostatniej chwili, zanim zakrzywiony pazur zdążył przebić serce córki, zdołała ocalić małą.

Obudziła się spocona, ze ściśniętym gardłem. Czuła, że Pierce jest gdzieś w pobliżu i że lada dzień może je wytropić.

Nigdy jeszcze nie był tak blisko, a ona nigdy dotąd nie czuła tak wielkiego zagrożenia.

Wreszcie pojawił się Chance. Zamienili kilka zdawkowych słów, bo chłopak nie próbował zadawać pytań, wiedząc, że nie otrzyma na nie odpowiedzi. Claire przez moment zastanawiała się nawet, czy nie powiedzieć mu prawdy. Tak bardzo potrzebne jej było czyjeś wsparcie. Od tak dawna sama borykała się z problemami i ze swoim strachem.

Nic mu jednak nie powiedziała. Wiedziała, że może polegać wyłącznie na sobie. Zawsze tak było i nic nie wskazywało na to, że cokolwiek miało się zmienić w przyszłości.

Obiecała wrócić tak szybko, jak to będzie możliwe, i wybiegła z przyczepy.

Jazda do miasteczka, utrudniana przez gwałtowny wiatr i zacinający deszcz, trwała trzy razy dłużej niż normalnie. Claire planowała zadzwonić do Dorothy z automatu w miejscowej knajpie, nie przewidziała tylko, że będzie tu tak tłoczno. Najwyraźniej mieszkańcy Ridley postanowili przeczekać nawałnicę z kieliszkiem lub kuflem w ręku.

Claire zaczęła przeciskać się przez tłum, by dotrzeć do telefonu w głębi sali. W pewnej chwili jakaś mocno wstawiona kobieta chwyciła ją za rękę. Claire nie wiedziała, czy ta osoba szuka oparcia, czy też chce przyciągnąć jej uwagę.

- Pani z lunaparku? Wróżka, prawda?

Kilka osób odwróciło głowy. Akurat teraz jest jej potrzebne, by ludzie ją rozpoznali!

- Proszę mnie puścić.

- Coś ty taka niedotykalska? - Kobieta zachwiała się. - Przepowiedziałabyś mi, czy ten tam pod ścianą - wskazała zwalistego mężczyznę - pójdzie dziś ze mną do łóżka. - Zaśmiała się i mrugnęła do Claire. - Przydałoby się wiedzieć.

Claire miała ochotę krzyknąć z wściekłości, opanowała się jednak, nachyliła do kobiety i szepnęła:

- Proszę natychmiast wyjść. Czuję, że przydarzy się pani coś strasznego, jeśli pani tu zostanie.

Kobieta zbladła jak płótno.

- Wyjść?

- Tak. Niech się pani pospieszy i nie mówi nikomu, że mnie tu widziała.

Kobieta zrobiła wielkie oczy i cofnęła się.

- Niech pani nie prowadzi samochodu - dodała Claire. - Mogę się mylić co do miejsca, gdzie przydarzy się pani nieszczęście.

- Mieszkam blisko stąd.

- To dobrze. Proszę już iść.

Kobieta odwróciła się i zaczęła nerwowo przeciskać się przez tłum, rozpychając ludzi, zataczając się i wzbudzając powszechną wesołość. Claire podeszła do telefonu. Było jej żal tej kobiety, miała wyrzuty sumienia, że nastraszyła

biedaczkę, ale nie mogła dopuścić, żeby tamta wywołała burdę w restauracji.

Koło telefonu stał stołek barowy. Claire odsunęła go, wrzuciła do otworu garść monet i wystukała numer. Dorothy podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

- Witaj, Dot, mówi Madeline.

- Madeline? Dzięki Bogu. Modliłam się, żebyś zadzwoniła. Musisz wracać do domu. Musisz! Jeśli wrócisz, może uda się go jakoś ułagodzić.

Claire poczuła ucisk w żołądku.

Znała odpowiedź na swoje pytanie, ale mimo to je zadała.

- Co się stało?

- Znalazł cię.

Pod Claire ugięły się kolana. Z głośnym jękiem opadła na stołek.

- Byłam dzisiaj na kolacji na Astor Street. Pierce triumfował. Zakomunikował nam, że prywatny detektyw, którego wynajął, odnalazł cię i że doba nie minie, a Grace znajdzie się z powrotem w domu, gdzie jej miejsce. Mówił, że ma cię w garści.

Claire zacisnęła powieki. Nie mogła oddychać. Koszmar ze snu zamienił się w rzeczywistość. Spełniły się jej najgorsze przeczucia.

- To jeszcze nie wszystko! Odgrażał się, że drogo zapłacisz za to, co zrobiłaś. - Głos Dorothy z każdym słowem drżał coraz bardziej. - Że nigdy już nie zobaczysz Grace. Nigdy! Próbowałam przemówić mu do rozsądku, ale nie chciał mnie słuchać.

Claire pochyliła głowę, sparaliżowana wiadomościami przekazanymi przez Dorothy. Wielki czarny ptak wyciągał szpony i krążył nad głową Skye. Powinna była zawierzyć swoim przeczuciom i wiele tygodni temu uciec z trupy Marvela.

- To moja wina, Madeline. To tylko moja wina. Nie chciałam zaszkodzić ani tobie, ani Grace. Wierz mi. Pragnęłam tylko, żebyście wróciły do domu. Myślałam, że Pierce sprowadzi was na powrót do Chicago, że znowu będziemy wszyscy razem. Tylko o to mi chodziło, o nic więcej.

Claire wyprostowała się.

- O czym ty mówisz? Nie wiesz przecież, gdzie mnie szukać. Nie mogłaś...

- Pamiętasz swój ostatni telefon, ten w sprawie notatki w gazecie? Pomyślałam, że skoro miałaś w ręku „Inquirera”, to musisz być gdzieś w pobliżu Filadelfii. W czasie rozmowy ktoś zaczął krzyczeć na ciebie i ja...

Teraz Claire przypomniała sobie. Jakiś mężczyzna zaczął się awanturować, że za długo rozmawia. Wyzywał ją, nazwał „flądram z lunaparku”. Jak mogła być taka głupia, taka lekkomyślna?

- Chciałam dobrze - ciągnęła Dorothy. - Nie sądziłam, że Pierce będzie chciał się mścić na tobie. W końcu jesteś matką Grace. Ona cię potrzebuje i... - Starszej pani zaczął łamać się głos. - Wracaj do domu, Madeline. Proszę.

- Jak mogłaś, Dorothy - szepnęła Claire. - Wiesz doskonale, dlaczego uciekłam. Opowiadałam ci o Griffenie.

Mówiłam ci, jak się zachowywał. On jest niebezpieczny, stanowi zagrożenie dla Grace.

- Mylisz się, Madeline. Od początku nie miałaś racji. Griffen wydorósł. Za kilka tygodni zacznie studia. To odpowiedzialny, poważny chłopiec. Dziewczeta go uwielbiają. Gdyby twoje zarzuty były prawdziwe, myślisz, że miałyby takie powodzenie? Proszę cię, wróć do domu. Jeszcze nie jest za późno. Jeśli wrócisz z własnej woli, Pierce i Adam na pewno ci wybaczą i puszczą wszystko w niepamięć. Grace nazywa się Monarch, należy do naszej rodziny, powinna tutaj się wychowywać.

Claire prawie nie słyszała słów Dorothy, tylko gorączkowo rozmyślała, jak wydostać się z potrzasku.

- Madeline? Jesteś tam?

- Czy Pierce ma jakieś zdjęcia Grace? - zapytała zdławionym głosem.

- Słucham? Ja nie...

- Czy wie, jak Grace teraz wygląda? - Claire zaciskała kurczowo palce na słuchawce.

- Nie sędzę. Griffen go o to pytał, bo był ciekaw, jak wygląda Grace. Pierce odpowiedział, że nie ma żadnych fotografii. Dlaczego pytasz?

- Griffen był na tej kolacji?

- Oczywiście.

Coś zatrzeszczało w słuchawce.

- Bardzo się ucieszył, że siostra wróci do domu. Mówił, że nie może się już doczekać. On bardzo ją kocha, Madeline. Nigdy nie zrobiłby jej krzywdy. On...

Claire odwiesiła słuchawkę z takim uczuciem, jakby ziemia usunęła się jej spod nóg. Nie powinna była ufać Dorothy, która przecież należała do Monarchów i rodzina była dla niej wszystkim.

Dorothy, tak jak cała reszta Monarchów, nie wierzyła jej. Nie rozumiała, jak bardzo niebezpieczna jest obsesja Griffena, w ogóle jej nie dostrzegała. Nie była świadkiem sceny w pokoju dzieciennym. Nie widziała wtedy wyrazu twarzy chłopca.

Claire zaczęła się trząść. Pierce wiedział, gdzie są, i zabierze jej Skye. Może nawet uda mu się posłać swoją niezrównoważoną psychicznie żonę do więzienia.

Kto wtedy będzie chronił jej córkę? Znowu stanął jej przed oczami tamten straszny obraz: Griffen przygniata Grace do podłogi, jedną dłonią zasłania małej usta, drugą rękę wsuwa pod spódniczkę.

Claire podniosła pięść do ust, żeby nie krzyknąć ze zgrozy. Griffen nie zmienił się ani na jotę. Doskonale wiedziała, że tak jest, a Dorothy to potwierdziła. Nie mógł doczekać się powrotu siostry, dopytywał się, jak teraz wygląda.

Muszą uciekać.

Ale Monarchowie nie przestaną szukać Grace. Claire objęła głowę dłońmi. Poza tym, że obcięła i ufarbowała włosy, przez ostatnie siedem lat prawie się nie zmieniła. Co prawda, Skye w niczym nie przypominała pięcioletniej Grace, ale gdy będą razem, bez trudu zostaną rozpoznane. Pierce będzie szukał ich obu. Matki i córki.

Gdyby się rozdzieliły...

Gdyby zostawiła Skye i wyjechała bez niej, jej córka byłaby znacznie bezpieczniejsza.

Claire wzdrygnęła się. Nie mogła uwierzyć, że podobne myśli przychodzą jej do głowy. Nie wolno jej zostawić córki. Nie wytrzymałaby bez niej nawet kilku tygodni.

Jeśli jednak Pierce znajdzie małą, Claire nigdy już jej nie zobaczy.

Pomyślała o Susan, swojej dawnej przyjaciółce. Choć zupełnie różne, były sobie bliskie jak siostry, znały się od dzieciństwa i razem dorastały. W szkole siedziały w jednej ławce, dzieliły wszystkie smutki i radości.

Potem ich kontakty urwały się za sprawą Pierce'a. Susan odradzała przyjaciółce małżeństwo, ostrzegała ją przed narzeczoną, mówiła o nim rzeczy, których Claire nie chciała przyjąć do wiadomości, składając je na karb zazdrości. Tymczasem Susan miała rację i Claire powinna była posłuchać jej rad. Susan nigdy się nie myliła. Claire miała nieustanne kłopoty w szkole, popełniała kolejne błędy życiowe, natomiast Susan zawsze wszystko się układało, zarówno w nauce, jak i w życiu.

Kiedy Claire wreszcie zrozumiała, jak wielką pomyłką było jej małżeństwo z Pierce'em, duma nie pozwoliła jej odezwać się do Susan. Z tego samego powodu po ucieczce z domu nie szukała pomocy u przyjaciółki.

Aż do zeszłego roku. Obudziła się pewnego ranka z myślą, że duma do niczego jej się nie przyda i że bardzo brakuje jej Susan. Odnalazła ją przez jej rodziców i zadzwoniła. Popłakały się, szczęśliwe, że znowu się słyszą. Wszystko

było jak dawniej, lata rozłąki nic nie zmieniły w ich wzajemnym stosunku.

Claire opowiedziała Susan wszystko. O pogróżkach Pierce'a, o obsesji Griffena na punkcie przyrodniej siostry i o scenie, której była świadkiem. O tym, że Adam omal jej nie udusił, oraz jak uciekła z domu. Susan była jedyną osobą, która wiedziała, kim są naprawdę Claire i Skye Dearborne.

Rozmowa z przyjaciółką, cudowna, uzdrawiająca możliwość opowiedzenia o swoich lękach i troskach, przyniosła Claire ogromną ulgę. Od tamtej pory pozostawały w stałym kontakcie. Susan, profesor anglistyki w St. Mary's College w Notre Dame w stanie Indiana, wielokrotnie namawiała Claire, by obie uciekinierki zamieszkały w jej domu. Obiecywała pomoc, gdyby Pierce trafił na ślad żony i córki.

Claire za każdym razem odmawiała. Bała się. Susan nie zdawała sobie sprawy z tego, jak ogromnymi wpływami dysponuje rodzina Monarchów. Nie rozumiała, że ci ludzie gotowi są na wszystko, byle tylko odzyskać Grace.

Nie docierało też do niej, jak głęboka, jak przerażająco niebezpieczna jest obsesja Griffena.

- Paniusiu, wynajęłaś ten stółek, czy jak? Też chciałbym skorzystać z telefonu.

Podniosła głowę. Obok stał spocony, czerwony na twarzy mężczyzna.

- Przepraszam - bąknęła, zsuwając się ze stołka. - Niech pan dzwoni.

Podeszła do baru, zamówiła kieliszek wina i wróciła do telefonu. Mężczyzna nadal rozmawiał, usiadła więc przy najbliższym stoliku i zaczęła sączyć cabernet. Ręka drżała jej tak, że trochę wina wylało się na pokryty laminatem blat. Nie, nie może zrobić tego, co chodziło jej po głowie, rozmyślała zdesperowana. Nie może zostawić Skye, nawet jeśli rozłąka miałyby trwać tylko kilka tygodni. Nie wyobrażała sobie życia bez córki.

Czy miała jednak inne wyjście?

Zamknęła oczy. Nikogo nie знаła równie dobrze jak Susan, poza nią nie miała nikogo bliskiego. Tylko przyjaciółce ufała na tyle, że mogłaby powierzyć jej małą.

Susan na pewno nie odmówiłaby pomocy. Gdyby poprosiła przyjaciółkę, żeby przyjechała po Skye i na jakiś czas ukryła ją w swoim domu, zrobiłaby to. Poszukiwania Pierce'a utknęłyby w martwym punkcie. Powinny, wykorzystując nawałnicę, uciec z lunaparku jeszcze dzisiejszej nocy. Uprzedziła już Marvela, że wyjadą na kilka dni. Wszyscy będą przekonani, że nadal są razem: Claire i Skye. Kiedy w lunaparku pojawi się prywatny detektyw wyjęty przez Pierce'a, Chance mógłby wskazać mu mylny trop, jeśli Claire go o to poprosi.

Oparła głowę na dłoniach. Nie może dopuścić, żeby Pierce zabrał Skye na powrót do ponurego, przerażającego domu w Chicago, gdzie mała będzie napastowana przez Griffena.

Wielki czarny ptak jest blisko i już sięga po Skye swoimi szponami.

Mężczyzna skończył wreszcie rozmawiać i odwiesił słuchawkę. Claire wypila łyk wina, zebrala całą odwagę i podeszła do telefonu. Wrzuciła kilka monet i wystukała numer Susan, modląc się w duchu, żeby przyjaciółka była w domu.

Pierwszy sygnał... trzeci. Odbierz, Susan. Błagam. Wreszcie po drugiej stronie odezwał się zaspany głos.

- Susan, to ja.

- Madeline? - Susan ocknęła się niemal natychmiast. - Stało się coś złego?

Claire wzięła głęboki oddech, powstrzymując łzy cisnące się do oczu.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Oczywiście! O co tylko poprosisz.

Claire zerknęła przez ramię, po czym przybliżyła słuchawkę do samych ust.

- Pierce nas odnalazł. Przyjedzie tu... Chce mi zabrać... chce mi zabrać...

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Susan odczekała, aż gwałtowny szloch ustanie i Claire zdoła dokończyć zdanie.

- Boże, Maddie, co mam zrobić?

- Chcę, żebyś przyjechała po Skye i zabrała ją na jakiś czas do siebie. Jeśli się rozłączymy, nie trafią na jej ślad.

- Jadę do was, Maddie. Nie martw się, twoja córka będzie u mnie bezpieczna. Prędzej umrę, niż oddam ją temu draniowi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Chance otworzył oczy. Przed nim stała Claire, przemoczona do suchej nitki i roztrzęsiona. Zamrugał gwałtownie powiekami i potrząsnął głową. Nawet nie wiedział, kiedy się zdrzemnął.

- Claire? - Rozejrzał się po mrocznej przyczepie. - Która godzina?

- Musisz mi pomóc - powiedziała Claire, puszczając mimo uszu zadane jej pytanie. - Proszę cię, Chance. - Przykucnęła obok chłopca i ujęła jego dłonie.

W jednej chwili opadły z niego resztki snu. Spojrzał uważnie w twarz Claire. Musiało stać się coś naprawdę złego.

- O co chodzi?

- Chciałabym, żebyś... jeszcze trochę pobył ze Skye. Proszę cię... Ja... - Ciałem Claire wstrząsnął niepoohamowany szloch.

- Oczywiście, zajmę się Skye. Rób, co masz do zrobienia. Zostanę z nią.

- Nie rozumiesz. - Uniosła zalaną łzami twarz. - On po nią przyjedzie. Muszę uciekać.

Chance zacisnął palce na jej dłoniach. Sprawiała wrażenie przerażonej i kompletnie zagubionej.

- Kto przyjedzie? Dokąd chcesz uciekać?

- Szukają nas pewni ludzie, którzy chcą skrzywdzić Skye. Dzisiaj dowiedziałam się, że trafili na nasz ślad i w każdej

chwili mogą się tu pojawić.

- Nic nie rozumiem. Co to znaczy, że chcą skrzywdzić Skye? O kim mówisz? - Wciągnął głęboko powietrze, zaalarmowany tym, co usłyszał. - Czy ty przypadkiem nie przesadzasz?

Pokręciła głową.

- Jeśli nas znajdą... nigdy już nie zobaczę Skye. Zabiorą mi ją. Tam jest ktoś... kto może ją skrzywdzić. Kiedyś już to zrobił.

- Są blisko?

- Bardzo blisko. Nie wiem, co mam... Ja nie...

Dławiona szlochem, Claire podniosła się i podeszła do okna, rozcierając ramiona, jakby w ten sposób chciała wlać w siebie trochę ciepła i dodać sobie otuchy. Na zewnątrz szalała burza, nocne niebo rozrywały co chwila zygzaki błyskawic.

Spojrzała na Chance'a pustym, pozbawionym wyrazu wzrokiem.

- Mogą być tutaj już jutro wieczorem. Muszę uciekać. Jak najdalej stąd.

- Chryste, Claire! - Chance stanął obok niej. - Co to za ludzie?

- Nie mogę ci powiedzieć. Lepiej, jeśli nie będziesz wiedział, kim są. Dla własnego bezpieczeństwa. Ze względu na dobro Skye. Musisz mi zaufać. Proszę!

Chłopiec skinął głową, a Claire mówiła dalej drżącym głosem:

- Zaraz, jeszcze dzisiaj w nocy, muszę wyjechać. Uciec tak daleko, jak to możliwe... - Zaciśnęła kurczowo dłonie. - Bez Skye.

- Bez Skye - powtórzył głucho. - Nie rozumiem, jak... - Wreszcie do niego dotarło, co zamierza zrobić Claire, i cofnął się o krok. - Nie, nie możesz zostawić jej ze mną. Mowy nie ma! Nie zgadzam się.

- Tylko do jutra rano. Przyjedzie po nią moja przyjaciółka, ktoś, komu całkowicie ufam. Jest już w drodze. Powinna pojawić się tutaj jutro o dziesiątej rano, a może nawet wcześniej. Proszę cię, Chance. Nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym się zwrócić.

- Ciągle nie mogę zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Dlaczego nie zabierzesz Skye ze sobą? Albo nie spotkasz się z tą kobietą w pół drogi?

- Ci ludzie wiedzą, jak wyglądam, ale nie będą w stanie rozpoznać Skye, a to o nią im chodzi. Ją chcą skrzywdzić.

- Cholera jasna! To poważna sprawa. Ja... - Odwrócił się gwałtownie. W głowie miał chaos. Nie czuł się na siłach przyjąć na siebie aż tak wielkiej odpowiedzialności, nie mógł też znieść błagalnego spojrzenia Claire, które zdawało się mówić, że bez jego pomocy matka i córka będą zgubione. - Nie mówisz chyba poważnie... Nie pojedziesz przecież bez niej. Nie możesz.

- Skye jest wszystkim, co mam, a w tej chwili grozi jej niebezpieczeństwo... los gorszy od samej śmierci. Muszę ją chronić, nawet jeśli miałyby to oznaczać...

Słowa uwięzły jej w gardle. Przemagając się, zrobiła krok w stronę Chance'a.

- Błagam cię. Jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić o pomoc. Oni niedługo tu będą.

Chłopiec przetarł oczy. W głębi duszy czuł, że nie powinien się zgodzić, ale nie wiedział, co ma powiedzieć, co doradzić ani w jaki sposób odmówić tej przerażonej kobiecie. Wszystko wskazywało na to, że Claire nie ma wyboru.

- Jaki masz plan?

- Wyruszę zaraz, jeszcze w nocy, a jutro rano Susan zabierze Skye do siebie. Za kilka tygodni, kiedy upewnię się, że niebezpieczeństwo minęło, pojedę po małą.

- A jeśli coś się nie powiedzie? Jeśli Susan się nie pojawi albo ubiegną ją ludzie, którzy was ścigają?

W oczach Claire pojawiło się znowu przerażenie. Pokręciła głową, jakby w ogóle nie przyjmowała do wiadomości podobnego obrotu spraw.

- Nie ubiegną jej, to niemożliwe. Ufam Susan całkowicie. Znam ją od dziecka i wiem, że mnie nie zawiedzie. - Claire ponownie chwyciła Chance'a za rękę. - Zrobisz to dla mnie? Dla Skye?

Wiedział, że nie będzie w stanie jej odmówić.

Skinął głową i wtedy z gardła Claire wyrwał się szloch. Uniosła dłoń chłopca do ust.

- Dziękuję, Chance. Dziękuję. Ja... - Odsunęła się i gorączkowo rozejrzała po przyczepie. - Muszę się spakować i ruszać w drogę... jak najszybciej.

- Poczekaj. - Chwycił ją za ramię. - Co ze Skye? Musisz jej chyba powiedzieć, co się dzieje?

Nie, nie zamierzała nic jej mówić.

- Nie możesz jej tego zrobić. Nie możesz wyjechać bez uprzedzenia.

- Muszę. Jeśli ją obudzę, nie będę potrafiła się z nią rozstać, a ona mnie nie puści. Dla jej dobra muszę tak postąpić.

Claire była bliska załamania. Jedno słowo i nie zdoła wsiąść do samochodu. Albo zabierze Skye ze sobą.

Musiał się zgodzić, przecież widział, jak przerażona i zdesperowana jest Claire. Poza tym naprawdę zaczął bać się o Skye.

Bezradnie patrzył, jak Claire wyjmuje spod stołu torbę, podchodzi do szafy i zaczyna wrzucać do niej pośpiesznie swoje rzeczy, jak zbiera przybory toaletowe rozstawione w maleńkiej łazience. W ciągu paru minut była gotowa do drogi.

- Mam jeszcze kilka kartonów w magazynie. Zabiorę je po drodze - powiedziała, zamykając torbę.

Na kartce papieru zapisała nazwisko i numer telefonu.

- To numer Susan. Na wszelki wypadek, gdybyś chciał się z nią skontaktować. Ona będzie wiedziała, gdzie jestem i gdzie masz mnie szukać.

Postawiła torbę koło drzwi i odwróciła się do Chance'a.

- Nie mów nikomu, co się stało - zaczęła łamiącym się głosem. - Nikomu! Uprzedziłam Abnera, że zamierzamy przeczekać nawałnicę u przyjaciół, którzy mieszkają

w pobliżu. Musiałam jakoś wyjaśnić, dlaczego odczepiam samochód. Powiedziałam mu, że pod naszą nieobecność będziesz pilnował przyczepy.

Westchnęła głęboko.

- Ukryj Skye do chwili przyjazdu Susan. Jeśli ktoś inny będzie nas szukał, skłam. Powtórz dokładnie to, co powiedziałam Marvelowi. Powiedz, że obie wyjechałyśmy. Mów, co chcesz, byle nie prawdę. A kiedy Susan zabierze już Skye, idź do Marvela i powiedz, że nie wróciłyśmy do lunaparku i że po raz ostatni widziałeś nas dzisiaj wczesnym wieczorem. Zrozumiałeś?

- Tak.

- Jutro rano każ Skye spakować rzeczy. Niech się czymś zajmie... - Spojrzała z wahaniem na zamknięte drzwi do małej sypialni. - Boże, nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić.

- Możesz się jeszcze rozmyślić, Claire. Pomogę ci.

- Już mi pomogłeś. Dla dobra Skye muszę wyjechać. Pierce jest... - Ugryzła się w język. - Będzie mi ciebie brakowało, Chance.

Patrzył na nią w osłupieniu, jeszcze nie do końca mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Na Boga, Claire, nigdy już cię nie zobaczę...

- Och, Chance. - Objęła go i przytuliła. - Nigdy o tobie nie zapomnę.

Uścisnął ją serdecznie.

- Ja o tobie też - mruknął, powstrzymując napływające do oczu łzy.

- Zaopiekuj się Skye. Powiedz jej, że bardzo ją kocham.

- Powiem. Przymierzam. - Zacisnął powieki. Nie przypuszczał, że rozstanie będzie takie bolesne. - Czy mógłbym jakoś... przekonać ją...

- Nie. Tak jest bezpieczniej. - Claire przytuliła mokry od łez policzek do policzka Chance'a, po czym wypuściła chłopca z objęć, zarzuciła torbę na ramię i otworzyła drzwi.

- Dziękuję - szepnęła. - Powiedz Skye, że niedługo po nią przyjadę. I że kocham ją z całego serca, jak nikogo innego na świecie. Powiedz jej to. Nie zapomnij!

- Zrobię tak. Obiecuję.

Bezradnie patrzył, jak Claire znika w strugach deszczu. Powoli zamknął drzwi przyczepy z poczuciem, że powinien był powiedzieć jej coś, co przekonałoby ją do tego, aby została.

Było już jednak na to za późno.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Chance przez resztę nocy nie zmrużył oka. Siedział obok łóżka Skye, a w głowie kłębiły mu się niewesołe myśli. Nie miał pojęcia, w jaki sposób powinien powiedzieć małej, że jej mama wyjechała bez pożegnania, i jak sobie poradzi z jej rozpaczą.

Teraz nie miał już wyboru. Będzie musiał pomóc Skye przetrwać jakoś najbliższe godziny, a potem się z nią pożegna, tak jak pożegnał się z Claire. Poczł bolesny ucisk w piersi. Zostanie sam. Będzie mu brakowało „jego dziewczyn”, chociaż wcale nie chciał za nikim tęsknić. Na zawsze pozostaną w jego pamięci i bezustannie będzie się zastanawiał, co się z nimi dzieje.

Skye obudziła się z uśmiechem, mile zaskoczona widokiem Chance'a.

- Co tutaj robisz? - Zerknęła na ołowiane niebo za oknem, a potem na swojego przyjaciela. - Zaspałam?

Chance powiedział jej o ostatnich wydarzeniach. Prosto, jasno, możliwie spokojnym i obojętnym tonem, wierząc, że im mniej emocji zawrze w swoich słowach, tym łatwiej Skye je przyjmie.

Jego spokój na niewiele się zdał. Skye patrzyła na niego zmartwiała w przerażeniu, nie dowierzając temu, co usłyszała.

Potrząsnęła głową z dzikim błyskiem w oku.

- Kłamiesz! Mama nigdy by mnie nie zostawiła! Kłamiesz!

- Tylko na parę dni... Na krótko...

- Nie! - Skye wyskoczyła z łóżka i z krzykiem rzuciła się do drzwi przyczepy. - Mamusiu!

Zatrzymała się na moment, a potem doskoczyła do szafy i szarpnęła drzwi.

Ubrania matki znikły.

Z krzykiem przerażenia rzuciła się w stronę komody. Szlochając, wyciągała po kolei wszystkie szuflady. Były puste.

Uniosła nieprzytomne spojrzenie na Chance'a.

- Zostawiła mnie?

- Bała się. Powiedziała, że bez niej będziesz bezpieczniejsza. Mówiła...

- Nie. - Skye zaczęła gwałtownie kręcić głową. - To nieprawda. Mama nigdy by mnie nie zostawiła. Nigdy! Przyrzekła mi!

Skye osunęła się na podłogę i zanosła płaczem. Nie wiedząc, jak inaczej pocieszyć małą, Chance objął ją niezdarnie, ale zaczęła się szamotać jak dzikie, spłoszone zwierzątko.

- Wszystko będzie dobrze, Skye. Przestań płakać i posłuchaj, co ci powiem.

- Puść mnie! - Wyrwała się i pobiegła do drzwi. - Znajdę ją! Nie próbuj mnie zatrzymać.

Chwyił ją, zanim zdążyła wybiec z przyczepy, przyciągnął do siebie i otoczył ramionami. Skye wierzgała i młóciła na oślep pięściami, ale Chance trzymał ją mocno blisko siebie,

tak by nie mogła zrobić krzywdy ani jemu, ani sobie, oraz żeby wiedziała i poczuła, że nie jest sama, bo on jest z nią.

Atak furii powoli osłabł i przeszedł w szloch, a potem w ciche łkanie. Oboje osunęli się na podłogę. Chance oparł głowę Skye o swoją pierś, gładził jej potargane włosy i szeptał słowa pociechy.

Powtórzył małej to, co powiedziała mu Claire. Mówił o tym, jak bardzo była przerażona i zdesperowana, a także o jej wielkiej, nieskończonej miłości do córki.

Kiedy skończył, Skye podniosła głowę.

- Miałam rację, prawda? Żli ludzie chcą nam zrobić krzywdę.

Chance skinął głową.

- Mama nie chciała cię zostawiać, ale bała się o ciebie. Mówiła, że bez niej będziesz bezpieczniejsza. Musimy teraz poczekać na jej przyjaciółkę.

- Nie zostawiła mnie na zawsze? - szepnęła Skye i powtórzyła jeszcze raz to samo, jakby chciała się upewnić:
- Nie zostawiła mnie na zawsze?

- Nie. - Chance odgarnął jej z buzi mokre od łez kosmyki włosów. - Prosiła, żebym ci powtórzył, jak bardzo cię kocha. Najbardziej na świecie.

- To dlaczego... - Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu.

Dlaczego nie zabrała mnie ze sobą? Jak mogła mnie zostawić?

- Nie chciała cię zostawić - powtórzył Chance cicho - ale nie miała innego wyboru. Rusz się. Mama prosiła, żebym

pomógł ci się spakować. - Pociągnął małą za rękę. - Niedługo powinna pojawić się przyjaciółka twojej mamy, Susan. Ma tu być około dziesiątej.

W oczach Skye pojawił się lęk.

- Znam ją?

- Nie wiem. - Chance zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie wszystko, co przekazała mu Claire. - Twoja mama mówiła, że ma do niej całkowite zaufanie. Znają się od dziecka.

- Nigdy nie poznałam żadnej Susan.

- Może jej nie pamiętasz?

- Może. - Skye wzięła głęboki oddech. - Ty też pojedziesz z nami? - Mina Chance'a wystarczyła Skye za odpowiedź. - Nie pojedę bez ciebie - oznajmiła z przerażeniem w głosie. - Nie znam jakiegś tam Susan. Jak nie pojedziesz, zostanę z tobą.

- Mama nie oddałaby cię pod opiekę byle komu - tłumaczył łagodnie Chance.

- Wiem - Skye przygryzła wargę - ale chcę, żebyś pojechał ze mną.

- Ja też bym chciał, mała, ale nie mogę. Będę pisał do ciebie. Obiecuję. Nic dziwnego, że się boisz. Jeśli ta cała Susan mi się nie spodoba, nie oddam jej ciebie! Zgoda?

- Dlaczego nie chcesz jechać ze mną? Jesteś przecież moim przyjacielem.

Chance poczuł bolesny ucisk w gardle.

- Mówiłem ci, nie mogę, ale pamiętaj, że nie rozstajemy się na zawsze. Obiecuję, że zobaczymy się jeszcze, może

nawet niedługo. A teraz pora się pakować. Susan powinna tu być lada chwila.

Skye skinęła głową, z trudem powstrzymując łzy.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Przyjaciółka Claire nie pojawiła się ani tego ranka, ani następnego. Chance próbował dodzwonić się pod numer zostawiony przez Claire, ale zgłosiła się automatyczna sekretarka. Bojąc się zostawić wiadomość, pełen niepokoju odwiesił słuchawkę.

Musiało się wydarzyć coś złego.

Nawałnica trwała całą dobę, wyrządzając wiele szkód w lunaparku, między innymi uszkodziła generator prądu. Ludzie, zajęci naprawami, nie zwracali sobie głowy zniknięciem Madame Claire i jej córki.

Losem wróżki zainteresowali się dopiero wtedy, gdy pojawił się prywatny detektyw i zaczął wypytywać o panią Dearborne oraz rozdawać wizytówki. Na końcu zaszedł do Marvela, a ten przyprowadził go do przyczepy.

Chance przyjął obu mężczyzn z bijącym sercem. Postąpił tak, jak przykazała mu Claire. Zwracał się głównie do Marvela, od czasu do czasu udzielając niechętnych odpowiedzi detektywowi.

Przez cały czas powtarzał sobie w duchu, że musi się pilnować, bo los Claire i Skye zależy teraz tylko od niego.

- Twierdzisz, że po raz ostatni widziałeś tę kobietę i jej córkę przedwczoraj wieczorem?

Chance wsunął ręce do kieszeni i oparł się plecami o szafę, w której ukryła się Skye.

- Mówiłem już: Claire pojechała do przyjaciół, żeby przeczekać u nich burzę. Prosiła mnie, żebym przez ten czas zaopiekował się jej przyczepą.

- Wiesz może, gdzie ci ludzie mieszkają i jak się nazywają?

Chance pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie pytałem, bo niepotrzebne mi takie wiadomości.

- Powiedziała, że tu wróca?

Chance wzruszył ramionami.

- Tak. Nie zastanawiałem się nad tym, ale kiedy burza ustała dziś rano, pomyślałem, że powinny już przyjechać. Sprawdziłem wszystko i zobaczyłem, że zabrały swoje rzeczy.

Detektyw przez chwilę obserwował Chance'a spod zmrużonych powiek. Robił wrażenie podstępnego i bezlitosnego faceta. Chance za nic nie oddałby mu Skye.

- Dopiero dzisiaj rano zorientowałeś się, że ich rzeczy zniknęły?

- Tak. Wcześniej byłem pewien, że wróca.

- Podobno byliście bardzo zaprzyjaźnieni - zauważył detektyw z przekąsem.

- Owszem.

- I pomimo to nie powiedziały ci, że wyjeżdżają na dobre? Bardzo dziwne. - Tu detektyw zwrócił się do Marvela: - Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli trochę się rozejrzę?

Marvel nastroszył się. Najwyraźniej detektyw nie przypadł mu do gustu tak samo jak Chance'owi.

- Będę. Nie masz tu czego szukać, człowieku. Chłopak powiedział już, że Madame Claire wyjechała.

- Nie wydaje się to panu trochę dziwne?

- Nie w tym interesie. A teraz, za pozwoleniem, to prywatny teren, poza tym chłopak musi wziąć się do roboty.

- Oczywiście. - Detektyw wręczył Chance'owi swoją wizytówkę. - Gdybyś zobaczył którąś z nich, będę ci wdzięczny za informacje. Możesz dostać tysiąc dolarów.

- Tysiąc papierów? - Chance otworzył szeroko oczy. - A niech to! Co one zrobiły? Obrabowały bank, czy jak?

Detektyw zarechotał.

- Nic z tych rzeczy. Adwokat mnie wynajął, żebym je odszukał. Chodzi o spadek. Te dwie kobitki są teraz bardzo bogate. Podziękują ci, jeśli do mnie zadzwonisz.

Na pewno! Kłamstwo było tak oczywiste i szyte tak grubymi nićmi, że Chance'a ogarnęło obrzydzenie. Claire umierałaby ze strachu tylko dlatego, że ktoś chce jej przekazać pieniądze?

- Natychmiast do pana zadzwonię, jak tylko zobaczę którąś z nich - obiecał, udając, że czyta dane widniejące na wizytówce. - Tysiąc papierów piechotą nie chodzi.

Chance kątem oka zerknął na Abnera. Stary najwyraźniej sądził o historyjce zmyślonej przez detektywa to samo co on.

- Niezły gnojek - orzekł Marvel, kiedy detektyw wreszcie sobie poszedł. - Wszyscy ci prywatni łapacze są tacy sami.

Śmierdzące glisty.

Chance parsknął wymuszonym śmiechem.

- Myśli pan, że mówił prawdę? Że niby Claire i Skye odziedziczyły duży spadek?

- Możliwe - mruknął Marvel w zamyśleniu. - Chociaż to dziwne, aby ktoś tak bardzo chciał się pozbyć forsy, że aż wynajął detektywa. - Spojrzał Chance'owi w oczy. - A ty co myślisz?

- Może i coś tam odziedziczyły, chociaż Claire nigdy nie wspominała o żadnym rodzinnym majątku. - Chance szybko odwrócił wzrok.

Marvel miał taki wyraz twarzy, jakby domyślał się, że chłopak nie mówi mu całej prawdy. Odchrząknął.

- Generator jest już prawie naprawiony. Za godzinę, dwie chłopaki skończą robotę. Ruszamy jutro o świcie. Jeśli chcesz tu dzisiaj nocować, to sobie nocuj. Claire i Skye może jeszcze wrócą.

- Może.

- Jeśli nie, ktoś inny wprowadzi się do przyczepy.

Tego Chance nie wziął pod uwagę.

- Jasne, proszę pana. Rano się stąd wyniosę.

- Pomóż przy generatorze. Podejdę tam z tobą i zobaczę, jak im idzie.

Chance skinął głową, chociaż ciężko mu było zostawiać na pewno śmiertelnie wystraszoną Skye samą. Zerknął po raz ostatni w głąb przyczepy i ruszył za Marvelem.

Przez resztę dnia dźwięczały mu w uszach ostatnie słowa Marvela. Szef chciał, żeby opuścił przyczepę, bo rano miał

się tam wprowadzić ktoś inny.

Musiał podjąć decyzję o losie Skye. I to szybko, zanim nadejdzie ranek. Przyjaciółka Claire nie pojawiła się i zapewne już się nie zjawi. Było to zupełnie oczywiste. Ale co zrobić ze Skye?

Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Przez cały dzień łamał sobie głowę, jak wybrnąć z kłopotu. Nie mogli zostać u Marvela. Gdyby odkrył, że mała nadal jest z trupą, musiałby zawiadomić opiekę społeczną, albo, co byłoby jeszcze gorsze, zadzwoniłby do detektywa.

Ten facet wszystkim rozdał swoje wizytówki, opowiadając o spadku oraz nagrodzie, i ludzie z trupy na pewno połasiliby się na pieniądze. Len i jego kumple sprzedaliby dusze za jedną dziesiątą oferowanej sumy.

Chance wyciągnął z kieszeni wizytówkę. Drukowana wypukłymi, metalicznie lśniącoymi literami na grubym, żeberkowanym papierze, sprawiała wrażenie tyleż wytwornej co pretensjonalnej. Podobnie jak jej elegancko ubrany właściciel, w drogim garniturze, butach z delikatnej skóry, ze złotym zegarkiem na ręku. Z wizytówki wynikało, że agencja posiada biura w Chicago, Dallas i Los Angeles. Ten, kto wynajął detektywa, musiał mu zapłacić wysokie honorarium.

Tak, ktoś sporo wyłożył, nie licząc się z kosztami.

Chance zasepił się. Kiedy Skye powiedziała mu o mafii, uznał to za dziecinny wymysł, jednak teraz wszystko się zmieniło. Czyżby rzeczywiście mafia szukała Claire i Skye? A jeśli nie mafia, to kto?

Przesunął kciukiem po złotych literach. Nie mógł oddać Skye w ręce detektywa ani dopuścić, żeby zrobił to ktoś inny.

Pozostawało tylko jedno wyjście. Musi zniknąć razem z małą.

Lecz wtedy Claire nie będzie mogła odnaleźć córki.

O ile w ogóle będzie chciała jej szukać. Chociaż myśl ta była mu nienawistna, nie mógł nie brać jej pod uwagę. Być może Claire zaaranżowała całą sytuację, żeby w sprytny sposób pozbyć się Skye.

Nie, to niemożliwe! Gdyby rzeczywiście chciała uwolnić się od córki, po prostu wyjechałaby po cichu i pozwoliła, żeby detektyw ją znalazł.

Nie, Claire śmiertelnie czegoś się bała i panicznie lękała się o Skye. Kochała małą całym sercem, co do tego Chance nie miał najmniejszych wątpliwości. Nigdy nie porzuciłaby córki. Była pewna, że jej przyjaciółka przyjedzie i zabierze Skye.

Musiało się wydarzyć coś strasznego, skoro Susan się nie pojawiła. Chance próbował panować nad rozedrganymi nerwami, usiłował trzeźwo i logicznie wszystko rozważyć, wciąż jednak wracał do tego samego punktu. Przyrzekł, że zaopiekuje się Skye, obiecał, że przy nim będzie bezpieczna.

Nie może jej zostawić. Nie wolno złamać mu danego słowa.

Skye była przerażona, bezradna i bezbronna, a przy tym z każdą godziną coraz bardziej nieszczęśliwa. Chociaż nie

zamienili na ten temat słowa, zrozumiała, że Susan na pewno już nie przyjedzie.

Musiał z nią porozmawiać. Skye miała, co prawda, zaledwie dwanaście lat, ale decyzję powinni podjąć razem. Niech mała sama wybierze rozwiązanie.

Tego wieczoru przeprowadzili szczerą rozmowę. Chance wyłożył karty na stół. Chciał, żeby Skye do końca zrozumiała, w jakim położeniu się znalazła. Chodziło przecież o jej życie, o całą jej przyszłość.

Dał jej do wyboru dwie możliwości: albo jeszcze tej nocy uciekną razem, albo tak długo jak się da, będą czekali na Susan lub na Claire, a potem zwrócą się o pomoc do pana Marvela, ryzykując, że ten zawiadomi opiekę społeczną lub prywatnego detektywa.

Skye podjęła decyzję.

Jeszcze tej samej nocy, kiedy wszyscy spali, oboje wymknęli się z obozu.

Część trzecia

DRAPIEŻNE PTAKI

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Horizon's End, Winsconsin, 1983

W Horizon's End jesień zaczynała się wcześniej. Lato zdawało się krótkim, słonecznym epizodem w tym mroźnym zakątku Stanów.

Był dopiero początek sierpnia, a liście mieniły się już wszystkimi odcieniami złota i brązu. W nocy temperatura spadała do dziesięciu stopni, w dzień nie przekraczała piętnastu. Nie oznaczało to oczywiście, że nie nadejdzie jeszcze kolejna fala ciepła. Zdarzały się tu sierpniowe dni, kiedy słupek rtęci w termometrach osiągał dwadzieścia pięć stopni. Tego lata ludzie, którzy zjeżdżali nad jezioro Horizon, by spędzić weekend w swoich domach wartych miliony dolarów i odpocząć od wielkomiejskiego skwaru, rozczarowani, sarkali na pogodę. Miejscowi uśmiechali się pod nosem.

Osiemnastoletni Griffen siedział na przestronnym tarasie letniej rezydencji Monarchów, od niechcienia przysłuchując się rozmowie ojca z dziadkiem. Wzniesiony przez ucznia Franka Lloyda Wrighta dom przypominał słynną rezydencję Falling Water w Bear Run, której projekt wyszedł z pracowni jednego z największych amerykańskich architektów i został uwieczniony we wszystkich podręcznikach historii architektury dwudziestego wieku. Tak jak w słynnym pierwowzorze, dominowały tu surowy

kamień i ogromne tafle szkła; podobnie też ten dom był usytuowany, to znaczy wzniesiony na szczycie wzgórza, niczym cenny klejnot osadzony pośród iglaków, klonów i brzoź. Z okien i z tarasu rozpościerał się wspaniały widok na jezioro Horizon. Poza starannie utrzymanym trawnikiem na zboczu schodzącym ku brzegowi jeziora, rozległy teren posiadłości został zachowany w naturalnym stanie. Ogrodnik nie ingerował w przyrodę; w promieniu prawie dwóch kilometrów wokół domu roztaczał się nietknięty ludzką ręką las.

Jak daleko Griffen sięgał pamięcią, rodzina przyjeżdżała tutaj każdego lata, uciekając przed prażącym miejskim słońcem. Jedyna różnica polegała na tym, że tego roku Griffen zaczynał studia na Northwestern University w Evanston w pobliżu Chicago. Ma się rozumieć, wybrał zarządzanie i ekonomię. Za cztery lata otrzyma dyplom z wyróżnieniem, co do tego nie miał żadnych wątpliwości, i zacznie pracować w rodzinnej firmie, którą z czasem przejmie po ojcu.

Zamknął oczy i oparł się o zagłówek fotela.

Z leniwym uśmiechem myślał o planach na wieczór. Umówił się z miejscową dziewczyną, tyleż urocą co ograniczoną, którą parę godzin wcześniej spotkał na poczcie. Brakowało jej obycia i wykształcenia, ale niedostatki kompensował zgrabny tyłeczek i obfity biust.

Są kobiety wprost stworzone do tego, żeby je przelecieć.

Griffen nie mógł narzekać na swoje życie. Czerpał z niego pełnymi garściami, pokorę i powściągliwość pozostawiając

nieudacznikom. Przystojny i dobrze zbudowany, bez trudu mógł mieć każdą dziewczynę, wystarczyło tylko skinąć palcem. Był zdolny i szkołę średnią ukończył jako prymus. Wrodzony wdzięk, uroda, błyskotliwość i nazwisko sprawiały, że każde drzwi stały przed nim otworem.

Miał wszystko, czego tylko zapragnął.

Z wyjątkiem swojej przyrodniej siostry, Grace.

A pragnął jej wciąż jak szalony.

Na poręczy fotela przysiadł motyl. Griffen jednym ruchem zamknął go w dłoni, po czym ujął delikatnie w dwa palce, pogładził opuszkami aksamitne skrzydełka i zaczął je obrywać, rozmyślając o siostrze.

Nie było dnia, żeby o niej nie myślał i nie snuł planów o ponownym spotkaniu. Bo w końcu przecież się spotkają i znów będą razem. Ani przez chwilę w to nie wątpił. Tak chciało przeznaczenie.

Nienawidził tej suki, Madeline, za to, że zabrała mu Grace, a jeszcze bardziej nienawidził ojca, że do tego dopuścił. Jakiż z niego mały, słaby człowiek!

Kiedy tamtego dnia przed siedmiu laty wrócił ze szkoły i usłyszał, że Madeline uciekła z Grace, obiecał sobie, że pewnego dnia oboje, macocha i ojciec, drogo mu zapłacą za swoją głupotę i egoizm.

Z uśmiechem obrócił między palcami drgające w agonii ciało motyla.

Czasami, kiedy był w łóżku z dziewczyną, wyobrażał sobie, że leży z Grace. Kiedy przed oczami pojawiał się

obraz siostry, przychodził gwałtowny, niekontrolowany orgazm.

Być może tak będzie i dzisiaj.

Uśmiech zniknął z twarzy Griffena. Bywało też inaczej. Obraz nie chciał się pojawić i randka kończyła się jedną wielką klęską. Wracał wtedy do domu niezaspokojony i wściekły.

Na dźwięk imienia Grace otworzył oczy, ale nie uniósł nawet głowy. Ojciec narzekał, że Madeline udało się wymknąć. Griffen skrzywił się z niesmakiem. Pierce jęczał jak ostatni mięczak. Niedobrze się robiło na to skomlenie.

Ojciec był do niczego i dziadek słusznie się irytował. Pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu świętowali bliski powrót Grace. I co? I nic. Pierce wrócił ze swojej wyprawy z podwiniętym ogonem.

Trop się znowu urwał.

- Do jasnej cholery! Musisz to robić? - rzucił pod adresem Griffena rozeźlony Pierce, wskazując na zmaltretowanego motyla. - Myślałem, że wyrosłeś już z takich idiotycznych zabaw.

Griffen ze śmiechem odrzucił stworzonko. To normalne, pomyślał z pogardą. Kiedy Pierce czuł, że jest w opałach, zamiast zmierzyć się z oponentem, kierował swoją agresję przeciwko pierwszej z brzegu osobie: wyżywał się na służbie, na podwładnych, na synu. Dla Griffena było to żałosne, jak zresztą wszystko w ojcu.

- A ja myślałem, że uda ci się wreszcie sprowadzić Grace do domu - odciął się z krzywym uśmiechem na ustach. -

Minęło już siedem lat. To sporo czasu. Zmarnowałeś go.

Widział po minie ojca, że swoją uwagę dopiekl mu do żywego.

- Ktoś musiał je ostrzec. Nie moja wina, że się nam wymknęły.

Griffen przyglądał się ojcu z pogardą.

- Nie nam, tato, nie nam się wymknęły, tylko tobie. Twoja żona i twoja córka. Ty dopuściłeś do ich ucieczki. Nie potrafiłeś ich zatrzymać.

- Kto mógł to zrobić? - Pierce puścił mimo uszu synowski przytyk i wrócił do rozmowy z Adamem. - Kto mógł je ostrzec? Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć. Jeśli Dorothy, to przysięgam, że...

Adam przerwał mu stanowczym skinieniem dłoni.

- Niemożliwe, przecież to ona nam powiedziała, gdzie mogą być. Gdyby nie jej wskazówki, nie mielibyśmy pojęcia, gdzie ich szukać.

Pierce skrzywił się.

- Stara, sentymentalna idiotka.

Nie jesteś lepszy od niej, ojcze. Taki sam głupiec, tyle że nie sentymentalny, pomyślał Griffen.

Przyglądał się ojcu z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Może nikt ich nie ostrzegł. W końcu Madeline ma dar przewidywania przyszłości, co w kółko powtarzasz. Widocznie przeczuła, że szuka jej ten twój detektyw od siedmiu boleści.

Pierce zaczerwienił się, słysząc tę uwagę.

- Nie lekceważ jej zdolności. Być może są większe, niż ci się wydaje.

Griffen prychnął lekceważąco.

- Daj spokój, tato! Teraz będziesz próbował wmówić nam, że wymknęły ci się z rąk, bo Madeline miała jakieś widzenie.

Kiedy Pierce zaczął kłąć, Adam uderzył pięścią w stół.

- Przestańcie obaj! Mam tego dość. Nie chcę więcej słyszeć bzdur o nadprzyrodzonych zdolnościach Madeline. Tylko my trzej wiemy o jej omamach i absurdalnych przywidzeniach i niech tak już zostanie. Jeszcze tego nam brakuje, żeby prasa coś zwęszyła i zrobiła z tego sensację. - Adam wstał, podszedł do balustrady i przez chwilę wpatrywał się w jezioro. - Przestańmy się kłócić o to, kto zawinił, tylko pomyślmy, co robić dalej. Muszę odzyskać moją wnuczkę. Potrzebuję jej. Bez niej nie damy sobie rady. Firma nie da sobie rady - mówił, nie odwracając głowy. - Międzynarodowa wystawa biżuterii w Mediolanie wyraźnie pokazała, w jakim jesteśmy punkcie. Nie zdobyliśmy żadnej nagrody - ciągnął zmęczonym, pełnym goryczy tonem. - Nie otrzymaliśmy nawet wyróżnienia! Dorothy się wypaliła. Jej projekty są staroświeckie, przebrzmiałe. - Spojrzał na Pierce'a z wyrzutem. - Moja siostra jest do niczego. Nie nadaża za wymogami rynku. Jakie rozwiązanie pan proponuje, panie przewodniczący zarządu?

Pierce poruszył się niespokojnie i odchrząknął.

- Rozglądałem się, rozmawiałem z kilkoma zdolnymi ludźmi...

- Z ludźmi? - powtórzył Adam powoli. - Zdolnymi do czego?

- Mówię o zdolnych projektantach, najlepszych w tym fachu. Mogliby... - Pierce ponownie odchrząknął. - Marcel Louckes od Tiffany'ego, Anessa St Pierre z...

- Mowy nie ma! - Adam przeszedł przez taras i stanął na wprost Pierce'a. Mimo podeszłego wieku ciągle jeszcze był w znakomitej kondycji fizycznej i miał jasny, trzeźwy umysł. Nie uznawał przeszkód, od nikogo nie zamierzał się uzależniać i nie dał sobie wmówić niczego, co byłoby nie po jego myśli.

Zupełnie inaczej niż ojciec, pomyślał Griffen z lekceważeniem. Ojciec był słaby i miękki. Miał zaledwie czterdzieści jeden lat, a już przeszedł zawał serca. Wiecznie zastraszony, szukający usprawiedliwień, z nieodłączną nitrogliceryną w kieszeni.

Griffen nim pogardzał. To ma być ojciec? Wzorem dla niego był dziadek i tak jak on nie uznawał żadnych przeszkód na swojej drodze.

- Nie waż mi się nigdy wspominać o żadnych projektantach, Pierce! - grzmiał Adam. - Nikt obcy nie będzie pracował dla Monarchów. Nie dopuszczę do tego, rozumiesz?!

Pierce uniósł głowę.

- Powiedz mi, proszę, czy widzisz inne wyjście? Nie możemy...

- Musimy znaleźć małą! Chryste, niedobrze mi się robi, kiedy cię słucham!

Pierce zerwał się z fotela z wypiekami na twarzy.

- Skąd wiesz, czy Grace posiada talent? Miała pięć lat, kiedy widziałeś ją po raz ostatni. Nawet jeśli wróci do domu, nie będzie to jeszcze znaczyć, że pewnego dnia zechce pracować dla firmy. Nic o niej nie wiemy. Madeline mogła zniszczyć to dziecko. Nastawić ją przeciwko nam, wpoić nienawiść do rodziny.

- Firma jest przeznaczeniem Grace i dziewczyna sama kiedyś to zrozumie. A jeśli nie, znajdziemy sposób, żeby ją o tym przekonać. Kiedy Madeline trafi do więzienia, Grace będzie zdana wyłącznie na nas i szybko zapomni, co matka kładła jej do głowy. Przywyknie do życia w luksusie, do pieniędzy, do spełniania wszystkich zachcianek. Zechce być jedną z nas. Znienawidzi matkę za to, że na tak długo pozbawiła ją tego wszystkiego, co mogła dać jej rodzina.

Adam przybliżył twarz do twarzy syna i spojrzał mu prosto w oczy.

- A jeśli chodzi o talent, to na pewno go ma. Wiem o tym tak samo jak ty.

- Próbowałem - usprawiedliwiał się Pierce pokornym już głosem. - Rozwiódłem się z Madeline i ożeniłem ponownie. Miałem córkę.

- Która nie żyje, bo twoja żona wolała w pijanym widzie plotkować przez telefon, zamiast przypilnować małej podczas kąpieli. Nikt nie zastąpi nam Grace, bo tylko ona ma dar. Dojrzałem go, chociaż miała dopiero pięć lat. Tak jak mój ojciec dojrzał dar Dorothy, kiedy była jeszcze dzieckiem.

Griffen podniósł się, podszedł do murku okalającego taras i stanął w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą stał dziadek. Zapatrzył się na żaglówki na jeziorze. Adam miał rację, nikt nie zastąpi Grace.

Dziadek poddał ją kilku prostym testom, takim samym, jakie kiedyś przeszła Dorothy. Zabierał wnuczkę do salonu firmowego i do pracowni jubilerskich Monarchów, pozwalał wybierać klejnoty i bacznie obserwował, jakie wzory i kamienie, spośród mnóstwa innych, szczególnie przyciągają jej uwagę.

Zawsze wybierała najpiękniejsze. W wieku pięciu lat już zaczynała doskonale rysować. Nie ludziki z kilku prostych kresek, jak większość dzieci, tylko skomplikowane, bogate ornamenty.

Griffen czytał gdzieś, że ojciec Picassa, także malarz i nauczyciel malarstwa, był pod tak wielkim wrażeniem talentu syna, że oddał trzynastoletniemu wówczas Pablowi swoją paletę i pędzle, by nigdy więcej nie wziąć ich już do ręki. Są ludzie, którzy rodzą się z talentem i którym nauka nie jest potrzebna. To właśnie nazywamy darem.

Grace miała ten wyjątkowy dar i od niej zależało powodzenie rodzinnej firmy.

- Gdybyś był chociaż w części mężczyzną - grzmiał Adam - nie dopuściłbyś, żeby Madeline zabrała nam Grace. Gdybyś był mężczyzną, znalazłbyś jakiś sposób, żeby ją powstrzymać, i mała byłaby teraz z nami. Chcę, żeby moja wnuczka wróciła do domu - mówił dalej. - Jest moją następczynią, moją dziedziczką. Potrzebuję jej. Wszyscy jej

potrzebujemy. Masz ją sprowadzić do Chicago i nie obchodzi mnie, jak tego dokonasz. Rozumiesz?! Możesz wydać cały majątek, jaki mamy, ale musisz ją odzyskać. Stań na głowie, dokonaj niemożliwego, tylko ją sprowadź. Jestem gotów na wszystko, byle mieć Grace w domu.

Griffen odwrócił się gwałtownie.

- Naprawdę jesteś gotów na wszystko, dziadku, żeby ją odzyskać?

Adam spojrzał mu prosto w oczy.

- Tak, jestem gotów na wszystko.

Griffen skinął głową.

- Znajdę ją i sprowadzę do domu. Nie stracimy jej.

Część czwarta

CHANCE i SKYE

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Gdzieś w Indianie, 1983

Pierwsze godziny po ucieczce były bardzo wyczerpujące. Skye prawie się nie odzywała, starając się dotrzymać kroku Chance'owi i ani na moment nie zostawać w tyle, jakby się bała, że jej towarzysz ucieknie. Kiedy musiał oddalić się na chwilę, dostała niemal hysterii. Uspokoila się dopiero wtedy, gdy złożył jej uroczystą przysięgę, że na pewno jej nie zostawi.

Stała pod drzwiami toalety na stacji benzynowej, zaciskała dłoń na klamce i cicho pochlipywała. Tak ją zastał, gdy wyszedł z kabiny: uczeponą drzwi i zapłakaną. Dopiero wtedy zdał sobie naprawdę sprawę z powagi sytuacji.

Skye była jeszcze dzieckiem i nie miała nikogo poza nim, kto mógłby się nią opiekować. Ponosił teraz za nią całkowitą odpowiedzialność. Musiał zapewnić jej jedzenie i nocleg, chronić przed ludźmi, którzy chcieliby ją skrzywdzić lub wykorzystać.

Spadła na niego ogromna, przytłaczająca odpowiedzialność.

W lunaparku, gdzie czuł się w miarę bezpiecznie, nie potrafił dostrzec konsekwencji, jakie pociągnie za sobą ucieczka, i ta decyzja wydawała mu się najwłaściwsza. Nic nie rozumiał, nie umiał dostrzec ryzyka.

Dopiero teraz zobaczył, w co naprawdę wdepnął, ale było już za późno. Popełnił błąd, którego nie mógł już naprawić. Był przerażony.

Tej nocy postanowili spać pod wiaduktem kolejowym. Przytuleni do siebie grzali się wzajemnie, szukając ochrony przed chłodem. Mimo zmęczenia Chance nie zmrużył oka.

Skye też nie spała, czuł to, chociaż leżała bez ruchu i nie odezwała się ani słowem.

Przymknął powieki i oparł głowę o betonową płytę. O czym, do diabła, myślał, decydując się na ten krok? Jak mógł ważyć się na coś podobnego? Jak zadba o małą bez pracy i dachu nad głową? Sam ledwie dawał sobie radę i raptem miałby zaopiekować się dwunastoletnią dziewczynką?

Niech Bóg ma go w swojej opiece. Widział tylko jedno rozwiązanie, a mianowicie powinien zadzwonić do faceta, który szukał Skye. Wystarczy wystukać numer z wizytówki detektywa, którą zachował... na wszelki wypadek.

Przed oczami stanęła mu twarz Claire, tak jak ją zapamiętał w noc ucieczki: śmiertelnie blada i wykrzywiona grymasem przerażenia. Dźwięczał mu jeszcze w uszach łamiący się, zdesperowany głos.

Nie udawała. Nikt nie byłby w stanie udąć czegoś podobnego.

Nie zadzwoni. Zawiadamiając detektywa, być może skazałby Skye na jeszcze gorszy los od tego, jaki czekał ją teraz, w czasie wspólnej wędrówki donikąd.

O ile gorszy?

Tego nie wiedział. Wypuścił powoli powietrze z płuc. Jakoś będzie musiał sobie poradzić, pomyślał z rezygnacją.

Na szczęście niewiele wydał z tego, co zarobił u Marvela, przez pewien czas nie będą więc głodować.

Do czasu, bo pieniądze szybko się rozejdą. Będzie musiał znaleźć jakieś przytulisko i pracę, i to jak najszybciej. Nie chciał czekać, aż zostaną bez grosza, bo byliby wtedy zupełnie bezradni.

Skye zaszlochała cicho. Chance natychmiast odwrócił głowę w jej stronę, serce mu się ścisnęło. Pewnie myślała o matce. Zastanawiała się, gdzie ona teraz jest i dlaczego wyjechała.

Chance też się nad tym zastanawiał. Był pewien, że coś straszego przydarzyło się Susan, bał się, czy coś złego nie spotkało także samej Claire. Nawet gdyby tak było, nigdy się o tym nie dowiedzą, ani Skye, ani on.

Rozprostował zdrętwiałe nogi i Skye z krzykiem chwyciła go za rękę.

Przez moment czuł się jak potrzasku. Ogarnęła go złość: na Skye, na siebie samego, na cały świat. Uciekł od ciotki, żeby ułożyć sobie życie i zdecydować o własnym losie, no i jak skończył? Jako niańka dwunastoletniej smarkuli. Koniec z planami i marzeniami!

Nie, nieprawda, powiedział sobie, kiedy pierwsza złość minęła. Opieka nad Skye nie mogła przecież przekreślić jego planów i marzeń. Któregoś dnia rozstaną się, mała dorośnie, a on znowu będzie mógł zająć się sobą.

Na razie jednak Skye była z nim i rozpaczliwie potrzebowała jego opieki.

- Nigdzie nie idę! Zdrętwiałem i chciałem zmienić pozycję
- mruknął.

Skye skinęła głową i przywarła do niego całym ciałem, szcękając zębami. Objął ją ramieniem.

- Nie zostawię cię, Skye, przyrzekam.

Przez długą chwilę milczała, wreszcie zapytała:

- Co teraz zrobimy, Chance? Dokąd pójdziemy?

- Nie wiem, mała. Tam, gdzie nas oczy poniosą. Musimy zdać się na los.

Przytuliła głowę do jego piersi. Czuł, że drży.

- Boję się.

Nie mógł mieć do niej o to pretensji, bo sam był pełen strachu. Nachylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Wiem, ale nie powinnaś się bać, bo nie ma czego. Zaopiekuję się tobą, przysięgam. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W dzień po rozstaniu ze Skye Claire zaczęła wydzwaniać do Susan. Początkowo nie martwiła się zbytnio, kiedy nikt nie odbierał telefonu, bo podróż z Notre Dame do Ridley, szczególnie przy takiej pogodzie, musiała zająć sporo czasu. Susan musiała gdzieś się zatrzymać, aby przeczekać nawałnicę.

Pod wieczór drugiego dnia, kiedy telefon nadal nie odpowiadał, zaczęła ulegać panice. Próbowwała dzwonić o świcie, przed wyruszeniem w dalszą drogę, potem w południe, wreszcie w porze kolacji. Po raz ostatni zadzwoniła o jedenastej wieczorem. Głucha cisza. Przy następnej próbie usłyszała automatyczne nagranie z informacją, że numer jest nieaktualny.

Musiało wydarzyć się coś strasznego.

Odwiesiła słuchawkę i z aparatu z brzękiem wysypały się niewykorzystane monety. Nie słyszała warkotu ciężarówek wjeżdżających i wyjeżdżających z parkingu, tylko w jej głowie rozbrzmiewał głos Skye.

Córka wzywała ją do siebie, potrzebowała jej. Claire nie miała pojęcia ani gdzie, ani z kim jest teraz Skye.

Musi natychmast wracać.

Z bijącym sercem rzuciła się biegiem w stronę samochodu, otworzyła drzwiczki, usiadła za kierownicą i zaczęła nerwowo szukać między torbami po jedzeniu

i jednorazowymi kubkami po napojach atlasu, który powinien leżeć na miejscu dla pasażera.

Wreszcie go znalazła i otworzyła na stronie z mapą Indiany. Susan wykładała w St. Mary's College w Notre Dame, na północy stanu. Chcąc zmylić ewentualną pogoń, Claire pojechała na południe: najpierw do St. Louis, potem przez Memphis do Nashville, by w końcu dotrzeć do Atlanty. Teraz już bez kluczenia najkrótszą trasą powinna wrócić do Indiany.

Długo studiowała mapę, wreszcie odłożyła ją, wrzuciła wsteczny bieg i wyjechała z parkingu. Podróż, jak obliczała, powinna zająć jej około dziesięciu godzin. O piątej po południu mogłaby być w South Bend.

Okazało się, że już o czwartej dotarła do cichego miasteczka uniwersyteckiego, w którym mieszkała Susan. Bez trudu odnalazła właściwą ulicę i dom. Zaparkowała przy krawężniku i przeszła ścieżką do wejścia.

Z bijącym sercem nacisnęła dzwonek.

- Susan! - Zaczęła walić pięścią w drzwi. - To ja, Madeline! Otwórz, proszę!

- W czymś pani pomóc?

Claire odwróciła się gwałtownie. Na ganku sąsiedniego domu stała jakaś kobieta z niewesołą miną.

- Dziękuję. - Claire usiłowała nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie. - Jeśli mogłaby pani, byłabym bardzo wdzięczna.

Ruszyła w stronę kobiety przez trawnik oddzielający oba domy, myśląc jednocześnie, że musi robić wrażenie

obłąkanej. Od trzydziestu sześciu godzin nie kąpała się i nie zmieniała ubrania. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni się czesała. Kobieta zrobiła taką minę, jakby miała ochotę wycofać się w głąb domu i zatrzaskać drzwi.

Claire stanęła przed nią.

- Chciałam widzieć się z moją przyjaciółką, Susan Willis. To bardzo pilne... Ja... To jej dom, prawda?

Kobieta odchrząknęła.

- Tak, ale jej... nie ma.

- Widziała ją pani? - Claire złożyła dłonie. - Proszę, to naprawdę bardzo pilne - powtórzyła.

- Przykro mi... - Kobieta na moment odwróciła wzrok, po czym spojrzała Claire prosto w oczy. - Przykro mi, ale Susan... nie żyje.

- Nie żyje? - powtórzyła Claire, czując, że ziemia usuwa się jej spod nóg. - Nie mówi pani poważnie. Jak to... nie żyje?

- Zginęła w wypadku samochodowym. Cztery czy pięć dni temu, nie pamiętam. To był dla mnie wstrząs i straciłam rachubę czasu. Tamtej nocy była fatalna pogoda. Najechał na nią pijany kierowca... Zderzenie czołowe. Bardzo mi przykro.

Claire wpatrywała się nieruchomo w kobietę. To nieprawda, Susan nie mogła zginąć! Ukochana przyjaciółka, jej jedyna powiernica. Jej... Co ze Skye? Czy Skye z nią była?!

Claire uniosła dłoń, zakręciło się jej w głowie, była bliska omdlenia. Nogi się pod nią ugięły. Zachwiała się.

- Och, pomogę pani. - Kobieta zbiegła z ganku i chwyciła Claire pod ramię. - Proszę usiąść. Jest pani w szoku.

Claire pozwoliła zaprowadzić się na ganek i posadzić na wiklinowym fotelu. Zgięta wpół, zaczęła łkać bezgłośnie.

Jej najlepsza przyjaciółka! Jej jedyna przyjaciółka! Nie żyje. Odeszła.

A co ze Skye! Jej córeczką! Boże spraw, żeby była cała i zdrowa.

- Bardzo mi przykro - powtórzyła sąsiadka drżącym głosem. - Wszyscy tutaj bardzo lubiliśmy Susan. Była taka kochana. Źle pani wygląda. Przyniosę szklanek wody. Zaraz wracam.

Claire chwyciła ją za rękę, uniosła twarz.

- Czy... Susan... Czy była... sama?

- Sama? - powtórzyła kobieta, najwyraźniej nie rozumiejąc pytania. - Tak, sama. Wypadek zdarzył się na południu stanu, niedaleko Culver. Nie wiem, co tam robiła ani dokąd jechała. Zginęła na miejscu - dodała ochryplym głosem.

Claire odetchnęła z ulgą i natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Susan zginęła przez nią, bo chciała wyświadczyć jej przysługę. Pomimo wszystko czuła ulgę. Susan była sama, bo wypadek zdarzył się, zanim dotarła do Ridley. Zanim zdążyła odebrać Skye. Dzięki Bogu, dzięki Bogu...

Nagle powtórnie ogarnęło ją przerażenie. Co w takim razie dzieje się ze Skye? Czy Pierce'owi udało się ją znaleźć? Prawdopodobnie mała jest już w Chicago.

A jeśli nie znalazł córki? Skye mogła być teraz wszędzie, nie wiadomo gdzie i z kim.

Claire zerwała się z fotela.

- Muszę jechać - wykrztusiła. - Bardzo pani dziękuję... Naprawdę... dziękuję.

- Proszę chwilę poczekać. - Kobieta dotknęła jej ramienia.

- Nie wygląda pani zbyt dobrze. Proszę tu jeszcze zostać. Przyniosę pani szklanę wody.

- Nie mogę. - Claire potrząsnęła głową. - Dziękuję, ale muszę jechać. Moja córka... Ona... - Spojrzała w zatroskane oczy kobiety. - Muszę znaleźć moją córkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Światła głównej alei zatańczyły jej przed oczami i nawet głośna muzyka nie była w stanie zagłuszyć łomotania serca. Wiedziona desperacką nadzieją, że Skye i Chance nadal podróżują z trupą, Claire odnalazła wesołe miasteczko Marvela.

Stała teraz przed Abnerem i drżała tak, że ledwie mogła ustać.

- Gdzie jest Chance? - zapytała łamiącym się głosem. - Muszę go znaleźć, Abner. To bardzo ważne. To...

- Odszedł. Będzie z tydzień, jak zniknął. - Abner zmarszczył czoło. - Tak mi się wydaje. Poszedłem do niego pogadać o waszym zniknięciu i wtedy widziałem go po raz ostatni.

Claire z trudem powstrzymywała napływające do oczu łzy. Skoro Chance odszedł, gdzie w takim razie jest Skye?

Odchrząknęła.

- Tamtego dnia, kiedy z nim rozmawiałeś, czy... Skye była z nim?

Abner uniósł brwi.

- Chłopak mówił, że zabrałaś małą ze sobą. Twierdził, że wyjechałyście razem tej nocy, kiedy się rozszalała burza. Wszystkim tak opowiadał.

- Wiem. Ja prosiłam... Więc nie widziałeś Skye?

- Nie potrafię ci pomóc, Claire. Przykro mi.

Gdzie jest jej dziecko?

- Jakiś facet rozpytywał o was - dodał Abner. - Było to przed samym zniknięciem Chance'a. Prywatny detektyw. Nawet zostawił wizytówkę.

Claire zmarszczyła brwi.

- Prywatny detektyw? - powtórzyła przerażonym tonem. - Czego chciał?

- Szukał was. Zatrzymałem wizytówkę. Pomyślałem sobie, że gdybyś się pojawiła u nas, może cię to zainteresować. - Wyjął wizytówkę z portfela i podał Claire. - Powiedziałem mu, że razem wyjechałyście, a Chance powtórzył to samo.

Claire wpatrywała się bez słowa w wizytówkę. Znała nazwę agencji, bowiem należała ona do najlepszych w Chicago. Adam nieraz korzystał z jej usług

- Opowiadał, że odziedziczyłaś pieniądze, Claire, i to duże. Wszystkim rozdawał swoje wizytówki, kazał dzwonić i obiecywał nagrodę, gdyby ktoś wiedział, gdzie się podziewacie. - Abner spojrzał jej prosto w oczy. - Tysiąc dolarów.

Claire skinęła głową na znak, że zrozumiała ostrzeżenie. Stary zdawał sobie doskonale sprawę, że jego wróżka musi być w nie lada opałach. Zerknęła przez ramię, chcąc się upewnić, czy nikogo nie ma w pobliżu.

- Przykro mi, że masz kłopoty. Nigdy nie było w trupie lepszej wróżki od ciebie.

Claire chwyciła go za rękę błagalnym gestem.

- Nie mów nikomu, że mnie widziałeś, dobrze? Nie mów, że ja i Skye nie jesteśmy razem. Bardzo cię proszę. To dla mnie bardzo ważne.

- Nie widziałem cię. - Uścisnął jej dłoń. - Powodzenia.
- Dziękuję - szepnęła, robiąc krok do tyłu. - Za wszystko.
- Claire? - Zatrzymała się i odwróciła. Abner patrzył na nią z zafrasowaną miną. - Mam nadzieję, że znajdziesz małą.

Skinęła głową. Nie była w stanie wykrztusić słowa. Co zresztą mogłaby powiedzieć? Musi odszukać Skye. Po prostu musi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Chance i Skye żyli w określonym rytmie. Wędrowali z miejsca na miejsce jako rodzeństwo i zatrzymywali się tam, gdzie Chance mógł znaleźć pracę. Na ogół sypiali w tanich pensjonatach i jeszcze tańszych motelach, w których liczone opłaty nie za dobę, tylko za cały tydzień.

Zwykle były to nędzne, brudne i śmierdzące nory. Mieszkali tu ludzie, którzy napawali Skye lękiem, tacy, od których lepiej było trzymać się z daleka.

Kiedy Chance szedł do pracy, a ona zostawała sama w pokoju, zwijała się pod kocem i nasłuchiwała rozmaitych odgłosów: szurgotu myszy, płaczu zostawionego bez opieki dziecka, głośnych rozmów na korytarzach.

Wydawało się jej, że nie krótkie miesiące, ale miliony lat minęły od czasów, kiedy, otoczona czułą opieką mamy, czuła się bezpieczna. Była wtedy odważna, zadziorna i pewna siebie, tak dzielnie stawiała czoło chłopcom z trupy.

Teraz bała się wszystkiego.

A już najbardziej tego, że straci Chance'a.

Podciągnęła pod samą brodę zniszczony, cuchnący wilgocią koc. Był szorstki i drapał, ale przynajmniej dawał ciepło, które dodawało otuchy. W ostatnich miesiącach, sypiając gdzie popadnie, nauczyła się cenić jedno i drugie.

Omiotła wzrokiem nędzny pokoik, starając się omijać kąty, niepewna, czy nie czai się w nich jakieś lichy. Chance

znalazł dorywczą pracę, raptem na tydzień, tak powiedział murarz, który go najął, ale dobre i to.

Wychodził o świcie i wracał po zmroku z torbą hamburgerów i frytek, tak zmęczony, że na nic nie miał już siły. Zjadał kolację, brał prysznic i natychmiast zasypiał.

Skye miała przykazane, by pod jego nieobecność zamykać się na klucz, na krok nie wychodzić z pokoju i nikogo nie wpuszczać. Chance bał się, że może zabrać ją policja albo ludzie z opieki społecznej. W końcu dzieci w dzień powinny być w szkole, więc samotna dziewczynka na ulicach małego miasteczka natychmiast wzbudziłaby zainteresowanie. Bardziej niż policji obawiał się dilerów narkotyków i sutenerów.

Skye wzdrygnęła się. Ona też bała się tych ludzi, ale nic nie przerażało jej tak jak myśl, że pewnego dnia Chance nie wróci do domu, bo podobnie jak mama uzna, że łatwiej mu będzie żyć bez niej.

Pod powiekami poczuła piekące łzy. Mama przyrzekała, że nigdy jej nie zostawi, mówiła, że ją kocha jak nikogo na świecie. Zapewniała, że Skye jest całym jej życiem. A jednak ją zostawiła.

Skye podciągnęła kolana pod brodę. Ból zdawał się nie do zniesienia. Tęskniła za mamą, tak bardzo chciała, żeby Claire wróciła i pozwoliła córce naprawić błędy, które sprawiły, że przestała ją kochać.

Usiłowała uwierzyć w to, co mówił Chance. Powtarzała sobie, że mama wyjechała, bo bała się o jej bezpieczeństwo. Czasami, kiedy miała lepszy nastrój, prawie w to wierzyła.

Najczęściej jednak dochodziła do wniosku, że mama już jej nie chce i porzuciła ją tak samo, jak porzucała kolejne miejsca, gdzie mieszkały, i kolejne prace.

Nie oglądając się za siebie.

Łzy dławiliły w gardle, nie pozwalały swobodnie oddychać. Mocniej oplótła kolana ramionami i zaczęła się kołysać w przód i w tył, usiłując pohamować wzbierający w piersi szloch. Nie chciała płakać, cierpieć i tęsknić.

Miała już dość łez, cierpienia, tęsknoty i samotności.

Za ściany dobiegały odgłosy jakiejś kłótni. Drgnęła, słysząc przekleństwa wykrzykiwane przez mężczyznę. Rozległ się głuchy łoskot i krzyk kobiety. Znowu obelgi, odgłosy bicia, krzyki. I cisza. Martwa, przeraźliwa cisza.

Skye zasłoniła uszy dłońmi. Chciała wrócić do domu, marzyła, by mama przytuliła ją do siebie i uspokoiła, by powiedziała, że wszystko będzie dobrze, a to był tylko zły sen. Pragnęła, żeby mama znowu ją kochała.

Zaczęła płakać i płakała tak długo, aż osłabła ze zmęczenia, zabrakło jej łez i nie miała już nawet siły pochlipywać. Opadłszy na poduszki, wbiła wzrok w spękany, brudny sufit.

Nie miała domu, nie miała już mamy. Nie było kochających ramion, które mogłyby ją objąć, nie było łagodnego, kojącego głosu, który zapewniłby ją, że wszystko będzie dobrze.

Pozostał jej tylko Chance. Musi się go trzymać i postarać się, żeby pokochał ją tak, jak nie potrafiła kochać mama. Żeby nigdy jej nie zostawił.

Przyrzekła sobie, że zrobi wszystko, by dopiąć swego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Po owym przyrzeczeniu zaczęła wychodzić ze skóry, żeby tylko Chance nigdy jej nie zostawił. Utrzymywała idealny porządek w pokojach, w których mieszkali, i przygotowywała dla niego rysunki. Kiedy wieczorem wracał do domu, witała go z wesołą i pogodną miną. Nie protestowała, kiedy chciał oglądać telewizję, nie narzekała, o nic nie prosiła ani nigdy mu nie dokuczała.

Nie śmiała mu nawet przypomnieć, że dzisiaj są jej urodziny.

Ale Chance o tym pamiętał. Tego ranka, zanim wyszedł do pracy, złożył jej życzenia i obiecał wrócić wcześniej, z niespodzianką.

Skye wyszła z wanny, włożyła swoje najlepsze dżinsy i najnowszy sweter. Uśmiechnęła się. A jednak nie zapomniał. To znaczyło, że zaczynał lubić jej towarzystwo. Inaczej nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć.

Może nawet trochę ją kocha.

Przejrzała się w zaparowanym lustrze, starając się nie wracać myślami do minionych urodzin, które świętowała z mamą. Był tort i prezenty, a Skye tego dnia czuła się jak mała księżniczka. Wspomnienia ją zasmucały, a ona nie chciała być smutna. Nie dzisiaj.

Może uda jej się zawsze być wesołą, przynajmniej w obecności Chance'a. Ponownie się uśmiechnęła. Coraz

rzadziej płakała, a przy nim wcale. Starła się być samodzielna.

To było najtrudniejsze, bo nadal się bała. Czasami budziła się w środku nocy zlana zimnym potem, przekonana, że jest sama, że Chance uciekł i ją zostawił.

Nie zwierzała mu się ze swoich lęków, nie opowiadała o koszmarach, które ją prześladowały. Nie chciała, żeby wiedział, co ją trapi. Kiedy budziła się przerażona, leżała bez ruchu, wpatrując się w mrok i nasłuchując oddechu Chance'a, dopóki nie upewniła się, że jej przyjaciel śpi obok i wszystko jest w porządku.

Rozczesała mokre włosy. Dawno nie obcinane splątały się po myciu i doprowadzenie ich do porządku zajęło Skye kilka długich minut. Kiedy już uporowała się z włosami, zaplotła je w warkocz i związała gumką.

W chwilę później usłyszała, że Chance ją woła. Wybiegła z łazienki, ale zamiast rzucić mu się na szyję, uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Wcześniej wróciłeś, tak jak obiecałeś.

- W końcu mamy dzisiaj szczególny dzień. - Wyjął z kieszeni kurtki paczuszkę. - Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, Skye.

- Och, Chance! - Teraz uszczęśliwiona rzuciła mu się na szyję. - Dziękuję, dziękuję!

Uwolnił się ze śmiechem z jej uścisku.

- Ej, powoli. Nawet nie rozpakowałaś prezentu. Ostrzegam cię, jest skromny.

- To nieważne. - Chwyciła paczuszkę i przycisnęła ją do piersi. - Nie mogę uwierzyć, że coś mi przyniosłeś. To nieprawdopodobne, że pamiętałeś o moich urodzinach.

Pokręcił głową.

- Co byliby ze mnie za kumpel, gdybym zapomniał, że masz dzisiaj urodziny, i gdybym nie dał ci prezentu. Nie zajrzysz do środka?

Zaśmiała się i wskoczyła na łóżko. Wiedziała, że powinna rozpakowywać paczuszkę powoli, przedłużając chwilę oczekiwania, ale nie mogła się powstrzymać. Niecierpliwie rozerwała papier i pisnęła z zachwytu na widok pudełka pastelii.

- Ekspedientka powiedziała, że są naprawdę dobre - wyjaśnił Chance. - Takich używają zawodowi artyści.

Skye uniosła z namaszczeniem wieczko pudełka i przesunęła palcem po równiutko ułożonych kredkach.

- Są piękne - powiedziała zachrypniętym ze wzruszenia głosem. - Zawsze marzyłam o takich, ale mama mówiła, że jestem na nie jeszcze za mała.

- Już nie. Ej, masz już trzynaście lat! - Chance przysiadł obok niej na łóżku. - Wypróbuj kredki.

Wybrała różową, o pięknym głębokim odcieniu, i potarła nią wierzch dłoni. Kredka, aksamitnie miękka i świetlista w kolorze, była zupełnie inna od tych, którymi rysowała do tej pory, twardych, dających szorstką i pozbawioną światła fakturę.

Po policzku stoczyła się wielka łza.

- Dziękuję. Są cudowne.

Chance otarł jej łzę i potrząsnął głową.

- Tylko mi się tu nie rozklejaj. Pamiętaj, że jesteś twardzielem, a poza tym czeka nas jeszcze przyjęcie.

- Przyjęcie? - Wyprostowała się, podniecona. - Jakie przyjęcie? Gdzie?

- Twoje, głuptasie. A gdzie, dowiesz się, jak będziemy na miejscu. - Zmierzył jej włosy, a potem chwycił ją za rękę i ściągnął z łóżka. - Idziemy.

Najpierw poszli do najbliższego baru Pizza Hut, gdzie pozwolił zamówić Skye to wszystko, na co tylko miała ochotę. Wybrała największą pizzę ze wszystkimi ulubionymi dodatkami. Kiedy już się najedli, Chance zaprosił ją do salonu gier. Przechodziła już wtedy kilka razy, zerkając tęsknym okiem do wnętrza, ale nigdy nie mieli dość pieniędzy.

Dzisiaj pieniądze znalazły się w cudowny sposób. Grali we wszystkie gry, w Pac Mana, Asteroidy, w hokeja i Foosball.

Szczęśliwi i zmęczeni, wrócili późnym wieczorem do motelu, gdzie na Skye czekała jeszcze jedna niespodzianka, czyli torcik z trzynastoma świeczkami.

Skye powiedziała w duchu życzenie i zdmuchnęła wszystkie. Chance nie pytał, o czym pomyślała, ale wiedziała, że i tak znał jej pragnienia.

Pragnęła miłości mamy.

Na wspomnienie Claire łzy napłynęły jej do oczu, szybko więc odwróciła głowę. Nie chciała robić przykrości Chance'owi i być niewdzięczną smarkulą.

- Przepraszam - szepnęła.

- Za co?

- Za to. - Pociągnęła nosem i zachichotała. - Nie wiem, dlaczego tak się zachowuję. To był najwspanialszy wieczór w całym moim życiu.

- Cieszę się, mała. Wiem, że... - Chance odchrząknął. - Chciałem, żebyś miała udane urodziny.

- Miałam, Chance. - Położyła mu głowę na ramieniu. - Naprawdę.

- No i jak się czujesz jako trzynastolatka?

Przez chwilę nie odpowiadała. Tyle się wydarzyło w ciągu ostatnich miesięcy, że już nie wiedziała, czy to tylko jej życie się zmieniło, czy też rzeczywiście wydorosła i stała się dojrzała.

Wreszcie pokręciła głową.

- Myślę, że tak jak dawniej. Jestem taka, jaka byłam. Ta sama stara Skye.

Chance parsknął śmiechem.

- To dobrze. Bo ta stara Skye jest całkiem miła.

Ziewnęła. Czowała się szczęśliwa i bezpieczna. I trochę zmęczona po tym cudownym dniu.

- Chance?

- Tak?

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Milczał przez moment, po czym nachylił się i pocałował Skye w czubek głowy.

- Dzięki, mała. To dla mnie dużo znaczy.

Dopiero znacznie później, kiedy leżała już w łóżku zbyt podniecona, żeby usnąć, zdała sobie sprawę, że Chance nie

potwierdził, że i ona jest jego najlepszą przyjaciółką. Nie powiedział nawet, że ją lubi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Claire, zapatrzona w dalekie światła Pittsburgha i w fale przepływającej w dole Ohio, stała na moście Fort Pitt.

Dokładnie trzynaście lat temu pierwszy raz wzięła w ramiona swoją nowo narodzoną córeczkę. Wtedy też po raz pierwszy uświadomiła sobie, czym naprawdę może być bezwarunkowa i bezgraniczna miłość.

To był najszczęśliwszy dzień w jej życiu.

A dzisiaj jest najgorszy i najtrudniejszy. Przede wszystkim rozpaczliwie pusty.

Podniosła twarz ku zimnemu, bezgwiezdному niebu.

W taką noc jak ta chce się tylko umrzeć, pomyślała. Zimno, mroczno, nawet gwiazdy nie chcą żegnać odchodzących.

Trzynaście lat temu obiecała swojej córeczce, że będzie ją chronić i dbać o nią oraz że nigdy nie dopuści, by małej stała się jakakolwiek krzywda. Żyła wyłącznie dla Grace, macierzyństwo było całą treścią jej egzystencji.

A potem zawiodła.

Straciła córkę.

Straciła wszystko. Miała tylko swój ból, który trzymał ją przy życiu. Ból i woreczek z klejnotami. Przycisnęła go do piersi, przebiegając myślami wydarzenia ostatnich miesięcy. Jeździła od miasteczka do miasteczka, pokazywała zdjęcie Skye, wypytywała napotkanych ludzi, czy nie widzieli przypadkiem dziewczynki z fotografii, która być

może podróżuje w towarzystwie siedemnastoletniego chłopca.

Claire zakładała bowiem, że Skye wciąż może być z Chance'em, nie wiedziała tylko gdzie?

W swoich poszukiwaniach nie natrafiła na żaden ślad. Nikt nie widział dwunastoletniej dziewczynki i dorastającego chłopaka. Przez trzy i pół miesiąca, jakie minęły od rozstania, nie natrafiła na żaden ślad córki.

Dzwoniła do Dorothy, ale Monarchowie też nie znaleźli Skye. Być może była to jedyna pociecha w nieszczęściu. Marna i chwilowa, bo Claire coraz bardziej się bała, że jej ukochane dziecko nie żyje.

Co innego mogła myśleć? Nie miała wizji ani nocnych koszmarów. Ogromny ptak nie krążył już nad głową Skye. Nie słyszała nawoływań córeczki o pomoc.

Otaczała ją pustka.

Zacisnęła dłonie na poręczy i spojrzała w dół, w leniwy nurt rzeki. Była gotowa. Pogodziła się już z tym, że nigdy nie odnajdzie Skye. Bez pieniędzy nie miała szans na prowadzenie dalszych poszukiwań.

A życie bez poszukiwania Skye nie miało sensu.

Śmierć stanie się wybawieniem i może jej dusza będzie mogła dalej szukać, aż wreszcie znajdzie córkę, by czuwać nad nią z zaświatów? Skoro nie potrafiła za życia...

A może po śmierci będzie tak jak teraz: czarna pustka, absolutna nicość.

Przeszła przez barierę mostu i stanęła na wąskim występie po drugiej stronie. Zamierzała najpierw wrzucić

do wody kamienie, pozbyć się ich powoli, jeden po drugim. Kiedy ostatni zniknie w nurtach rzeki, ona skoczy.

Przypomniała sobie wizję sprzed lat. Ktoś tonie, wir go wciąga. W piersi wezbrał histeryczny śmiech: cóż za ironia! Nie wiedziała wtedy, że widzi własną śmierć.

Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie te ostatnie chwile: instynktowną walkę z żywiołem, a potem słodkie zapomnienie.

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Grace. Kocham cię.

I proszę, wybacz mi.

Zamknęła kamienie w dłoni, wysunęła ją przed siebie. Za chwilę klejnoty znajdą się na dnie. Już rozwierała palce, gdy nagle pojawiła się wizja tak wyrazista i niespodziewana, że Claire aż zapało dech.

Zobaczyła mężczyznę i chłopca. Koszmar. Niewyobrażalny, niedający się opisać koszmar.

Pod Claire ugięły się kolana. Chwyliła się mocno bariery. Musi żyć. Wokół rosną drzewa. Bardziej intuicyjnie wyczuwała miejsce, niż je widziała: mroczne, żyzne... Usłyszała krzyk, pełne przerażenia błaganie o pomoc.

Musi się spieszyć.

Wizja skończyła się równie nagle, jak przyszła. Claire otworzyła oczy i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że płacze, z policzkiem przyciśniętym do metalowej bariery i z klejnotami w dłoni.

Wciągnęła głęboko powietrze. Widziała już wcześniej tego chłopca. Zobaczyła go kiedyś w telewizji, na pierwszej

stronie „Post Gazette”, na plakatach rozklejonych w mieście.

Żył. Jeszcze żył.

Wyprostowała się. Musi mu pomóc.

Przynajmniej tyle jeszcze może zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Boyton, Illinois, 1984

Skye bardzo się zmieniła w czasie tych kilku miesięcy, które minęły od dnia jej urodzin. Była ciągle rozdrażniona, płakała i śmiała się na przemian, tęskniła za czymś, czego nie potrafiła nazwać i określić.

Chciała, żeby Chance dostrzegł, jaka jest już duża, i zaczął ją traktować jak osobę dorosłą, a nie uprzykrzoną smarkulę, którą cały czas trzeba się opiekować.

Nie wystarczało jej już to, że była przyjaciółką Chance'a. Nie wystarczało rysowanie, oglądanie telewizji i wyczekiwanie całymi dniami na jego powrót do domu.

Stanęła w drzwiach przyczepy, którą Chance wynajął, i wciągnęła w płuca rześkie wiosenne powietrze. Ostatni śnieg stopniał kilka dni wcześniej, a słońce przygrzewało coraz mocniej.

Co z tego, pomyślała smutno, skoro nie wolno jej ruszyć się na krok poza próg ich tymczasowego domu.

Chance znalazł pracę w niewielkim sklepie spożywczym, a jego właściciel miał przyjaciela, który wynajmował umeblowane przyczepy. Od niego też za dwieście dolarów kupili piętnastoletniego chevroleta impala, mieli więc teraz samochód.

Dla Chance'a była to ogromna wygoda, ale kupno wozu w niczym nie odmieniło życia Skye, bo nadal tkwiła

uwięziona w paskudnej budzie na kółkach.

Zacząła chodzić tam i z powrotem. Była znudzona i zła na Chance'a, że trzyma ją w zamknięciu, i po prostu wściekła na mamę, że ją zostawiła.

To nie w porządku. Chance codziennie wychodził i spotykał się z ludźmi, i to nie tylko w pracy. W zeszłym tygodniu dwa razy poszedł z jakimiś chłopakami, których nawet nie widziała, na piwo. Siedziała sama do późna, złościła się i zazdrościła mu.

A on nie dawał sobie niczego przetłumaczyć. Nie dostrzegał, jak bardzo się zmieniła od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją u Marvela, tylko wciąż traktował ją jak małe dziecko. Tarmosił za włosy, szczypał w policzek, nazywał „małą” i „smarkulą”.

Skye traktowała go jak dorosłego, chociaż wcale nie był dużo starszy od niej. Miał przecież zaledwie osiemnaście lat.

Na myśl o przyjacielu Skye ogarniał dziwny niepokój, którego nie rozumiała. Chciała tylko, żeby zobaczył w niej dorosłą osobę... no, prawie dorosłą.

Nagle poczuła gniew. Chance nie będzie nią rządził! Nie jest jej ojcem ani bratem. Jeśli będzie chciała wyjść, to wyjdzie.

Chwyciła wiatrówkę, klucze do przyczepy i wybiegła na zewnątrz.

Pierwsza eskapada tak jej się spodobała, że zaczęła powtarzać ją codziennie. Każdego ranka, kiedy Chance wychodził do pracy, wymykała się z przyczepy.

Wolność smakowała wspaniale. Była podniecająca, uderzała do głowy. Skye znowu czuła, że żyje. Wszystko wydawało się nowe, nieznane i cudowne.

Zazwyczaj chodziła do parku, wybierała malownicze miejsce i zabierała się do rysowania, a potem spacerowała po miasteczku. Raz zagadnęła ją młoda mama, która codziennie przychodziła do parku, kiedy indziej sprzedawca ze sklepiku, gdzie kupowała colę. Za każdym razem wymyśliła na poczekaniu przekonujące wyjaśnienie, dlaczego nie jest w szkole.

Chance'a nie musiała okłamywać, bo niczego nie podejrzewał.

Zamknęła szkicownik, podniosła się i otrzepała spodnie. Dzień był zbyt ładny, żeby rysować. Postanowiwszy zabawić się w odkrywcę nieznanych lądów, ruszyła przed siebie w głąb parku, gdzie mało kto się zapuszczał.

Kiedy przechodziła przez kamienny mostek, zobaczyła na dole grupę nastolatków. Jeden z chłopców podniósł głowę i uśmiechnął się. Był naprawdę fajny. Odpowiedziała uśmiechem i poszła dalej. Chłopiec czekał już na nią na ścieżce.

Zatrzymała się, zaskoczona, nie bardzo wiedząc, jak powinna się zachować.

- Cześć. - Chłopiec zbliżył się z uśmiechem. - Widziałem cię na mostku i pomyślałem, że moglibyśmy się poznać.

- Cześć - odpowiedziała, przyciskając szkicownik do piersi.

- Mam na imię Kevin. Koledzy wołają na mnie Kev.

Przełknęła z trudem ślinę.

- Skye.

- I koleżanki wołają na ciebie Skye.

Roześmiała się, już odprężona.

- Owszem.

- Spieszysz się?

- Właściwie nie. - Wzruszyła ramionami.

- Ja też nie. Przejdziemy się?

- Razem?

- Tak - uśmiechnął się szeroko. - Razem.

- Dobrze.

Ruszyli powoli przed siebie.

- Nigdy wcześniej cię nie widziałem. Jesteś tu nowa?

Przyjrzała mu się uważnie.

- Niedawno przyjechałam, z bratem. On pracuje w sklepie Taylora.

- A co z twoimi rodzicami?

Zawahała się przez moment.

- Nie... mam.

- Ja też jestem sam. I wszyscy moi kumple.

Skye nie wiedziała, czy może mu wierzyć. Dlaczego jest dla niej taki miły? Chłopcy zwykle nie zachowywali się tak wobec niej.

- Dlaczego nie jesteś w szkole?

Zesztywniała.

- A ty?

Kevin się zaśmiał.

- Ja? W szkole? Szkoda czasu. Może usiądziemy tutaj? -
Wskazał ławkę pod rozłożystym klonem.

Rozsiedli się wygodnie, Skye rozpięła kurtkę i odłożyła szkicownik.

- Ile masz lat, Skye?

- W listopadzie skończyłam piętnaście. - Ledwie to powiedziała, natychmiast poczuła, że oblewa się pąsem.

- Żartujesz? Ja w listopadzie skończyłem siedemnaście. Którego się urodziłaś?

- Szóstego.

- To tak jak ja. - Objął ją ramieniem. - To chyba jakieś przeznaczenie albo co.

Przeznaczenie... Bardzo spodobał się jej dźwięk tego słowa, tak samo jak podobało się jej, że chłopiec ją objął.

Kev wyrzucił niedopałek papierosa, wstał, pociągnął Skye za rękę.

- Chodź, pokażę ci coś.

- Co takiego? - zapytała niespokojnie.

- To niespodzianka, ale na pewno ci się spodoba.

- Nie wiem... Powinnam już wracać do domu.

- Daj spokój, Skye. Nie bądź dzieckiem. To nie zajmie dużo czasu.

- No dobrze, ale za godzinę muszę być w domu - przystała po chwili wahania.

Kevin pokazał jej duży opuszczony budynek na obrzeżach miasteczka, zajęty przez bezdomne dzieciaki, które uciekły z domu. Opowiadał, że dom od kilku lat stoi opuszczony.

Jeśli nie zwracać uwagi na przegniłe podłogi i sypiące się ściany, jest to naprawdę kapitalne miejsce, przekonywał.

Miał rację. Dom był fajny, ale naprawdę kapitalne okazały się dzieciaki. Przedstawił Skye wszystkim, mówiąc, że ma piętnaście lat, i lokatorzy domu przyjęli ją całkiem dobrze, i chłopcy, i dziewczyny. Nikt nie zadawał żadnych pytań. Bardzo jej się tu spodobało.

Potem Kevin odprowadził ją kawałek. Chciał iść z nią do samego jej domu, ale bała się, że Chance ich zobaczy. Gdyby dowiedział się o Kevinie i o nowych przyjaciółach, na pewno nie pozwoliłby jej się z nimi spotykać.

A ona chciała ich widywać, szczególnie zaś Kevina.

- Przyjdiesz jutro? - zapytał, kiedy powiedziała, że dalej pójdzie już sama.

- Nie wiem. Ja...

- Proszę. - Zacisnął palce na jej nadgarstku. - Bardzo proszę. - Nachylił się ku niej lekko. - Jesteś taka ładna. Gdybym spróbował cię pocałować, pozwoliłabyś?

Wpatrywała się w niego bez słowa. Miała ochotę powiedzieć „tak” i nie była w stanie wykrztusić słowa. Wreszcie, przestraszona, że Kev się rozmyśli, skinęła głową.

Zaśmiał się cicho i zbliżył wargi do jej ust, musnął je lekko raz, potem drugi. Skye miała wrażenie, że umarła i znalazła się w niebie.

- Zobaczymy się jutro?

Ocknęła się, speszona.

- Tak - bąknęła.

- Wspaniale! - zawołał ze śmiechem, odchodząc. - Zatem do jutra, Skye.

Patrzyła za nim przez chwilę. Nagle dotarło do niej, że ma przyjaciół i chłopaka. Prawdziwego chłopaka, który trzymał ją za rękę, a nawet pocałował.

Odwróciła się i jak na skrzydłach popędziła do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Od tego dnia Skye każdą wolną chwilę spędzała z nowymi przyjaciółmi. Żartowali, rozmawiali, chodzili do parku i do centrum handlowego albo siedzieli w ich domu, jak nazywali stary wiktoriański budynek. Reszta szybko zorientowała się, że Skye potrafi wspaniale rysować, i teraz każdy chciał mieć swój portret. Zgadzała się chętnie, miłe łechtana zachwytnymi nowymi przyjaciółmi.

Najważniejszy był jednak Kevin. Nie odstępował jej na krok, trzymał za rękę albo obejmował ramieniem. Dziewczęta dziwnie na nią spoglądały, ale Skye uznała, że podobnie jak ona sama, nie mogą pojąć, co taki fajny chłopak w niej widzi.

Zachowywał się tak, jakby naprawdę się nią interesował.

Czuła się najszczęśliwszą istotą na świecie.

Długo trwało, zanim zorientowała się, z czego żyją jej nowi przyjaciele. Kradli w sklepach i sępiłi na ulicach, a tym, co udało im się zdobyć, dzielili się później między sobą jak jedna wielka rodzina.

Początkowo nie podobało się jej, że kradną, tak samo jak nie mogła przyzwycząić się do tego, że palą i piją alkohol. Potem doszła do wniosku, że dopóki sama nie przekracza dozwolonej granicy i nie robi nic złego, wszystko jest w porządku. Prawdę mówiąc, życie nowych przyjaciół wydawało się jej niezwykle podniecające i znacznie ciekawsze niż tkwienie całymi dniami w ponurej przyczepie.

A już najbardziej zazdrościła im tego, że nikogo nie muszą słuchać, że nikt nie traktuje ich jak małych dzieci, które nie potrafią zadbać o siebie. Czasami myślała nawet, żeby zostać w ich domu i nie wracać już do Chance'a.

Tymczasem on niczego się nie domyślał. Doszła do wniosku, że widać w ogóle jej nie zauważa.

Pewnie zajęty jest inną dziewczyną. Skye skrzywiła się do swojego odbicia w lustrze. Tą całą Cindy, z którą pracował. Opowiadał Skye o niej. Była kasjerką u Taylora. Śliczna blondynka, jak powiedział. Kilka razy zaprosił ją po pracy na piwo.

Umyła zęby i raz jeszcze przyjrzała się sobie uważnie. Za duże usta, zbyt wystające kości policzkowe... No cóż, daleko jej do piękności. Ta Cindy musi być pewnie śliczna, ale ona też nie jest najgorsza.

Zmarszczyła czoło. Dlaczego Chance jej nie lubi? Czemu nie uważa, że jest piękna? Jak ta okropna Cindy.

A przecież Kevin twierdzi, że jest ładna. Tylko Chance tego nie dostrzega.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Tego wieczoru Chance wrócił wieczorem do domu w towarzystwie Cindy.

Skye zmierzyła dziewczynę zimnym wzrokiem i od pierwszego wejrzenia nabrała do niej antypatii. Długie kręcone blond włosy, niebieskie oczy, ładne różowe usta. I piersi. Prawdziwe piersi. Nie takie jak ma Skye, które ledwo rysowały się pod bluzką.

Ale ja przynajmniej nie śmieję się jak hiena, pomyślała z mściwą satysfakcją. Kiedy mówię, nie odrzucam do tyłu głowy jak jakaś idiotka i nie przypominam lalki Barbie.

Chance przedstawił Skye jako swoją małą siostrę. Jakby tego było mało, powiedział, żeby wzięła sobie kilka kawałków pizzy i się zmywała.

Mała siostra! – zjeżyła się Skye w duchu. Zmywać się? Uniosła wojowniczo głowę.

- A jak nie będę chciała? Zmusisz mnie?

Cindy zachichotała, a Chance'owi zrzędała mina.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że mnie nie zmusisz.

- Owszem, zmuszę. Nie przeciągaj struny, Skye. Chcesz, żebym złożył ci pupę w obecności Cindy? A teraz znikaj!

Wściekła jak diabli, Skye obróciła się na pięcie, nałożyła sobie na talerz kilka kawałków pizzy i z hałasem wyjęła colę z lodówki, po czym zniknęła w sypialni, trzaskając drzwiami tak, że przyczepa się zakołysała.

Umościła się na łóżku i zaczęła pochłaniać pizzę. Jak Chance mógł przyprowadzić do domu tę hienę? Nienawidziła go jak nikogo na świecie. No, może jeszcze większą nienawiścią darzyła tę durną dziewczynę.

Skończyła jeść, podeszła do drzwi, uchyliła je i zerknęła przez szparę.

Cindy i Chance, mocno przytuleni do siebie, całowali się na kanapie. Patrzyła, jak Cindy nagle jednym ruchem ściąga sweterek i Chance zaczyna pieścić jej piersi.

Tego było Skye za wiele.

Wypadła z sypialni jak strzała. Cindy wydała spłoszony okrzyk, chwyciła sweterek i próbowała się nim okryć.

- Przepraszam - wysyczała Skye. - Przeszkodziłam wam w czymś?

- Niech cię diabli, Skye! - Chance zerwał się z kanapy. - Powiedziałem ci, że masz siedzieć w sypialni. Wynoś się stąd!

Skye zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- A ja powiedziałam ci, że pójdę, jeśli będę chciała.

- Jesteś nieznośnym bachorem. Jeśli zaraz się nie zmyjesz, przyłożę ci! Przysięgam.

- Aha, już się boję.

Cindy naciągnęła sweterek i podniosła się z kanapy.

- Chyba już pójdę.

- Nie, Cindy! Poczekaj. - Chance chwycił ją za rękę. - Pozwól, że porozmawiam z...

- Owszem, idź sobie - przerwała mu Skye, posyłając dziewczynie jadowity uśmiech. - Nie jesteś tu nikomu

potrzebna.

- Zamknij się, Skye!

Chance postąpił krok w jej stronę, ale Skye nawet nie drgnęła.

- Niech sobie idzie, szmata jedna.

Cindy zatkało.

- Nie zamierzam tego słuchać. - Chwyciła torebkę i ruszyła ku drzwiom.

- Cindy, zaczekaj! - Chance podbiegł do dziewczyny. - To jeszcze smarkula. Naprawdę nie wiem, co jej odbiło. Zwykle tak się nie zachowuje. Nie mam pojęcia dlaczego...

- Nieważne. - Cindy zarzuciła torebkę na ramię. - Nie zamierzam znosić wyzwisk od jakiegoś zasmarkanego szczeniaka. Idę.

- Nie jestem zasmarkanym szczeniakiem! - krzyknęła bardzo z siebie zadowolona Skye, była bowiem pewna, że dziewczyna już więcej się u nich nie pokaże. Nieźle jej nagadała.

Niedługo cieszyła się swoim zwycięstwem. W sekundę później Chance wrócił do przyczepy i z morderczym wyrazem twarzy zatrzaskał drzwi.

- Bardzo ci dziękuję! - huknął, podchodząc do Skye z zaciśniętymi pięściami. - Zapowiadał się całkiem miły wieczór. Serdeczne dzięki, że mi go popsulaś.

- Dla mnie to wcale nie był miły wieczór. - Skye wysoko uniosła głowę. - Dlatego powiedziałam jej, żeby się wynosiła.

- Cindy pewnie nigdy już się do mnie nie odezwie. Wszystko przez ciebie, bo zachciało ci się pokazać, jakim potrafisz być rarogiem. - Staął na wprost Skye. - Naprawdę mi się podobała.

Skye prychnęła z pogardą.

- Co ci się w niej tak podobało? Tlenione włosy? Wielkie cycki? - Prychnęła. - Pewnie tak samo sztuczne jak te kudły.

Chance patrzył na nią tak, jakby nagle rogi wyrosły jej na głowie.

- Co cię napadło? Gdzie się nauczyłaś takich określeń?

- Chcesz wiedzieć?

- Spioreę cię, zobaczysz, smarkulo.

Skye nie dała mu szansy wprowadzić w czyn pogroźki. Przyskoczyła do Chance'a, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała. Mocno, tak jak on całował Cindy.

Chance szarpnął się do tyłu i uwolnił od Skye gwałtownym ruchem.

- Do diabła, co ty...

- Ja też potrafię całować - wydyszała. - Jestem dziewczyną. Nie zauważyłeś tego?

Chance skrzywił się z niesmakiem.

- Jesteś dzieckiem. Jak możesz... To po prostu wstrętne. Przesadziłaś. Żeby mi się więcej coś takiego nie powtórzyło! Nigdy!

Skye dopiero teraz zdała sobie sprawę, co zrobiła. Gwałtowna, zdecydowana reakcja Chance'a zabolęła ją i upokorzyła.

Cofnęła się o krok. Cała płonęła. Chance uważa, że jej pocałunek jest wstrętny. Uważa ją za obrzydliwego bachora.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła ze łzami w oczach i uciekła do sypialni. Zamknęła drzwi na klucz, rzuciła się na łóżko. Słyszała, jak Chance zaklął głośno. Po chwili trzasnął drzwiami wejściowymi z takim impetem, że przyczepa się zakołysała. Zapadła cisza.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Następnego dnia rano Chance wyszedł do pracy bez pożegnania. Nie wiedział, co ma powiedzieć Skye, jak spojrzeć jej w oczy.

Co ona sobie myślała poprzedniego wieczoru? Zachowała się okropnie. Jest jeszcze dzieckiem, nie powinna zatem myśleć o podobnych sprawach.

Otworzył karton zup puszkowych, ustawił go na wózku, to samo zrobił z następnym. Skye kompletnie go zaskoczyła. Nigdy, w najbardziej szalonych wyobrażeniach, nie przyszłoby mu do głowy, żeby ją pocałować. Traktował ją jak siostrę. Małą dziewczynkę.

Zdawał sobie sprawę, że ją zranił, ale czy miał inne wyjście? To było wstrętne. Nie mógł dopuścić, żeby go całowała, by myślała o nim w taki sposób. Zobaczyła go z Cindy i ogarnęła ją zazdrość, więc postanowiła zwrócić na siebie uwagę.

Nie powinien był odsyłać jej do sypialni. Mogła pozostać z nim i Cindy jeszcze chwilę. Przecież całe dni spędzała sama.

Cindy od kilku tygodni drażniła się z nim, flirtowała, prowokowała, potem się wycofywała, znów zaczynała go zaczepiać.

Kiedy w końcu oświadczyła, że gotowa jest pójść do niego, nie zastanawiał się ani chwili. Myślał tylko o tym, że wreszcie będzie ją miał.

Teraz czuła się urażona i w ogóle nie chciała z nim rozmawiać. Może się pożegnać na zawsze z rojeniami o apetycznej Cindy Fergusson.

Cudownie!

Skrzywił się i spojrzął na zegarek. Jest już południe. Odrzucił nóż i ruszył do wyjścia. Kupi sobie sandwicza w dziale delikatesowym i wpadnie do domu, żeby sprawdzić, jak ma się Skye. Upewni się, czy wszystko w porządku i czy ta nieznośna dziewczyna nie zrobiła czegoś głupiego.

Gdyby umiał znaleźć właściwe słowa, przeprosiłby ją za swoje wczorajsze zachowanie, a potem rozmówił się z nią stanowczo.

Nigdy nie będzie ich łączyło nic poza przyjaźnią i mała musi to zrozumieć. Kropka.

Kupił dwa sandwicze z indykiem i ruszył do samochodu. Jakieś zamieszanie po drugiej stronie ulicy przyciągnęło jego uwagę. Bev, właściciel sklepu z odzieżą, stał na chodniku i wygrażał pięścią grupce nastolatków, coś krzycząc w ich kierunku.

Dzieciaki na gigantcie, mali uciekinierzy z domów. Chance pokręcił głową z dezaprobatą. Sporo ich kręciło się w Boyton i często przychodzili do Taylora. Kiedy się pojawiali, zwykle całą paczką, szef Chance'a kazał personelowi bacznie obserwować małych. Wiadomo było, że przychodzili kraść, ale od kiedy Chance zaczął pracować w sklepie, udało się przyłapać tylko jednego złodziejzka. Chłopak próbował zwinąć torbę ciastek,

paczkę spaghetti i bochenek chleba. Wpadł właśnie przez chleb, bo bochenek wysunął mu się spod kurtki, kiedy spryciarz był już przy wyjściu.

Chance obserwował awanturę pod sklepem Beva, gdy wtem drobna dziewczyna odwróciła się w jego stronę. Zamarł. Wyglądała zupełnie jak Skye. Niemożliwe! Skye jest przecież w domu!

Jakiś chłopak otoczył ją ramieniem i pocałował. Nie, to nie jest Skye, powtórzył sobie Chance i biegiem ruszył do samochodu.

Jeśli okaże się, że to ona, zabije tę smarkulę.

Podjechał pod sklep Beva i z piskiem opon zatrzymał się przy krawężniku. Skye! Zacisnął dłonie na kierownicy tak wściekły, że z trudem oddychał.

Sądząc z tego, w jakiej poufałości była z obejmującym ją chłopcem, już od dłuższego czasu musiała spotykać się z tymi małolatami.

Chance odkręcił szybę od strony pasażera.

- Skye!

Na widok Chance'a zbladła jak płótno.

- Wsiadaj natychmiast do samochodu! Już!

Chłopiec zagrał mu na nosie. Chance'owi zrobiło się ciemno przed oczami. Wyskoczył z samochodu i chwycił Skye za ramię.

- Puść, boli! - syknęła.

- To dobrze! Zasłużyłaś sobie, żeby bolało.

- A ty co, z choinki się urwałaś? - zawołał zaczepnie towarzysz Skye, ale na wszelki wypadek trzymał się

z daleka.

Chance otworzył drzwiczki, wepchnął Skye do samochodu i odwrócił się do chłopca:

- Jestem jej bratem i możesz być pewien, że więcej jej nie zobaczysz. Dotarło?

Nie czekając na odpowiedź, usiadł za kierownicą i ruszył jak wariat. Był wściekły jak nigdy. Miał wrażenie, że za chwilę eksploduje, rozpadnie się na kawałki.

- Od jak dawna mnie okłamujesz, Skye? Od jak dawna włączysz się z tymi... łajzami?

Skye wpatrywała się w okno i nawet nie raczyła odpowiedzieć.

- Mów, do cholery! Od jak dawna?

- Nie twój zasrany interes.

- Długo, sądząc po tym, jakiego języka używasz. Mam nadzieję, że zdążyłaś się z nimi pożegnać, bo więcej ich już nie zobaczysz. Zrozumiałaś, panienko? Koniec znajomości.

- To moi przyjaciele! - krzyknęła, odwracając się ku Chance'owi. - Nie będziesz mi mówił, co mam robić, z kim się spotykać, dokąd chodzić. Mogę...

- Nic nie możesz, tylko będziesz mnie słuchać. Będziesz robiła to, co ci powiem. Koniec, kropka!

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Kiedy byli już blisko parkingu, na którym stała ich przyczepa, Skye przerwała milczenie.

- Nienawidzę cię - mruknęła z wściekłością. - Żałuję, że w ogóle cię spotkałam.

- Nie ty jedna tu nienawidzisz i żałujesz. Dopiero teraz widzę, jaka z ciebie zaraza - odpłacił jej Chance pięknym za nadobne, z piskiem opon podjeżdżając pod ich dom na kółkach. - Powinienem ci przyłać.

- Sprawiłoby ci to przyjemność, prawda? Zboczeniec!

- Przypomnij sobie z łaski swojej wczorajszy wieczór, a dopiero potem wyzywaj ludzi od zboczeńców.

Skye ze łzami w oczach wyskoczyła z samochodu.

Chance chwycił ją za ramię, zanim dopadła drzwi przyczepy.

- To ten chłopiec podsuwa ci takie pomysły? Ten, który tak się kleił do ciebie? Chryste, Skye...

- Kevin przynajmniej uważa, że jestem ładna. - Wyrwała się Chance'owi. - I lubi mnie całować.

- Powinienem był się domyślić - powiedział Chance cicho, bliski obłędu na myśl, że ktoś mógł dotykać Skye. - Twój sposób zachowania, twój język. Te szmatławe małolaty chciały zrobić z ciebie taką samą szmatę. Złodzieje i ćpuny!

- Oni wcale tacy nie są. Kevin nie jest taki. To moi przyjaciele i ja...

- Zabraniam ci widywać się z nim, słyszysz? Z nim i z całą resztą.

- A co z twoją hieną? Ty możesz się spotykać, z kim chcesz, ale mnie nie wolno, tak? Byłeś taki napalony i aż dziw, że jej nie przeleciałeś.

Chance mimo woli cofnął się o krok i osłupiały patrzył na Skye.

Ten język, sformułowania, myśli.

Gdzie podziała się ta słodka dziewczynka, która tuliła się do niego z płaczem? Czyżby odeszła na zawsze?

- Po pierwsze - zaczął spokojnie - nigdy więcej nie mów do mnie w ten sposób. Nigdy! Po drugie, mogę spotykać się z dziewczynami, bo mam osiemnaście lat i jestem dorosły. Ty masz trzynaście i...

- I jestem dzieckiem. To chciałeś powiedzieć?

- Tak.

- Oszczędź sobie tych morałów. Nie jestem niemowlęciem!

- Przekręciła klucz w zamku i weszła do przyczepy.

- To zachowuj się jak osoba dorosła. - Chance zatrzasnął drzwi.

- Nie jesteś moim bratem. Nie będziesz mi mówił, jak mam się zachowywać.

- Masz rację, nie jestem. I nie muszę się tobą opiekować.

- Chance trząsał się ze złości. - Ja też chcę żyć jak człowiek. Myślisz, że mam ochotę zasuwać cały dzień? Tak mieszkać? Nie mam przyjaciół, żadnych przyjemności, rozrywek. Nie mam przyszłości. Jesteś mi kamieniem u szyi.

Skye pobladła.

- Co ty mówisz?

- Jeśli chcesz się zadawać z tymi złodziejami na gigancie i włączyć się z tym swoim chłopakiem, proszę bardzo, droga wolna. Chcesz skończyć w rynsztoku, zrób to. Ale jeśli do nich pójdziesz, już do mnie nie wrócisz, bo mnie tu nie będzie. Rozumiesz? Chcę wreszcie zająć się sobą.

- Nienawidzę cię.

- Już to mówiłaś, mała. Powtarzasz się. Skoro tak mnie nienawidzisz, to zabieraj się! Ja muszę wracać do pracy, żeby zarobić na tę norę.

Podszedł do drzwi i odwrócił się w progę. Skye zdawała się taka samotna, opuszczona i zagubiona. Znowu była tą małą dziewczynką, którą dotąd znał i która była mu tak bliska.

Nie, żadnej litości, powiedział sobie twardo. Nie miał siły współczuć Skye. W tej chwili litował się przede wszystkim nad sobą.

Wstrętne uczucie, tak jak wstrętne było całe ich życie.

- Tak samo jak ty mam dość wszystkiego. Pamiętaj o tym, kiedy pomyślisz, jaki ze mnie podły drań.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Po wyjściu Chance'a Skye długo leżała na łóżku, wpatrując się w sufit. W uszach dźwięczało jej jeszcze echem to, co powiedział.

„Jesteś mi kamieniem u szyi”.

Podniosła się i zaczęła wrzucać do torby swoje rzeczy: ubrania, przybory toaletowe, kredki, szkicownik. Zawahała się na moment przy pastelach, które dostała na urodziny, ale w końcu i one powędrowały do torby.

Zapomni o tym chłopaku, tak jak udało się jej zapomnieć o mamie. Nienawidziła ich oboje. Byłoby lepiej, gdyby nigdy nie spotkała ich na swojej drodze. Zamieszka z Kevinem i resztą paczki, jeżeli tylko przyjmą ją do siebie. Jeśli nie, zastanowi się, co robić dalej.

Nie będzie dłużej nikomu kamieniem u szyi.

Po raz ostatni omiotła wzrokiem pustą przyczepę i wybiegła na zewnątrz.

Przed drzwiami zderzyła się z Kevinem.

- Uważaj, mała! Pali się?

Wypuściła torbę i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Tak się cieszę, że cię widzę. - Zaczęła płakać. - Nienawidzę mojego brata. To idiota!

- Dupek, chciałaś powiedzieć. Zgred.

- Przyszedeś, bo się o mnie martwiłeś? - Skye podniosła wzrok na Kevina.

- Jasne. Nie pękaj, mała! Jestem z tobą.

- Przepraszam cię za jego zachowanie - powiedziała, ocierając oczy. - Bałam się, że po tym, co ci nagadał, nie będziesz chciał ze mną rozmawiać.

- Co tam! To nie twoja wina, że z niego taki dupek. - Uśmiechnął się. - Znajdzie się w tej budzie jakiś browar?

- Chyba tak. Chodźmy do środka. - Skye wyjęła piwo z lodówki i zaczęła opowiadać o awanturze z Chance'em, a także o tym, że postanowiła uciec. - Powiedział, że jestem mu kamieniem u szyi.

Obejrzała się, ale Kevin nie słuchał jej, tylko z zainteresowaniem rozglądał się po wnętrzu.

- Kev?

- Mów, mów - rzucił.

- No więc postanowiłam uciec, nawet spakowałam już swoje rzeczy. - Z trudem powstrzymywała łzy. - Mogłabym zamieszkać razem z wami?

- Jasne! - Kevin uśmiechnął się. - Ale będziesz musiała sama myśleć o sobie. Czasami naprawdę jest ciężko. Trzeba robić rzeczy, na które człowiek nie ma ochoty. Taka jest cena wolności.

- Nie boję się. Zrobię wszystko, żeby tylko nie być z Chance'em. Moglibyśmy już pójść?

- Po co ten pośpiech? Braciszek chyba nie wróci tak szybko, co?

- Nie, ale...

- No to wyluzuj. - Kevin wypił łyk piwa i zaczął po kolei otwierać wszystkie szuflady w kuchni.

Skye nie spodobało się to myszkowanie.

- Spakowałam już wszystkie swoje rzeczy, Kev, są w torbie.

- I co z tego?

- To, że reszta należy do Chance'a.

- Mówiłem ci, musisz myśleć o sobie. Może przyda ci się coś z jego rzeczy. - Nie zwracając uwagi na Skye, Kevin zajrzał do lodówki, potem do zamrażalnika. Odchrząknęła, coraz bardziej zdziwiona i zażenowana jego zachowaniem.

- Chciałabym już stąd iść, Kev.

- Ej, a to co takiego? - Z puszkii po kawie wyciągnął zwitek banknotów. - Bingo, mała! Będziemy mieli kasę.

- Nie, Kevin! - Skye przyskoczyła do niego jednym susem.

- To pieniądze na czynsz. Chance będzie ich potrzebował.

Kevin ze śmiechem uniósł wysoko dłoń, w której trzymał banknoty.

- My też.

Nie mogła się na to zgodzić. Nienawidziła Chance'a, była na niego wściekła, ale nie zamierzała go okradać. Pokręciła głową.

- Odłóż pieniądze z powrotem na miejsce.

- Uprzedzałem cię, mała, jeśli chcesz być ze mną, czasami będziesz musiała robić rzeczy, na które nie masz ochoty. Wiesz co? - Zmierzył ją pogardliwym wzrokiem. - Nie pasujesz do nas.

- Chcę być z wami, ale jak Chance nie zapłaci czynszu, to straci mieszkanie.

- Gównu mnie to obchodzi! - Kevin wsunął banknoty do kieszeni. - Chodź, mała! Kev się tobą zajmie.

- Najpierw odłóż pieniądze na miejsce.

Kevin podszedł do Skye i stanął naprzeciwko niej.

- Skoro tak ci zależy, odłożę je. Ale musisz być dla mnie bardzo, ale to bardzo miła. Wiesz, o czym mówię. - Otworzył ramiona. - Chodź do mnie.

Nie chciała całować się teraz z Kevinem, ale gdyby odmówiła, nie odłożyłby pieniędzy Chance'a. Cuchnął piwem, przy pierwszym pocałunku próbował wsunąć jej język w usta. Wyrwała się.

- Nie, Kevin... nie.

- Wybacz, maleńka. - Chwyił ją za włosy i znów przyciągnął do siebie. - Musisz się jeszcze sporo nauczyć. Kev ci pokaże, jak się to robi.

Zaczęła się szarpać, kopać i drapać. Wreszcie udało się jej odchylić i zdzielić go z całej siły w twarz.

Uniósł dłoń do policzka, w pierwszej chwili zdumiony, a potem wściekły.

- Ty głupia kurewko! Nikt mnie nie będzie bił.

Rzuciła się ku drzwiom, lecz on chwycił ją za włosy i pociągnął do tyłu. Straciła równowagę i upadła na podłogę. W jednej chwili przycisnął ją do ziemi i zaczął całować po twarzy, po szyi.

Nie mogła się ruszyć.

Zaraz mnie zgwałci, przemknęło Skye przez głowę.

Razem z tą myślą spadło na nią mroczne wspomnienie, pozbawione formy, czarne i zatrważające. Kiedyś już tak było. Kiedyś ktoś próbował jej tak dotykać, jak teraz Kev.

Z piersi Skye wydarł się głośny, histeryczny krzyk. Ucisk zelżał na ułamek sekundy. Kopnęła na oślep, usłyszała jęk i znowu zwałił się na nią przygniatający do ziemi, niepozwalający oddychać ciężar.

- „Nie” to znaczy „nie”, dupku!

Nagle mogła zaczerpnąć powietrza. Była wolna. Łkając, zaczęła się czołgać do tyłu, aż natrafiła na ścianę. Drzwi przyczepy były otwarte, w ostrym świetle zobaczyła dwie postacie. Chance! Uratował ją.

Widziała, jak Kevin zatacza się, odrzucony do tyłu siłą ciosu Chance'a. Bluznęła krew, chłopak uderzył o ścianę i osunął się powoli, jak szmaciana lalka, na podłogę.

Chance był już przy niej, przyklęknął.

- Skye, kochanie, nic ci się nie stało? - Szukając obrażeń, delikatnie dotykał jej twarzy, rąk i nóg. - Kiedy go zobaczyłem...

Słowa uwięzły mu w gardle. Skye wybuchnęła płaczem i objęła Chance'a za szyję.

- Tak się ba... bałam. On powiedział, że jak... nie... to on...

- Już dobrze, już po wszystkim.

Nie było po wszystkim. Kevin podniósł się. W ręku miał nóż. Skye krzyknęła, ale jej ostrzeżenie przyszło za późno. Chance tylko zdążył się odwrócić. Zobaczyła dłoń wzniesioną do ciosu i błysk ostrza.

Chance zatoczył się do tyłu, na jego podkoszulku pojawiła się krew.

- Nikt nie będzie mnie bił. Ani straszył. Jasne? - Kevin zamierzył się nożem po raz drugi.

Skye z przeraźliwym krzykiem rzuciła mu się na plecy. Drapała, kopała, wpiła paznokcie w kark napastnika. Nóż wysunął mu się z dłoni i upadł na podłogę. Kevin odwrócił się, odrzucił Skye do tyłu mocnym ciosem.

Teraz obaj przeciwnicy przetoczyli się po podłodze, ząbując walcząc o nóż. Kevin pierwszy zacisnął palce na rękojeści, lecz Chance łokciem trafił go w ramię i wytrącił mu broń. Zerwał się na równe nogi, już z nożem w ręku.

Stał, dysząc, nad chłopakiem.

- I kto teraz jest górą, co? - Kopnął napastnika. - Ona ma dopiero trzynaście lat, sukinsynu. To jeszcze dziecko. - Ponownie kopnął Kevina, a ten zwinął się w kłębek z głośnym jękiem. - Mógłbym cię teraz zabić, ty worku główna.

Skye nie widziała Chance'a jeszcze takim: w ataku furii, blady jak ściana, z nabrzmiętymi żyłami na czole i na szyi, z najwyższym trudem panował nad sobą. Nagle zdała sobie sprawę, że naprawdę gotów jest zabić. Oplotła go ramionami od tyłu, krępując ręce.

- Nie, Chance. Nie możesz. Zostaw go... proszę.

Kevin bełkotał coś, czołgał się do drzwi, błagał o życie.

Skye czuła, że atak furii Chance'a mija. Chłopak powoli wracał do siebie. Zaczął trząść się jak osika, odwrócił się do Skye i objął ją. Przytuliła twarz do jego skrwawionej piersi. Był ranny, mógł przez nią zginąć. Co by się z nią stało, gdyby go straciła? Co by było, gdyby w porę nie wrócił do domu?

- Wybacz mi - powtarzała. - To moja wina. Wszystko...
moja wina. Ja nie chciałam! Nie pogardzaj mną, Chance,
nie czuj do mnie nienawiści. Nie zostawiaj mnie! Zrobię
wszystko, co każesz, tylko mnie nie zostawiaj.

Chance nie odezwał się.

Tulił Skye do siebie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Chance siedział na łóżku i przyglądał się śpiącej Skye. Dotknął lekko siniaka na jej policzku i odwrócił głowę.

Kiedy zobaczył dzisiaj tego drania, przestał panować nad sobą. Gdyby Skye go nie powstrzymała, zabiłby łajdaka. Na domiar złego Kevin zabrał pieniądze na czynsz.

Dzięki Bogu, że wrócił na czas do domu. Taylor, widząc, w jakim Chance jest stanie, kazał mu zostawić pracę i ochłonąć. Nie mógł teraz spokojnie myśleć, co by było, gdyby nie posłuchał swojego szefa.

Przetarł oczy. Zażył cztery pastylki przeciwbólowe, ale głowa nadal pękała, a rana dokuczała.

Najbardziej jednak bolało go serce.

Kochał Skye. Zrozumiał, jak bardzo jest mu droga, kiedy zobaczył tego szczeniaka, który próbował ją zgwałcić. Była jego podopieczną, jego siostrą, najlepszą przyjaciółką.

Zdławił jęk wydzierający się z piersi.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że nie mogą tak dłużej żyć. Skye powinna chodzić do szkoły, mieć koleżanki i normalny dom.

On sam też powinien coś zrobić ze swoim życiem i pomyśleć o przyszłości. Jaki los go czeka? Jaki los czeka Skye?

Zamknął oczy. Nadszedł czas, by zmierzyć się wreszcie z prawdą.

Powinien znaleźć dla Skye rodzinę zastępczą i rozstać się z tą małą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Michael i Sara Forrest byli miłymi ludźmi, dawnymi hippisami z lat sześćdziesiątych.

Sara była artystką, zajmowała się produkcją biżuterii oraz wykładała rzemiosło artystyczne na Northern Illinois University w Dekalb, gdzie prowadziła kursy dla dorosłych. Nosila okulary w drucianej oprawie, takie same jakie nosił John Lennon, długie spódnice i zwiewne bluzy. Michael zajmował się farmą, był cichym, łagodnym człowiekiem z awersją do rządu i wszelkich form przemocy.

Chance znalazł ich poprzez ogłoszenie. W lokalnej gazecie przeczytał, że Michael szuka pomocy w gospodarstwie na lato, kogoś, kto zgodzi się pracować za niewielką pensję, utrzymanie i mieszkanie. Pewnie oczekiwał, że zgłosi się jakiś student, tymczasem pojawił się Chance ze Skye.

Farma była niewielka, kilka zabudowań, pole kukurydzy i to wszystko. Niewielka, ale za to malownicza. Ocieniony klonami drewniany dom z przestronnym gankiem sprawiał bardzo miłe wrażenie.

Sara i Michael wzięli oboje pod swoje skrzydła. Nie kwestionowali wersji Chance'a, że są osieroconym rodzeństwem, nie zadawali żadnych zbędnych pytań. Po raz pierwszy od ucieczki z lunaparku Marvela Skye znowu poczuła się bezpieczna, Chance widział to w jej oczach.

Jego natomiast dręczył niepokój, że życie przecieka mu między palcami i jeśli teraz nie pomyśli o swojej przyszłości, nim się obejrzy, będzie za późno.

Uznał, że może zostawić Skye u Forrestów. Sara zupełnie oszalała na punkcie tej dziewczyny i wyglądało na to, że mogła być świetną matką, a Michael znakomitym ojcem. Własnych dzieci nie mogli mieć i bardzo nad tym boleli.

Zszedł powoli do piwnicy, gdzie Sara miała swoją pracownię. Wiedział, że znajdzie ją tam w towarzystwie Skye.

Uśmiechnął się. Mieszkali zaledwie tydzień na farmie, a Skye już zaczynała rozkwitać pod czułym okiem Sary.

Tak, podjął słuszną decyzję i miał nadzieję, że Skye wszystko zrozumie i mu wybaczy. Jeśli nie teraz, to w przyszłości. Robił to w końcu nie tylko dla własnego, ale również dla jej dobra.

Skye podniosła głowę. Sara właśnie pokazywała jej, jak umocować zapięcie naszyjnika. Chance wciągnął głęboko powietrze. Dobrze wiedział, jak bardzo będzie tęsknił za Skye, jak bardzo będzie mu jej brakowało.

- Zobacz - oznajmiła z dumą, podnosząc naszyjnik. - Prawie gotowy.

- Śliczny - mruknął.

- Sara mówi, że niedługo zaczniesz mnie uczyć odlewania metodą traconego wosku - mówiła podniecona. - Może nawet w tym tygodniu.

- Niewykluczone - wtrąciła Sara. - Uczysz się bardzo szybko i jesteś gotowa, żebyśmy przeszły do następnego

etapu.

- Słyszysz, Chance? Jestem gotowa.

- Słyszę, słyszę. - Rozwiały się ostatnie wątpliwości Chance'a. Skye mu kiedyś podziękuje.

Pozostała najważniejsza kwestia, jak i kiedy powiedzieć jej o tym, co postanowił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Skye obudziła się z uśmiechem i leniwie przeciągnęła. Dobrze jej było u Sary i Michaela. Znaleźli tu z Chance'em prawdziwy dom.

Rodzinę.

Ostatnie dwa miesiące były takie cudowne, że niemal zapomniała o okropnych wydarzeniach w Boyton, chociaż nie potrafiła całkowicie wyrzucić ich z pamięci.

Chance mógł zginąć, a wszystko przez jej lekkomyślność i brak rozwagi. To doświadczenie odmieniło ją. Zmieniły się też stosunki między nią i Chance'em. Inaczej na nią patrzył, inaczej się do niej zwracał. Teraz mieli Sarę i Michaela. Skye usiadła w pościeli i podciągnęła kolana pod brodę.

Sara twierdziła, że Skye ma talent. Zabrała nawet dziewczynkę na uniwersytecki wydział sztuki, gdzie wykładała. Skye bardzo się tam podobało.

Z podziwem oglądała prace studentów. W porównaniu z ich dokonaniem jej własne wydały się jej mizerne. Sara śmiała się z tych niepokojów, tłumaczyła, że Skye jest dużo młodsza od jej uczniów i że nie ma jeszcze takiego jak oni doświadczenia, ale że za to ma znacznie większy talent niż większość z nich.

Wzięła leżącą na szafce nocnej zapinkę i zaczęła ją obracać. Jej pierwsza praca wykonana metodą traconego wosku. Nauka pod okiem Sary zdawała się jej czystą magią. Zapominała wtedy o całym świecie, myślała tylko o procesie

powstawania biżuterii. W takich chwilach nie pojawiały się nawet bolesne wspomnienia o mamie.

Potarła czoło. Dlaczego właśnie dzisiaj pomyślała o Claire?

Nagle zdjęło ją przerażenie, że Chance też odejdzie. Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Nie, Chance by tego nie zrobił. Teraz, kiedy wreszcie szczęście się do nich uśmiechnęło, a życie wydawało takie cudowne.

Zarzuciła szlafrok i zbiegła na dół. Sara krzątała się w kuchni, przygotowywała śniadanie.

- Saro, gdzie Chance? - Na wołanie Skye Sara wypuściła z rąk miseczkę i fajans rozprysł się na podłodze. Sara zaklęła pod nosem, czego nigdy nie robiła.

- Gdzie Chance i Michael?

- Michael... jest na podwórku. Zaraz go zawołam. - Otworzyła drzwi i uderzyła w gong, który wisiał na zewnątrz i służył do wzywania na posiłki.

- Saro, gdzie jest Chance? - denerwowała się Skye. - Dlaczego tak na mnie patrzysz? Stało się coś?

- Skye, kochanie, usiądź.

Kiedy wszedł Michael, małżeństwo wymieniło zaleźnione spojrzenia. Skye zakręciło się z głowie. Nie, to niemożliwe. Dlaczego?!

- Kochanie... poszłam obudzić go dziś rano i...

Skye cofnęła się.

- Nie chcę tego słuchać.

Sara spojrzał bezradnie na męża. Michael odchrząknął:

- Chance odszedł, kochanie. Przykro mi. Jego rzeczy zniknęły.

- To nieprawda! - zawołała Skye, szarpiąc się gwałtownie pod dotknięciem Sary. Pobiegnęła na górę, do pokoju Chance'a. Zobaczyła pustą szafę, opróżnioną komodę.

Żadnego listu, kartki, słowa pożegnania. Niczego.

Czego się spodziewała?

Była mu przecież kamieniem u szyi.

Usiadła ciężko na łóżku. Nigdy mu nie wybaczy! Nigdy.

- On wróci, skarbie. Na pewno wróci. - W progu stanęła zafrasowana Sara.

Skye łzy podchodziły do gardła, nie pozwalały oddychać. Zostawił ją, tak jak kiedyś zrobiła to mama.

- Rozmawialiśmy o tym... - zaczęła Sara. - Dopóki Chance nie wróci, możesz zostać z nami.

- On nie wróci. Odszedł na zawsze - wykrztusiła Skye.

Sara zrobiła krok w jej stronę.

- Zobaczysz, wróci. W końcu jesteś jego sio...

- Nie! Wszyscy mnie zostawiają.

Część piąta

FORTUNA

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Chicago, Illinois, 1996

Dla Chance'a była to miłość od pierwszego wejrzenia. Ledwie ujrzał to miasto, od razu wiedział, że mu się poszczęści, bo tu obowiązuje jeszcze etyka ciężkiej pracy i człowiek taki jak on będzie mógł czegoś dokonać, zrealizować swoje amerykańskie marzenie.

Chciał mieć władzę i pieniądze, był spragniony jednego i drugiego, a przy tym wiedział, że w tym mieście po prostu musi mu się udać.

Pragnął przyspieszyć swoją wędrówkę ku dostatniemu życiu. Nie zamierzał ubiegać się o pracę w biurze, bo i tak by jej nie dostał, a nawet gdyby, w ten sposób na pewno nie zrealizowałby swoich planów.

Postarał się o pozycję odźwiernego w Ritzu.

Obserwował bogatych. Jak się ubierają, co jedzą, jak się zachowują. Patrzył i notował wszystko w pamięci. W dni wolne chodził po sklepach, ale nie po to, by kupować, lecz tylko oglądać luksusowe rzeczy. Kiedy już nauczył się w Ritzu wszystkiego, czego tylko mógł, podjął pracę w Palm Court, jednej z droższych restauracji w samym sercu miasta.

Patrzył, zapamiętywał, potrafił powiedzieć, kto i dlaczego jest najważniejszy przy stoliku. Serwował dania i bezwstydnie przysłuchiwał się rozmowom.

Czekał na okazję, pewny, że ta prędeż czy później się nadarzy.

Zapisał się na studia wieczorowe, zgłębiał tajniki marketingu, reklamy i ekonomii. Instynktownie wyczuwał działanie rynku, wiedział, na co może być popyt, co przyniesie zysk.

Wykładowcy mówili mu, że jest jednym z najlepszych studentów, natomiast koledzy albo go lubili, albo nim pogardzali.

Dwa lata po rozpoczęciu studiów otrzymał pierwszą pracę w agencji. Pięć lat po przyjeździe do Chicago zaczął piąć się po drabinie sukcesu, aż został wiceprezesem, specjalistą od public relations w wielkiej spółce Adams & Sloane. Dwanaście lat później otworzył własną firmę McCord Public Relations.

Nic go już nie mogło powstrzymać.

Los się do niego uśmiechnął.

Rozparł się w skórzanym fotelu i wypił łyk szampana. Miał już gotową strategię. Jutro zacznie działać, zajadłe walczyć, by z jego usług zaczęły korzystać największe spółki.

Uśmiechnął się do siebie. Zrobi wszystko, by zabiegano o jego usługi, żeby znane firmy zaczęły składać u niego zamówienia. Uczyni wszystko, by otworzyły się przed nim magiczne drzwi do prawdziwej kariery.

Uniósł kieliszek w toaście za przyszłość, odwrócił się w stronę okna i spojrzał na błękitne niebo bez jednej chmurki. Jak oczy Skye. Często o niej myślał, chociaż nigdy

nie żałował swojej decyzji. Tęsknił za nią, ale wiedział, że z Sarą i Michaeliem będzie jej najlepiej.

Szkoda, że nie mógł się z nią pożegnać. To bolało. Nadal, po tylu latach, nie dawało mu to spokoju.

Czy Skye mu wybaczyła? Czy była szczęśliwa? Tyle razy w minionych latach zadawał sobie to pytanie, wiedział jednak, że na pewno dała sobie radę. Była silna i zdeterminowana, podobnie jak on.

Ponownie uniósł kieliszek w niemym toastie. Tym razem za pomyślność Skye.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Rhode Island School of Design, 1996

- Skye! Zaczekaj!

Skye zatrzymała się i odwróciła. W jej stronę przez szkolny parking szybkim krokiem szła Roxy, koleżanka ze studiów podyplomowych w szkole projektowania na Rhode Island, w Providence.

- Słyszałam! - zawołała zadyszana Roxy. - Dziewczyno, ale masz szczęście! Wystawa w Museum of Modern Art! Lepiej już być nie może!

Skye uśmiechnęła się nieznacznie. Dzisiaj dowiedziała się, że jej prace zostaną pokazane w MOMA w Nowym Jorku, najbardziej prestiżowym muzeum w Stanach. Na przygotowywaną tam właśnie wystawę biżuterii zgłosili swoje dzieła artyści z całego świata, lecz tylko nieliczne zostały włączone do pokazu. Między innymi właśnie jej prace.

- Sama nie mogłam w to uwierzyć - przyznała.

- Zaczynasz robić karierę - mówiła Roxy, szukając po kieszeniach papierosów. - Dzisiaj wieczorem idziemy całą paczką na piwo. Może się przyłączysz? Powinnaś uczyć tę tak dobrą nowinę.

Skye pokręciła głową.

- Dzięki za zaproszenie, ale nie pójdę.

- Daj spokój, dzisiaj piątek. Znowu będziesz tkwiła sama w swojej pracowni? Zdziwaczejesz w samotności.

- Samotność nie jest wcale taka zła, a nieraz dużo lepsza od życia pełnego przygód. Do zobaczenia w poniedziałek.

Skye odwróciła się i powoli odeszła. Wiedziała doskonale, co myśli o niej Roxy oraz inni koledzy z roku. Uważali ją za nudną, zamkniętą snobkę, która ma się za lepszą od nich. No cóż, nie mogli zrozumieć, że praca jest dla niej wszystkim.

Skye nie uważała się ani za nudziarę, ani za snobkę, ale praca była dla niej rzeczywiście wszystkim.

Wsiadła do swojego hundaia, a po drodze do domu kupiła kurczaka po tajsku i butelkę wina. W końcu musiała uczcić wiadomość o udziale w wystawie w MOMA.

MOMA. Pokręciła z niedowierzaniem głową. A więc udało się i jej prace będą pokazywane w najlepszym muzeum w Stanach, może nawet najlepszym na świecie.

Dotarwszy do swojego mieszkania, otworzyła drzwi i natychmiast z kuchni wypadł Pan Muu. Z dzikim piskiem radości skoczył jej łapami na piersi i zaczął lizać ją po twarzy, śliniąc przy tym okrutnie, po czym odtańczył wokół niej jakiś obłądny taniec. Pięćdziesiąt kilogramów samego szczęścia, biało-czarne gęste futro i wielkie psie serce. Pan Muu był jej najlepszym przyjacielem. Kochał ją ślepo i bezwarunkowo, chociaż czasami Skye myślała, że ona kocha go jeszcze bardziej.

W pewnym sensie byli podobni do siebie. Znalazła go, gdy był jeszcze szczeniakiem, porzuconego na poboczu szosy,

i bez namysłu przygarnęła. Nazwała go Panem Muu, bo był wielkim jak krowa, biało-czarnym niezgrabiaszem.

Przyklękła przy psie.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, mój staruszk. Masz ochotę na spacer? - bardziej stwierdziła, niż zapytała. - Idź po swoją smycz i wychodzimy. Pospiesz się.

Poszła za Panem Muu do kuchni i odstawiła zakupy na blat kuchenny. Pan Muu już stał ze smyczą w pysku i pełnym oczekiwania spojrzeniem.

Po powrocie ze spaceru, na który to raczej on wyprowadzał Skye niż ona jego, zjadła kurczaka i z kieliszkiem wina w dłoni zwinęła się na kanapie.

- Musimy zadzwonić do Sary. Ucieszy się z dobrej nowiny - powiedziała, zwracając się do psa.

Sara. Skye zawdzięczała jej wszystko. To ona wprowadzała ją w tajniki wykonywania biżuterii, nieustannie zachęcała i zapewniała o wielkim talencie. To wreszcie Sara pozwoliła jej pozbierać się po odejściu Chance'a. Bez niej nie dałaby sobie rady. Zwinęłaby się w kłębek i umarła. Nie potrafiła jednak kochać Sary całym sercem, gorąco i bezwarunkowo, tak jak matkę. Próbowwała, ale bała się, bo ci, których kochała, zawsze odchodzili, zadając jej straszliwy ból. A ona nie chciała już cierpieć.

- Zjesz deser? - zagadnęła Pana Muu. Pies zaszczekał radośnie, słysząc to cudowne słowo. Przełamała ciastko na pół i rozwinęła ukrytą w środku kartkę z wróżbą. - „Przed tobą sława i bogactwo”. Muu, cieszysz się? - Przełamała drugie ciastko, tym razem dla siebie.

„Uważaj, czego sobie życzysz.

Życzenie może się spełnić”.

Patrzyła na kartkę rozbawiona. Co to miało być? Ostrzeżenie? Pokręciła głową.

Czego sobie życzyła?

Po pierwsze: sławy. Chciała być znaną, wziętą projektantką, o której będzie głośno. Taką jak Paloma Picasso, Angela Cummings czy Dorothy Monarch.

Po drugie, życzyła sobie wielkiej miłości, ale takiej, której nie musiałaby się bać. Za nic nie chce żyć w strachu, że jej ukochany któregoś dnia ją zostawi.

Po trzecie, chciała odnaleźć matkę, choć zdawała sobie sprawę, że to niemądre, wręcz dziecinne marzenie. Chciała usłyszeć od niej, że ich rozstanie było wielkim błędem, ogromną pomyłką.

I chciała zobaczyć jeszcze kiedyś Chance'a, ale tylko po to, żeby zrozumiał, jak okrutnie wobec niej postąpił.

Odstawiła kieliszek. Wino nagle nabrało cierpkiego smaku. Po co zaczęła wyliczać życzenia? Skoro jednak zaczęła, dokończy.

Chciała poznać wreszcie tajemnicę swojego dzieciństwa i pochodzenia, której matka tak pilnie strzegła.

Co mogło być złego w jej życzeniach? Dlaczego wróżba miałaby być ostrzeżeniem?

Gdyby jej marzenia się spełniły, byłaby najszczęśliwszą osobą na Ziemi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Chicago, Illinois, 1996

Griffen patrzył na wizytówkę, którą przed chwilą położyła przed nim sekretarka.

„McCord Public Relations
Chance McCord
Prezes”

Kiedyś słyszał już to nazwisko, miał naprawdę doskonałą pamięć. Powtórzył w myślach kilka razy: Chance McCord. Był pewien, że zetknął się już z tym człowiekiem.

Tak. To było wtedy, kiedy prywatny detektyw natrafił na ślad Madeline i Grace, rozmawiał z jakimś wyrostkiem, który tak się nazywał.

Może to jakiś ślad prowadzący do Grace?

Jego Grace. Griffenowi serce zaczęło bić mocniej. Czyżby? Grace przepadła bez śladu. Nawet dziadek zrezygnował z poszukiwań, tylko on jeden nie tracił nadziei, że któregoś dnia odzyska przyrodnią siostrę.

- Panie Monarch? - Do gabinetu zajrzała rozemocjonowana sekretarka. - Paloma Picasso na linii pierwszej.

- Powiedz jej, że zadzwonię do niej później.

- Słucham? - Dziewczyna patrzyła na szefa jak na nienormalnego.

- Teraz nie mogę odebrać. Zadzwonię później.

- Ale ona... dzwoni aż z Pekinu. Tyle czasu próbowaliśmy...
- Nie obchodzi mnie, ile czasu próbowaliśmy i z jak daleka telefonuje. Powiedz, że oddzwonię, i przyjdź tutaj. Muszę z tobą porozmawiać.

Kiedy dziewczyna wróciła, podsunął jej wizytówkę.

- Co możesz mi powiedzieć o tym człowieku?
- Już panu mówiłam, przyszedł zaproponować swoje usługi. Chciał się widzieć z panem. Nie wpuściłam go, ale obiecałam pokazać panu jego wizytówkę.

- Jak wyglądał?

- Jak wyglądał? - Dziewczyna zaczerwieniła się. - Przystojny, wysportowany, zadbany. Chłopięca uroda. Typ Kalifornijczyka. Jasne włosy, jasne oczy. Miły uśmiech, dołeczki w policzkach. Ambitny, bystry.

- Ile mógł mieć lat?

- Nie wiem. Trzydzieści, trzydzieści dwa.
- Bądź w pobliżu, bo będę cię za chwilę potrzebował, ale najpierw muszę coś znaleźć w gabinecie ojca.

Wszedł, nie czekając na odpowiedź, i przeszedł do pustego gabinetu ojca. Pierce rzadko bywał w firmie. Tak bardzo podupadł na zdrowiu, że Griffen od dwóch lat praktycznie sprawował funkcję prezesa.

Zaczął szukać teczki z raportem sprzed trzynastu lat. Tak, pamięć go nie zawiodła. Chłopiec, z którym rozmawiał prywatny detektyw, nazywał się Chance McCord.

Przyjaźnił się z Madeline i Grace, chociaż znał je jako Claire i Skye Dearborne. W raporcie nie było nic interesującego; jeszcze tylko niewyraźne zdjęcie chłopca,

zrobione teleobiektywem. Wiek się zgadzał, wygląd też. Griffen schował zdjęcie do kieszeni i wyszedł z gabinetu, ignorując pełne wrogości spojrzenie pani Fitzpatrick, sekretarki ojca.

Wreszcie znalazł jakiś punkt zaczepienia, jakiś trop. Teraz nikt mu już nie przeszkodzi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

San Francisco, Kalifornia, 1996

Na posterunku policji w San Francisco huczało jak w ulu, tylko w pokoju przesłuchań nr 2 panowała martwa cisza, przerywana jedynie szelestem gazety.

Claire spędzała mnóstwo czasu w podobnych pokojach, czytając stare gazety i wsłuchując się w ludzkie tragedie. Robiła to chętnie, a nawet z entuzjazmem, bowiem pomoc udzielana innym nadawała jej życiu jedyny sens.

Wiele się wydarzyło od tamtej nocy, kiedy stała po drugiej strony balustrady mostu Fort Pitt i wpatrywała się w nurt Ohio. W swojej wizji zobaczyła wtedy uprowadzonego przez porwaczy chłopca, o którym przez wiele dni głośno było w mediach. Dzięki obrazom, które pojawiły się w jej świadomości tak nieoczekiwanie, policja trafiła na trop dziecka. Claire uratowała mu życie.

Od tamtej chwili stale współpracowała z policją i pomagała rodzinom zaginionych. Unikała rozgłosu, ale w kręgach policyjnych stała się znana i ceniona. Specjalizowała się w odszukiwaniu dzieci. Pomogła wielu rodzicom, tylko jak na ironię samej sobie pomoc nie była w stanie.

Nigdy nie przestała szukać Skye. Ilekroć przyjeżdżała do jakiegoś miasta, zaglądała w twarze przechodniom

i wertowała książki telefoniczne, łudząc się nadzieją, że w jakiś cudowny sposób znajdzie córkę.

Ślubowała sobie, że nigdy nie straci wiary w odzyskanie dziecka i nigdy już nie ulegnie rozpacz, jak tamtej krytycznej nocy w Pittsburghu.

Zdjęła na moment okulary, rozmasowała nasadę nosa i wróciła do czytania. Przyjechała na posterunek prosto z lotniska. Poprzedniego dnia była w Bostonie, dwa dni wcześniej na Florydzie, a od czterech godzin przeglądała gazety z minionego tygodnia. Do San Francisco sprowadziła ją sprawa zaginionej sześciolatniej dziewczynki. Mała wyszła z domu mieszkającej po sąsiedzku koleżanki i wszelki ślad po niej zaginął.

Dotknęła woreczka z kamieniami. Od czasu wizji w Pittsburghu nigdy się z nimi nie rozstawała i zawsze nosiła je na szyi. Wierzyła, że uratowały jej życie i że kiedyś uratują życie Skye.

- Pani Dearborne?

W drzwiach stanął młody policjant.

- Tak?

- Może coś pani przynieść?

- Dziękuję. Szklankę soku pomarańczowego, jeśli pan taki miły. I proszę mi mówić Claire.

- Coś jeszcze?

- Książki telefoniczne.

- Zaraz je pani dostanie. - Policjant zawahał się. - Ja... może mógłbym jakoś pomóc. Znam rodziców tej małej. To porządni ludzie.

Claire nie miała serca powiedzieć mu, że na pomoc może być już za późno.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - obiecała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Telefon Griffena Monarcha zaskoczył zupełnie Chance'a. Nie oczekiwał, że zdoła zamienić słowo z kimś ważniejszym od sekretarki, a jednak Monarch zadzwonił i chciał się z nim spotkać. Oczywiście Chance nie zamierzał swoim zachowaniem zdradzać, jakie znaczenie mogła mieć dla niego ta wizyta. Nie wolno mu było pokazać, jak bardzo jest podniecony i zdenerwowany.

Po telefonie Monarcha przeczytał wszystko, co tylko się dało, na temat firmy i jej historii.

Chance przez chwilę przyglądał się biżuterii eksponowanej w witrynach, a potem skierował się na tyły sklepu firmowego, skąd windą pojechał do biur na drugim piętrze. Tu przyjęła go asystentka Griffena, prosiła, by na chwilę spoczął, i zaproponowała zimne napoje. Chance odmówił. Wolał obejrzeć wiszące na ścianach zdjęcia przedstawiające największe dzieła pracowni Monarchów, a także członków rodziny ze sławnymi klientami: Elizabeth Taylor i Richardem Burtonem, księżną Grace z Monako, prezydentem Kennedym.

- Chance McCord, jak się domyślam. Punktualnie co do minuty. To mi się podoba.

Chance odwrócił się. Spodziewał się zobaczyć kogoś starszego i bardziej nobliwego, o włosach przyprószonych siwizną. Tymczasem stał przed nim mężczyzna mniej więcej

w jego wieku, dość przy tym wyzywający i pewny siebie, a już na pewno nie nobliwy.

- Tak jest, Chance McCord, a pan to zapewne Griffen Monarch. Miło mi pana poznać.

- Proszę mówić mi Griffen. Zapraszam do gabinetu. Tam porozmawiamy.

Wnętrze okazało się oszczędnie umeblowane, prawie puste, ale pomimo to emanowało atmosferą bogactwa czy to ze względu na to, że nieliczne meble na pewno musiały być niezwykle drogie, czy też z racji obecności samego Griffena.

Usiedli na skórzanej kanapie w prawym rogu pokoju. Chance odchrząknął:

- Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć.

- Moje zaproszenie musiało cię zaskoczyć - bardziej stwierdził, niż zapytał Griffen.

- Można tak powiedzieć - odparł Chance z nieznacznym uśmiechem.

- Napijesz się czegoś? Cola, kawa, sok?

- Nie, dziękuję.

- Przejdźmy zatem do naszych spraw. - Griffen rozsiadł się wygodnie. - Chciałbym wiedzieć, kim jest Chance McCord.

Chance przedstawił pokrótce swoją drogę zawodową.

- Do niedawna byłem wiceprezesem i szefem public relations w Adams & Sloane. Pracowałem dla Chicago Symphony Orchestra, dla Art at the Park, dla Chicago Festiv...

- Wiem, dla kogo pracują Adams & Sloane - przerwał Griffen w pół słowa. - Dlaczego odszedłeś?

- Z dwóch powodów. - Chance pochylił się do przodu. - Chciałem prowadzić własną firmę, bo zawsze tego pragnąłem. Po drugie: wiedziałem, że w Adams & Sloane osiągnąłem już wszystko, co mogłem osiągnąć. Kropka. Wyżej już zejść nie mogłem. Oni głównie zajmują się reklamą, natomiast public relations to stosunkowo niewielki dział jak na tak potężną agencję, a ja chcę działać.

- Jesteś ambitny. - Griffen machnął lekceważąco ręką. - Co twoja firma może zrobić dla nas?

Chance jasno wyłożył swoje plany, nie bawił się w kurtuazje. Kiedy człowiek dociera do prezesa Monarch's, nie może sobie pozwalać na owijanie spraw w bawełnę. Musi być zdecydowany i stanowczy, przedstawić jasny, precyzyjny projekt. Griffenowi spodobało się podejście Chance'a, choć zdawał sobie doskonale sprawę, jak ważne musiało być dla niego spotkanie z szefem wielkiej firmy jubilerskiej.

- Po pierwsze, musimy zadbać, żeby w biżuterii Monarchów pojawiały się znane postacie. Ostatnio zaniedbaliście ten aspekt promocji waszych wytworów. Niedługo wręczenie Oskarów. Chciałbym, żeby możliwie najwięcej nominowanych aktorek, a może nawet wszystkie, miały na sobie wasze klejnoty. Po drugie mam dojścia do „Vanity Fair”. Jestem w stanie sprawić, by następna znana osoba, której zdjęcie pojawi się na okładce magazynu, miała na sobie biżuterię Monarchów. To nie wszystko. Potrzeba

nam zdjęć znanych fotografów i kontaktów z wydawcami największych magazynów. Niech ludzie jak najczęściej widzą biżuterię waszej firmy.

Griffen milczał, jak na wytrawnego gracza przystało, Chance tymczasem zapalał się coraz bardziej.

- Moglibyśmy postarać się, żeby Dorothy i Adam pojawili się na okładce „Vanity Fair”. Ponieważ wasza rodzina jest znana w całej Ameryce, należałoby to wykorzystać. Trzeba ciągle mówić o tym, kim jesteście i dlaczego odgrywacie tak znaczącą rolę. Wasza firma powinna być tak znana na świecie jak Tiffany. Dlaczego do tej pory nikt nie wydał albumu z waszymi najlepszymi klejnotami? Tiffany zdążył opublikować kilka.

Griffen był teraz wyraźnie zainteresowany. Słuchał uważnie. Zniknął gdzieś obojętny, zrelaksowany wyraz twarzy.

- Opracowałem dokumentację. Bardzo mało pisało się o rodzinie w ostatnich latach. Stanowczo za mało.

- Z jakiego okresu prasę przeglądałeś? - Griffen wyprostował się gwałtownie.

- Z ostatnich ośmiu lat.

- Mów dalej, proszę.

- Monarch's to skarb Chicago, jego symbol, wielka atrakcja i duma miasta. Jesteście jak Sear's Towers. Każdy turysta, który do nas przyjeżdża, powinien odwiedzić wasz sklep.

- Jesteś w stanie tego dokonać?

- Owszem, ale to musi potrwać. Efekty niektórych działań będą zauważalne od razu, inne dopiero z czasem przyniosą wynik. Budowanie wizerunku to długi proces. Przez ostatnie lata chowaliście się pod korcem. Moje zadanie będzie polegało na tym, żeby wyciągnąć na światło dzienne wasze dokonania. Mogę ci zadać jedno pytanie?

Griffen skinął głową.

- Dlaczego do mnie zadzwoniłeś? Masz przecież Price, Stevenson & Price. Jesteś podobno dość zadowolony z ich usług.

- Rzeczywiście, nie mogę narzekać, ale znudziła mnie współpraca z nimi.

- Znudziła? - Chance uniósł lekko brwi.

Griffen wstał i podszedł do okna wychodzącego na Michigan Avenue.

- Ashley stwierdziła, że zrobiłeś na niej dobre wrażenie, bo jesteś ambitny, bystry i zależy ci na karierze. To walory, które mogą się nam przydać.

- Przydać? Ciekawe określenie.

Griffen odwrócił się do Chance'a i spojrzał mu w twarz. Dopiero teraz Chance zauważył, jak bardzo intensywnie błękitne oczy ma Griffen. Takie same miała Skye.

- Ludzie od Price'a działają rutynowo, bo mają niezagrożoną pozycję na rynku, natomiast ty chcesz coś osiągnąć, zależy ci na sukcesie. Taki zapał może się przydać. - Griffen podszedł do Chance'a i wyciągnął dłoń. - Dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać. Przemyśle

twoje propozycje. Będziemy w kontakcie. Lubisz niespodzianki, Chance?

Chance ściągnął brwi. Już samo pytanie było dla niego niespodzianką.

- Chyba tak - odparł z lekkim wzruszeniem ramion.

Griffen uśmiechnął się.

- Kto wie, czy w niedalekiej przyszłości nie zaskoczę cię. Poczekamy, zobaczymy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

No i Griffen zaskoczył Chance'a, a, prawdę mówiąc, zaszokował go. Chance był bowiem przekonany, że Griffen już nigdy się nie odezwie. Co więcej, wychodząc z pierwszego spotkania, bezskutecznie próbował zgadnąć, po co Monarch chciał się z nim widzieć.

Griffen nie zaprosił go do siebie tylko z ciekawości, nie należał bowiem do ludzi, którzy mają czas na jej bezinteresowne zaspokajanie. Nie, on coś planował, coś układał sobie w głowie, lecz nie zamierzał zdradzić co.

Najwyraźniej jednak Chance przeszedł pomyślnie test.

Spotkali się jeszcze pięć czy sześć razy i Chance patrzył na niego z wzrastającym podziwem. Monarch uosabiał wszystko, co on sam chciał osiągnąć: był wyrafinowany i wykształcony, miał wspaniałą firmę, pieniądze, koneksje i niekwestionowaną władzę.

Chance polubił Griffena i odnosił się do niego z szacunkiem, co samego go zaskoczyło.

Spodziewał się poznać człowieka powierzchownego, zepsutego luksusem, trochę rozleniwionego, zajętego tylko sobą i pogardzającego wszystkimi wokół. Tak jak jego ojciec, który potraktował matkę, jakby była nikim, i nie raczył nawet zauważyć, że ma syna.

Griffen tymczasem cenił rodzinę, więcej, cenił ludzi. Angażował się całym sobą w prowadzenie firmy, od działu sprzedaży po radę nadzorczą.

Był niebezpiecznie przenikliwy, odznaczał się ogromną inteligencją, potrafił z góry przewidzieć każdy ruch, każde pytanie i odpowiedź.

Swoich konkurentów potrafił powalić na łopatki za pomocą kilku słów. Chance nie chciałby nigdy mieć w nim wroga. Czasami odnosił wrażenie, że tamten wie o nim wszystko.

Nie było to miłe uczucie.

Recepcjonistka obudziła go z zadumy, informując, że Griffen chce z nim rozmawiać.

Chance podniósł słuchawkę.

- Tak, słucham?

- Mam pytanie. Co robisz w piątek wieczorem?

- Nic. A co chodzi?

- Dziadek organizuje spotkanie. Wielkie pieniądze, grube ryby. Pomyślałem, że cię to zainteresuje.

- Świetnie. Gdzie? O której?

- W naszym domu przy Astor Street, o ósmej. Do zobaczenia, staruszku.

Kolejne zaskoczenie: zaproszenie na spotkanie w domu rodzinnym Monarchów.

Chance pokręcił głową. Griffen stanowił dla niego zagadkę. Co ten facet naprawdę myśli? Do czego zmierza? Jeszcze nie dał mu żadnego zlecenia, chociaż kilka razy omawiali różne możliwości, a teraz zaprasza do domu.

Nawet jeśli Griffen miał jakieś nieczyste motywy, Chance postanowił nic sobie z tego nie robić, tylko chwytać nadarzącą się okazję.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Podczas przyjęcia Griffen obserwował Chance'a spod oka i uśmiechał się pod nosem. Wszystko szło zgodnie z planem. Dzisiaj wieczorem przekona się, czy McCord jest człowiekiem, którego szukał.

Jeśli tak, postara się wyciągnąć od niego wszystko, co tamten wie o Grace.

Grace. Była blisko, bardzo blisko. Niemal czuł jej obecność, jej skórę pod palcami, jej zapach. Słyszał jej oddech.

Musiała się zmienić. Kiedy widział ją ostatni raz, była jeszcze delikatnym i niewinnym dzieckiem. A potem Madeline wykradła ją i uciekła. Powściągnął narastającą wściekłość i wrócił do obserwowania Chance'a.

Zdawał sobie sprawę, że McCord go podziwia, co sprawiało, że można nim było bez trudu manipulować. Griffen mógł otworzyć przed nim i jego maleńką, żalostną firmą wiele drzwi.

McCord sięgnął właśnie po kolejnego drinka i podszedł do burmistrza, by się przedstawić. Griffen z rozbawieniem pokiwał głową. Ten chłopak nie ma żadnych zahamowań ani oporów i dobrze wie, jak wykorzystać każdą okazję.

Pewny siebie, bystry, ambitny. Łatwo go przejrzeć, łatwo nim kierować.

Czas się przywitać, pomyślał Griffen.

- Witaj, stary. Cieszę się, że przyszedłeś.

- I ja się cieszę. - Chance rozejrzył się dokoła. - Imponujący dom.

- Po prostu dom, stary, kochany dom. Co więcej mogę powiedzieć? - Griffen spojrział w kierunku baru, gdzie stał Adam w otoczeniu kilku bankierów. - Poznałeś już dziadka?

- Jeszcze nie.

- Chodź. Przy okazji zamówimy drinka. - Kiedy dotarli do baru, Griffen dokonał prezentacji.

- Miło mi pana poznać, panie Monarch.

- I mnie miło poznać cię, chłopcze. Griffen mówi, że jesteś dobry.

- Dziękuję.

- Weź sobie coś do jedzenia. Szału można dostać. Wydaję fortunę na zimny bufet, a potem nikt nic nie je.

- Wszyscy za bardzo zajęci są piciem - zaśmiał się Griffen.

- Ojca nie wykluczając.

Twarz Adama ściągnęła się gniewem. Pierce miał już dobrze w czubie i zachowywał się coraz swobodniej. Przynosił wstyd rodzinie, o czym Griffen przy każdej okazji skwapliwie przypominał dziadkowi.

- Dziadku, przepraszam, ale chcę jeszcze przedstawić Chance'a kilku osobom. - Odszedłszy, zwrócił się do Chance'a. - Wybacz, że wtajemniczam cię w rodzinne sprawy, ale ojciec nie powinien pić. Miał już dwa zawały i swoim piciem wykończy kiedyś dziadka, a staruszek jest mi droższy niż rodzony ojczulek. Tak naprawdę to Adam mnie wychował, ale dość o tym. Poznaj Daniela Conrada, naczelnego dyrektora u Drake'a.

Przez następne czterdzieści minut Griffen przedstawiał Chance'a zebranym, opowiadał, jaki wspaniały nowy talent odkrył, ale ani razu nie zająknął się, że McCord może prowadzić public relations dla Monarch's.

Ludzie poważnieli i obrzucali Chance'a uważnym, oceniającym spojrzeniem. Skoro Griffen go przedstawia, McCord musi być kimś rzeczywiście godnym uwagi.

Wreszcie Griffen pod pierwszym lepszym pretekstem zostawił go samego, pewien, że Chance będzie teraz próbował nawiązać konwersację z najważniejszymi ludźmi na przyjęciu, będzie promował swoją firmę i w efekcie zdobędzie kilka cennych wizytówek oraz parę obietnic spotkań.

Griffen uśmiechnął się. Wtedy wspomni o Grace. Tak też uczynił. Kiedy przyjęcie dobiegało końca, podszedł do Chance'a.

- Zostań jeszcze chwilę. Pożegnaj tylko ostatnich gości, a potem pogadamy.

- Dobra. - Chance chwiał się już lekko.

Wielki wieczór małego człowieka. Pewnie w podobnej sytuacji Griffen też wypiłby kilka podwójnych martini.

Dziesięć minut później znalazł Chance'a, jak stał przed kominkiem w bibliotece i przyglądał się ustawionym na gzymsie fotografiom.

- Jak podobało ci się przyjęcie?

Chance odwrócił się gwałtownie.

- Nie słyszałem, kiedy wszedłeś. - Chance wrócił do zdjęć. Nachylił się nad jednym, na którym na tle choinki widniał

Griffen i mała Grace.

- To moja siostra. Przyrodnia... Nie żyje. - Griffen czekał na ten moment. Teraz chodziło o to, by Chance nie skojarzył Grace ze Skye.

- Przykro mi.

- Do tej pory nie możemy się otrząsnąć. Miałem dwie siostry przyrodnie i obie straciłem. Pieniądze nie chronią człowieka przed tragediami. Pamiętaj o tym, Chance. - Przeczesał włosy palcami. - Muszę się napić. Ty też?

Chance uśmiechnął się niepewnie.

- Dość już wypilem.

- Dzisiaj piątek, a do domu pojedziesz taksówką. - Griffen napełnił dwa kieliszki, wręczył jeden Chance'owi. Zależało mu na tym, żeby McCord myślał powoli i nie kojarzył prawidłowo. Wskazał fotel, sam usiadł naprzeciwko.

- Nawiązałeś jakieś interesujące kontakty dzisiaj wieczorem?

- Bardzo interesujące. Mam kieszeń pełną wizytówek i kilka umówionych spotkań.

Cholera, nie pomylił się ani na jotę w ocenie McCorda.

- Skąd pochodzisz, Chance?

- Zewsząd i znikąd.

- Wspaniała odpowiedź, stary. Pytam poważnie, skąd jesteś?

- Urodziłem się w Kalifornii, w Los Angeles.

- A potem, gdzie cię nosiło?

- Potem zamieszkałem z ciotką w Pensylwanii. Na farmie amiszów.

Griffen zaśmiał się.

- Żartujesz? Chłopak z Kalifornii trafił do Chicago przez farmę amiszów?

- Moja historia jest jeszcze bardziej skomplikowana.

- Chętnie posłucham.

- Pracowałem w wędrownym wesołym miasteczku. W takim starym, nędznym lunaparku, z prawdziwą wróżką, kolejką górską i strzelnicą. Szef, stary Marvel, utrzymywał porządek w trupie za pomocą kija baseballowego.

Lunapark Marvela. Tak się nazywał lunapark, z którym podróżowały Madeline i Grace.

Griffen triumfował, ale nie mógł tego okazać, bo jedno nierozważne słowo popsułoby wszystko.

- Coś ty, naprawdę? Była nawet wróżka?

Uśmiech zniknął z twarzy Chance'a.

- Tak... ale to naprawdę dawne dzieje. - Podeszedł do barku i odstawił nietknięty kieliszek. - Odszedłem stamtąd, trochę kręciłem się tu i tam, w końcu trafiłem do Chicago.

- Ciekawa historia, Chance. Bardzo ciekawa. W porównaniu z twoim, moje życie wydaje się nudne. Rozejrzyj się. Tutaj się urodziłem, tutaj się wychowałem, nigdy nie opuszczałem Chicago. Skończyłem studia w Evanston, o rzut beretem od miasta. - Griffen wstał. - Co powiesz na wyłączny kontrakt z Monarch's? Prowadziłbyś wszystkie nasze kampanie.

Chance pokręcił głową, jakby nie do końca rozumiał, co Griffen mówi.

- Tak, proponuję ci kontrakt. Potrzebujemy właśnie kogoś takiego jak ty. Zgadzasz się?

- A co ty myślisz? Jasne, że się zgadzam.

- A więc dobiliśmy targu. - Griffen wyciągnął rękę. - Witaj na pokładzie.

Chance przyjął dłoń w zupełnym osłupieniu.

- Mówiłem ci, chyba pamiętasz, że któregoś dnia cię zaskoczę. - Griffen bawił się doskonale, był z siebie naprawdę zadowolony.

- Mówiłeś, chociaż „zaskoczę” to za słabe słowo. Zwaliłeś mnie z nóg.

- To jeszcze nic, staruszk. Obiecuję ci, że wiele przed tobą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Old Chicago Brew Pub znajdował się przy Lincoln Park, naprzeciwko zoo. Zawsze zatłoczony, oferował czternaście gatunków piwa z chicagowskiego browaru i cieszył się zasłużoną renomą.

Griffen siedział samotnie przy stoliku w głębi. Ze swojego miejsca mógł bez trudu obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących. Zirytowany, zerknął na zegarek. Chance się spóźniał. Miał być tu już dziesięć minut temu, a Griffen nie zwykł nigdy czekać na nikogo, szczególnie na kogoś tak niewiele znaczącego, jak Chance McCord.

Jego irytację pogłębiał fakt, że przez minione dwa i pół miesiąca nie dowiedział się od McCorda niczego o Madeline i Grace, tymczasem jego detektyw potrzebował wskazówek na temat miejsc, nazwisk i dat, a on, jeśli nie chciał zdradzić tożsamości Skye, miał związane ręce.

Podniósł kufel do ust i wypił łyk piwa. Od chwili przyjęcia na Astor Street podtrzymywał skwapliwie kontakty z Chance'em. Początkowo spotykali się tylko pod pretekstem omawiania interesów, ale stopniowo Griffen zaczął opowiadać o swoim życiu, by skłonić McCorda do tego samego. Zaczęli umawiać się na kolacje, wpadać do Old Chicago Brew na piwo, kilka razy byli razem na meczu koszykówki.

Griffen nie tracił nadziei, że w końcu dowie się czegoś o Grace, czy też raczej o Skye Dearborne. Robił wszystko, by Chance obdarzył go zaufaniem i uwierzył, że ma w Griffenie przyjaciela. I Chance to kupił, tak jak uwierzył, że jest ważnym facetem od public relations. Zdobył kilka dużych zamówień, był na najlepszej drodze do sukcesu.

Stało się to dzięki kontaktom Griffena, jego reputacji i pozycji społecznej. Za jego sprawą firma McCorda rozwijała się w imponującym tempie.

Patrzył na to z rozbawieniem, wiedząc, że wystarczy jego jedno słowo, by zamknąć przed Chance'em wszystkie drzwi, które wcześniej przed nim otworzył. Tak miał zamiar postąpić, kiedy McCord nie będzie mu już dłużej potrzebny.

Właśnie się pojawił.

- Przepraszam za spóźnienie, ale rozmawiałem właśnie z „Vanity Fair”. Będziemy mieli okładkę w lutowym numerze. Demi Moore w waszej biżuterii i tylko w niej.

- Dobra robota. Znowu jest może w ciąży? - zagadnął Griffen, nawiązując do głośnej okładki „V.F”, do której aktorka pozowała prawie nago niedługo przed porodem.

Chance zaśmiał się.

- Nic mi o tym nie wiadomo, chociaż byłoby niezłe. Tamta okładka narobiła mnóstwo hałasu. Wszyscy o niej mówili.

Griffen uniósł kufel.

- Powinniśmy przygotować jakiś wystrzałowy klejnot, coś zupełnie nowego i zaskakującego, ale Dorothy nie poradzi sobie z takim zadaniem.

- Jest chora? - zaniepokoił się Chance.

- Nie, starzeje się. Łatwo się męczy, brak jej energii i świeżych pomysłów.

Pojawiła się kelnerka z piwem Chance'a i koszykiem gorących precli.

- Jej projekty są coraz bardziej staroświeckie - ciągnął Griffen, kiedy dziewczyna odeszła. - Zdaje sobie z tego sprawę i to działa na nią jeszcze bardziej deprymująco.

- Nie myślisz, że ktoś powinien ją zastąpić?

Grace! Nigdy nie przestał o tym myśleć. I nigdy nie przestanie.

- Trzydzieści lat temu ojciec próbował znaleźć kogoś, ale dziadek zdecydowanie się sprzeciwił. Nasza firma zawsze miała własną pracownię projektową, i jest to coś więcej niż tradycja rodzinna, to... - Griffen pomyślał o Grace i o Madeline, która wykradła małą, i szybko ugryzł się w język. - Teraz nie będziemy mieli chyba wyboru.

- Chciałbym ci pomóc. - Chance wypił łyk piwa. - Dawno temu znałem pewną projektantkę.

- Daj mi jej numer. Zadzwonię do niej.

Chance zaśmiał się.

- Nie, ona się nie nadaje. Wspaniała osoba, ale jej projekty to raczej rzemiosło artystyczne. Kiedyś spotkałem prawdziwy talent, ale to było dziecko.

- Dziecko?

- Tak. - Wyjął z portfela złożoną kartkę. - Narysowała to dla mnie, kiedy miała zaledwie dwanaście lat.

Griffen rozłożył rysunek. Krew uderzyła mu do głowy. Tego lata, kiedy prawie ją wytropili, Grace miała dwanaście

lat. Z trudem hamował podniecenie.

- Musiała być rzeczywiście dobra - mruknął. - Co to za zdanie o żabie?

- Tak mnie nazwała - zaśmiał się Chance. - To długa historia.

- Nigdzie mi się nie spieszy.

Chance zaczął opowiadać o swoich pierwszych dniach u Marvela, o tym, jak poznał Skye, jak chodziła za nim krok w krok, jak zrobiła rysunek na przeprosiny i jak przez resztę lata trzymali się już razem.

- Mała i jej matka nie pasowały do trupy komediantów. Ja też nie. - Uniósł ramiona. - Tak się kończy ta historia.

Griffen z bijącym sercem nachylił się nad stolikiem. Znalazł Grace.

- A co się stało z małą i jej matką?

Chance zawahał się.

- Nie wiem dlaczego, ale nigdy nikomu o tym nie opowiadałem. Pewnej burzliwej nocy Claire, bo tak miała na imię matka Skye, poprosiła, żebym przypilnował małej. Chciała jechać do miasteczka, miała do kogoś dzwonić. - Chance opowiadał dalej.

Griffen ledwie mógł uwierzyć własnym uszom. Po tylu latach poszukiwań wreszcie trafił na trop.

- Zostawiłem dziewczynkę w Dekalb, u tej kobiety, o której ci przed chwilą wspomniałem. Chciałem, żeby miała prawdziwy dom, rodzinę. Ci ludzie, Sara i Michael Forrest, idealnie się do tego nadawali.

Griffen opuścił ręce na kolana i zacisnął dłonie w pięści.

- Co ta dziewczyna teraz robi? Utrzymujesz z nią kontakt?

- Nie. Uznałem, że tak będzie lepiej. Raz zadzwoniłem, wiele lat temu. Telefon odebrała Skye. Odwiesiłem słuchawkę bez słowa. Miałem pewność, że mieszka dalej z Sarą i Michaeliem i że wszystko u niej w porządku. Czasami wydawało mi się, że Claire wystawiła mnie do wiatru, że po prostu chciała pozbyć się Skye, ale z drugiej strony widziałem, jak bardzo ją kocha. Świata poza nią nie widziała. Nie opuściłaby córki bez ważnych powodów. W dzień po jej ucieczce pojawił się jakiś detektyw z historyjką o spadku.

- Może rzeczywiście był jakiś spadek. Każdy ma rodzinę.

- Nie było żadnej rodziny! Tak przynajmniej utrzymywała Claire. Powiedziała córce, że jej ojciec nie żyje. Sama Skye nie pamiętała niczego ze swojego dzieciństwa. Dzisiaj nazywają to syndromem wyparcia się wspomnień. Bardzo nad tym cierpiała. Uważała, że matka coś przed nią ukrywa.

Griffen powściągnął uśmiech. Jeśli Chance mówi prawdę, jego poszukiwania zakończyły się sukcesem. Sytuacja zdawała się wręcz wymarzona.

Grace nie wie, kim naprawdę jest.

- Nabierasz mnie, stary. Jakie wyparte wspomnienia? Takie rzeczy zdarzają się w tanich powieściach.

- Albo w telewizyjnych serialach. - Chance podniósł dłonie z uśmiechem. - Klnę się, że to wszystko prawda.

Teraz prywatny detektyw bez trudu odzuka Skye.

- Miałeś życie pełne przygód, przyjacielu.

- Rzeczywistość bywa czasami bardziej zaskakująca niż fikcja literacka.

- W twoim przypadku na pewno.

Griffen miał ochotę zasypać Chance'a pytaniami. Jak wygląda Skye? Co lubi, a czego nie? Czy Chance ma jej zdjęcia?

Nie zadał oczywiście żadnego z tych pytań. Zaczęli rozmawiać o kolejnym meczu Cubsów, potem wrócili do sprawy okładki w „Vanity Fair”, ale każda następna minuta spędzona w pubie wydawała się Griffenowi torturą.

Grace wróci wreszcie do domu!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Po tym jak Chance dał mu nazwisko i adres ludzi, z którymi Grace mieszkała, odnalezienie jej było dziecinnie łatwe. Teraz Griffen wiedział już wszystko. Znał jej marzenia, plany, ulubione lektury, wiedział, jakiej muzyki słucha i jak się ubiera. Skończyła szkołę w Dekalb z wyróżnieniem, potem studiowała na Northern Illinois University, wreszcie skończyła studia podyplomowe w Rhode Island School of Design.

Miała niewielu przyjaciół i żadnego chłopaka, prowadziła samotnicze życie, była dobrą studentką i uzdolnioną artystką.

Griffen znalazł katalogi z jej projektami, zadzwonił nawet do Providence na Rhode Island, rozmawiał z jednym z profesorów Grace, wysłuchał niekończących się zachwytów na temat Skye Dearborne.

Biedna, obłąkana Madeline wierzyła, że uchroni córkę przed przeznaczeniem, tymczasem Grace, przez nikogo nie namawiana, sama wybrała projektowanie biżuterii.

Wyroków losu nie można uniknąć.

Grace była jego przeznaczeniem, należała do niego.

Teraz trzeba się zastanowić, co zrobić z Chance'em McCordem. Griffen zmarszczył czoło. Czy chłopak będzie mu jeszcze potrzebny, czy też powinien się go pozbyć?

Być może McCord jednak się przyda. Znał przecież Grace czy też Skye lepiej niż ktokolwiek inny.

Może wykorzysta Chance'a, by przez jakiś czas kontrolować Grace. Potem sam sobie poradzi z dziewczyną. A im wyżej pozwoli wspiąć się McCordowi, tym boleśniejszy okaże się jego upadek.

Griffen zaśmiał się cicho.

- Mogę z tobą zamienić słowo?

Do biblioteki zajrzał Pierce.

- Nie mam nastroju, tato.

- To nie była prośba, synu. Proszę do gabinetu. Zaraz.

Griffen odczekał kilka minut, wiedząc, że takim zachowaniem rozsierdzi ojca.

Kiedy wszedł do gabinetu, Pierce chodził wściekły po pokoju.

- O co chodzi, tato? - zapytał lekceważącym tonem.

- Doskonale wiesz. Myszkowałeś w moich papierach w biurze. Chcę wiedzieć, jak zdobyłeś klucz do segregatorów. Pani Fitzpatrick mi powiedziała. Nadal jestem prezesem Monarch's i to ja podejmuję decyzje, a ty tylko zarządzasz firmą w moim imieniu. Rozumiesz? Bez uzgodnienia ze mną zrezygnowałeś z firmy zajmującej się public relations, która pracowała dla nas od lat.

- Tak właśnie zrobiłem. Zrezygnowałem z usług tej firmy bez uzgodnienia i nadal będę podejmował decyzje, które uważam za konieczne dla Monarch's. A jeśli chodzi o twoje segregatory, to doskonale wiem, co się w nich kryje. Dowody na różne świństwa i przekręty, których się dopuszczałeś. Jesteś niezłym draniem, kochany ojczulku!

Boisz się, że możesz zbrukać czymś swoją nieposzlakowaną opinię.

Griffen powoli podniósł niewielką figurkę z kości słoniowej i odstawił ją na miejsce. Dobrze wiedział, jakie wrażenie jego słowa wywarły na ojcu. Pierce wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować.

- Bzdury opowiadasz. Nie będziesz szperał w moich papierach! Masz natychmiast oddać mi klucz! Koniec, kropka.

Griffen udał, że nie zauważa wyciągniętej ręki ojca.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego zachowałeś obciążające cię dokumenty? Nie bałeś się, że ktoś w końcu do nich zajrzy? Bardzo nierozważnie postąpiłeś, ojcze. Wręcz głupio. Niedobrze mi się robi na twój widok. Spójrz, do jakiego stanu się doprowadziłeś. Dyszysz jak stara chabeta, pocisz się. Nie jesteś już w stanie prowadzić firmy.

- Ciągle jestem jej prezesem.

- I co z tego? - Griffen napawał się bezradną wściekłością ojca. - Może mnie wyrzucisz? A może chcesz mnie uderzyć? Jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem? Myślisz, że potrafiłbyś?

- Ty, ty... - dławiał się Pierce.

- No, wyduś to z siebie wreszcie. Kim jestem? Synem, którego nigdy nie chciałeś? Chłopcem do bicia? - Griffen podszedł do okna. - Z córkami też ci się nie poszczęściło. Jedna się utopiła. Nigdy zresztą jej nie lubiłem, bo nie miała daru. Natomiast Grace miała dar, ale pozwoliłeś ją sobie odebrać. Kamienie też pozwoliłeś sobie ukraść. Zniknęły razem z twoją uroczą Madeline.

Twarz Pierce'a przybrała barwę popiołu.

- Po co trzymasz rachunki ze swoich lewych transakcji? Po co kupowałeś szmuglowane do Stanów kamienie? Tak prowadzi interesy Monarch's? Bez opłacania cła? Bardzo to ryzykowne. Nawet nie mogłeś żądać odszkodowania, bo te kamienie oficjalnie nie istniały.

- Mógłbym cię teraz zabić - wycharczał z wściekłością Pierce.

- Tak? Spróbuj, uderz! Nie będę się bronił. Słowo skauta.

Pierce zrobił kilka kroków w kierunku syna, uniósł rękę, zamierzył się... i na jego twarzy odmalowało się kompletne zaskoczenie, a potem ból. Cała krew odbiegła mu z twarzy, a oczy wyszły na wierzch.

Griffen przechylił głowę.

- Mamy kolejny zawałik?

Pierce wydobył niezdarnym ruchem nitroglicerynę z kieszeni, lecz pudełko wysunęło mu się z palców i upadło na podłogę. Spojrzał błagalnie na syna.

Griffen stał bez ruchu i uśmiechał się.

- Wybacz, ale naprawdę nie mogę ci pomóc.

Pierce próbował chwycić za słuchawkę telefonu i osunął się na podłogę, pociągając za sobą aparat. Zaczął czołgać się ku pudełku z lekarstwem, jednak Griffen kopnął je w kąt pokoju.

- Lepiej będzie dla nas obu, jeśli umrzesz. Bo widzisz, tak się akurat składa, że odnalazłem moją Grace. Jest wspaniałą artystką, równie dobrą jak Dorothy w jej wieku, a może nawet lepszą. Jest piękna, zdolna i cudowna. -

Zaśmiał się i nachylił do ucha ojca. – Zdradzę ci też mały sekret. Madeline wcale nie była obłąkana. To ty byłeś ślepy.

Z ust Pierce'a dobył się cichy dźwięk przerażenia i agonii. Zrozumiał, że umiera.

– Przykro mi, ale nie zobaczysz już swojej córki. Prawdziwa szkoda, bo Grace za miesiąc będzie w domu. – Griffen pogardliwie wykrzywił usta. – Nie pogratulujesz mi? Będiesz tak leżał i łapał powietrze jak ryba? Zawsze byłeś samolubnym sukinsynem. Nigdy nie potrafiłeś powiedzieć: dobra robota, synu. Chcesz usłyszeć najlepsze ze wszystkiego? Ona nas w ogóle nie pamięta. Niesamowite, co? – Griffen ponownie nachylił się nad ojcem. – Zawsze wiedziałem, że ja i ona będziemy razem. Jako mąż i żona, tato.

Na twarzy Pierce'a pojawiło się przerażenie. Po chwili twarz zastygła w maskę śmierci.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Skye nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Telefon od Griffena Monarcha kompletnie ją zaskoczył. Ludzie z Monarch's widzieli jej biżuterię na wystawie w MOMA. Zrobiła na nich ogromne wrażenie, a właśnie szukają nowego projektanta. Proszą o portfolio.

Wysłała portfolio i czekała w napięciu przez dwa i pół tygodnia na wiadomość, jak zostało ono przyjęte. Za każdym razem, kiedy odzywał się telefon, chwyciła nerwowo za słuchawkę. W końcu zaczęła myśleć, że lepsza byłaby zła wiadomość niż żadna.

Wreszcie Griffen Monarch odezwał się ponownie, tym razem po to, żeby umówić się na spotkanie w sprawie pracy. W dwa dni później była już w Chicago. Biała limuzyna, wielkością dorównująca niemal bawialni w jej mieszkaniu, zawiozła Skye na Michigan Avenue. Zaskoczona przesunęła dłonią po miękkiej skórze siedzeń. Mogłaby się z łatwością przyzwyczaić do podobnych luksusów, pomyślała. Aż nazbyt łatwo.

Co chwila powtarzała sobie, że młode, głodujące artystki nie stają się nagle księżniczkami.

W głębi duszy czuła jednak, że dostanie pracę, która stanie się początkiem jej kariery. Czuła, że tak właśnie będzie.

List od Griffena Monarcha przywołał wspomnienia z odległej przeszłości. Przesunęła dłonią po widniejącym na

kopercie, ozdobnym i wypukłym logo firmy w kształcie litery „M”.

Jej „M”.

Serce Skye zabiło gwałtownie.

Sięgnęła po jeden ze swoich starych rysunków i porównała litery. Tak. Były niemal identyczne.

Co to może znaczyć? – pytała samą siebie. Nic. Zupełnie nic.

Kierowca zatrzymał limuzynę.

– Jesteśmy na miejscu, panienko.

Skye spojrzała na imponującą fasadę sklepu i podniosła wzrok wyżej, gdzie na piętrze mieściła się pracownia. Poczwała, że serce podchodzi jej do gardła. Za chwilę będzie rozmawiała na temat pracy w Monarch’s. W firmie, w której powstało tak wiele klejnotów, biżuterii, którą znała i podziwiała.

Ledwie kierowca otworzył drzwiczki, a ona zdążyła postawić nogę na chodniku, w progu pojawił się wysoki, ciemnowłosy, szczupły mężczyzna w markowym europejskim garniturze.

Skye poczuła suchość w ustach. Nie spotkała jeszcze nikogo równie przystojnego.

Uśmiechał się i szedł w jej kierunku.

Przemknęło jej przez głowę, że musiał wziąć ją za kogoś innego.

Stał przed nią i wyciągnął dłoń.

– Skye? Jestem Griffen Monarch.

– Miło cię poznać, Griffenie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jestem wielbicielem twoich prac i zapewniam cię, że wkrótce będziesz ich miała znacznie więcej. Dorothy nie może się doczekać, kiedy cię wreszcie zobaczy. Od rana nie może usiedzieć na miejscu. Przy jej kłopotach z wysokim ciśnieniem to niebezpieczne.

Jedna z największych projektantek biżuterii ostatniego półwiecza nie może się jej doczekać? Skye miała wrażenie, że śni.

Griffen jakby czytał w jej myślach.

- Koniec ze skromnością! Masz ogromny talent i jesteś wielką artystką, Skye Dearborne.

Zasypana komplementami, uznała, że Griffen jest równie ujmujący jak przystojny.

- Jeśli sam Griffen Monarch tak twierdzi, nie będę się kłócić.

- Podoba mi się twój sposób myślenia. Gdyby tylko reszta moich pracowników tak traktowała swojego szefa... - Roześmiał się.

Weszli do sklepu.

Reszta pracowników? A więc i ona należy już do zespołu! Dopóki nie usłyszy oficjalnego potwierdzenia, nie powinna niczego przesądzać, napomniała się w duchu.

- Dopiero niedawno zaczęliśmy współpracować z projektantami z zewnątrz. - Griffen wskazał kilka prac Palomy Picasso i Angeli Cummings. - Jedynie z najlepszymi i tylko wtedy, gdy ich projekty nie przypominają w niczym naszych. Niektóre stare wzory Monarchów nadal cieszą się dużą popularnością. - Wskazał na komplet składający się

z kolczyków i zapinki o spiralnej, dynamicznej formie. – Zapewne rozpoznasz Tornado Dorothy?

– Tak, to znana seria Wiatrów, jedna z moich ulubionych. Klasyczne wzory nigdy nie przestaną cieszyć się wzięciem – odparła Skye, nachylając się nad klejnotami.

– To prawda, ale do naszych projektów chcemy wprowadzić powiew nowości. Nie można spoczywać na laurach.

– Jeśli już trzeba spocząć, najprzyjemniej byłoby właśnie na laurach. – Skye uśmiechnęła się. – Sama chciałabym zdobyć kilka.

– Na pewno ci się uda. Bardzo nam się spodobały twoje odważne projekty. Czujesz nowoczesną biżuterię. Szczególnie piękny był komplet z tytanu, który pokazałaś w MOMA.

Stanęli przed secesyjnymi drzwiami, Griffen nacisnął guzik windy.

– Dziękuję. Rozumiem, że jeśli dostanę tę pracę, będzie mi wolno eksperymentować?

– Czy wolno? – Spojrzał na Skye z rozbawieniem. – Właśnie tego będziemy po tobie oczekiwać.

Pracować dla Monarch's i jeszcze móc eksperymentować? Skye miała wrażenie, że znalazła się w niebie.

– Dorothy prowadziła naszą pracownię przez ponad pięćdziesiąt lat, miała wspaniałe pomysły, ale czuje się zmęczona. Chciałaby przekazać ster komuś młodszemu, pełnemu wyobraźni i energii. Niedawna śmierć mojego ojca bardzo ją załamała.

- Co... powiedziałaś?

Griffen stał teraz odwrócony plecami do Skye w niewielkiej kabinie windy, a ona nagle poczuła, że przygniata ją swoją obecnością, wypełnia sobą całą przestrzeń, nie zostawiając jej odrobiny powietrza.

- Mój ojciec umarł kilka tygodni temu na atak serca. Miał dopiero pięćdziesiąt pięć lat. Wszyscy bardzo to przeżyliśmy, ale Dorothy najbardziej. - Griffen odwrócił się i nachylił do Skye.

- Dobrze się czujesz?

- Nie. Brak mi powietrza. To jakiś atak klaustrofobii.

- Często ci się to zdarza? - zapytał z troską.

- Pierwszy raz. - Czowała się jak skończona idiotka. Akurat dzisiaj, w najważniejszym dniu w życiu, musiało zdarzyć się jej coś równie głupiego. Griffen gotów sobie pomyśleć, że do niczego się nie nadaje.

- To nerwy - mruknął. - Odpręż się. Weź głęboki oddech. - Winda się zatrzymała, drzwi rozsunęły. - Ciotka Dorothy jest bardzo kochana. Na pewno od razu cię polubi.

Skye szybko wyszła z kabiny. Griffen miał rację. To wszystko dlatego, że była zdenerwowana. Za chwilę przecież pozna samą Dorothy Monarch, projektantkę dorównującą takim wielkościami w świecie biżuterii, jak Louis Comfort Tiffany, Jean Schlumberger czy Elsa Peretti.

Musi zachowywać się jak profesjonalistka, nakazywała sobie w duchu. Chłodno i profesjonalnie. W końcu Dorothy nie jest nadcześnikiem. Musi jeść, spać, chodzić do łazienki. Jest przy tym kobietą. Jak ona.

W chwili gdy Griffen przedstawił ją swojej stryjecznej babce, wszystkie plany Skye wzięły po prostu w łeb. Zaczęła z entuzjazmem opowiadać, jak bardzo lubi serię Wiatrów, jak podziwia projekty z czasów Kennedy'ego, jak ceni stosowanie przez Dorothy emalii oraz łączenie półszlachetnych kamieni z najszlachetniejszymi kruszcami.

Kiedy skończyła, Dorothy ją uściskała.

- Dziękuję ci, kochanie. Dawno nie słyszałam od nikogo tylu słów uznania.

Babka i wnuk nie mogli się bardziej różnić. Ubrana w sprane dżinsy i jedwabną bluzkę starsza pani mówiła z ożywieniem, była spontaniczna, pełnym gracji gestem odgarniała włosy z twarzy. Griffen ze swoim absolutnym opanowaniem przypominał czujnego drapieżnika, który wszystko widzi i wszystko słyszy. Był typem klasycznego biznesmena.

Kiedy Dorothy oprowadziła już Skye po rozległej, podzielonej na odrębne pomieszczenia pracowni, cała trójka przeszła do gabinetu starszej pani. Ta, wyraźnie zmęczona wycieczką, natychmiast z westchnieniem usiadła za biurkiem i sięgnęła po papierosa.

- Siadaj, moja droga. Chciałam z tobą porozmawiać.

Skye usiadła, natomiast Griffen pozostał przy drzwiach, niczym kot czający się do skoku. Drapieżnik, pomyślała znowu Skye.

- Niedawno skończyłaś studia - podjęła Dorothy. - Co myślisz o obecnych trendach w projektowaniu biżuterii?

Skye nie trzeba było dwa razy powtarzać pytania. Niedawno grupa dyplomantów i profesorów omawiała w Providence ten sam problem.

- Eklektyzm - odparła. - Przekonanie, że wszystko jest dozwolone, łączenie wzorów z różnych epok, różnych materiałów. Przy tym wzroście popytu, jaki mamy teraz, rozwijają się też sztuki dekoracyjne. Ostatnio jednak można zauważyć powrót do klasyki. Poszukuje się prostych, minimalistycznych form. Ja sama - Skye zapalała się coraz bardziej - nie wierzę w trendy i mody. Lepiej samemu je ustalać, wyprzedzać czas, niż ulegać dominującym tendencjom.

- Chcesz powiedzieć, że trzeba orientować się w obowiązujących trendach, ale je ignorować, tak? Widzisz, my musimy działać zgodnie z prawami rynku. Dostarczać naszym klientom nie eksperymentalne dzieła, ale to, co znajduje nabywców. Trzeba umiejętnie wyważać aspekt kreacyjny i handlowy.

Skye dopiero teraz zrozumiała, że starsza pani utarła jej nosa.

- Powiedz, co myślisz o naszych ostatnich rzeczach?

- Nie wiem, za mało je znam.

- Bzdura! Świetnie się przygotowałaś do tej rozmowy. Mów.

- Uważam, że Monarchowie za bardzo stawiają na komercję.

Dorothy cmoknęła na te słowa.

- Jesteś bardzo buńczuczna. Ja na twoim miejscu skłamałabym.

- Zawsze mówię, co myślę. Niektórzy mają mi to za złe.

- Mnie się to podoba. - Dorothy odchyliła się w fotelu. - Mam serdecznie dość wazeliniarstwa, potakiwania i zachwyków. Nie tego mi trzeba. - Podniosła się z biurka i stanęła na wprost Skye. - Wiesz chyba, że chcę porzucić projektowanie.

- Jest pani legendą - powiedziała Skye pośpiesznie. - Jedną z największych pro...

- Daj spokój, to się już skończyło. Jestem już stara. Doceniam nowatorstwo, ale go nie lubię. Potrzebuję wokół siebie ludzi o wyrazistej osobowości i sile woli. Podoba mi się to, co robisz. I ty mi się podobasz. Będiesz świetnym uzupełnieniem mojego zespołu.

- To znaczy, że dostałam pracę? - Skye w osłupieniu spojrzała na Dorothy i Griffena. - Naprawdę?

- Naprawdę.

Griffen podszedł do ciotki.

- Witaj w Monarch's, Skye Dearborne. Cieszymy się, że będziesz z nami.

- Tak - przytaknęła Dorothy, całując Skye w oba policzki. - Od dziś należysz do rodziny Monarchów. Witaj w domu.

Dom, rodzina... Skye nie wierzyła, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że ją zaakceptowano.

- Kiedy mam zacząć? - wykrztusiła.

- Możliwie najszybciej - odparł Griffen. - Nie zamierzamy dawać ci zbyt wiele czasu, żebyś się nie rozmyśliła. Teraz

należysz do nas, Skye Dearborne. Nie chcemy cię stracić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Skye i Pan Muu w ciągu dwóch tygodni z całym swoim dobytkiem przenieśli się do Chicago. Griffen pomógł im znaleźć mieszkanie w jednej z rodzinnych nieruchomości, śliczny, trzypokojowy apartament przy Near North Side, zaledwie o trzy przecznice od Lake Michigan. Zadbął też o podłączenie telefonu. Dopilnował, by lokal został odmalowany i posprzątany, kazał również wyposażyć kuchnię. Skye przyjechała na gotowe.

Uważała Griffena za najwspanialszego, najbardziej opiekuńczego faceta na świecie. Któregoś wieczoru bite dwie godziny rozmawiali przez telefon, przerzucając się opowieściami ze swojego życia. Okazało się, że lubią podobne książki, tych samych artystów, mają takie same zapatrywania polityczne.

Zupełnie jakby byli dla siebie stworzeni. Dwie połówki jednej całości.

Ilekcóż zdarzało się jej uderzać w tak wzniosły ton, szybko się napominała, że nie ma między nimi żadnej szczególnej więzi i że ludzie na ogół „nie bywają dla siebie stworzeni”.

Najbardziej przerażało ją to, że tak bardzo ufa Griffenowi, że gotowa jest całkowicie zdać się na niego, że szuka w nim oparcia. Od dawna wobec nikogo nie pozwoliła sobie na podobny luksus.

Dokładnie mówiąc, od trzynastu lat.

Myśl o zdradzie Chance'a nadal bolała, a jego podła ucieczka nauczyła ją, że gdy raz się komuś naprawdę zaufa, łatwo można zostać głęboko zranionym. Griffen mógł to zrobić z łatwością. Był jej szefem, prezesem Monarch's, bogatym, wykształconym i przystojnym facetem, który mógł mieć każdą dziewczynę, jakiej tylko zapragnął. Powinna się strzec.

Pierwszy dzień w pracy!

Jak to Griffen powiedział? Witaj w domu. Wzięła głęboki oddech, weszła do budynku i wjechała na czwarte piętro, gdzie mieściły się pracownie. Specjalnie przyjechała do firmy wcześniej, żeby raz jeszcze spojrzeć na wszystko, dopóki będzie tu pusto. Rozejrzała się po przydzielonym jej pokoju. Niczego nie brakowało: był stół do pracy, biurko z komputerem, deska kreślarska. Było nawet okno zamiast sztucznego oświetlenia.

Skye nachyliła się, żeby powąchać kwiaty, które ktoś tu postawił.

- Cześć. - Odwróciła się gwałtownie. W progu stał Griffen.
- Witaj - odpowiedziała, czerwieniąc się.
- Widzę, że zauważyłaś kwiaty.
- Są śliczne. Dziękuję.
- Podoba ci się twój pokój?
- Doskonały.
- A mieszkanie?
- Też. Jeszcze nie zdążyłam się urządzić, ale jest zachwycające. - Zaśmiała się nerwowo, speszona spojrzeniem błękitnych oczu. Jak ma zachować dystans

wobec tego człowieka, kiedy on tak na nią spogląda, jakby była najwspanialszą kobietą na świecie?

- Kiedy przywiozą twoje meble?
- Dzisiaj późnym popołudniem.
- Mogę wpaść, żeby pomóc ci się rozpakować.
- To zbyteczne, Griffenie. Tyle już dla mnie zrobiłeś.
- Wcale mi się tak nie wydaje. Naprawdę chcę ci pomóc.

Poza tym nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie poznam tego twojego Pana Muu. Mam wrażenie, że zostaniemy kumplami.

Skye skapitulowała.

- Dobrze, przyjdź.
- Świetnie. Do zobaczenia wieczorem, Skye.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Griffen pojawił się wkrótce po tym, jak odjechał wóz z firmy organizującej przeprowadzki. Przyniósł jedzenie z restauracji, butelkę wina i bukiet kwiatów.

- Pomyślałem, że zgłodniałaś.

- Umieram z głodu! Daj, zabiorę od ciebie te torby. Jedzenie cudownie pachnie.

- Tajskie. Mam nadzieję, że lubisz ostre dania.

- Uwielbiam. - Otworzyła szerzej drzwi, pomagając sobie biodrem. - Wchodź. Na razie straszny tu bałagan, ale mieszkanie jest naprawdę śliczne. Nie wiem, jak ci dziękować. - Skye postawiła torby na blacie kuchennym.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc. A gdzie Pan Muu, o którym tyle słyszałem?

- Zupełnie o nim zapomniałam. Kiedy przywieźli meble i kartony, zamknęłam go w sypialni, bo koniecznie chciał pomagać robotnikom.

Panu Muu Griffen ani trochę nie przypadł do gustu. Nie podszedł się przywitać, przez cały czas trzymał się Skye, patrzył ponuro na gościa, nie spuszczał z niego wzroku i powarkiwał z cicha od czasu do czasu.

- Nie rozumiem, dlaczego się tak zachowuje. - W głosie Skye brzmiało zakłopotanie. - Zwykle jest bardzo przyjacielski.

- Czuje się nieswojo - odparł Griffen. - Nowe otoczenie, nowy dom i jeszcze na dodatek obcy ludzie. To musi być dla

niego duży stres.

- Ale kiedy kręcili się tu robotnicy... - Ugryzła się w język, czując, że strzeliła gafę. - Zamknę go z powrotem.

- Nie, niech się do mnie przyzwyczai.

- On uwielbia ciasteczka z wróżbami. Może przekona się do ciebie, jeśli dasz mu jedno.

- Spróbujmy. - Griffen rozwinął ciastko, Muu podbiegł do niego, chwycił ciastko niemal w locie i z powrotem przypadł do nóg zdumionej Skye. Nigdy jeszcze nie widziała, żeby tak się zachowywał. Pokręciła głową.

- Może jednak powinnam go zamknąć.

- Daj mu kilka minut. W najgorszym razie mnie ugryzie, w najlepszym zostaniemy przyjaciółmi. Napijemy się wina?

Skye odnalazła w kartonach korkociąg i podała go Griffenowi.

- Co za sukces! Kieliszki są chyba w tamtym. - Wskazała jedno z pudeł.

Po kilku minutach na podłodze w salonie stała cała zastawa do kolacji we dwoje. Znalazły się nawet świece.

- Siadaj - poprosił Griffen. - Przyniosę jedzenie.

Muu ruszył za nim i zatrzymał się na progu kuchni, jakby pilnował gościa, niepewny jego zachowania i wyraźnie zaleźniony.

- Muu, przestań warczeć, bądź miłym kumplem - powiedział Griffen, wracając do salonu.

Na dźwięk swojego imienia pies rzucił się ku Skye, omijając szerokim łukiem Griffena.

- Kiedy byłaś w łazience, przeprowadziliśmy poważną rozmowę. Zgodził się mnie tolerować.

- To dobrze. Boję się, czy nie jest chory. Dziwnie się zachowuje. - Skye sprawdziła nos zwierzaka, ale jak zawsze był zimny i wilgotny.

Zabrali się do jedzenia, ale chociaż było znakomite, Skye nie była w stanie docenić smaku dań. Była zdenerwowana, bowiem sposób, w jaki Griffen na nią patrzył, w jaki wtargnął do jej mieszkania i przejął nad wszystkim komendę, przyprawiał ją o dziwny niepokój.

- Jakaś ty piękna!

Widelec wysunął się jej z ręki i z brzękiem uderzył o talerz. Zrobiła się czerwona jak piwonia.

- Naprawdę, Skye - zapewnił, dotykając jej dłoni. - Czasami jestem bezpośredni. Ludzi to peszy albo zraża, a ja nie chciałbym, żebyś zraziła się do mnie. Nie powinnaś się bać.

Nie rozumiała, co Griffen takiego w niej widział, dlaczego zachowywał się tak, jakby jej pragnął. Kiedy wpatrywała się w jego twarz, szukając w niej odpowiedzi, nagle odniosła wrażenie, że kiedyś, dawno temu, musiała go znać. Na ułamek sekundy jakieś drzwi wiodące do odległych wspomnień uchyliły się i natychmiast zatrzasnęły.

- Coś się stało? - zaniepokoił się.

- Przez chwilę wydawało mi się... Czy mogliśmy się kiedyś spotkać? Wydałeś mi się... znajomy.

- Nie sądzę. Na pewno nie. Gdybym kiedyś cię spotkał, zapamiętałbym cię na zawsze.

- Jesteś pewien? - Z zafrasowaną miną przygryzła wargę.
- Muszę być bardziej zmęczona, niż mi się wydawało.
- Mam inne wytłumaczenie.
- Tak?
- Może twoje serce mnie rozpoznało?
- Nie mów tak, Griffenie. - Skye bezradnie rozłożyła ręce.
- Jesteś moim szefem. Nie komplikuj naszych stosunków.

Griffen podniósł się, podszedł do Skye i pociągnął ją, by wstała.

- Owszem, jestem twoim szefem, ale chcę być kimś więcej. Długo na ciebie czekałem, Skye Dearborne. Bardzo długo. Wiem, że nie powinienem się spieszyć, ale bardzo cię pragnę.

Krew uderzyła jej do głowy. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

Griffen uniósł jej dłonie do ust i zaczął powoli całować każdy palec i nadgarstki.

- Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? - zapytał po chwili.

- Nie... Tak. - Pokręciła głową, niczego już niepewna. - Nie wiem.

- A ja wierzę. Pokochałem cię w chwili, kiedy cię zobaczyłem. Spojrzałem na ciebie i byłem pewien, że jesteś stworzona dla mnie, że pragnąłem cię od zawsze.

- Od zawsze - powtórzyła zdławionym głosem. Nikt nigdy nie mówił jej podobnych rzeczy.

Nagle poczuła silny ból głowy.

- Nie znasz mnie, Griffenie, ani ja ciebie nie znam.

- Znam cię, Skye. - Przycisnął jej dłonie do piersi. - Ty też mnie znasz. Zajrzyj we własne serce, a znajdziesz mnie tam. Ty też na mnie czekałaś.

Tak, czekała na człowieka, który pokochałby ją od pierwszego wejrzenia, bezwarunkowo i gorąco. Na zawsze.

- Dam ci wszystko, spełnię każde twoje marzenie. - Nachylił się i zamknął jej usta pocałunkiem. - Poczekam na ciebie - szepnął po chwili. - Dam ci czas, ale traktuj moje słowa poważnie. Zrobię wszystko, żebyś była moja.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Ogromny czarny ptak krążył nad jej głową, przesłaniał słońce. Usiłowała biec i nie mogła, bo nogi odmawiały posłuszeństwa, poruszały się coraz wolniej i wolniej. Brakowało jej tchu, z trudem chwytiała powietrze. Wiedziała, że ptak za chwilę na nią spadnie.

Ptak był tuż-tuż, zbliżał się, czuła jego obecność nad sobą, choć nie śmiała unieść głowy.

- Mamo! Na pomoc!

Usiadła gwałtownie na łóżku zrana potem. Echo krzyku drżało jeszcze w mroku sypialni. Zdezorientowana, rozejrzała się po wnętrzu.

Coś poruszyło się w nogach łóżka i zaskomlało. Muu.

- Chodź do mnie, maleńki - szepnęła, przygarniając psa, i ukryła twarz w jego miękkim futrze.

Leżała tak przez długie minuty. Powoli wracała do siebie, zaczynała myśleć logicznie.

To tylko zły sen, powtarzała sobie. Nocny koszmar. Nie ma się czego bać.

A jednak koszmar był przeraźliwie wyrazisty i realny.

Przesunęła dłoń po czole. Przed chwilą czuła niemal szpony bestii i jej oddech na karku. Skąd ten zły sen? Teraz, kiedy wszystkie jej marzenia zdawały się spełniać? Miała wspaniałą pracę i piękne mieszkanie w cudownym mieście, a olśniewający mężczyzna zapewniał, że jest miłością jego życia.

„Uważaj, czego sobie życzysz.

Życzenie może się spełnić”.

Przypomniała sobie wróżbę znaną w ciastku i zaśmiała się nerwowo. Gotowa jest zacząć wierzyć w przesady. Jak tak dalej pójdzie, będzie zaczynała dzień od przeczytania swojego horoskopu.

Muu znowu zaskomlał. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że z całych sił ściska go za szyję.

Ostatnie dwa tygodnie przyniosły ogromną zmianę w jej życiu. Żyła w stresie, stąd nocny koszmar. A może dlatego, że przed snem zażyła tabletki przeciwko migrenie? Każdemu czasami śnią się koszmary.

A jednak, leżąc w ciemnościach i wpatrując się w sufit, nie mogła zapomnieć o krążącym nad nią ogromnym czarnym ptaku.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Koszmary męczyły Skye regularnie przez następne dwa tygodnie, pociągając za sobą chroniczny ból głowy. Gdyby nie złe sny i migreny, byłyby to cudowne, wręcz magiczne dni.

Dzięki Griffenowi.

Bywali w teatrze, chodzili do klubów jazzowych i do tak oryginalnych restauracji, że Skye nie potrafiła wymówić nazw większości dań. Rozmawiali do późnych godzin nocnych, zwierając się sobie z własnych marzeń i snując plany na przyszłość.

Z każdym dniem Skye nabierała coraz większego przekonania, że nowy przyjaciel mógłby być jej wysnionym mężczyzną, który spełni jej wszystkie tęsknoty za idealną, bezgraniczną miłością.

Mógłby... Skye odłożyła ołówek i zamyśliła się. Chciała mu ufać, coś jednak nie pozwalało jej zawierzyć Griffenowi do końca. Nie wiedziała, skąd się biorą jej zastrzeżenia. Być może spadło to na nią zbyt szybko, może nie była przygotowana.

A może obawiała się, że Griffen zmieni zdanie, gdy zrozumie, że wcale jej nie kocha.

Ta świadomość zniszczyłaby ją.

Westchnęła. Co powinien zrobić, by udowodnić jej swoje oddanie? Potrafił pięknie mówić, zachowywał się tak, jak powinien się zachowywać ktoś zakochany na śmierć i życie,

traktował ją, jakby była jedyną kobietą na całym świecie. Czego jeszcze było jej trzeba? Dlaczego nie potrafiła mu zaufać?

Miała wrażenie, że Griffen czyta w niej jak w otwartej księdze, że zna ją na wylot.

Tymczasem w firmie zaczęto szeptać, że Skye jest pupilką Dorothy i że to właśnie ona przejmie ster w pracowni, kiedy starsza pani zdecyduje się definitywnie odejść.

Śmieszne! Pracowała w Monarch's zaledwie od dwóch tygodni i plotki o tak wielkim awansie były całkowicie pozbawione podstaw. Nierealistyczne, sprzeczne z zasadami rządzącymi jakąkolwiek poważną firmą.

Owszem, Dorothy wzięła ją pod swoje skrzydła, wprowadzała w tajniki funkcjonowania pracowni. Ich temperamenty twórcze były podobne, poza tym obydwie bardzo się polubiły. Ale to jeszcze nie oznaczało, że miałyby przejąć po starszej pani berło głównego projektanta.

Podobnie jak jej romans z Griffenem, o którym wszyscy zawzięcie plotkowali.

Sytuację pogorszyło jeszcze pierwsze robocze spotkanie zespołu, w którym brała udział. Wiedząc, że inni patrzą na nią niechętnym wzrokiem, postanowiła siedzieć cicho i nie wypowiadać publicznie własnych opinii. Kiedy jednak zobaczyła poddane pod dyskusję projekty, nie wytrzymała i zaczęła je ostro krytykować. Bo też były fatalne: nudne, pozbawione odrobiny wyobraźni.

Dorothy była zachwycona jej pomysłami, kilku projektantów podchwyciło jej idee, ale reszta znienawidziła

ją na dobre.

- Hej! - W drzwiach stała Terri, jedna z projektantek, która zaakceptowała Skye.

Skye uśmiechnęła się.

- Hej! Myślałam właśnie o tobie.

Terri z niepewną miną weszła do pokoju i nieśmiało zerknęła na szkice, nad którymi pracowała Skye.

- Postanowiłam nazwać tę serię Światła Wielkiego Miasta. To dopiero początek - usprawiedliwiła się Skye. - Chiałabym oddać tu energię i charakter metropolii.

- Podoba mi się ten pomysł. Każde miasto mogłoby mieć własne klejnoty: Londyn, Nowy Jork, San Francisco. - Terri, wyraźnie zafrapowana, przysiadła na skraju biurka. - Doskonały prezent świąteczny dla kobiety, która ma wszystko. Sama chętnie zrobię kilka szkiców do twojego pomysłu, ale, oczywiście, ty jesteś jego autorką.

Do pokoju wetknęła głowę recepcjonistka.

- Terri? Tu jesteś. Na jedynce telefon do ciebie. Dzwoni Will. Twierdzi, że to ważne.

- Dziękuję - rzuciła Terri przez ramię i zwróciła się do Skye: - Mogę odebrać u ciebie?

- Oczywiście. - Skye wstała. - Przyniosę sobie kubek kawy.

Terri gestem dłoni poleciła jej, by została. Skye próbowała nie przysłuchiwać się rozmowie, ale nie mogły ujść jej uwagi gniew i gorycz brzmiące w głosie Terri.

Ta szybko skończyła rozmowę.

- Wspaniale, po prostu wspaniale - mruknęła.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Terri spojrzała na Skye i szybko odwróciła lśniące od łez oczy.

- Gdyby to było możliwe! Will to mój mąż. Rozwiedzimy się. I chyba niewiele więcej da się o nim powiedzieć.

- Przykro mi.

- Mnie też. A zresztą, powiem ci, bo i tak wszyscy w pracowni o tym wiedzą. Przyłapałam go w łóżku z inną. Potem okazało się, że sypia z kim popadnie. Najbardziej mi żał naszej córeczki, Raye. Ma cztery lata. Ciągłe się dopytuje, dlaczego tata się wyprowadził. Wcześniej Will też nigdy nie miał czasu dla małej. Za bardzo był zajęty swoimi panienkami.

- Chciałby do was wrócić?

- A, owszem. - Terri opuściła głowę. - Tyle że po tym, co zrobił, nie chcę go więcej widzieć w domu. Powiedz, mam rację czy jestem okrutną egoistką?

- Sama musisz podjąć decyzję, ale mogę ci powiedzieć jedno: nikt nie zasługuje na to, by traktować go tak, jak on potraktował ciebie.

Terri uśmiechnęła się przez łzy.

- Dzięki! Dodałaś mi otuchy.

- Nie dziękuj.

- Chcesz zobaczyć zdjęcie małej?

- Jasne.

Terri zdjęła z szyi medalion w kształcie serca, otworzyła go i podsunęła Skye zdjęcie ślicznej dziewczynki.

- Prawda, że cudowna? - ucieszyła się, kiedy Skye wyraziła już swój zachwyt. - Niestety... muszę już pędzić. To dlatego ten gnojek dzwonił. Coś mu wypadło i nie może odwieźć Raye do opiekunki. Raczej ktoś niż coś. - Podeszła do drzwi i odwróciła się. - Jesteś fajna i miła. Miałaś rację, te nasze projekty były do niczego. Do zobaczenia jutro!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Dom był imponujący. Umieszczona na liście zabytków neorenesansowa rezydencja z piaskowca i cegły zapierała dech w piersiach, choć swoim zimnym majestatem przytłaczała człowieka.

- I tu naprawdę mieszkają ludzie? - zapytała Skye ze śmiechem.

- Rozumiem, że dom zyskał twoje uznanie - ucieszył się Griffen i objął ją ramieniem. - Chodź, tyle opowiadałem o tobie dziadkowi, że teraz po prostu musisz go poznać.

- To konieczne?

Przez twarz Griffena przemknęło zdziwienie.

- Jak to konieczne? Zjemy razem z nim kolację, Dorothy też przyjdzie. - Lekko popchnął Skye ku przeszklonym, rozjarzonym światłami drzwiom wejściowym.

Skye z trudem pokonywała każdy stopień. Im bliżej była drzwi, tym większą miała ochotę obrócić się na pięcie i uciec.

- Odpręż się! Dziadek cię nie zje. Zobaczysz - uspokajał ją Griffen.

Adam Monarch istotnie nie okazał się złym wilkiem. Na powitanie serdecznie uścisnął Skye, jakby była dawno zaginionym członkiem rodziny albo kimś, na kogo czekał przez całe życie.

- Jesteś śliczna - oznajmił z promiennym uśmiechem. - A przy tym, jak słyszę, bystra i utalentowana. - Adam

i Griffen wymienili spojrzenia. - Człowiek mógłby pomyśleć, że jesteś jedną z Monarchów i pewnie będziesz, bo ten tutaj obwieść zarzeka się, że już ci nie pozwoli od siebie uciec. Trudna z nas może rodzina - ciągnął starszy pan - ale lojalna wobec siebie. Kiedy już wejdiesz między nas, nigdy cię nie zawiedziemy.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych.

- To Dorothy. Poczęstuj naszą dziewczynkę drinkiem, Griffenie. Na pomocniku stoi otwarta butelka caberneta. Muszę na osobności zamienić kilka słów z moją siostrą.

Kiedy weszli do ogromnej jadalni, Skye zwróciła uwagę na portret wiszący naprzeciwko drzwi.

- Kto to? Jest bardzo podobna do Dorothy - zauważyła, odbierając kieliszek od Griffena.

- Anna Monarch. Miała wielki talent. Od niej się wszystko zaczęło.

- A ten mężczyzna obok? Jej mąż?

Griffen stanął za Skye i oparł brodę na czubku jej głowy.

- Nie, to Marcus, brat Anny. Wspólnie założyli Monarch's. Znakomita artystka i wytrawny biznesmen świetnie się uzupełniali.

- Jak Dorothy i Adam.

- Tak. I jak dzieci Marcusa, Rita i Jonathan. Niestety, mój ojciec nie miał siostry. Był jedynakiem, a ja... - Griffen zamilkł.

- Nigdy nie miałeś rodzeństwa?

- Miałem dwie siostry. Obydwie umarły... młodo.

- Przykro mi.

- W naszej rodzinie zawsze celebrowało się narodziny dziewczynek.

- To śmieszne, żeby przedkładać jedną płęć nad drugą - zauważyła Skye. - W niektórych krajach ludzie chcą mieć chłopców, ale dziewczynki...?

- Wszystkie nasze dziewczynki posiadały dar.

- Dar? - Skye przeszedł zimny dreszcz.

- Wyglądasz tak, jakbyś się czegoś przestraszyła. - Griffen przesunął palcem po policzku Skye. - Chciałem tylko powiedzieć, że kobiety z rodu Monarchów miały wielki talent. Anna, Rita, Dorothy, wszystkie były genialnymi projektantkami. Cóż, przeżyliśmy kilka tragedii, ale to tylko wzmocniło naszą rodzinę.

Skye wiedziała, że Griffen mówi o swoich siostrach. Rozumiała, jak wiele przeszedł i że jest mu bardzo potrzebna, jemu i jego rodzinie.

- Jesteś niezwykłym człowiekiem, Griffenie.

- Czy to znaczy, że mam u ciebie jakieś szanse?

- Tak - szepnęła. - Zdecydowanie tak.

Griffen się nachylił i zamknął jej usta pocałunkiem. Dziwny to był pocałunek, wspaniały, ale zimny. Nie było w nim odrobiny namiętności, żaru. Cóż, pomyślała Skye, nie każdy ogień rozpala się od razu wielkim płomieniem. Tak bywa... i to nawet lepiej, poprawiła się w duchu. Gwałtowny ogień szybko się spala. Trudno nad nim panować i potrafi wyrządzić wiele zniszczeń.

Od drzwi doszło ją delikatne chrząknięcie.

Skye odwróciła się gwałtownie. W progu stali Dorothy i Adam.

- Nie przeszkadzajcie sobie - rzuciła Dorothy lekko. - Najwyższy czas, by w tym domu pojawiła się wreszcie dziewczyna. Już myślałam, że Griffen nigdy się nie zdecyduje.

- Szukałem ideału, ciociu.

- I wreszcie go znalazł! - huknął Adam. - Wszyscy bardzo się cieszymy.

- Bardzo - powtórzyła Dorothy, całując Skye w oba policzki. - Witaj, kochanie. Widziałaś już dom?

- Po kolacji wszystko pokażę Skye - wtrącił Griffen.

- Nie zapomnij o pokoju dzieciennym. - Dorothy z rozbawieniem spojrzała na Griffena. - Jest zupełnie wyjątkowy.

- Na czym polega jego oryginalność? - zainteresowała się Skye, kiedy zajęli miejsca przy wielkim stole.

- Ma piękny witraż, od sufitu do podłogi.

- Przedstawia anioła - dodała Dorothy. - Projektował go znany chicagowski artysta, Frank Dewitt. Słyszałaś o nim?

- Niestety, nie.

- Pokój dziecienny od pewnego czasu jest zamknięty - odezwał się Adam. - Dawno tam nie sprzątano. Nie powinieneś pokazywać Skye tego bałaganu.

- Daj spokój! Nie przestraszy się odrobiny kurzu - obruszyła się Dorothy.

- Masz rację. Chętnie obejrzę ten niezwykły pokój - odrzekła Skye.

Kiedy po kolacji Griffen zaczął oprowadzać ją po rezydencji, wrócił poprzedni niepokój. Dom zdawał się coraz bardziej przytłaczający, jakby emanował zawłaszczającą, żądającą pełnej uległości energią... Jakby był groźną, żywą istotą.

Skye starała się nie ulegać paraliżującej panice. Wiedziała, że staje się po prostu śmieszna. Najpierw atak klaustrofobii w windzie, potem koszmarne sny, teraz znowu to. Zachowuje się jak neurotyczka.

Potrząsnęła głową, usiłując skupić się na tym, co mówił Griffen. Dom był rzeczywiście wspaniały, pełen obrazów, antyków i staroświeckich bibelotów, które w innej sytuacji na pewno wzbudziłyby jej zachwyt. Tymczasem liczyła sekundy i modliła się, by uciec stąd jak najprędzej, żeby wrócić do swojego mieszkania, gdzie czekał Muu i ciepłe łóżko.

Nigdy więcej jej noga nie postanie w tym domu.

- Słuchasz mnie?

Ocknęła się, słysząc pytanie Griffena i uśmiechnęła z przymusem.

- Oczywiście. Tyle jest tu do oglądania. Gubię się w natłoku wrażeń.

- Pokój dziecienny jest na końcu korytarza. Voilav.

Griffen otworzył drzwi pokoju i zapalił światło. Adam miał rację. Pełno tu było kurzu. Ogarnęła wzrokiem wnętrze: dzieciinne białe łóżeczko, fotel na biegunach, półki pełne książek i zabawek, wielki miś siedzący na dywanie.

Dojrzała anioła, który z szeroko rozpostartymi ramionami zdawał się unosić w powietrzu. Skye zaparło dech z zachwytu.

- W dzień przez witraż sączy się piękne, wielobarwne światło. Kołyskę zwykle stawiało się w tym miejscu, by dziecko znajdowało się pod opiekuńczym spojrzeniem anioła. - Griffen podszedł bliżej okna.

Skye poczuła, że oblewa się potem. Oderwała wzrok od witraża i spojrzała na podłogę, gdzie widniała duża, ciemna plama. Nagle w przerażeniu uświadomiła sobie, co to jest.

Krew. Czerwona, świeża i lepka krew.

Cofnęła się z krzykiem.

- Boże, Skye, co tobie?

- Podłoga... To... to...

Griffen najpierw popatrzył na dębowy parkiet, a potem uważnie przyjrzał się Skye, jakby była obłąkana.

- Niczego nie widzę.

Plama zniknęła bez śladu.

- Ale... wydawało mi się.

Chyba zaczyna tracić zmysły.

- Skye, kochanie, dobrze się czujesz?

- Nie... łazienka... Muszę do łazienki.

Odwróciła się i pobiegła we wskazanym przez Griffena kierunku.

Długo stała nad porcelanową umywalką wstrząsana torsjami, potem przez dłuższy czas nie mogła ruszyć się z miejsca.

Nie wiedziała, jak spojrzeć w oczy Griffenowi i jego rodzinie. Była zażenowana własnym zachowaniem, ale przede wszystkim czuła śmiertelne przerażenie. Tym razem nie potrafiła ani wskazać, ani nawet nazwać zagrażającej jej bestii. Jakby ta zagnieździła się w jej głowie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Chance, chociaż zajęty ostatnimi szczegółami związanymi z bankietem wydawanym dla sponsorów Towarzystwa Miłośników Chicago, niecierpliwie zerkał na drzwi, wyglądając Griffena.

Ostatnio rzadko widywał Monarcha. Griffen zwierzył mu się, że w jego życiu pojawiła się nowa kobieta, ktoś zupełnie wyjątkowy. Nic więcej nie chciał zdradzić.

Chance go wyśmiał. Griffen, wiecznie otoczony ślicznotkami i zmieniający przyjaciółki jak rękawiczki, a tu raptem ta jedna jedyna?

Chance oniemiał dopiero wówczas, gdy usłyszał, że Monarch zamierza się z nią ożenić.

Teraz nie mógł się już doczekać, by poznać tajemniczą damę. Skoro usidliła tego lekkoducha, który jeszcze kilka tygodni temu kolekcjonował numery telefonów wszystkich napotkanych dziewcząt, musiała być rzeczywiście wyjątkowa.

Chance życzył przyjacielowi jak najlepiej. W końcu to dzięki niemu otwierały się przed nim wszystkie drzwi, pośrednio dzięki niemu organizował również dzisiejszy bankiet, wydarzenie nie tylko medialne, jako że weźmie w nim udział Oprah, Michael Jordan i Cindy Crawford, ale również społeczne, bo miało przynieść Towarzystwu Miłośników Chicago naprawdę spore fundusze.

Tak, rekomendacja Monarchów pozwoliła mu w błyskawicznym tempie dotrzeć znacznie wyżej, niż zawdzięczał to całym latom wyęźzonej pracy w branży.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pół roku temu rozdzwoniły się w biurze Chance'a telefony i nadal dzwoniły. Na jego biurko jedno po drugim zaczęły spływać intratne zamówienia.

Miał wreszcie to, o czym marzył, a do tego przyjaźń Griffena.

W godzinę po rozpoczęciu bankietu, kiedy wszyscy bawili się w najlepsze, do Chance'a podeszła Martha, szefowa Towarzystwa Miłośników Chicago. Ujęła jego dłonie i uścisnęła je serdecznie.

- Jesteś geniuszem, Chance. Ludzie są zachwyceni. Dawno na żadnym przyjęciu nie słyszałam tylu komplementów pod adresem organizatora.

- Miło to słyszeć. - Chance uśmiechnął się szeroko. - Nie widziałas przypadkiem Monarcha?

- Owszem, przed chwilą z nim rozmawiałam. - Wskazała kąt w drugim końcu sali.

Chance ruszył w tamtym kierunku. Zbyt zajęty, nie zauważył dotąd Griffena. Teraz pozna wreszcie jego tajemniczą towarzyszkę.

Najpierw dostrzegł przyjaciela, potem ją. Stała odwrócona plecami, oparta na ramieniu Griffena: ciemne, miękkie, lśniące włosy do ramion, głęboki niemal do pasa dekolot odsłaniający plecy, alabastrowa skóra. Atrakcyjna nawet z daleka i widziana od tyłu. Chance uśmiechnął się pod

nosem, zaintrygowany piękną sylwetką. Nic dziwnego, że Griffen stracił głowę.

W tej samej chwili jego wybranka odwróciła się profilem. Chance zamarł.

Niemożliwe! Towarzyszka Griffena była uderzająco podobna do Skye, do jego Skye.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej opowiedział Griffenowi historię ich przyjaźni i wspólnej ucieczki, a teraz nagle Skye miałyby się pojawić u boku Griffena? Nieprawdopodobne! Takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają.

Chance podszedł bliżej. Teraz widział już wyraźnie twarz dziewczyny.

Skye?!

Mała, przemądrzała, wszędobylska i nieznośna Skye, która wciąż za nim chodziła i patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był najwspanialszym człowiekiem na świecie.

Nikt poza nią nigdy tak na niego nie patrzył. Nikt nigdy nie zdał się na niego tak całkowicie, jak ona.

Poczuł bolesny ucisk w gardle. Tęsknił za tym, tęsknił za Skye.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo. Miał ochotę ją uściskać, a potem śmiać się i wygadać za wszystkie czasy. Usłyszeć, co się z nią działo przez minione lata i co ją sprowadza do Chicago. Jak znalazła się w ramionach jego przyjaciela.

Griffen! Chance nagle zorientował się, że tamten z lekkim, ironicznym uśmiechem uważnie go obserwuje.

O co tu chodzi? Jaką grę Griffen prowadzi?

Nie, Griffen na pewno nie wie, kim jest Skye. To po prostu zaszedł dziwny zbieg okoliczności, z którego później cała trójka będzie się serdecznie śmiała.

Griffen nachylił się do Skye, powiedział jej coś na ucho i wskazał Chance'a. Wtedy z uśmiechem spojrzała w jego stronę.

Przez moment patrzyła z grzecznościowym zaciekawieniem, a kiedy rozpoznała Chance'a, jej twarz zastygła w masce.

Nie ucieszyła się na widok dawnego przyjaciela, a już na pewno nie mógł liczyć na długie, serdeczne rozmowy. Kiedyś bardzo ją zranił, a ona widocznie nadal chowała do niego urazę, a może nawet czuła nienawiść.

To minie, powiedział sobie, kiedy jej wytłumaczy swoje postępowanie. Wtedy Skye zrozumie.

Podszedł, układając w myślach słowa przywitania, lecz Griffen go wyręczył.

- Chance, stary, to Skye Dearborne, o której ci opowiadałem.

- My się znamy. Witaj, Skye.

- Witaj - rzuciła chłodno i szybko uciekła wzrokiem, zaciskając przy tym usta.

- Znacie się? - Griffen patrzył na nich ze zdumieniem.

- Zналиśmy się dawno temu - wybąkał Chance. - Świetnie wyglądasz, Skye. Trudno mi uwierzyć, że cię widzę.

Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- To zrozumiałe. Nie mogłeś się spodziewać, że kiedykolwiek mnie zobaczysz - odparła i zwróciła się do Griffena. - Przepraszam na chwilę, muszę poprawić makijaż.

- Powiedz mi, Griffen, jak się poznaliście? - zapytał Chance, kiedy zniknęła w tłumie.

- Och, na gruncie zawodowym. Skye jest naszą nową projektantką. Zobaczyłem jej prace na wystawie w Nowym Jorku, odnalazłem ją, obejrzałem jej portfolio. Dorothy i mnie bardzo spodobało się to, co robi. Zaproponowaliśmy jej pracę.

- I to wszystko?

- Oczywiście, jeżeli nie liczyć faktu, że się w niej zakochałem. Jeśli masz coś przeciwko temu, powiedz od razu, ale ostrzegam, w niczym nie zmieni to moich uczuć do niej.

Chance wpatrywał się przez chwilę w twarz przyjaciela. Griffen uczynił dla niego więcej niż ktokolwiek, dlaczego więc miałyby właśnie teraz kłamać?

Pokręcił głową.

- Wybacz, Grif, ale to zupełnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

- Nieprawdopodobny zbieg okoliczności? - Griffen założył ręce na piersi. - Mów, proszę, zamieniam się w słuch.

- Pamiętasz, kilka miesięcy temu opowiadałem ci o wędrownym wesołym miasteczku i o dziewczynce...

- Którą zostawiła matka?

- No właśnie. Pokazywałem ci jej rysunek. To jest właśnie Skye.

Griffen szeroko otworzył oczy.

- Niemożliwe! Jesteś pewien?!

- To ta sama dziewczyna. Teraz rozumiesz, dlaczego byłem taki zdumiony?

- Rozumiem. Nie wyglądała na zbyt ucieszoną z waszego spotkania. Zrobiłeś jej coś?

- Zostawiłem ją. Musiałem. To było jedyne rozsądne wyjście. Tyle że... nie pożegnałem się z nią. Uważałem, że tak będzie najlepiej. Że robię to dla jej dobra.

- Znakomite posunięcie. - Griffen zaśmiał się złośliwie. - Z klasą. Obawiam się, że po naszym ślubie raczej nie będziesz bywał u nas na kolacjach.

- Ona na pewno mi wybaczy.

- Aha, uważaj! - Griffen nie krył rozbawienia.

Chance spojrział na niego i zastanowił się, czy rozmawia z przyjacielem, czy z obcym człowiekiem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Skye usiadła ciężko na taborecie w gotowalni dla pań i uniosła drżące ręce do twarzy. Kiedy odwróciła się i zobaczyła Chance'a, w ułamku sekundy całe dotychczasowe życie przewinęło się jej przed oczami.

W pierwszej chwili poczuła na widok dawnego przyjaciela ogromną radość. Znowu miała trzynaście lat, a Chance był przy niej.

Potem przypomniała sobie, ile zadał jej bólu, i to wspomnienie napełniło ją gniewem. I tak już zostało. Jak mógł tak wobec niej postąpić? Na litość boską, przecież była wówczas jeszcze dzieckiem! Potrzebowała go, a on odszedł, nie powiedziawszy nawet „powodzenia, mała”.

Nienawidziła go.

Zamknęła oczy i policzyła do dwudziestu. Była teraz dorosłą, niezależną, świadomą swojej siły osobą. Mogła odplacić Chance'owi za tamten postępek, sprawić, by gorzko żałował swojej decyzji.

Tyle razy zastanawiała się, co się z nim dzieje. Wyobrażała sobie, że spotkał go zły los, przytrafiło mu się jakieś nieszczęście, a tu staje przed nią elegancki, przystojny, uśmiechnięty człowiek sukcesu.

Znajomy Griffena.

Co Griffen mówił o swoim przyjacielu, którego chciał jej przedstawić? Niewiele. Że prowadzi firmę public relations

i że Skye pozna go podczas dzisiejszego bankietu. Jakby coś ukrywał i z góry cieszył na efekt swojej intrygi.

Pokręciła głową. Czyżby Griffen wiedział, że znała Chance'a, czyżby znał relacje, jakie ich kiedyś łączyły? Nie wspominała mu ani słowem o swoim przyjacielu, o ucieczce matki, o tym, jak znalazła się w domu Sary i Michaela.

Nie, nie mógł o tym wiedzieć, a już na pewno niczego nie dowiedział się od Chance'a.

Dopiero ona opowie mu o wszystkim.

Spojrzała na zegarek. Siedziała przed lustrem w gotowalni od kwadransa. Dziwne, że Griffen nie zaczął jej jeszcze szukać. Musi wracać. Jest dorosła i nie będzie się chowała przed Chance'em w toalecie. Potrafi stawić mu czoło.

Wstała, obciągnęła suknię i poprawiła makijaż.

Jest gotowa do walki. Z tą myślą schowała szminkę do torebki. Niech Chance ma się na baczności, bo będzie gorzko żałował tego spotkania. Usłyszy po trzynastu latach, jakim okazał się łajdakiem. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. Zabawi się kosztem pana McCorda.

Nie musiała go szukać. Czekał na nią przy drzwiach gotowalni. Podszedł do niej.

- Skye, poczekaj. Musimy porozmawiać.

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

- Świetny pomysł. Dlaczego nie mielibyśmy zacząć od ustalenia, jakim strasznym dupkiem się okazałeś?

- Proszę, zaczynaj.

Skrzywiła się z niesmakiem na tę jego szarmanckość.

- Zniknąłeś bez słowa. Nie miałeś nawet na tyle przyzwoitości, żeby zostawić list, choć dobrze wiedziałeś, jak bardzo ci ufam. Wiedziałeś, jak cię kochałam. Widziałeś, jak przeżyłam to, że zostawiła mnie matka. Pomimo wszystko odszedłeś, ty sukinsynu! Teraz już cię nie potrzebuję. Powiodło mi się w życiu. Już cię nie potrzebuję, powtarzam. I nie chcę.

Chance chwycił ją za ramię.

- Naprawdę myślisz, że osiągnęłabyś to wszystko, co masz, gdybym wtedy cię nie zostawił? Uważasz, że miałabyś tak dobre wykształcenie i znakomitą pracę?

- Przestań opowiadać mi bzdury, że odszedłeś z troski o moją przyszłość. Nie, myślałeś wyłącznie o sobie.

- Myślałem o nas obojgu.

- Nie uważaj mnie za idiotkę. „Kamień u szyi”. Tak chyba mnie nazwałeś?

Chciała się od niego uwolnić, ale Chance szedł obok niej, nie dając się zbyć.

- To prawda. Wiedziałem, że nigdy nie zrealizuję swoich marzeń, jeśli zostaniemy razem, ale czułem też, że potrzebujesz normalnego domu, że powinnaś chodzić do szkoły.

- Znaleźliśmy dom - rzuciła z wściekłością.

- Ty mogłaś w nim zostać, bo byłaś jeszcze dzieckiem, ale nie ja. Musiałem sam zatroszczyć się o swoje życie.

- I zatroszczyłeś się o nie. Z powodzeniem. Moje gratulacje, panie McCord. A teraz nie pokazuj mi się więcej na oczy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Z każdym mijającym dniem wściekłość i uraza Skye wobec Chance'a tylko się pogłębiały.

Dlaczego nie może przestać o nim myśleć?

Jej szczenięca miłość, zapatrzenie i ufność należały już do odległej przeszłości, a teraz miała Griffena, który uosabiał wszystko, czego mogła pragnąć. Griffen ją kocha i nigdy jej nie zostawi.

W skroniach odezwał się przeszywający ból.

Tylko nie dzisiaj! Nie może zaczynać dnia z migreną. Przecież o dziesiątej czeka ją zebranie zwołane przez Dorothy, a potem umówiona jest na lunch z Griffenem.

Weszła do firmy tak pochłonięta swoimi myślami, że nawet nie zauważyła, kiedy stanęła przed zamkniętymi drzwiami pokoju, w którym pracowała Terri.

Uniosła lekko brwi. Terri nigdy nie zamykała drzwi, nawet kiedy była całkowicie pochłonięta pracą nad nowym projektem.

Zaniepokojona Skye zapukała. Ostatnio bardzo się zaprzyjaźniły, spędzały ze sobą tyle czasu, że nawet Griffen zaczął być zazdrosny o tę znajomość.

- Terri, to ja, Skye.

- Wejź - dobiegł ze środka stłumiony głos.

- Cześć.

- Cześć. - Terri nawet nie podniosła głowy.

- Dostałaś wczoraj wiadomość o dzisiejszym zebraniu?

- Aha.

- A może wiesz, o czym będzie mowa?

- Nie.

Skye spojrzała uważnie na przyjaciółkę.

- Co się dzieje?

- Zamknij drzwi.

Coraz bardziej zaniepokojona Skye bez słowa zastosowała się do prośby, po czym przysiadła na krawędzi biurka Terri.

- Mów, co z tobą?

Terri zawahała się.

- Dostaję jakieś dziwne telefony. Początkowo myślałam, że ktoś się wygłupia, ale teraz nie jestem taka pewna. Facet mi grozi. Najpierw, kiedy podnosiłam słuchawkę, słyszałam tylko sapanie, teraz zaczął wygadywać świństwa. Dzisiaj rano... nazwał mnie dziwką.

- Obrzydliwe.

- To jeszcze nie wszystko. Powiedział, że dobra dziwka to martwa dziwka, a potem odłożył słuchawkę. - Terri wciągnęła głęboko powietrze. - Był taki okrutny, zdeterminowany. Jakby naprawdę zamierzał mnie zabić. - Spojrzała na Skye. - Boję się!

Skye serdecznie uścisnęła jej dłoń.

- Zawiadomiłaś policję?

- Tak, przed chwilą. Obiecali, że pogadają z Willem, i poradzili, żebym zmieniła numer telefonu i zastrzegła go. I żebym do nich przyszła, jeśli telefony będą się powtarzać. Nic więcej nie mogą zrobić.

- Myślisz, że to Will? - zapytała Skye ostrożnie.

- Tak przypuszczam, ale on się wypiera. Zobaczymy, co powie po wizycie gliniarzy. - Terri po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Miejmy nadzieję, że to jakiś dowcipniś bawi się twoim kosztem. - Skye odpowiedziała uśmiechem. - Zaraz zacznie się zebranie. Zaparzę kawę. Masz ochotę?

- Dzięki. Wypiłam już chyba hektolitr.

- Wszystko będzie w porządku, Terri. Zmienisz numer i dowcipy tego faceta się skończą.

- A jeśli nie? A jeśli ten facet zna mój adres? Martwię się o Raye. On może...

Nie dokończyła zdania. Nie musiała. Obydwie doskonale wiedziały, co chciała powiedzieć.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Sala konferencyjna powoli zaczynała się wypełniać. U szczytu stołu siedziała Dorothy i coś z ożywieniem tłumaczyła Chance'owi w związku z najnowszym projektem promocyjnym, który na zlecenie Monarch's miała realizować jego firma.

Chance słuchał, kiwał głową w stosownych momentach, ale co chwila ukradkiem zerkał na drzwi, oczekując wejścia Skye.

Od spotkania na bankiecie minęły dwa tygodnie, a on ciągle nie mógł przestać o niej myśleć. Wracały obrazy sprzed lat, wspomnienia, rozmowy, wspólne przeżycia zapisane w pamięci z zaskakującą wyrazistością. Chance miał wrażenie, że pogrąża się w obsesji. Czuł się jak człowiek obłąkany.

Skye była teraz dziewczyną Griffena. Wybranką jego przyjaciela. Powinien o tym pamiętać.

To, co go łączyło ze Skye, należało do przeszłości. Minęło tyle czasu. Każde z nich poszło swoją drogą. Jakie to ma znaczenie, że Skye uważa go za drania?

A jednak ma.

Do diabła, zależało mu na niej! Zawsze tak było, cokolwiek na ten temat myślała. Chciał, żeby mu wybaczyła, by zrozumiała, że tamtą decyzję podjął tak samo ze względu na siebie, jak i na nią.

W końcu pojawiła się w sali, w towarzystwie kobiety, którą widział już kilka razy podczas swoich wizyt w Monarch's. Obie były tak pogrążone w rozmowie, że Skye go nie zauważyła. Z jej wejściem całe wnętrze rozświetlił jakiś magiczny blask.

Dostrzegła go wreszcie i zamarła na ułamek sekundy. Spłoszowała. Chance uśmiechnął się mimo woli. W tej samej chwili za plecami Skye stanął Griffen, położył jej dłonie na ramionach. Odwróciła się gwałtownie i Chance stracił z nią kontakt wzrokowy.

Griffen, zamiast usiąść u szczytu stołu, zajął miejsce koło Skye, jakby chciał powiedzieć: ona jest moja, trzymajcie się od niej z daleka. Chance nigdy nie widział go takim zaborczym i zazdrosnym. Jego przyjaciel do kobiet odnosił się zawsze lekceważąco, a nawet pogardliwie.

Dorothy wstała i podniosła dłoń, prosząc przybyłych o ciszę.

- Dzisiejsze zebranie będzie dotyczyło projektu, który przygotowuje dla nas firma McCord. Ponieważ Chance McCord jest w pełni odpowiedzialny za ten pomysł, jemu oddaję głos. Niech się przed wami tłumaczy - zakończyła żartobliwie.

- Monarch's - zaczął Chance - od ponad stu lat stanowi dumę Ameryki w dziedzinie wzornictwa. O ile jednak biżuteria tu tworzona jest powszechnie znana i cieszy się uznaniem, to sama nazwa firmy, inaczej niż ma to miejsce w przypadku Tiffany'ego, zdaje się pozostawać w cieniu.

Podobnie zresztą jak pozostają w cieniu pracujący dla Monarch's projektanci.

Tu Chance spojrział na Skye i raptem stracił wątek. Zapomniał, gdzie jest i o czym mówi. Widział tylko ją, czuł niemal jej zapach. Skye. Piękna, pełna świeżości.

Dorothy odchrząknęła i Chance z niejakim trudem podjął przerwany wątek.

- Otóż kiedy Griffen Monarch podpisywał ze mną kontrakt, obiecałem mu, że zrobię wszystko, by zmienić ten stan rzeczy. Pora wyjść z cienia. Chciałem państwu powiedzieć, że wydawnictwo Uniwersytetu Chicagowskiego, The University of Chicago Press, nosi się z zamiarem wydania obszernego albumu, który prezentowałby dorobek Monarchów w zakresie projektowania biżuterii. Książka ma się ukazać na Boże Narodzenie dziewięćdziesiątego ósmego roku.

Przez chwilę w sali panowała absolutna cisza, jakby wszystkim ta wiadomość zaparła dech w piersiach, po czym wybuchła wrzawa gratulacji, pytań, zachwytów i niedowierzania. Chance uniósł dłonie, by uciszyć zebranych.

- Dorothy, Griffen i ja chętnie odpowiemy zaraz na wszystkie pytania, ale najpierw chciałbym wyjaśnić kilka kwestii. Belinda Constantine, kuratorka działu rzemiosła artystycznego w Art Institute of Chicago, zgodziła się napisać obszerny wstęp do tego albumu. David Argyle, który jest autorem projektu graficznego książki o Tiffanym, przygotuje okładkę i makietę całości. Nie wybraliśmy

jeszcze fotografa, ale prowadzimy już rozmowy z kilkoma najlepszymi w kraju. Dorothy będzie oczywiście czuwała nad całością. Dokona wyboru prac, które znajdą się w albumie, ale oczekujemy pomocy całego waszego zespołu i wytężonej pracy. I tak, na przykład, Skye, która, jak mówi mi Dorothy, pracuje teraz nad bardzo interesującą kolekcją biżuterii, powinna zrobić wszystko, żeby zamknąć możliwie szybko swój projekt, by jej prace mogły znaleźć się w ostatnim dziale albumu, który powinien pokazać, w jakim kierunku zmierza obecnie Monarch's.

- Innymi słowy, do roboty - mruknęła Skye.

- Właśnie. - Chance zmrużył oczy. - Nie będziesz miała z tym chyba specjalnych problemów?

- Żadnych. Kocham swoją pracę.

- To dobrze, bo będziesz jej miała naprawdę dużo.

Znowu zwrócił się do wszystkich zebranych:

- Mike Spelling, autor jednej z najnowszych książek poświęconych architekturze Franka Lloyda Wrighta, napisze tekst o tradycji firmy Monarchów. W związku z tym będziemy prosili wszystkich was o pomoc. Autor będzie się z wami konsultował. Chcemy, żebyście dzielili się z nim swoimi przemyśleniami na temat artystycznych dokonań firmy, swoimi doświadczeniami, odpowiadali na wszystkie jego pytania i poświęcili mu czas. A teraz posłuchamy pytań - zakończył z uśmiechem.

Przez następne pół godziny Dorothy, Chance i Griffen wyjaśniali szczegółowo, jak ma wyglądać planowana publikacja, jaka jest jej idea i cel. Tylko Skye nie odezwała

się ani słowem. Chance wiedział doskonale, jaki jest powód tego milczenia. Była wściekła, że to on właśnie wystąpił z ideą albumu i będzie zaangażowany w jego przygotowanie.

Cholera, gotowa jeszcze mu przeszkodzić!

Kiedy zebranie dobiegło końca, podszedł do grupki, w której stała Skye, i dotknął jej ramienia.

- Przepraszam, mogę zamienić z tobą kilka słów?

- Oczywiście - odpowiedziała z uprzejmym uśmiechem i zostawiła kolegów samym sobie. Dopiero kiedy odeszli na bok, napadła na Chance'a z furią: - Jak śmiałeś wymienić moje nazwisko? Jestem członkiem zespołu. Pracuję tu na tych samych zasadach i prawach co wszyscy inni. Poza tym z jakiej racji masz mi mówić, co mam robić i w jakim tempie projektować?

Chance uśmiechnął się.

- Ciągle ta sama nieznośna smarkata. Widzę, że niewiele się zmieniłaś. Posłuchaj, będziemy współpracować, nawet jeśli nie bezpośrednio, to jednak. Może zakopimy topór wojenny?

- Prędzej wbiję ci go w plecy.

- Czy nie przeszkadza ci, co ludzie o tobie myślą? - zapytał, nachylając się bliżej. - Że dostałaś się tutaj przez łóżko?

Ledwie te słowa padły, pożałował, że je wypowiedział. Nie miał prawa strofować Skye. Nie był już jej starszym bratem. Był nikiem.

Skye patrzyła na niego przez chwilę kompletnie osłupiała, po czym krew nabiegła jej do twarzy, a w oczach pojawił się błysk.

- Jesteś skończoną świnią, McCord. - Posłała uroczy uśmiech przechodzącej obok koleżance. - Trzymaj się teraz ode mnie z daleka, Chance.

- Co tu się dzieje? - zagadnął Griffen, zbliżając się z uśmiechem kota z Cheshire. - Dwoje najbliższych mi ludzi skacze sobie do oczu?

- Nikt sobie nie skacze do oczu - rzuciła ostro Skye. - Mówię mu właśnie, żeby trzymał się ode mnie z daleka. Przepraszam, muszę już iść. - Nie zaszczyciwszy Chance'a spojrzeniem, obróciła się na pięcie i wyszła pospiesznie z sali.

- I co, stary, dostało ci się? - zapytał Griffen, wyraźnie z siebie zadowolony. - Trzymaj się od niej z daleka, jak ci radziła. Ona szaleje na moim punkcie.

Chance nie mógł tego słuchać. W tonie i w spojrzeniu Griffena było coś, co budziło jego obrzydzenie.

- Spieszę się. Jeśli nic już do mnie nie masz, to pozwolisz...

- Mam. Wpadnij do mnie do biura około południa, chciałbym z tobą chwilę pogadać. I pamiętaj - dodał - że pszczoły ciągną do ula. Nie wygrasz ze mną!

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

- Czy Griffen jest już wolny? - zapytała Skye, stając koło biurka Ashley. - Mamy iść razem na lunch.

- Rozmawia przez telefon. Prosił, żebyś chwilę zaczekała.

- Ashley włożyła jakieś dokumenty do teczki. - Powiedz, czy to nie wspaniały pomysł z tą książką?

- Rewelacja - mruknęła Skye, starając się, żeby nie zabrzmiało to kwaśno.

- Ale ten Griffen ma nosa - paplała Ashley. - McCord przyszedł tu praktycznie z ulicy, szukał zleceń, a Griffen od razu go wynajął. Rozwiązał kontrakt z ludźmi, którzy od dwudziestu lat pracowali dla Monarchów, i wynajął Chance'a. Ot tak, po prostu. - Ashley pstryknęła palcami, a Skye poczuła zimny dreszcz.

Zrobiło się jej dziwnie nieswojo. Tak samo postąpił ze mną, pomyślała.

- Od razu coś go tknęło, tylko dałam mu wizytówkę Chance'a. Bardzo się nim zainteresował. - Ashley zerknęła na zegar. - Patrzyłam na niego jak na idiotę, a okazało się, że to ja jestem głupia. Nie znam się na biznesie. Muszę już iść. Umówiłam się z facetem na lunch - dodała ze śmiechem. - Może tym razem trafię wreszcie na tego właściwego.

Skye życzyła jej miłej zabawy, a kiedy została sama, opadła ciężko na sofę.

Griffen był „bardzo zainteresowany”, ledwie zobaczył wizytówkę Chance’a.

Dziwne!

- Grosik za twoje myśli. - W progu sekretariatu stał Chance.

- Guzik ci do moich myśli.

- Jesteś tak samo urocza jak rankiem. Konsekwencja to rzecz chwalebna, ale bywa nudna. Gdzie Ashley?

- Poszła na lunch.

Chance zerknął na drzwi gabinetu.

- Griffen chciał ze mną mówić. Jest u siebie?

- Owszem. Rozmawia przez telefon. Musiało coś ci się poprzestawiać. Oboje zaraz wychodzimy na lunch.

- Nic mi się nie poprzestawiało. Zaczekam.

- Czekaaj.

- Zmieniając temat... - Chance usiadł na sofie naprzeciwko. - Twoje zachowanie dzisiaj po zebraniu było... wysoce nieprofesjonalne.

- Odpieprz się!

- I tak odpowiada dorosły człowiek? Dama, wybranka dżentelmena? Moje gratulacje.

Skye miała serdeczną ochotę zdzielić go w twarz. Zerwała się z kanapy. Była zbyt wściekła, by usiedzieć na miejscu, więc podeszła do biurka Ashley. Chance przez chwilę milczał, po czym zbliżył się do niej.

- Nie chciałaś słuchać mnie rano, może wysłuchasz mnie teraz - zaczął, chwytając ją za rękę, żeby znowu nie

uciekła. – Chcę cię przeprosić, Skye. Przeprosić za to, że cię zraniłem. Bardzo za tobą tęskniłem.

Słowa Chance'a podziałały na Skye tak, jakby ktoś zdzielił ją obuchem w głowę, ale starała się zachować zimną krew.

– Jasne! I dlatego odszedłeś, nie oglądając się za siebie. Dlatego nigdy się nie odezwałeś?

– Skąd wiesz, czy nie oglądałem się za siebie? Przez cały czas byłeś ze mną. Zastanawiałem się, jak ci się wiedzie, ale wrócić nie mogłem. Nie byłem w stanie zaopiekować się tobą. Obojgu nam nie wyszłoby to na dobre. Bardzo cierpiałem. Byłaś moją jedyną przyjaciółką.

Skye czuła, że jeszcze chwila, a się rozplacze.

– Gdybyś mnie kochał, zrobiłbyś wszystko, żebyśmy byli razem. Tymczasem ty po prostu zniknąłeś.

Wracały wspomnienia, te słodkie i te gorzkie. Otaczały ją ze wszystkich stron. Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Chance'a.

I w tym momencie coś się zmieniło. Nieostrzegalnie, ale dramatycznie. Przeszłość zniknęła, odeszła w niepamięć. Została tylko teraźniejszość. I ich dwoje. Kobieta i mężczyzna.

Chance ujął dłonie Skye i pochylił twarz ku jej rozchyłonym lekko wargom.

– Skye... – Przyciągnął ją ku sobie. Jej imię zabrzmiało jak modlitwa, i jak przekleństwo zarzem. Powtórzył je jeszcze raz.

Puścił jej dłonie.

Skye patrzyła na niego, niczego nie rozumiejąc. Chciała go pocałować, a on ją odepchnął. Znowu.

- Nie mogę - wykrztusił. - Ja... Niech to diabli. -
Przeczesał włosy palcami. - Powiedz Griffenowi... że
zadzwońię do niego później.

I wyszedł.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

W piątek wieczorem, kiedy Will zabierał małą Raye, Skye i Terri zwykle umawiały się na wspólną kolację. W ten piątek spotkały się w Scoozi, popularnej restauracji niedaleko mieszkania Terri.

Prawie dwie godziny czekały, aż zwolni się jakiś stolik. Popijały w tym czasie drinki przy barze w tłumie innych pechowych, ale całkiem zadowolonych gości. Terri była w znakomitym nastroju. Zmieniła numer telefonu i tajemniczy mężczyzna przestał wreszcie dręczyć ją pogróżkami.

Po kolacji, wstawione i rozchichotane niczym nastolatki, pojechały taksówką do domu Terri.

- Nie wstyd ci było tak flirtować z naszym kelnerem? - Skye dała przyjaciółce sójkę w bok, kiedy wchodziły po schodach.

- Skądże. Wcisnął mi swój numer telefonu. - Terri pomachała Skye przed nosem serwetką z restauracji. - A ty żałuj.

- On był przynajmniej o dziesięć lat młodszy od ciebie.

- I co z tego? Mam trzydzieści dwa lata, a to najwspanialszy wiek dla kobiety. Dlaczego nie miałabym się zabawić? - Terri rzuciła Skye rozbawione spojrzenie. - Co tobie? Jesteś zazdrosna?

- Pewnie, że nie. Mam Griffena.

- Słusznie. Masz Griffena.

Było to powiedziane takim tonem, że Skye chwyciła Terri za łokieć.

- Co to znaczy?

- Nic. Po prostu... Griffen nie jest w moim typie.

- Nie wykręcaj się.

- Daj spokój!

- Powiedz - upierała się Skye.

- Niech ci będzie. Na mój gust jest zbyt zaborczy. Chce nad wszystkim panować i wszystko kontrolować. Ja tego nie lubię. Chciałaś usłyszeć, co myślę, więc powiedziałam. - Terri uniosła ręce, lekko się przy tym zataczając.

- Ty też byłabyś zaborcza, jakbyś miała takie dzieciństwo.

- Skye starała się bronić Griffena. - Jego matka umarła, kiedy miał dwa lata, a potem stracił dwie siostry przyrodnie. Niedawno umarł jego ojciec. Nie dziw się, że wreszcie chce mieć kogoś bliskiego.

- Nie mówię, że to zły facet, tylko nie dla mnie. A z jego siostrami... słyszałam, że było inaczej.

- Co słyszałaś?

- Jedna utopiła się w kąpieli, kiedy miała dwadzieścia miesięcy. Matka zostawiła ją samą w wannie, bo chciała zadzwonić. Kiedy wróciła, było już po wszystkim. Po śmierci małej nie mogła dojść do siebie i w końcu się zastrzeliła.

Skye chwyciła się mocniej poręczy, usłyszawszy te rewelacje.

- A ta druga?

- Zniknęła. Porwała ją własna matka i wszelki ślad po nich zaginął. - Terri ściągnęła brwi, usiłując przypomnieć sobie

zasłyszane fakty. – Ta, która zniknęła, była starsza. Miała chyba na imię Grace.

– Grace – powtórzyła Skye, wsłuchując się w brzmienie imienia.

– Jesteś pewna, że dobrze wiesz, co robisz? – zapytała Terri, pokonawszy kilka następnych stopni. – Jak by to powiedzieć... Spotykasz się z własnym szefem. Nie chciałabym, żebyś się sparzyła. A poza tym on ma w tych sprawach opinię szybkiego faceta. Mówią, że leci na panienki.

– Między nami jest inaczej. Nie wiem, skąd we mnie ta pewność, ale wiem, że to nie jest przelotny romans. On mnie naprawdę kocha.

Terri spojrzała na Skye, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć o Griffenie, ale tylko się zaśmiała.

– Może to zazdrość przeze mnie przemawia? Pewnie i ja chciałabym mieć kogoś, kto naprawdę by mnie kochał, zamiast znajdować w kieszeni numer telefonu jakiegoś smarkacza. – Terri wzruszyła ramionami. – Popatrz, ktoś zostawił mi paczkę na wycieraczkę – zdziwiła się, kiedy wreszcie stanęły pod drzwiami jej mieszkania.

Na owiniętej w brązowy papier paczce widniało rzeczywiście nazwisko Terri.

– To pewnie od mojej mamy. Widać podczas ostatniego weekendu zostawiłyśmy u niej jakieś rzeczy Raye. Ciągle się nam to przydarza. – Otworzyła drzwi, postawiła paczkę na stoliku przy wejściu i ruszyła w stronę kuchni.

– Nie wiem jak ty, ale ja muszę napić się kawy – oznajmiła.

Po chwili obydwie szły z kubkami parującego napoju do bawialni.

- Nie otworzysz jej? - Skye wskazała paczkę.

Terri wzięła ją ze stolika i potrząsnęła. Coś uderzyło miękko o ścianki pudełka.

- To nie są majtki Raye ani misie gumisie - stwierdziła i zaczęła rozrywać papier, a potem kolorową folię. Wreszcie otworzyła pudełko i krzyknęła ze zgrozy. Pudełko wysunęło się jej z rąk na kanapę. Wypadło z niego coś obrzydliwego, czerwonego.

Szczur. Rozcięty od głowy po ogon, z wnętrznościami na wierzchu, leżał teraz na dywanie w bawialni.

- O Boże... - Wstrząśnięta i przerażona Terri zaczęła się cofać. - Boże... To on, ten facet, który do mnie wydzwaniał. Już wie, gdzie mieszkam.

- Przede wszystkim zadzwońmy na policję - powiedziała Skye, usiłując zachować spokój, choć była, podobnie jak Terri, na granicy hysterii. - Gdzie jest telefon?

Słuchawka bezprzewodowego telefonu leżała zaledwie o krok od szczura. Skye przemogła się i podniosła ją niemal po omacku. Kiedy się wyprostowała, jej wzrok padł na opróżnione pudełko. Nie było całkiem puste, leżała w nim jakaś kartka. Skye spojrzała na stojącą bez ruchu, sparaliżowaną strachem Terri. Wyjęła kartkę.

List, jeśli można nazwać to listem, był wyjątkowo krótki. Zawierał jedno, nabazgrane krwią słowo.

„Dziwka”.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Skye oddała kartę kelnerowi.

- Nic nie będę jadła. Dziękuję.

- Jeszcze nie jesteśmy gotowi - dodał Griffen. - Na razie dwie lampki cabernet, proszę.

Kiedy zostali sami, położył dłoń na dłoni Skye.

- Niewiele, jak na kolację. Dobrze się czujesz? Martwię się o ciebie.

Skye wzdrygnęła się mimo woli.

- Nie mogę zapomnieć o tym szcurze. To było okropne. I przerażające. Boję się o Terri.

- Po coś w ogóle do niej poszła?! Powinnaś była siedzieć w domu albo umówić się ze mną. Gdybyś...

- Zostawiła Terri samą? Tego byś chciał? - zachnęła się Skye.

- Ma się rozumieć, że nie. Po prostu jestem zły, że byłaś świadkiem tego incydentu.

- A jeśli prześladowający ją facet zrobi coś jeszcze gorszego?

- zapytała z niepokojem. - Gdyby chciał skrzywdzić Raye? Nie chcę o tym nawet myśleć.

- Raye to jej córka?

Skye skinęła głową.

- Jest taka kochana. Jeśli cokolwiek zagrażałoby małej, Terri gotowa wyjechać z Chicago.

- Powiedz, jak mógłbym jej pomóc. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. - Griffen znów położył dłoń na dłoni Skye.

- Gdybyś mógł powstrzymać tego łajdaka...

- Wiesz, że nie potrafię.

Pojawił się kelner z winem i pieczywem. Kiedy zniknął, upewniwszy się, że nie będą, przynajmniej na razie, zamawiać nic więcej, Skye zmieniła temat.

- Chciałabym cię o coś zapytać - zaczęła.

- Śmiało.

- Czy to prawda, że matka twojej przyrodniej siostry porwała ją i ślad po nich zaginął?

Twarz Griffena na moment stężała w skurczu wściekłości.

- Kto ci o tym powiedział?

- Kto? - powtórzyła zdziwiona, że coś, o czym zapewne wiedzieli wszyscy, wprawilo go w taką złość. - Właściwie nikt konkretny... ludzie w pracy. Byłam ciekawa, czy tak rzeczywiście było. Z tego, co opowiadałeś wcześniej, zrozumiałam, że obydwie twoje siostry umarły.

- Tak, umarły - odpowiedział po chwili, znacznie okojniejszym już tonem. - Matka Grace okazała się osobą niezrównoważoną psychicznie i pewnego dnia po prostu uciekła. Kilka lat później dowiedzieliśmy się, że Madeline i Grace zginęły w wypadku samochodowym. Policja dotarła do nas na podstawie dokumentów znalezionych przy mojej macosze.

- Och, tak mi przykro!

- Bardzo kochałem siostrę, Madeline też. Miałem wtedy jedenaście lat, a ona była dla mnie jak matka. Tak przynajmniej wtedy czułem. Kiedy uciekła, cały mój świat się rozpadł.

- Rozumiem - powiedziała cicho Skye. - Tyle czasu minęło, jestem dorosła, a ciągle myślę o swojej matce.

- Widzisz, dlatego jesteśmy dla siebie stworzeni.

Griffen nachylił się i pocałował ją. Zamknęła na moment oczy, poddając się pieścizocie niejako „przez rozum”. Każdy kontakt fizyczny z Griffenem budził w niej opór. Nie, nie chodziło o niego, wina leżała po jej stronie. Nieraz mówiono jej, że nie potrafi się otworzyć.

Powoli uniosła powieki i zobaczyła Chance’a. Pomyślała, że ma przywidzenia. Od dnia zebrania w Monarch’s nie widziała go ani razu, aczkolwiek nie przestawała o nim myśleć.

Stał kilka kroków od ich stolika z takim wyrazem twarzy, jakby znalazł się nagle w najmniej pożądanym dla siebie miejscu i gotów był dać wszystko, byle przenieść się gdzie indziej.

- Chance - szepnęła.

Griffen odwrócił się gwałtownie.

- Hej, stary, skąd ty tutaj się wzięłaś?

Chance podszedł z wymuszonym uśmiechem do stolika.

- Witajcie. Przepraszam, że przeszkadzam. Ashley powiedziała, że cię tu znajdę. Twierdziła, że chciałeś zobaczyć informacje prasowe na temat albumu, zanim je wyślę do gazet.

- Owszem. Weź sobie krzesło i siadaj.

- Nie chciałbym przeszkadzać - powiedział Chance, spoglądając na Skye.

- Nie wygłupiaj się. Siadaj i zamów sobie coś do picia. Piwo jest niezłe.

Chance zgodził się wreszcie. Wyjął z teczki teksty i podał je Griffenowi, który zagłębił się w czytaniu. Przy stole zapadła niezręczna cisza, przzerwana po chwili przez Chance'a.

Zafascynowany broszką, którą miała przy sukni Skye, zaczął ją wypytywać: czy to jej projekt, czy robiła ją metodą odlewania traconego wosku, jakiej uczyła ją kiedyś Sara. Widać było, że klejnot wzbudził jego autentyczny podziw. Skye ożywiła się i zaczęła z pasją tłumaczyć proces powstawania biżuterii, od pierwszego szkicu przez próbne modele aż po skończone małe dzieło sztuki, które trafiało do nabywcy.

- Dobra jest, prawda? - Griffen skończył czytać i podniósł głowę znad papierów.

Skye i Chance jakby się ocknęli i dopiero teraz uświadomili sobie, że nie są sami.

- Tak, wspaniała - zgodził się Chance. - Co sądzisz o tych informacjach prasowych?

- Naniósłem kilka drobnych poprawek, poza tym w porządku. Sprawdź jeszcze z Ashley kilka danych, które podkreśliłem, a potem możesz rozesłać teksty do redakcji.

- Zrobię to jutro z samego rana - obiecał Chance i podniósł się z krzesła. - Dzięki za piwo. Miłego wieczoru.

- Zostań z nami. Zjemy razem kolację. Jeszcze nic nie zamówiliśmy.

Na moment przy stoliku zapadła głucha cisza. Dopiero teraz do Skye dotarło, co właściwie zrobiła.

- Oczywiście - przytaknął Griffen z wyraźnym ociąganiem.

Chance pokręcił głową.

- Dziękuję, ale muszę już iść. Dobranoc.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Klnąc pod nosem, głównie na samego siebie, Chance wsiadł do samochodu. Jaka cholera go tu przyniosła? Od zebrania w Monarch's ciągle miał przed oczami czulących się do siebie Skye i Griffena, obraz, który doprowadzał go do szału. Nie wiadomo po co przyjechał do restauracji, a kiedy zobaczył ich trzymających się za ręce i całujących, miał ochotę, zupełnie jak dziki jaskiniowiec, wywlec stamtąd Skye za włosy.

Chciał ją mieć tylko dla siebie.

Ależ sukinsyn z niego!

Griffen był przecież jego przyjacielem, a do tego najpoważniejszym zleceniodawcą. Czyżby zamierzał jednym głupim posunięciem zniszczyć sobie życie?

Trzymaj się od niej z daleka, McCord.

Bierz zimne prysznice, stary!

Wtem kątem oka zobaczył idącą przez parking parę. Skye i Griffen. Wsiedli do porsche'a, po chwili samochód ruszył.

I wtedy Chance zrobił coś absolutnie idiotycznego.

Pojechał za nimi.

A potem jak kretyn siedział w samochodzie, patrzył, jak tamci wchodzą do eleganckiego domu w Fullerton, jak zapalają się światła w mieszkaniu na pierwszym piętrze, i wyobrażał sobie ich w łóżku. Griffen i Skye. Nie, on i Skye, bo taki właśnie obraz pojawił mu się przed oczami.

Ocknął się ze swoich fantazji dopiero na głośne trzaśnięcie drzwiczek porsche'a i ryk potężnego silnika.

Chance z uśmiechem zerknął na zegarek. Grif widać dostał chłodnego całusa na dobranoc i odprawę.

Nie zastanawiając się, co robi, Chance wysiadł z samochodu. Nie musiał nawet używać domofonu, bo jakaś zajęta sobą para wychodziła właśnie z budynku, więc zgrabnie wślizgnął się do środka, wbiegł na piętro, odnalazł właściwe drzwi i zapukał. Rozległo się głucho szczekanie, które bardziej przypominało odgłosy wydawane przez King Konga niż przez przyzwoite domowe zwierzę.

Słyszał, jak Skye ucisza szaleńca, po czym drzwi otworzyły się szeroko.

- Griffen, ja... - Urwała zaskoczona. - Chance? Co ty tutaj robisz?

Uśmiechnął się głupkowato.

- Mogę wejść?

- Oczywiście. Zdejmij płaszcz.

- Nie, ja tylko... - No właśnie, co by powiedzieć? - Eee... przejeżdżałem tędy. A to kto taki? - Nachylił się ku kudłaczowi i podrapał go za uchem, na co pies odpowiedział, liżąc go z pełnym uwielbienia zapałem.

- Pan Muu. Chyba mu się spodobałeś.

- On też przypadł mi do serca. - Chance poklepał potwora i wyprostował się. - Wspaniały pies.

- To prawda. - Skye założyła ręce na piersi. - Co tu robisz?

- Nie wiem - odpowiedział szczerze.

- Nie wiesz... - powtórzyła Skye. - Czy to nie cudowne?

- Odruch. Wyszedłem z restauracji, chwilę jeszcze siedziałem w samochodzie i zobaczyłem... jak wychodzicie z Griffenem - tłumaczył się. - Wiem, że to idiotyczne, ale... nie mogę przestać o tobie myśleć. To jakaś obsesja.

Pan Muu zapiszczał cicho.

- Co mam ci na to odpowiedzieć? Czego się spodziewasz?

- Nie wiem - powtórzył Chance bezradnie. - Chciałem cię zobaczyć. To wszystko.

Skye milczała przez chwilę, wreszcie podniosła wzrok. Była wyraźnie zła.

- Co w takim razie wiesz? Pojawiasz się nagle, jakbyś spadł z księżyca, opowiadasz mi jakieś... Myślę, że powinieneś już sobie pójść.

Chance zamiast ku drzwiom, postąpił krok w stronę Skye.

- Nie mogę myśleć o tym, że jesteś z Griffenem. Wtedy, w jego biurze, chciałem cię pocałować. Nadal chcę.

- A ja nadal twierdzę, że powinieneś sobie pójść. Proszę.

Tak bardzo chciał wziąć ją w ramiona i przytulić, ale Skye miała rację. Co mógł jej ofiarować? Odwrócił się ku drzwiom i chciał minąć psa, ale Muu zaskomlał i nie ruszył się z przejścia. Chance podrapał go za uchem. Muu wykonał jakiś dziwny ruch łapami, jakby usiłował się podnieść, i padł niezgrabnie na bok.

Skye z nieruchomym wzrokiem utkwionym w przestrzeń nic nie zauważyła.

- Twój pies dziwnie się zachowuje. Chyba jest chory - zatroskał się Chance.

- Bardzo śmieszne. Przed chwilą czuł się znakomicie.

- Nie żartowałabym na twoim miejscu. Wiem, że dobrze się czuł. Nie jestem idiotą.

- Przyjrzyj się. - Skye klasnęła w dłonie, pan Muu uniósł łeb. - No, staruszkule, idź po smycz.

Pies długo się podnosił, wreszcie z trudem stanął na czterech łapach, zrobił kilka chwiejnych kroków, zatoczył się na doniczkę, a potem padł jak długi. Skye zbladła.

- Dzwoń natychmiast do swojego weterynarza, umów się z nim w dyżurującej lecznicy. Nie ma chwili do stracenia. Ja zniosę Muu na dół.

Kiedy Chance, nie bez trudu, dotarł z Muu w ramionach do samochodu, dogoniła go Skye.

- Kluczyki są w kieszeni płaszcza. Wyjmij je.

Po chwili cała trójka znalazła się w wozie. Skye usiadła z tyłu, obok Muu.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Chance.

- Prosto przed siebie. Dziesięć przecznic stąd jest lecznica. Doktor powiedział, że na pewno od razu ją zauważymy.

Weterynarz już na nich czekał. Razem z miejscowym lekarzem zaniósł Muu do gabinetu zabiegowego, Skye i Chance musieli zostać w poczekalni. Pojawił się z powrotem dopiero po długich jak całe wieki trzydziestu minutach, z zafrasowanym wyrazem twarzy.

Skye, wykończona czekaniem, natychmiast podbiegła do niego bliska hysterii.

- On... Wszystko dobrze, doktorze?

- Powinien się z tego wylizać. - Doktor wsunął dłonie do kieszeni fartucha. - Gdybyście państwo zwlekali, mogłoby być za późno.

Skye zbladła.

- Nie mogę uwierzyć. Jeszcze kilka minut temu zachowywał się zupełnie normalnie, był bardzo wesoły.

- To świństwo tak właśnie działa.

- Jakie świństwo? - Chance stanął obok Skye i objął ją ramieniem. - Co właściwie jest Muu?

Weterynarz spojrzał na nich.

- Myślałem, że państwo wiecie. Został otruty glikolem.

- Jak to możliwe? - zapytała wstrząśnięta Skye.

- Ja pani tego nie powiem. Glikol jest słodki, mógł więc psu smakować. Wypłukaliśmy mu żołądek i podaliśmy kroplówkę. Mało brakowało, a stracilibyście państwo zwierzę.

- Kiedy... będzie mógł wrócić do domu? - Głos Skye drżał niebezpiecznie.

- Za trzy dni. Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Proszę zadzwonić jutro rano, powiem pani, jak się czuje Muu.

- Panno Dearborne? - zawołał lekarz, kiedy już wychodzili. - Muu to duży pies, musiał wypić około dwustu gramów płynu, żeby trucizna odniosła skutek. To na pewno nie był przypadek. Myślę, że ktoś z całym rozmysłem chciał go uśmiercić.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

- Kto mógł to zrobić? - Skye skuliła się na przednim siedzeniu samochodu.

- Lekarz nie może stwierdzić, że na pewno ktoś otruł Muu. Przede wszystkim powinniśmy się zastanowić, gdzie i kiedy mogło się to stać. Gdzie był Muu przez cały wieczór?

- W domu. Wyszliśmy z Griffenem wcześniej z restauracji, bo rozboleła mnie głowa, a nie miałam przy sobie proszków. Muu czekał już na mnie w przedpokoju, jak zwykle gotów do wyjścia. Na tyłach budynku jest zamknięty dziedziniec ze skwerkiem. Kiedy wracam do domu, wypuszczam tam Muu, dopiero potem idziemy na spacer. Dzisiaj też tak zrobiłam. Zażyłam proszek, chwilę porozmawiałam z Griffenem i zwołałam Muu.

- W takim razie musimy obejrzeć ten dziedziniec.

Po chwili podjechali pod dom Skye i wysiedli z samochodu.

- Wyjście z dziedzińca na ulicę jest zwykle zamknięte - tłumaczyła Skye, kiedy brnęli po lepkiem śniegu w tamtą stronę. - Wszyscy tutejsi lokatorzy mają własne klucze.

- Sprawdźmy, czy jest zamknięte.

Okazało się, że brama w wysokim na dwa metry ceglany murze jest zamknięta na cztery spusty. Chance napierał na nią z całych sił, ale nie ustąpiła.

- Wątpię, by ktoś obcy mógł się tam dostać - stwierdził wreszcie.

- Myślisz, że ktoś z moich sąsiadów chciał się pozbyć Muu? - Skye ze łzami w oczach odszukała właściwy klucz i weszli na dziedziniec.

Nie musieli długo szukać. Na starannie utrzymanym trawniku od razu rzuciła się im w oczy puszką po kawie. Chance podniósł ją, przesunął palcem po wewnętrznej ścianie i posmakował.

- Słodkie - stwierdził i splunął.

Skye wzięła od niego puszkę i zaczęła obracać ją bezradnie w dłoniach.

- Chodźmy na górę. Jesteś sina z zimna.

W mieszkaniu Skye przeszła od razu do kuchni, gdzie na blacie postawiła puszkę.

- Strasznie mi go brakuje. Bez niego tak tu pusto i cicho. - Uśmiechnęła się słabo. - Pewnie myślisz, że to głupie tak się przywiązać do psa.

- Nigdy nie uważałem cię za głupią - zapewnił Chance.

- Dziękuję. - Skye dopiero teraz ściągnęła rękawiczki. - Napijesz się czegoś?

- Powinienem już iść.

- Musisz? - Pytanie samo wymknęło się z ust. - Nie chciałabym teraz być sama. Zostań na chwilę.

Chance wahał się przez moment, wreszcie zdjął płaszcz.

- Opowiesz mi, jak ty i twój wielki kundel zawarliście znajomość? - zapytał, kiedy siedzieli już wygodnie na kanapie z kubkami parującej, zaprawionej odrobiną likieru miętowego czekolady. - Wyglądacie na bardzo przywiązanych do siebie.

- Jesteśmy. - Skye uśmiechnęła się. - Muu był jeszcze szczeniakiem, gdy znalazłam go na poboczu drogi. Lało jak z cebra, a on siedział w tym deszczu, mokry i zabłocony, taka kupka nieszczęścia. Nie mogłam go nie zabrać. Nikt inny pewnie by go nie przygarnął.

- Masz miękkie serce, Dearborne. - Chance odstawił kubek na stolik. - Dałaś mu dach nad głową, a on w podzięce poprzysiął ci wierność do grobowej deski.

Skye zaśmiała się.

- Skąd wiesz, że tak było?

- A jakże mogło być inaczej?

Rozmowa toczyła się coraz swobodniej. Oboje zaczęli opowiadać o tym, jak przeżyli ostatnie trzynaście lat, i napięcie wreszcie zaczęło opadać, w końcu zniknęło bez śladu. Znowu było jak kiedyś. Znowu znaczyli dla siebie wszystko, a świat wypełnił się obecnością tej drugiej, najbliższej osoby. Nawet nie zauważyli, kiedy przywarli do siebie i splekli się w uścisku. Ani on, ani ona nie zaznali dotąd podobnego uczucia. Dałoby się porównać je tylko z gwałtowną, oślepiającą i oszałamiającą eksplozją.

Skye ocknęła się pierwsza i zadyszana odsunęła się od Chance'a. Bała się, że jeszcze moment, a zupełnie się zapomni.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Raz, drugi. Po trzecim sygnale włączyła się sekretarka i w pokoju rozległ się głos Griffena:

- Hej, to ja, kochanie. Chciałem zapytać, czy wszystko w porządku. Słodkich snów. Kocham cię.

Chance zaklął cicho.

- Czuje się jak ostatni dupek.

- Ty? To ja zupełnie nie rozumiem, co we mnie wstąpiło. Rzuciłam się prawie na ciebie. To błąd. Wszyscy popełniamy błędy.

- Naprawdę uważasz, że to był błąd?

Skye zaczęła chodzić niespokojnie po pokoju.

- Najlepiej, jeśli zapomnimy o wszystkim. Byłam zdenerwowana Panem Muu. To się więcej nie powtórzy.

Chance podniósł się.

- Jak sobie życzysz.

Odwrócił się jeszcze w drzwiach.

- Daj mi znać, jak czuje się Muu.

- Zadzwoń.

Zawahał się przez moment.

- Oboje wiemy, że to nie miało nic wspólnego z Muu, ale możesz tak mówić dla własnej wygody. W końcu przekonasz samą siebie. Obyś i mnie mogła przekonać.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Nie udało się zrzucić winy na Pana Muu. Zapomnieć też nie. Ilekroć się widzieli, a z racji spraw zawodowych spotykali się, jak na złość, często, działo się z nimi coś niezwykłego i ani Chance, ani Skye nie potrafili tego ukryć. Ilekroć ich spojrzenia się spotkały, nie byli w stanie oderwać od siebie oczu. Obydwoje wiedzieli, że znowu między nimi coś się zdarzy, że to tylko kwestia czasu.

Skye wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w rysunek rozpięty na desce, łamiąc sobie głowę, co właściwie czuje do Chance'a. Przecież on nawet jej nie kochał. Potarła w roztargnieniu skroń. Ma inne sprawy na głowie niż rozstrzygnięcie niejasnych zagadnień natury erotycznej.

Do festiwalu biżuterii w Mediolanie pozostały zaledwie cztery tygodnie. Dorothy liczyła, że na wystawie pojawią się prace Skye z serii Świąteł Wielkiego Miasta. Dziś, najpóźniej jutro, pierwsze egzemplarze miały opuścić dział produkcji, i Skye czekała na nie niecierpliwie, by przekazać je do prac wykończeniowych.

Dorothy coraz częściej zwracała się do niej po radę, wysłuchiwała opinii i to nie tylko w kwestiach związanych z pracownią. Chyba naprawdę się zaprzyjaźniły. Skye bardzo martwiła się psychicznym i fizycznym stanem Dorothy, która coraz szybciej się męczyła, ciągle o czymś zapominała. Czasami stawała się bezradna jak dziecko. Opowiadała, jak któregoś wieczoru chciała ugotować sobie

jajka na miękko. Obudził ją dopiero smród spalenizny i gazu. Na szczęście. A gdyby nie obudziła się w porę?

- Skye? - Ocknęła się nagle z chaotycznych rozmyślań. W drzwiach stał Chance. - Mogę zamienić z tobą kilka słów? Chodzi o wywiad, którego masz udzielić Mike'owi Spellingowi.

Chance wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

- Podobno był u ciebie dzisiaj rano?

- Tak.

- I jak?

- Dobrze.

Tak rozmawiając, podchodzili krok za krokiem do siebie, aż Skye stanęła na wprost Chance'a.

- Jak się czuje Muu?

- Świetnie. Wrócił do domu i natychmiast odżył, jakby nic się nie stało.

- Bardzo się cieszę. Muisz być szczęśliwa, że znowu jest z tobą.

- Jestem. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Skye oddychała z wysiłkiem. Gdyby zrobiła jeszcze jeden krok, gdyby zarzuciła mu ręce na szyję, znowu byłiby razem.

- Wiesz może, kto podsunął mu truciznę?

- Nie. Rozmawiałam z sąsiadami. Byli wstrząśnięci. Ci, którzy mają psy, teraz się boją o swoich pupili. Wszyscy pilnują, żeby brama była przez cały czas zamknięta. Lulu Green, która mieszka na parterze, tego dnia po południu

wносиła zakupy wejściem od dziedzińca. Nikogo nie widziała. Twierdzi, że puszki po kawie też nie zauważyła.

Chance nachylił się ku Skye, jakby chciał ją pocałować. Pohamował się w ostatniej chwili i tylko zaklął cicho.

- Musimy porozmawiać o tym, co się zdarzyło. Cholera, Skye, przestań patrzeć na mnie w ten sposób.

- Jak?

- Jakbyś chciała mnie zjeść.

Miała na niego apetyt, Bóg jej świadkiem. Jak zatem powinna patrzeć?

Ujął jej twarz w dłonie i przesunął kciukiem po policzku.

- Tak cię pragnę. Nie mogę spać po nocach. Cały czas myślę o tobie.

- Ja też - przyznała.

- Przestań się z nim widywać - szepnął zdławionym głosem.

Przestać się widywać z Griffenem? I zapomnieć o perspektywie bezpieczeństwa, które jej ofiarował? W imię czego?

- Muszę wiedzieć, co do mnie czujesz - powiedziała wreszcie. - Poza pożądaniem, bo to oczywiste.

Chance nie odpowiedział. A więc miała rację. Chodzi tylko o seks. Przynajmniej jest szczery i powinna to docenić.

- Chcesz, żebym przestała się z nim widywać, bo wtedy będziemy mogli się pieprzyć bez poczucia winy? Czy tak?

- Nie, nie tak, Skye. Nie wiem, co do ciebie czuję, nie wiem, co się między nami dzieje, ale wiem, że jest to coś bardzo silnego. Jestem pewien, że ty czujesz to samo.

Przestań się z nim spotykać – szepnął, opierając czoło o jej czoło. – Chcę być z tobą. Zobacz, jak bardzo. – Ujął jej dłoń i poprowadził w dół ku lędzwiom.

Skye dotknęła go i szybko cofnęła rękę. Prawie odskoczyła do biurka. Drżała na całym ciele.

- Nie mogę, Chance.

- Nie możesz, czy nie chcesz?

- Na jedno wychodzi.

- Wydaje mi się, że popełniasz błąd. Zastanów się, czy naprawdę go kochasz. Spytaj samą siebie, co do niego czujesz.

Chance podszedł do drzwi i otworzył je. Po drugiej stronie stał Griffen.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Griffen siedział na podłodze w łazience nagi i wściekły.

Kiedy zobaczył Chance'a wychodzącego z pokoju Skye, mało brakowało, a byłby go zabił. Tymczasem uśmiechnął się tylko, zamienił kilka słów z obojgiem i czym prędzej odszedł.

Skye jest jego! Należy do niego. To on ją znalazł, sprowadził do Chicago. Dał jej wszystko, czego chciała.

Żadne podstępne zero mu jej nie zabierze.

Ależ był głupcem! Jak mógł dotąd niczego nie zauważyć? Tych dwoje zachowywało się jak zwierzęta, z daleka czuć było od nich seksem, roztaczali wokół siebie erotyczną atmosferę.

Nawet jeśli coś dostrzegał, mówił sobie, że to nie pożądanie, ale nienawiść. Przecież Skye nienawidziła Chance'a. Dlaczego miałyby się interesować takim zerem? Przecież on, potężny Monarch, chce zaproponować jej małżeństwo.

Zacisnął dłoń na odłamku szkła, którym od dłuższej chwili się bawił. Tak, okazał się zadufanym w swoją potęgę żalosnym głupcem.

Był zbyt miękki, okazał się podobny raczej do ojca niż do dziadka. Pobłazał Skye, zamiast od razu pokazać jej, kto tu rządzi.

Skye jest słaba jak wszystkie kobiety z rodziny Monarchów, w ogóle jak wszystkie kobiety. Potrzebuje silnej

ręki i kontroli.

A on dał jej za dużo swobody, wolnego czasu, przestrzeni. Oszołomiony tym, że wreszcie ją odnalazł, zbyt długo i beztriosko cieszył się sukcesem.

Mimo że sam nie był bez winy, będzie ją musiał ukarać. Tak, musi ją ukarać. Przykre to, ale nieuchronne. Nie zostawiła mu żadnego wyboru. Teraz dostanie nauczkę. Skończy wreszcie z tym jej kundlem, zajmie się też Terri. I tą jej małą.

Kiedy już nie będzie miała nikogo, zrozumie, jak bardzo jest jej potrzebny.

Wreszcie będą razem. Na zawsze. Będzie dobrze, bardzo dobrze. Tak, Skye zrozumie. Wkrótce dostrzeże, że naprawdę są sobie przeznaczeni.

A jeśli chodzi o tego gnojka, nadszedł czas, by zabrać mu wszystko, co tak łatwo osiągnął.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Co się, u diabła, dzieje? Chance siedział za biurkiem i wpatrywał się w trzy leżące przed nim listy. Brzmiały niemal identycznie i zawiadamiały o zerwaniu umów.

Tydzień wcześniej wszystko było w porządku. Klienci wyglądali na zadowolonych. Chance zastanawiał się już nawet, czy nie zatrudnić trzeciej osoby, bo tyle było pracy. Aż nagle zaczęły przychodzić listy. Najpierw z Campbell Consumer Group, potem z Miel Reese Hospital and Medical Center. I wreszcie ostatni, z Drake Hotel.

Wcześniej wszyscy trzech klienci wyrażali się z uznaniem o jego usługach, właśnie realizował dla nich kolejne zlecenia, tymczasem oni z dnia na dzień zerwali kontrakty.

Nie mógł zrozumieć dlaczego. Gdzie popełnił błąd?

Podszedł do okna, wyjrzał na szarą, zimową ulicę. Tak szybko, tak łatwo piął się do góry. Wydawało mu się, że osiąga szczyt, a teraz ziemia usuwała mu się spod stóp.

- Chance? - W drzwiach stała Lisa ze smętną miną. - Przynieśli pocztę.

- Następny? - domyślił się bez trudu.

Dziewczyna pokiwała głową i wręczyła mu list. Był bardzo lakoniczny. Firma Bennings and Bolton informowała z żalem, że nie będą już korzystać z jego usług.

Zmiał kartkę i rzucił ją na biurko.

Wspaniale! Po prostu wspaniale!

Rozdzwonił się telefon. Odebrała Lisa, po czym przekazała słuchawkę Chance'owi.

- Dzwoni Martha z Towarzystwa Miłośników Chicago. Ma jakiś dziwny głos.

- Mam złe wiadomości, Chance - zaczęła bez zbędnych wstępów. - Musimy dokonać cięć budżetowych.

- Jakoś sobie poradzimy. Można...

- Zaczekaj - przerwała mu pospiesznie. - Musimy rozwiązać umowę z twoją firmą.

Chance próbował jeszcze przekonywać Marthę, ale jej stanowisko było nieugięte.

- Przykro mi, nie będziemy już współpracować z McCord Public Relations. Do widzenia, Chance - powiedziała i odwiesiła słuchawkę. Ubył kolejny klient.

- Dlaczego nas nie chcą? - zapytała Lisa.

- Kłopoty finansowe.

Lisa aż podskoczyła z oburzenia.

- Jak to, kłopoty finansowe? Nasz bankiet przyniósł im czterdzieści dwa tysiące wpływów na czysto, po odliczeniu wszystkich kosztów. Martha sama mówiła, że jeszcze nigdy nie zebrali tak dużej sumy pieniędzy dzięki jednej imprezie. Zachwycała się tym, co dla nich zrobiłeś.

- To było wczoraj. Dzisiaj jest: dziękujemy, nie skorzystamy. - Chance zdjął marynarkę z oparcia fotela i ruszył ku drzwiom. - Muszę na chwilę wyjść, bo wydaje mi się, że zaraz się uduszę.

- Chance? - zatrzymała go Lisa. - Czy... mam szukać nowej pracy?

- Teraz nie mogę ci odpowiedzieć. Może za kilka dni będę wiedział, na czym stoję i ilu klientów mi zostało.

- Myślisz, że nikt więcej już się nie wycofa? - zapytała Lisa z nadzieją w głosie.

- Oby, chociaż sam w to nie wierzę. Czuję, że ten, kto chce mnie załatwić, dopiero zaczyna działać.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Już w chwilę po wejściu do restauracji Skye zauważyła, że tego wieczoru Griffen zachowuje się inaczej niż zwykle. Był pobudzony, przeskakiwał z tematu na temat. Unikał jej wzroku, to znów wpatrywał się w nią przenikliwie. Lubił kuchnię w Morton's, a prawie nie ruszył jedzenia, za to opróżnił prawie całą butelkę wina.

Po tym, jak zastał Chance'a w jej pokoju, kilka razy dawała mu okazję podjęcia tematu, jednak bez rezultatu. Postanowiła spróbować jeszcze raz.

- Jesteś dzisiaj wytrącony z równowagi. Chodzi o mnie? Zdenerwowałam cię czymś?

- Ty, kochanie? Skądże. Rzecz w tym, że muszę powiedzieć ci coś o twoim przyjacielu i nie będzie to miła wiadomość. - Zamilkł na chwilę, jakby chciał odwlec niemiły moment, po czym podjął: - Otóż swego czasu ja i Chance... zabiegaliśmy o te same kobiety. Nie, źle się wyraziłem. To Chance zabiegał o moje kobiety.

Znowu zamilkł, wyraźnie zakłopotany.

- To jakiś obłąd. Inaczej tego nie potrafię nazwać. Kiedy zaczynałem spotykać się z jakąś dziewczyną, wiedziałem, że będzie próbował mi ją odbić. Kilka razy mu się udało. Nie wiem, co nim kieruje. Może zazdrość?

- Zazdrość... - powtórzyła Skye drżącym głosem.

- Najpewniej. To człowiek znikąd, pazerny i ambitny. Wiele o tym myślałem. On za wszelką cenę chciałby być

mną.

Skye na moment zrobiło się ciemno przed oczami.

Chance Griffenem... Tak, to by wiele wyjaśniało, zważywszy, co opowiadał jej o swoich marzeniach i planach na przyszłość.

Dla niej w tych planach nigdy nie było miejsca. Również teraz.

Zupełnie inaczej patrzył na nią Griffen. On mówił o wspólnej przyszłości, bo wierzył w miłość.

Jak mogła być taka głupia?

- Jestem szczęśliwy, że mogę ci ufać - ciągnął Griffen. - Wiem, że ty nie dasz się zwieść, nie pozwolisz zawrócić sobie w głowie. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię stracił. Na pewno bym zwariował.

Jeszcze długo po powrocie do domu myślała o tym, co powiedział jej Griffen. W uszach rozbrzmiewały jej słowa Chance'a: „Nie mogę przestać myśleć o tobie, Skye. Pragnę cię. Przestań się z nim widywać”.

Dała się nabrać!

Tej nocy znowu przyśnił się jej wielki czarny ptak. Tyle że tym razem chwycił ją w swoje szpony. Obudziła się z przeraźliwym krzykiem.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Skye wpatrywała się w toaletkę w łazience. Miała wrażenie, jakby ktoś ruszał jej kosmetyki, a potem starał się odstawić je na to samo miejsce. Różnica była niemal niedostrzegalna, ale jednak.

Nie po raz pierwszy zdarzało się jej coś takiego. Któregoś dnia była niemal pewna, że ktoś musiał przełożyć czasopisma leżące na stoliku w bawialni. Innym razem, że zaglądał do jej szafy.

No tak, pomyślała z rezygnacją, przechodząc do sypialni: migreny, nocne koszmary, intruzi w mieszkaniu. Znakomity materiał dla psychiatry.

Zrzuciła ubranie, w którym była w pracy, włożyła legginsy, obszerny wygodny sweter i miała właśnie przygotować sobie kolację, kiedy odezwał się telefon.

W słuchawce usłyszała zapłakany głos Terri.

- Znowu on... Groził Raye. Powiedział... że zrobi jej coś złego. Zadzwońłam na policję. Mogłabyś przyjechać?

- Będę u ciebie za piętnaście minut.

Kiedy Skaye dotarła na miejsce, Terri wpuściła ją i wróciła do przetrząsania całego domu w poszukiwaniu papierosa. W końcu znalazła jakąś starą, wymiętoszoną paczkę. Wreszcie mogła zapalić.

- Gdzie Raye?

- Śpi. - Terri zaciągnęła się papierosem i wypuściła kłęb dymu. - Zaraz przyjedzie moja mama i zabierze ją do siebie

na jakiś czas.

- Powiedz mi dokładnie, co się stało.

- Zostawił wiadomość na sekretarce. Dla Raye. Powiedział, że... że... Nie jestem nawet w stanie tego powtórzyć.

- Co na to wszystko policja?

- Pieprzyć policję. Nie potrafią nic zrobić w tej sprawie. Muszę zapalić jeszcze jednego papierosa.

Skye szóstym zmysłem wyczuła, że przyjaciółka albo chce coś przed nią zataić, albo nie ma odwagi powiedzieć nieprzyjemnej prawdy.

- Wyduś to wreszcie z siebie. Widzę przecież, że coś cię gnębi.

Terri spojrzała na Skye i westchnęła.

- Podjęłam decyzję. Moja siostra mieszka w Phoenix. Proponuje, żebym z nią zamieszkała. Wyjeżdżam z Chicago.

Skye napłynęły łzy do oczu, dobrze jednak rozumiała Terri. W jej sytuacji postąpiłaby identycznie. Tyle że teraz znowu zostanie sama. Ponownie opuszcza ją ktoś bliski, bo Terri i Raye stały się jej bliskie jak rodzina.

- Ja też będę za tobą tęskniła - powiedziała Terri.

- Co z pracą? Przecież tak bardzo ją kochasz.

- Raye kocham bardziej. Nie mogę ryzykować.

- Mogłybyście zamieszkać ze mną i Panem Muu.

- I czekać, aż ten psychopata zacznie podrzucać wybebeszone szczury pod twoje drzwi? Nie. Dziękuję ci bardzo, ale nie. Podjęłam już decyzję. Wiedz jednak, że

byłaś najwspanialszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam.

- I wzajemnie. - Skye odwróciła głowę, bo bała się, że za chwilę zacznie płakać. Rozpaczliwie szukała sposobu, żeby zatrzymać Terri w Chicago. - Może Griffen... może on mógłby pomóc?

- Nie sądzę, Skye.

- Dlaczego nie? On...

- Jesteśmy przyjaciółkami, prawda? Na tyle dobrymi, by mówić otwarcie?

- Najlepszymi. Sama przed chwilą to powiedziałaś.

- No więc posłuchaj. - Terri ujęła dłonie Skye. - Martwi mnie twoja zażyłość z Griffenem. To stało się tak nagle, tak szybko. W jego stosunku do ciebie jest coś... dziwnego. Coś wykraczającego nawet poza zaborczość. Czasami, kiedy na mnie patrzy, mam wrażenie, że chce, bym zniknęła, odeszła w niebyt.

Skye zasepiła się.

- Zawsze mówi dobrze o tobie. Rozumie, jak wiele ty i Raye dla mnie znaczą.

- O tym właśnie mówię. Rozumie to i być może jest... - Terri nie dokończyła myśli. - Proszę, nie wścieknij się, ale muszę cię o coś zapytać. Czy nie przyszło ci do głowy, że to Griffen może kryć się... za tym wszystkim?

Skye przez kilka sekund patrzyła na przyjaciółkę w kompletnym osłupieniu, po czym zerwała się z kanapy z pałającymi policzkami.

- Nie, Terri. Nie przyszło. To zupełnie obłąkana myśl. Jak w ogóle możesz przypuszczać coś podobnego?

- Po prostu zastanawiam się, jak daleko jest w stanie się posunąć, żeby mieć cię wyłącznie dla siebie.

- Więc przestań się zastanawiać. Zwariowałaś. W głębi duszy doskonale wiesz, że to Will odgrywa się za to, że nie pozwoliłaś mu wrócić do siebie.

- Mogę zaręczyć, że to nie Will.

- Skąd ta pewność?

- Stąd, że Will kocha Raye. - Terri podniosła się z fotela. - Uwielbia ją i nigdy nie zrobiłby nic podobnego. Nie potrafiłby.

- Zatem to jakiś obcy facet, jakiś świr, który...

- Wie, gdzie mieszkam, jak ma na imię moja córka i do którego przedszkola chodzi.

- To nie Griffen!

- Dobrze. Przepraszam. Po prostu staram się cokolwiek zrozumieć. Nie gniewaj się na mnie, proszę.

- Nie gniewam się. - Skye uściskała przyjaciółkę. - Zapewniam cię, że to nie Griffen. Policja znajdzie tego drania, a wtedy się przekonasz. To nie Griffen.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Terri i Raye wyjechały trzy dni później, w sobotę o świcie. Pożegnanie było ciężkie dla obydwu stron. Skye długo jeszcze stała na chodniku z podniesioną dłonią i patrzyła za oddalającym się samochodem. Kiedy wreszcie zniknął z pola widzenia, wsiadła do własnego auta. Przez chwilę tkwiła bez ruchu za kierownicą, usiłując otrząsnąć się z przygnębienia, po czym, wiedzioną impulsem, nie bardzo nawet świadoma tego, co robi, podjechała do pierwszej budki telefonicznej, odnalazła w książce adres Chance'a i w kilka minut później była już pod jego domem.

- Terri dzisiaj wyjechała. Na dobre - zakomunikowała łamiącym się głosem, kiedy zaspany Chance wreszcie otworzył drzwi.

Miała tak nieszczęśliwą minę, że bez słowa zaprosił ją do środka i poprowadził do bawialni, zbierając po drodze porozrzucone ubranie i starając się choć trochę uładzić typowo kawalerskie wnętrze.

- Siadaj. Zaparzę kawę - powiedział, ziewnął i zniknął w kuchni. Po chwili wrócił z dwoma parującymi kubkami. - Nie wiedziałem, jaką pijesz.

- Czarną.

- To dobrze, bo mleko mi się zwarzyło. A teraz mów, smarkulo, co się dzieje?

Połykając łyżę, opowiedziała mu o swojej przyjaźni z Terri, o telefonach z pogroźkami, o szczurze, o dramatycznej

decyzji Terri wyjazdu do Phoenix.

- Cholera! - mruknął Chance. - Co za sukinsyn!

- Policja oczywiście nie była w stanie nic zrobić. No i Terri... postanowiła zamieszkać u siostry w Arizonie. A ja tak się z nimi zżyłam, że teraz... nie bardzo mogę się pozierać. Mam już dość tego gówna - poskarżyła się.

Chance uniósł brwi. Nie spodziewał się takiej akurat konkluzji.

- O czym mówisz?

- Ciągłe ktoś mnie zostawia.

- Takie jest życie, dziecińko. Musisz się z tym pogodzić.

Skye zerwała się z fotela.

- Bardzo dziękuję za radę! Akurat po tobie mogłam się spodziewać podobnych mądrości.

- Po co właściwie przyszłaś do mnie? Oczekiwałaś pociechy czy chodzi o coś jeszcze?

- Nienawidzę cię!

Kiedy próbowała minąć go w drodze do wyjścia, chwycił ją za rękę i pociągnął. Skye zachwiała się i w efekcie wylądowała na jego kolanach.

- Już dobrze, dobrze - próbował ją uspokoić.

- Puść mnie, ty draniu, bo zacznę krzyczeć! - Skye szarpała się, lecz za nic nie mogła uwolnić się z uścisku Chance'a. Otoczył ją ramionami, przygarnął do piersi i oparł brodę o jej głowę.

- Cicho, Skye! Rozumiem. Widziałem, co przeżywałaś, kiedy twoja matka uciekła. Wiem, jak bardzo bolało cię, że

zniknąłem bez słowa i zostawiłem pod opieką Forrestów. Płacz, jeśli ci to ulży. Jestem przy tobie, kochanie.

Skye rozszlochała się jak dziecko. Kiedy wreszcie trochę się uspokoiła, podniosła zapłakaną twarz.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - wykrztusiła, opierając zaciśnięte dłonie na jego piersi. - Kochałam cię i potrzebowałam. Byłeś dla mnie wszystkim, Chance.

- I ja ciebie kochałem. Nie chciałem cię skrzywdzić, ale nie widziałem dla nas innego wyjścia. Wybacz mi, wybacz, proszę. - Pocałował ją delikatnie, głaszcząc po plecach.

Skye uświadomiła sobie, że już mu wybaczyła. Wreszcie uwolniła się od żalu, od całymi latami chowanej urazy. Było jej teraz lekko na duszy, dobrze i błogo. Wreszcie odnalazła spokój.

- Kochaj się ze mną, Chance - szepnęła nieoczekiwanie. - Chcę cię. Pragnę!

- Było cudownie. - Skye leżała zwinięta w kłębek na kolanach Chance'a. Nigdy jeszcze nie zaznała czegoś takiego jak przed chwilą. Sypiała wcześniej z mężczyznami, ale chyba nigdy jeszcze nie kochała się z nikim w pełnym sensie tego słowa, tak jak może kochać się dwoje naprawdę pragnących siebie nawzajem ludzi. Nawet nie wyobrażała sobie, jak wspaniałe może to być przeżycie.

Chance nie odpowiedział. Dopiero teraz sobie uświadomiła, że przez cały czas nie wyrzekł ani jednego słowa.

- Chance? Jesteś taki milczący.

Otworzył oczy. W jego spojrzeniu było coś, co w jednej sekundzie ostudziło euforię Skye. Nie mogła zrozumieć, co się stało i dlaczego Chance tak na nią patrzy.

- Co mam powiedzieć? Czekasz na komplementy? - zapytał zdławionym głosem.

- Na nic nie czekam. Zapomnij.

- Nie, dlaczego. Jesteś świetna. Nie miałem jeszcze takiej laski.

- Ty sukinsynu! - Wymierzyła mu policzek i zerwała się z jego kolan.

Jeszcze przed chwilą była w niebie, teraz czuła się jak tania dziwka. Laska.

W uszach rozbrzmiewało jej to, co mówił Griffen o chorobliwej ambicji Chance'a, jego stosunku do kobiet, uwodzeniu dziewczyn Griffena.

Zacisnęła powieki, nie mogąc znieść bólu i upokorzenia, niezdolna pogodzić się z prawdą.

Griffen próbował ją ostrzec, mówił jej...

A ona okazała się głupia nielojalna.

Zmierzyła Chance'a pełnym nienawiści spojrzeniem i zadarła butnie głowę.

- Może zechcesz mi powiedzieć, co się tu przed chwilą stało? Wyjaśnisz łaskawie, w czym rzecz?

- Przyszłaś do mnie, tak? Zapłakana, bladym świtem stajesz na progu mojego mieszkania. Nie udawaj teraz, że nie wiesz, co się stało.

Skye, trzęsąc się z wściekłości, zaczęła zbierać ubranie z podłogi.

- Jasne, wiem. Przeleciałeś kolejną panienkę. No, może lepszą od innych. Bardzo ci dziękuję, ty skończony dupku.

Chance zerwał się nagle z fotela, był nie mniej wściekły niż Skye.

- Chcę ci tylko powiedzieć, do cholery, że nic ci nie mogę zaofiarować. Moja firma się rozpada. Straciłem niemal wszystkich klientów. Wczoraj musiałem zwolnić sekretarkę. Czego ode mnie oczekujesz? Mało razy mówiłaś mi, że Griffen może dać ci wszystko? Świat ci złoży u stóp. Bierz go, Skye. Bierz i wynoś się stąd do diabła!

- To, co Griffen o tobie powiedział, jest świętą prawdą - warknęła, usiłując drżącymi rękoma wciągnąć legginsy.

- Co takiego mianowicie?

- Że wszystkiego mu zazdrościsz. Że chciałbyś być nim.

Chance miał taką minę, jakby już po raz drugi tego ranka dostał w twarz.

- Griffen tak powiedział?

- Tak! Mówił, że masz obsesję na jego punkcie. Uwodzisz nawet jego kobiety.

- Uwodzę jego kobiety! - zawołał Chance z furią. - A kto do mnie przyszedł, kochanie, błagając, żebym ją zerż...

- Milcz, ty sukinsynu! - Skye chwyciła ze stolika pustą puszkę po piwie i rzuciła nią w Chance'a. Ten uchylił się i puszka uderzyła w ścianę. - Doskonale wiesz, że tak nie było!

- Powiedz mi, Skye, dlaczego przyszłaś? Masz przecież Griffena. Czy on cię nie zaspokaja?

Teraz z kolei Skye poczuła się tak, jakby dostała w twarz. To, co powiedział Chance, zabolalo mocniej niż wszystko inne. Zebrała resztę swoich rzeczy i ruszyła ku drzwiom. Odwróciła się w progu.

- Nie spałam jeszcze z Griffenem, ale teraz zaczynam się zastanawiać, na co czekałam.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Skye była pewna, że tego wieczoru Griffen poprosi ją, by za niego wyszła.

Zadzwoił dwa dni wcześniej i umówił się na dzisiaj, twierdząc, że ma dla niej niespodziankę.

Ostatnio zachowywał się bardzo dziwnie. Raz był serdeczny i wylewny, to znowu chłodny i nieobecny.

Wzięła do ręki różę, która leżała na talerzu, podniosła ją i powąchała. Zastanawiała się, czy rzeczywiście Griffen tak dziwnie się zachowuje, czy też może to ona dokonuje projekcji własnych powikłanych uczuć na jego osobę.

Pragnęła Griffena, pragnęła miłości, bezpieczeństwa, rodziny, stabilizacji. Rozum mówił jej, że Griffen jest dla niej najodpowiedniejszym partnerem.

Nie mogła jednak przestać myśleć o Chansie, o jego dotyku, o tym, co czuła, gdy był obok niej.

Miał ją, zdobył, ale już nie jest mu potrzebna.

Spuściła głowę. Okazała się skończoną idiotką. Raz już Chance omal jej nie zniszczył. Dlaczego więc tak bardzo jej zależy na tym, aby dać mu jeszcze jedną szansę? Jeszcze jedną.

- Skye, kochanie. Za nas!

Ocknęła się nagle i z wymuszonym uśmiechem podniosła kieliszek.

- Za nas - powtórzyła, pijąc łyk szampana.

- Przed sekundą byłaś tysiące kilometrów stąd. O czym myślałaś? O Terri i jej córeczce? Tylko nie próbuj zaprzeczać. Widzę, jak bardzo ci ich brakuje, jak za nimi tęsknisz.

Ton głosu, wyraz twarzy, oczy, wszystko zdawało się zaprzeczać wypowiedzianym przez Griffena słowom. Skye wyczuwała kryjące się pod nimi rozbawienie, tak jakby Griffen czerpał przyjemność z jej smutku lub z samego z faktu, że Terri wyjechała.

Skye przyjrzała mu się baczniej, ale to, co przed chwilą dostrzegła, umknęło; na twarzy Griffena malowała się teraz serdeczna troska. Wypiła kolejny łyk szampana, łając się w duchu za podobne myśli. Griffen był przecież wobec niej taki opiekuńczy i czuły.

- Rzeczywiście, myślę o nich często, ale akurat nie w tej chwili.

- Co u nich?

- Wszystko w porządku. Urządzają się w nowym miejscu.

- To okropne, co im się przydarzyło. Po świecie chodzi tylu pokreconych ludzi.

- Tak.

Griffen uniósł kieliszek do ust, upił trochę.

- A jak się miewa Muu? Mam nadzieję, że nie przytrafił mu się żaden następny nieszczęśliwy wypadek?

Skye pokręciła głową.

- Nie.

- Wiesz może, kto próbował go otruć?

- Niestety, nie.

- Okropność! Ten człowiek może znowu chcieć to zrobić.

Skye tak zaczęły drzeć dłonie, że musiała odstawić kieliszek, by nie rozlać szampana.

- Jestem teraz ostrożniejsza. Nie wypuszczam go już samego.

- To dobrze. - Griffen położył dłoń na jej ręce. - Masz taką smutną minę, kochanie. Powiedziałem coś niewłaściwego?

- Nie, skądże.

- To, przez co ostatnio przeszłaś, zmusiło mnie do przemyślenia wielu spraw na nowo. Zastanawiałem się, co naprawdę jest ważne w życiu. Człowiek tak łatwo może stracić wszystko, ale jeśli ma rodzinę, nigdy nie będzie sam. To jedyne prawdziwe oparcie.

Skye pomyślała o swojej matce i łzy napłynęły jej do oczu.

- Bliscy nigdy cię nie opuszczą, jeśli cię kochają - ciągnął Griffen, jakby czytał w jej myślach. - Twoja matka nie zasłużyła na to, żebyś tak ją nazywała. Nie zasłużyła na twoją miłość. Podobnie jak Chance.

Nie mogła już powstrzymać łez, które zaczęły toczyć się po policzkach.

- Przepraszam, kochanie. Nie chciałem doprowadzić cię do płaczu. To miał być wyjątkowy wieczór.

- Nie przepraszaj. Nie mam nikogo, Griffenie. Jestem zupełnie sama.

- Masz mnie. - Kiedy próbowała cofnąć rękę, mocniej zacisnął palce. - Naprawdę, skarbie. Musisz mi uwierzyć. Wiesz przecież, co do ciebie czuję. Nigdy nie ukrywałem, jak jesteś mi droga.

Spojrzała mu w oczy i ze ściśniętym gardłem czekała na następne słowa. Wiedziała, co usłyszy i ciągle nie była pewna własnej odpowiedzi.

- Chcę się tobą opiekować, skarbie. Kochać cię i troszczyć się o ciebie. Zawsze być przy twoim boku. Zostań moją żoną. Zgodzisz się wyjść za mnie?

Skye milczała. Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Myślała o Chansie, o jego dłoniach na swoim ciele, i przeklinała go, tak jak przeklinała samą siebie.

- Zanim odpowiesz, dobrze rozważ, co ci powiem. Nigdy już nie będziesz sama. Dam ci wszystko, czego człowiek może pragnąć: miłość, dom, rodzinę. Dziadek i Dorothy też cię kochają. Jesteś nam potrzebna, jesteś potrzebna Monarchom. Jesteś potrzebna mnie!

Skye nadal nie odpowiadała, nie potrafiła się zdobyć na wypowiedzenie jednego pozornie prostego słowa „tak”.

Podniosła dłoń do skroni. Czuła, że zaczyna boleć ją głowa.

- To bardzo poważny krok. Jestem oszołomiona. I bardzo wzruszona.

Na ustach Griffena pojawił się triumfalny uśmiech. Wsunął dłoń do kieszeni marynarki, wyjął obciążone aksamitem pudełeczko i położył przed Skye.

- Dalej, Skye. Nie wpatruj się w nie tak, tylko otwórz - przynaglił ją ze śmiechem.

Drżącymi palcami uniosła wieczko i zobaczyła iskrzący się ogromny brylant.

- Och!

Nigdy jeszcze nie widziała równie pięknego kamienia. Owalny, o misternym szlifie i świetlisty, musiał mieć przynajmniej pięć karatów.

- To zbyt wiele!

- Nie dość, by wyrazić moje uwielbienie dla ciebie. Nałóż go. - Griffen wyjął pierścionek i wsunął go na serdeczny palec Skye.

- Wiemy o sobie wszystko, kochanie. Wiele nas łączy, więcej, niż mogłabyś przypuszczać. Pomyśl, jakie wspaniałe życie przed nami. Jesteśmy młodzi, piękni, bogaci. Będziemy razem kierować firmą, dochowamy się gromadki dzieci. Ujrzymy cały świat u swoich stóp.

A gdzie miejsce na namiętność? Na miłość?

Nie, nie powinna tak myśleć. Przecież Griffen ją kocha. Tyle razy ją o tym zapewniał. I ona go... kocha. Oczywiście.

Ale nie tak jak Chance'a.

Ogarnęło ją przerażenie. Była wstrząśnięta własnymi myślami, ową bolesną prawdą, że kocha Chance'a. Kochała go od dzieciństwa.

Nie, nie wolno jej kochać Chance'a. On przecież jej nie kocha. Kiedyś ją zostawił. I teraz na pewno uczyniłby to samo.

A jednak go kocha. Gdyby mogła to samo czuć do Griffena... Z oczu Skye popłynęły łzy.

- Ejże. - Griffen uniósł jej brodę. - Mam nadzieję, że to łzy szczęścia?

- Tak. Nie wiem, co mam powiedzieć. Jestem zupełnie oszołomiona...

- Czy to znaczy: tak?

Rozpaczliwie szukała właściwych słów.

- Ja nie... To... to nie jest dobra pora.

Na twarzy Griffena pojawiły się wypieki. Gniewnym ruchem cofnął dłoń i wyprostował się sztywno.

- Czyli nie?!

- Tego nie powiedziałam. Potrzebuję czasu. Po prostu nie jestem jeszcze gotowa.

- Ja jestem gotów. Pytanie jest chyba proste, Skye. Albo chcesz za mnie wyjść, albo nie.

- Chciałabym, tak jak ty, być pewna każdego swojego kroku. Decyzja, której ode mnie oczekujesz, jest decyzją na całe życie. Ogarnia mnie lęk na tę myśl. Zostałam już kilka razy zraniona. Boję się.

- Ja nie jestem taki jak twoja matka. Albo ten palant Chance - wycodził Griffen z jadem w głosie. - Nigdy cię nie zostawię. Nigdy też nie przestanę cię kochać. Twoje miejsce jest przy mnie, wiem o tym. Jesteśmy sobie przeznaczeni.

Oczy Griffena, kiedy to mówił, rozżarzał wewnętrzny ogień. Skye zadrżała. Jeszcze nigdy nie widziała go takim.

- Nie mogę dać ci w tej chwili ostatecznej odpowiedzi. Wybacz. Jeszcze nie teraz.

- Rozumiem! - mruknął i zacisnął wargi w bezsilnej wściekłości.

- Proszę, spróbuj zrozumieć. Chcę, żeby to była przemyślana decyzja, a ja w tej chwili tyle rzeczy mam na

głowie. Zbliża się festiwal w Mediolanie... Nie bądź na mnie zły. Daj mi tylko trochę czasu.

Milczał przez chwilę, wreszcie skinął głową.

- Dobrze, Skye. Dam ci trochę czasu, ale nie zamierzam czekać w nieskończoność.

- To oczywiste. Dam ci odpowiedź po powrocie z Mediolanu.

- Czyli za dwa tygodnie. Będę czekał, Skye.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

Skye znalazła Chance'a w jego biurze. Stał przy oknie, odwrócony plecami do drzwi i przygarbiony. Robił wrażenie zmęczonego i zniechęconego. Znikła jego zwykła pewność siebie i wiara we własne siły.

Najwyraźniej nie usłyszał, jak weszła, bo nie odwrócił się, nie zareagował w żaden sposób na jej obecność. Skye przygryzła wargę. Mogłaby teraz wyjść i uniknąć upokorzenia.

Nie uczyniła tego, mimo że była bliska ucieczki. Nie miała nic do stracenia. Teraz, po tym, co zaszło między nimi ostatnio, na pewno nie.

Gdyby tu dzisiaj nie przyszła, do końca życia nie zaznałyby spokoju.

- Chance?

Na dźwięk jej głosu odwrócił się powoli i spojrzał na nią bez słowa.

- Co słyhać? - Nic głupszego nie mogłam powiedzieć, złażała się w myślach.

- Co słyhać? Zostało mi trzech klientów. Straciłem nawet takiego, który przeniósł się ze mną od Adams & Sloane. Kiepsko. A co u ciebie, Skye?

Doskonale wiedziała, co ta klęska oznacza dla Chance'a.

- Tak mi przykro.

- Owszem, mnie też. Cholernie.

- Nadal jeszcze masz Monarchów. Są bardzo zadowoleni z tego, co dla nich robisz.

- Inni też byli bardzo zadowoleni i nagle przestali. - Pokiwał smętnie głową. - Co cię do mnie sprowadza?

- Griffen poprosił mnie, żebym za niego wyszła.

- Tak?

- Tak. - Skye odchrząknęła. - Mówi... że mnie kocha. Przyrzekał, że nigdy mnie nie opuści. Że da mi wszystko, czego zapragnę.

- To brzmi naprawdę wspaniale, mała. - Chance odwrócił się na powrót do okna. - Mam nadzieję, że się zgodziłaś?

Wzięła głęboki oddech i zebrała całą odwagę. Co miała do stracenia, upokarzając się przed Chance'em? Otwierając przed nim duszę?

- Ja... Spójrz na mnie, proszę.

Odwrócił się powoli z kamienną, pozbawioną wyrazu twarzą. Stał sztywno, z wyprostowanymi plecami i patrzył na nią tak, jakby jej nie widział.

- Powiedziałam mu, że potrzebuję czasu do namysłu.

- Rozumiem - stwierdził beznamiętnym tonem. - Przyszłaś po moje błogosławieństwo czy też chcesz upewnić się, że cię nie wydam?

- Przyszłam, bo chcę od ciebie usłyszeć, żebym tego nie robiła. Wystarczy jedno twoje słowo... i odmówię Griffenowi.

Przez długą chwilę Chance patrzył na nią tak, jakby nigdy już nie miał jej zobaczyć. Ona spoglądała na niego dokładnie w ten sam sposób, chłonąc z bolesnym zapamiętaniem każdy rys jego twarzy.

- Nie mogę tego zrobić, Skye. Przykro mi.

Krzyknęła i szybko przysłoniła usta dłonią.

- Czy... czy to coś zmieni, jeśli ci powiem, że cię kocham?

Chance pokręcił głową.

- Nie kochaj mnie. Kochaj Griffena. On obiecał dać ci wszystko. Jesteś mądrą dziewczyną, więc powinnaś przyjąć jego ofertę.

Chciała jeszcze błagać, ale uznała, że to daremne. Chance jej nie kocha i nigdy nie kochał. Nie było sensu przeciągać tej i tak już przykrojonej dla obojga rozmowy.

- Otrzymałam już odpowiedź, więc pora się pożegnać.

- I ja tak myślę. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

Odwrócił się do okna. Skye patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym wyszła.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, usłyszała, że ją woła.

Nie wróciła.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

- Dzwoniłaś do mnie? - Griffen w pierwszej chwili niemal nie poznał ciotki, kiedy wszedł do jej gabinetu, tak źle wyglądała. I ten nieodłączny papieros w ręku. Czy naprawdę nie mogłaby się oduczyć palenia? Wstrętny nawyk.

- Musimy porozmawiać - powiedziała, przywołując Griffena gestem dłoni.

- Tego się domyśliłem po odsłuchaniu wiadomości od ciebie nagranej na sekretarce. - Griffen usiadł naprzeciwko Dorothy. - Skąd ten pośpiech?

- Skye powiedziała mi o twoich oświadczeniach.

- A ty co jej powiedziałaś?

- Że bardzo się cieszę i że będziemy szczęśliwi, mając ją w rodzinie. Jakżeby inaczej.

- I bardzo dobrze - skomentował Griffen, strzepując jakiś niewidzialny pyłek z mankietu marynarki. - W czym zatem problem?

- Nie potrafię brnąć dalej, Griffenie. Nie jestem w stanie dłużej jej okłamywać. Nie mogę udawać... - Roztrzęsiona Dorothy sięgnęła po następnego papierosa.

- Uspokój się, droga cioteczko. Zachowujesz się czasami jak stara histeryczka.

- Nie potrafię inaczej! - Zaciągnęła się łapczywie dymem, jakby papieros miał uratować jej życie, zamiast je skrócić. - Skye jest pod moją opieką.

- Pod moją również, ciociu, Kocham ją. Wszyscy ją kochamy.

- Jak możesz... Griffenie, przecież jesteś jej bratem! Nie ożenisz się ze swoją siostrą.

Ciotka zaczynała go irytować.

- Dot, kochanie - zaczął łagodnym tonem, jakim przemawia się do nieposłusznego dziecka, kiedy coś trzeba mu wyperswadować - naprawdę uważasz, że to odpowiednie miejsce i czas na prowadzenie podobnych dyskusji rodzinnych?

- Wszystko mi jedno! Powiadam ci, położę kres tej maskaradzie!

Jest słaba i głupia, dam sobie z nią radę, uznał Griffen.

Podszedł do biurka, oparł dłonie na blacie, nachylił się ku ciotce i spojrzał jej prosto w oczy.

- Rozmawialiśmy już o tym wcześniej - powiedział spokojnie. - Jeszcze zanim Skye wróciła do domu. Uznaliśmy, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Nie możemy się teraz wycofać.

- Musimy, nie rozumiesz tego? Trzeba znaleźć jakiś sposób. - Dorothy patrzyła na wnuka błagalnym wzrokiem.

- Ona zbyt wiele dla mnie znaczy.

Griffen parsknął gniewnie.

- Teraz łatwo ci to mówić, kiedy mamy ją tutaj. Potrzebujemy jej, Dorothy. Ty jej potrzebujesz. Firma także potrzebuje.

Zgasiała papierosa i natychmiast sięgnęła po następnego.

- Myślałam o tym. Możemy jej wszystko wytłumaczyć. Ona jest taka kochana i na pewno wszystko zrozumie. Zapewniam cię, że zrozumie.

- Ależ oczywiście. - Griffen podszedł do okna, za którym roztaczał się wspaniały, rozległy widok na Magnificent Mile.

- Pamiętasz, dlaczego to zrobiliśmy? - zwrócił się po chwili do ciotki. - Przypominasz sobie, dlaczego podjęliśmy właśnie taką, a nie inną decyzję? Pamiętasz, co sama wtedy mówiłaś?

Dorothy wsparła czoło na dłoni. Za chwilę zacznie się wycofywać, narzekać, powie, że miesza się jej w głowie. Typowa kobieca taktyka.

- Już nie pamiętam. Wiesz, że o wielu rzeczach zapominam... Wszystko mi się miesza.

- Uważałaś, że to będzie bardzo zabawne - przyszedł jej z pomocą Griffen. - Wspaniała przygoda. Czy teraz zaczyna ci coś już świtać, cioteczko?

Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

- Prawda, ale wszyscy mieliśmy tyle żalu do Madeline, że zabrała nam naszą małą. Myślałam... Nie przypuszczałam, że... - Zapaliła kolejnego papierosa. - Wtedy nie znałam jeszcze Skye, Griffenie. Nie była dla mnie realną osobą.

- Bardzo zabawne - powtórzył z przekąsem. - Skye na pewno się rozczuli i rzuci ci się na szyję, kiedy wyłożysz jej powody, dla których kłamałaś. Ponieważ uznałaś, że to będzie bardzo zabawne.

- Mój Boże, nie myślałam o tym w ten sposób.

- A pomyślałaś, co powie, gdy pozna całą historię? W końcu to ty zdradziłaś Madeline, byłaś wobec niej nielojalna. To ty naprowadziłaś Pierce'a na jej trop, zmusiłaś ją do ucieczki i porzucenia Skye. To też było zabawne?

- O tym Skye nie musi wiedzieć.

- I tak się dowie. W końcu dowie się o wszystkim. - Griffen napawał się teraz bezradnością i poczuciem winy ciotki. - Przypomnij sobie, moja droga, jak baliśmy się, że Skye weźmie stronę matki, jeśli pozna prawdę. Ona bardzo kochała i nadal kocha Madeline. Pamiętasz, jaka chodziłaś przygnębiona, zanim Skye wróciła? Jak desperowałaś, że nasze projekty stają się coraz gorsze, a Monarch's grozi przeciętność?

Griffen przestał chodzić po gabinecie i stanął przy biurku.

- Nasza mała jest nam potrzebna. Potrzebny jest nam jej dar. Jeśli wyjdzie za mnie, będziemy mieli gwarancję, że nigdy nas nie opuści. Nikt nam jej nie ukradnie. Wspólnie zdecydowaliśmy, że to będzie najlepsze rozwiązanie.

Dorothy jakby się skurczyła w sobie, zmaląła.

- Teraz myślę inaczej, Griffenie. Dopóki jej nie znałam, mogłeś mnie łatwo przekonać do swojego planu. Nie dotyczył on osoby z krwi i kości, realnej i prawdziwej. Długo nie wierzyłam, że to naprawdę nasza Grace.

Griffen skrzywił się na te słowa.

Że też zawsze, w najlepszym nawet planie, musi być jakieś słabe ogniwo. Zawsze znajdzie się ktoś, kto gotów jest wszystko popsuć.

- Co zamierzasz jej powiedzieć, cioteczko? Że od początku ją oszukiwaliśmy? Że dotąd patrzyłaś spokojnie, jak zabiegam o to, by siostra została moją żoną? A wszystko ze względu na dobro firmy?

Dorothy pobladła.

- Brzmi to fatalnie, przyznaję, ale musimy skończyć z kłamstwem, zanim stanie się najgorsze. Prawda będzie oznaczała dla Skye'e także i to, że jest współwłaścicielką firmy. Kto by wzgardził taką potęgą, takim bogactwem?

- Ano właśnie! Rozsierdzona na nas, może zabrać swoją część i się wycofać.

Dorothy, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej pobladła.

- Jak to, wziąć swoją część i wycofać się?

- Skoro dowie się, że jest jedną z Monarchów, będzie miała do tego pełne prawo. Możemy oczywiście procesować się z nią, ale sprawy nigdy nie wygramy. Zawsze obawialiśmy się tego niebezpieczeństwa, nie pamiętasz? Między innymi dlatego podjęliśmy tę właśnie decyzję. - Dał ciotce chwilę czasu, by przetrawiła jego słowa. - Jedyne dziecko, którego kochałaś, zostawił cię - ciągnął dalej. - Odszedł, bo byłaś bezpłodna. Nie zaznałaś miłości, nie miałaś dzieci, ale miałaś Monarch's. Firma to twoje dziecko, twoja miłość. Wszystko. A Skye może ci to zabrać.

- Dobry Boże. - Dorothy położyła rękę na piersi. Oddychała płytko, szybko, nierówno. - Co począć, Griffenie? Ja naprawdę dłużej tak nie mogę... Ale nie mogę też stracić firmy. To byłoby... byłoby...

- Wiem, cioteczko. - Znów usiadł w fotelu, uśmiechając się leciutko. - Jutro lecisz do Mediolanu?

- Tak, razem ze Skye i z Adamem.

- To dobrze. Będę miał trochę czasu.

- O czym myślisz? - zapytała Dorothy z dziecięcą ciekawością.

- O tym, co powiedziałaś. Być może masz rację.

- Bogu dzięki. - Dorothy położyła dłoń na sercu. - Bogu dzięki. A już się bałam, jak zareagujesz. Że się na mnie rozżościsz i zaczniemy się kłócić.

- Nie mógłbym się z tobą pokłócić, cioteczko. Za bardzo się z tobą liczę, moja najdroższa. Na razie nic nie mów Skye. Musimy to załatwić bardzo delikatnie.

- Masz rację.

- Nie możemy jej stracić. Gdybyśmy pokpili sprawę... - Griffen dramatycznie zawiesił głos, pstryknął palcami. - Skye zniknie tak jak Madeline. Tylko że tym razem z jej odejściem stracimy Monarch's.

- Masz rację - powtórzyła Dorothy, gasząc kolejnego papierosa.

Wrak, kompletny wrak człowieka, pomyślał z niesmakiem. Boże, jak obmierzła mu wszelka słabość! Dlaczego otaczają go tacy ludzie?

- Kiedy będziecie w Mediolanie, postaram się wszystko uporządkować. Porozmawiamy po waszym powrocie. Tylko we dwoje, ty i ja. - Podniósł się z fotela. - Jesteś już spokojniejsza?

- Och tak. - Dorothy westchnęła z ulgą. - Dziękuję ci, Griffenie. Jesteś kochanym chłopcem. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

- A czy ja mogę liczyć na to, że będziesz milczała aż do powrotu? Ani słowa, cioteczko Dot. To bardzo ważne.

- Oczywiście - obiecała skwapliwie. - Możesz na mnie liczyć.

Griffen podszedł do drzwi.

- I o nic się nie martw, Dot - rzucił jeszcze przez ramię. - Ja zajmę się wszystkim. Zobaczysz sama, będzie dobrze.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Chance już od dwudziestu minut czekał na Griffena w mrocznym, zadymionym barze. Monarch unikał zwykle takich miejsc, ale ostatnio dziwnie się zachowywał.

Czyżby wiedział o nim i Skye?

Zrobiło mu się zimno na tę myśl. Griffen potrafił być niebezpiecznym przeciwnikiem.

Skye jest w Mediolanie, powinna wrócić za kilka dni. Gdyby była na miejscu, zapewne próbowałaby do niej dzwonić, jakoś się skontaktować. I co miałyby jej powiedzieć? Żeby nie wychodziła za Griffena? Nie był w stanie tego zrobić.

- Cześć, Chance. - Przy stoliku pojawił się Griffen. - Przepraszam za spóźnienie. Utknąłem w korku. - Opadł na krzesło, skinął na kelnerkę i poprosił o to samo co wcześniej zamówił Chance. - Interesujące miejsce, prawda, stary?

- Może być.

Griffen z lekkim uśmiechem odchylił się w krzesło.

- Hm. Ponury jesteś. Czyżby plotki, które krążą po mieście, miały w sobie ziarno prawdy?

Chance podniósł głowę.

- O jakich plotkach mówisz, Grif?

- Mówią, że jesteś skończony. Podobno klienci odpływają od ciebie rwącym strumieniem. Całe miasto aż szumi. Piękny koniec, przyjacielu. Gratuluję.

- Odwal się!
- Spoko, stary. To tylko biznes. Raz jesteś na górze, raz na dole.
- Łatwo ci mówić, skoro swój biznes dostałeś w spadku. Griffen uniósł brwi.
- Coś ci się nie podoba?
- Nie podoba mi się twoja postawa.
- Z tego, co wiem, jestem jednym z nielicznych klientów, którzy ci zostali, więc wyhamuj. Nie warto ze mną zadzierać.

Griffen miał rację. Nie warto było z nim zadzierać, ale Chance nie był w stanie zmusić się do przeprosin.

- Od kilku tygodni wszystko mi się rozpada.
- Dobrze, nie było rozmowy. Skye przekazała ci ostatnią nowinę?
- Jaką nowinę? Nie widziałem Skye od bardzo dawna.
- Zamierzamy się pobrać.
- Naprawdę? Zaręczyliście się?

Twarz Griffena ściągnęła się prawie niedostrzegalnie, ale Chance zdążył się zorientować, że Skye nie przyjęła jeszcze jego oświadczyn.

- Jasne.
- Gratuluję.
- Nie wydajesz się zbyt uszczęśliwiony tą wiadomością. Dziwna sprawa, zawsze mi się wydawało, że lecisz na Skye. Ale potem sobie pomyślałem, że Chance nie próbowałby wyjąć mi Skye, skoro i tak wie, że jest bez szans. Poza tym po co miałbyś mi się narażać, prawda?

Chance zmrużył oczy.

- Nie próbowałem wyjąć ci Skye, jak to określiłeś. I nie jestem dzisiaj w nastroju do kretyńskich rozmów. Masz jakąś sprawę do mnie?

- Nic. Chciałem wypić piwo z przyjacielem.

Chance chciał wstać i wyjść, ale Griffen zamówił jeszcze po jednym piwie. Wreszcie Chance miał serdecznie dosyć. Podniósł się i rzucił kilka banknotów na stolik.

- Grif, jestem wykończony. Wracam do domu.

- Poczekaj, wyjdę z tobą.

Dla dopełnienia udanego wieczoru na parkingu okazało się, że ktoś przebił wszystkie cztery opony w samochodzie Chance'a. Griffen zaofiarował się, że podrzuci go do domu.

W pewnej chwili Chance zorientował się, że zamiast zbliżyć się do centrum, oddalają się od niego.

- Chyba źle jedziesz - zauważył.

- Na skróty - odparł lekko Griffen.

Zaniepokojony Chance nie spuszczał z niego oka. Griffen z każdą chwilą zachowywał się dziwniej. Kiedy na pełnym gazie ściał ostro niebezpieczny zakręt, Chance zapiął pas bezpieczeństwa.

- Może zwolniłbyś trochę, Grif?

- A co? Denerwujesz się?

- Nie mam specjalnej ochoty dzisiaj umierać. Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się przez cały wieczór jak skończony idiota.

Griffen wybuchnął śmiechem.

- Dobrze, że mamy okazję pogadać. Jest coś, o czym chciałbym ci powiedzieć. To było rzeczywiście dziecinnie łatwe. Kilka telefonów, trochę narzekania, napomknienia o finansowych nieprawidłowościach, niezadowoleniu, niestosownym zachowaniu.

Chance poczuł, że serce zaczyna mu bić mocniej.

- O czym ty mówisz?

- Jak to: o czym? - zdziwił się Griffen. - O twojej firmie, ma się rozumieć.

- Dzwoniłeś do moich klientów?

- Niespodzianka! Prawda?

Chance'owi robiło się niedobrze z obrzydzenia. Od początku uważał, że dzieje się coś dziwnego, że ktoś pod nim dołki kopie. Przypuszczał, że to ludzie z Adams & Sloane.

Ale Griffen? Jego przyjaciel?

- Ty sukinsynu! Powinienem cię zabić.

Griffen znowu się zaśmiał.

- Jednych udało się przekonać od razu, inni byli bardziej oporni, ale tym lepszą miałem zabawę. Największy opór stawiała Martha. Lojalna dziwka. Nie obchodziło jej, że innych mogłeś oszukać, bo dla niej pracowałeś wspaniale. Ach, ci pieprzeni idealisci z organizacji społecznych! Musiałem jej w końcu wyjaśnić: albo zrezygnuje z twoich usług, albo straci dotacje, które daje jej Monarch's, a to poważne sumy. W końcu ten argument do niej przemówił.

- Ty sukinsynu - powtórzył Chance. - Zatrzymaj natychmiast samochód! Klnę się na Boga, że cię zabiję!

- Pewnie, pewnie! - Griffen zniżył głos do jadowitego szeptu. - Jesteś na to za przyzwoity, drogi przyjacielu. - Szept przeszedł nagle w obłąkany, piskliwy śmiech.

Chance patrzył na swojego byłego przyjaciela z narastającym przerażeniem.

- Muszę ci powiedzieć, że miałem dzięki tobie sporo uciechy. Patrzyłem, jak się coraz bardziej nadymasz, jaki stajesz się ważny, i wiedziałem, że w każdej chwili mogę to wszystko skończyć. - Pstryknął wymownie palcami. - W każdej chwili, kiedy tylko zechcę.

- Dlaczego? - zapytał w końcu Chance tak wściekły, że z trudem dobywał słowa.

- Jeszcze pytasz? - Griffen zerknął na niego spod oka. - Z powodu Skye, oczywiście. - Pokręcił głową. - Po co się jej czepiałeś, dupku? Myślisz, że jestem ślepy? Zdawało ci się, że będzie cię chciała? Ona jest moja! Tylko moja. Ja mogę dać jej wszystko. Pieniądze, władzę, Monarch's. Wiesz, co to znaczy? A ty jesteś nikim. Żałosne zero!

- Ona cię nie kocha, obłąkany skurwielu! - zawołał Chance. - I nigdy nie pokocha!

Griffen odchylił głowę i zawył jak zwierzę. Zupełnie nie panował nad sobą.

- Ona jest moja! Moja!

- Straciłeś zmysły. Ona cię nie kocha.

- Nie? - Griffen był teraz przeraźliwie, wręcz upiornie spokojny. Chance poczuł ciarki na plecach. Porsche pędziło ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Za chwilę obaj mogą zginąć.

- Jeśli ja jej nie będę miał, nikt jej nie dostanie. Zapamiętaj to sobie, Chance.

Droga zakręcała wzdłuż posiadłości otoczonej wysokim ceglanym murem. Griffen z ponurym uśmiechem zacisnął dłonie na kierownicy i skierował wóz wprost na ten mur.

Widząc, co się dzieje, Chance zasłonił twarz i zaczął krzyczeć, żeby Griffen hamował.

Nacisnął na hamulec w ostatniej chwili, samochodem zarzuciło i uderzył tyłem w mur. Chance poleciał na drzwi z taką siłą, że wybił głową boczną szybę.

Oszołomiony, uwolnił się z pasa, na chwiejnych nogach wydostał się z wozu i zgięty wpół natychmiast zaczął wymiotować.

Chryste, przed chwilą byłby zginął. Griffen próbował go zabić. Jego i siebie.

Kiedy wreszcie mógł zaczerpnąć powietrza, otworzył drzwiczki od strony kierowcy. Przez chwilę myślał, że Griffen nie żyje, bo siedział za kierownicą zupełnie nieruchomo. Siedział i... śmiał się bezgłośnie.

Chance chwycił go za koszulę i wyciągnął z samochodu.

- Mogłeś nas obu zabić, ty obłąkany sukinsynu! - krzyczał, potrząsając Griffenem. - Co się z tobą, do cholery, dzieje?

Ten odepchnął Chance'a.

- Idź do diabła! Niech cię piekło pochłonie.

To powiedziawszy, wsiadł do samochodu i odjechał.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Od tamtego wieczoru minęły cztery dni, a Chance ciągle miał przed oczami zbliżający się z zastraszającą szybkością mur, zaś w uszach rozbrzmiewał mu jeszcze upiorny śmiech Griffena.

Nigdy dotąd nie otarł się tak blisko o śmierć, nigdy też nie zetknął się z wcielonym diabłem, czystym złem.

Teraz miał za sobą oba te doświadczenia. Był przerażony. Bał się nie o siebie, tylko o Skye, wydaną na łaskę obłąkanego człowieka. Bo Griffen musiał być obłąkany.

„Jeśli ja jej nie będę miał, nikt jej nie dostanie”.

Uporczywie wracały do niego te złowieszcze słowa Griffena.

Wyrzucał sobie własną głupotę i próżność. Uwierzył w przyjaźń Griffena, przez co stał się narzędziem w jego rękach. Myślał, że sukcesy zawdzięcza swoim zdolnościom i energii, tymczasem były one starannie zaaranżowane przez Monarcha.

Zaaranżowane, a potem równie pedantycznie zniszczone.

Zatopiony w myślach, stał przy oknie w swoim biurze i patrzył na zachód słońca. Wspominał pierwsze dni w Chicago, tak pełne nadziei, planów, ambicji i wszechmocnej wiary, że w tym mieście ziszczą się wszystkie jego marzenia.

Jakiż był głupi. Zadufany i nazbyt pewny swego, nigdy nie zadał sobie pytania, dlaczego właściwie Griffen Monarch

zainicjował ich pierwsze spotkanie. Dlaczego zdecydował się zrezygnować z usług firmy, która pracowała dla Monarchów przez dwadzieścia lat, i podpisać kontrakt z kimś, kto na dobrą sprawę przyszedł z ulicy. Nigdy się nie zastanawiał, skąd ta natychmiastowa zażyłość i przyjacielskie gesty ze strony potentata.

Nie przeanalizował sytuacji, bo chciał tego, co dawał mu Griffen, bo pragnął, jak powiedziała Skye, zostać Griffenem. Zaślepiła go ambicja.

Dopiero teraz ten szalenięc otworzył mu oczy.

Nadal jednak nie mógł zrozumieć pewnych spraw, być może najważniejszych.

Dlaczego Griffen wypytywał go o przeszłość? Dlaczego Skye pojawiła się w Chicago zaledwie w kilka tygodni potem, jak opowiedział o niej Griffenowi?

Myślał o tym dużo przez ostatnie dni, ale nie znajdował odpowiedzi. Myślał też o swojej firmie, a właściwie o tym, co z niej zostało. Dał się wywieść w pole Griffenowi, ale miał dość rozumu, by uczyć się na własnych błędach. Nie zamierzał się poddać. Zbyt długo i zbyt ciężko pracował, by do czegoś dojść. Podjął decyzję. Postanowił walczyć i sownie odpłacić Griffenowi.

Spojrzał na zegarek, po czym podszedł do biurka i wystukał numer Towarzystwa Miłośników Chicago. Poprosił Marthę do telefonu.

- Witaj. Mówi Chance McCord.

- Chance? - W głosie Marthy dało się słyszeć zarówno zaskoczenie, jak i pewną rezerwę. - Co u ciebie?

- Przejdę od razu do rzeczy. Wiem, co Griffen zrobił. Sam mi o wszystkim powiedział.

Po takim wstępie Martha była skłonna go wysłuchać, mówił więc dalej:

- Wiem, że nie chciałaś brać udziału w tej intrydze i że zagroził cofnięciem dotacji dla Towarzystwa.

- To dla mnie wielka ulga, że o tym wiesz. Czuję się paskudnie. Ten drań zmusił mnie, żebym rozwiązała z tobą umowę. Bardzo mi przykro, Chance, bo zrobiłeś dla nas wspaniałą robotę.

- Miło słyszeć. Dlatego właśnie dzwonię. Potrzebuję twojej pomocy.

- Nie wiem, co mogłabym dla ciebie zrobić.

- Najpierw mnie wysłuchaj. Mam pewną propozycję, która powinna być korzystna dla nas obojga.

Martha zawahała się.

- Dobrze, wysłucham cię, ale niczego nie mogę obiecać.

Chance przedstawił jej swój plan. Wszystko, co miała zrobić, to wykonać kilka telefonów i odpowiedzieć, że konkurent oczernił Chance'a, że zarzuty okazały się wyssane z palca i że ona sama postanowiła wznowić współpracę z McCord Public Relations.

- Chętnie, Chance, ale pamiętaj, że w ten sposób stracę dotację Monarchów.

- Będę pracował dla towarzystwa społecznie, podpiszemy specjalny kontrakt. To, co oszczędzisz na wydatkach, zrekompensuje ci z nawiązką dotację Monarchów. Poza tym uniezależnisz się od ich nacisków.

Martha długo milczała. Chance rozumiał, że musiała rozważyć tę propozycję.

- Mam serdecznie dość tego pokrętnego gnojka - powiedziała wreszcie. - Nie lubię, jak ktoś mi grozi. Brzydzę się szantażem. Nie akceptuję ludzi, którzy nadużywają swojej władzy. Gdyby chodziło tylko o mnie, natychmiast bym się zgodziła, ale muszę myśleć o interesie towarzystwa. Przemyślę do jutra twoją propozycję, porozmawiam z kilkoma osobami. Jeśli będę mogła ci pomóc, na pewno to zrobię.

Chance podziękował i wrócił do okna. Z jej pomocą czy bez, zamierzał odwiedzić wszystkich klientów, których stracił. Przekona ich, żeby przynajmniej go wysłuchali. Zacznie działać jutro.

Dzisiaj wieczorem postara się odnaleźć Skye.

Musi ostrzec ją przed Griffenem.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Griffen w napięciu czekał na Dorothy, niespokojnie kręcąc się po jej salonie.

Jeden fałszywy ruch i rzucą się na niego jak sępy, rozszarpia, zabiorą mu Skye. Nie pozwoli na to! Nigdy! Wkrótce opanuje sytuację. Jak zawsze.

Ta myśl go uspokoiła. Spojrzał na zegarek. Dorothy powinna pojawić się lada moment. Samolot z Mediolanu zgodnie z rozkładem miał wylądować w Chicago o siódmej, a było dziesięć po ósmej.

Skye zapewne jest już w domu. Oczami wyobraźni widział, jak przegląda pocztę, a potem wychodzi na spacer z tym swoim obrzydliwym kundlem, którym pod jej nieobecność opiekowali się sąsiedzi. A potem idzie do sypialni i przebiera się na wieczorne spotkanie.

Dzisiaj Skye da mu odpowiedź i wreszcie będzie należała całkowicie i wyłącznie do niego. Dzisiaj uda mu się wreszcie zakończyć to, co rozpoczął przed wielu laty.

Nie będzie musiał dłużej uciekać się do wyobraźni, bo zamieni marzenia w rzeczywistość.

Dorothy wreszcie wróciła: usłyszał bowiem chrobot klucza w zamku, otwieranie drzwi.

- To ja, Dorothy.

Aby dostrzec coś w półmroku, ciotka zmrużyła oczy i stanęła w progu między holem i salonem.

- To ty, Griffen, kochanie?

- Tak, ciociu. - Wyciągnął rękę i zapalił lampę koło sofy.
Dorothy odłożyła klucze na komodę i spojrzała ponownie na wnuka.

- Świetnie wyglądasz. Uwielbiam smokingi.

- Dziękuję. Wybieram się na bankiet na rzecz nowego muzeum.

- Prawda, masz się tam spotkać ze Skye.

- Jak się udał pokaz w Mediolanie?

- Był wspaniały, ale męczący. Zdobyliśmy złoty medal za Światła Wielkiego Miasta. Adam nie posiadał się z dumy.

- Wiem. Dzwonił do mnie.

- Zostawiłam bagaże w samochodzie. Byłam taka wykończona, że nie miałam już siły ich... - Urwała. Dopiero teraz dotarło do niej, że Griffen jest w jej domu.

- Co ty tu właściwie robisz, kochanie?

- Ciociu, nie sądzisz chyba, że zapomniałem o obietnicy danej ci przed wyjazdem. Przyszedłem ją spełnić.

- Myślałeś o tym, co ci powiedziałam?

- Myślałem o czymś jeszcze. Przyrzekłem, że wszystkim się zajmę i tak będzie. - Griffen zapraszającym gestem położył dłoń na kanapie. - Usiądź obok mnie. Musisz być zmęczona.

- Zastanowiłeś się, jak to wszystko wyprostować? - Dorothy z westchnieniem opadła na poduszki.

- Owszem. Wyciągnij się wygodnie. Zrobię ci herbatę i porozmawiamy.

- Wspaniale. - Dorothy zrzuciła buty i położyła się. - Coraz gorzej znoszę podróże. Jestem już za stara.

- Wiem, moja droga. Na szczęście masz Skye i możesz się nią wyręczać.

- Z nieba mi spadła. - Dorothy westchnęła. - Nie myliliśmy się, ona ma dar.

- Tak, ona ma dar.

- Dobrze, że jednak znalazłeś wyjście z sytuacji. Jesteś taki dobry dla mnie, Griffenie.

- Ponieważ cię kocham, ciociu Dorothy. - Musnął wargami jej czoło. - Przyniosę ci herbatę.

- Nie zapomnij, że palniki elektryczne nie działają. Postaw wodę na gazie - powiedziała sennym głosem.

- Wiem, ciociu Dorothy. - Griffen uśmiechnął się. - Nie zapomniałem.

Griffen napełnił czajnik i postawił go na palniku. Wyjął ulubioną filiżankę Dorothy i herbatę rumiankową. Odkręcił gaz, przez chwilę wsłuchiwał się w jego syk, potem oderwał z rolki kawałek jednorazowego ręcznika, starannie wytarł rączkę czajnika, filiżankę, w ogóle wszystko, czego dotykał.

Podszedł do drzwi salonu. Dorothy spała już głębokim snem.

- Ciociu Dorothy, herbata prawie gotowa - powiedział cicho.

Nie poruszyła się nawet. Powtórzył ponownie, że herbata gotowa, tym razem głośniej.

Żadnej reakcji.

Z uśmiechem ruszył w stronę drzwi wejściowych, zatrzymał się w progu i po raz ostatni spojrzął na ciotkę.

- Śpij dobrze, cioteczko Dot. Kocham cię.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Skye schodziła powoli do holu domu, w którym mieszkała. Pobyt w Mediolanie był cudowny, a byłby jeszcze wspanialszy, gdyby nie zamęt w głowie wywołany oświadczeniami Griffena i ostatnim spotkaniem z Chance'em. Obiecała dać Griffenowi dzisiaj odpowiedź i choć myślała o tym noc i dzień, nadal nie wiedziała, jak powinna ona brzmieć.

Przed domem, jakby zwabiony jej myślami, stał Chance.

Skye zwolniła. Nie chciała go widzieć, na pewno nie tego wieczoru, kiedy miała podjąć najpoważniejszą decyzję w swoim życiu.

Zanim zdążyła się cofnąć w głąb holu, odwrócił się w jej stronę. Trudno, teraz musiała już do niego podejść. Przedstawiał sobą okropny widok: był zziębnięty, nieszczęśliwy, z podkrążonymi oczami.

- Nie zaprosisz mnie na górę?

- Nie. - Otuliła się szczelniej cienkim wieczorowym płaszczkiem, klnąc w duchu, że zgubiła gdzieś ostatnią parę rękawiczek. - Niepotrzebnie wystawałeś na tym zimnie. Wracaj lepiej do domu.

- Musimy porozmawiać, Skye.

- Nie sądzę. Powiedzieliśmy sobie już wszystko, co mieliśmy do powiedzenia. - Próbowała go wyminąć. - Spieszę się na przyjęcie.

- Podjęłaś już decyzję? Wyjdiesz za niego?

- To nie twoja sprawa. Dobranoc.

Chance ruszył za nią, chwycił ją za rękę, odwrócił ku sobie.

- Muszę wiedzieć, Skye. To bardzo ważne.

- Dlaczego? Czyżbyś sobie przypomniął, że mnie potrzebujesz? Z tego powodu wystajesz pod moim domem? Puść mnie, Chance! Spieszę się, bo jestem już spóźniona.

Zamiast puścić, chwycił ją za drugą rękę tak gwałtownie, że klucze, które trzymała, upadły z brzękiem na chodnik.

- On jest obłąkany, Skye. To chory człowiek. Ma obsesję na twoim punkcie.

- Obsesję, powiadasz? Ciekawe. Może nigdy dotąd nie spotkałeś się z tą przypadłością: to miłość.

- Nie, to nie jest miłość. - Cały czas trzymał ją mocno, tym mocniej, im energiczniej starała się uwolnić. - Posłuchaj mnie, Skye. On próbował nas obu zabić.

Krew uderzyła jej do głowy.

- Słucham?

- Kilka dni temu. Zupełnie zwariował. - Chance w skrócie opowiedział Skye, jak wyglądała wieczorna jazda samochodem Griffena.

- Kłamiesz. - Pokręciła z niedowierzaniem głową. - To jakiś obłąd.

- Otóż właśnie! Wiesz, co ten drań zrobił? Obdzwonił wszystkich moich klientów i naopowiadał im, że jestem oszustem. Ot, tak po prostu, dla zabawy zniszczył moją firmę.

- Boże! - Skye cofnęła się o krok. - Już teraz wszystko rozumiem.

- Próbuję tylko cię ostrzec. Griffen jest niebezpieczny.

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie powiodło ci się w interesach i teraz szukasz winnego. Chcesz ukarać Griffena, dlatego... dlatego, że mu zazdrościsz.

- Nieprawda. Jak możesz tak myśleć? Znasz mnie przecież.

- Nie znam cię. Wydawało mi się, że cię znam, ale się myliłam.

- On jest nieznaczący. Powiedział, że jeśli on ciebie nie będzie mógł mieć, nikt cię nie dostanie.

- To ty jesteś nieznaczący. Ofiarowałam ci swoje serce, Chance, ale ty go nie przyjąłeś. Poradziłeś mi, żebym została z Griffenem, żebym jego kochała. Teraz nagle wszystko się zmieniło, tak? Postaraj się przynajmniej być konsekwentny. Chyba że już do końca straciłeś zmysły.

- Może. Jestem gotów powiedzieć ci, że cię kocham, byle powstrzymać cię przed wyjściem za Griffena. Boję się o ciebie, Skye.

Nie mógł bardziej urazić jej uczuć. To przesądziło sprawę. Skye w jednej chwili podjęła decyzję: odpowie Griffenowi „tak”. Chance rzeczywiście nie miał jej nic do zaoferowania.

- Jesteś gotów powiedzieć mi, że mnie kochasz? Cóż za podziwu godne poświęcenie - zauważyła cicho, łamiącym się głosem. - Ile w tym szlachetności! - Pochyliła się i podniosła klucze. - Tak długo grałeś rolę mojego starszego

brata i opiekuna, że, jak widać, weszło ci to w nawyk. Mam dla ciebie fatalną wiadomość, starszy bracie. Dorosłam. I potrafię zadbać o siebie. Już od pewnego czasu to robię.

Zostawiła go przed domem i odeszła.

- Nie kochasz go, Skye. Wiem o tym! - zawołał jeszcze za nią.

Zatrzymała się.

- Ale on mnie kocha, rozumiesz? Jest mi oddany. Nigdy mnie nie opuści.

- To obsesja, Skye, a nie miłość.

- Może, ale powiem ci, że tego właśnie mi trzeba. Czegoś trwałego. Dlatego wyjdę za Griffena.

Chance nie próbował jej zatrzymać.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Jechali pustą niemal o tej porze Lakeshore Drive. Pierścioneł z ogromnym brylantem ciążył na palcu, ale Skye nie wypadało go zdjąć.

- Skye, kochanie, uczyniłaś mnie najszcześniejszym człowiekiem na świecie - unosił się Griffen.

- Cieszę się.

Odwróciła głowę i zapatrzyła się w umykający brzeg jeziora Michigan, w połyskliwą taflę wody pod styczniowym nocnym niebem. Powinna czuć się szczęśliwa. Dumna i zadowolona. Powinna krzyczeć w głos, wszem i wobec, o swoim wspaniałym losie. Tymczasem chciało się jej płakać.

Co się z nią dzieje?

Nie mogła zapomnieć rozmowy z Chance'em. Po tym, co od niego usłyszała, nie była już pewna słuszności swojej decyzji. Griffen próbował zabić ich obu? Zahamował w ostatniej chwili? A przecież teraz jadą najspokojniej w świecie.

- O czym myślisz?

- Myślałam właśnie o tym, jak doskonale sprawuje się twój samochód. Oddawałeś go ostatnio do warsztatu?

- Nie.

- Ach tak.

- Jesteś rozczarowana? Chcesz, żeby go oddał do przeglądu?

Chance kłamał. Wszystko, co mówił, to jeden stek kłamstw.

- Nie, skądże.

Griffen rzucił jej baczne spojrzenie.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze, jestem tylko trochę zmęczona. Widocznie zmiana czasu tak na mnie podziałała.

Powinna zapomnieć o Chansie i myśleć o swojej przyszłości z Griffenem.

Wszystkie jej życzenia się spełniły.

„Uważaj, czego sobie życzysz...”

- Dzisiejsza noc będzie wyjątkowa, bo staniesz się moja i tylko moja. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak długo na to czekałem, kochanie.

Rzeczywiście nie wyobrażała sobie tego, co nastąpiło. Nie przypuszczała też, że ta noc może być tak przerażająca, że zamieni się w surrealistyczny koszmar. Nie, Griffen nie był brutalny. Wręcz przeciwnie, delikatny, a przy tym napięty niczym łuk.

Zaciskając mocno powieki, poddawała się jakiemuś absurdalnemu aktowi, który miał być miłością, a z głębokich mroków napływały nieuchwytne obrazy bez kształtu i bez treści. Zatrzymywały się na progu świadomości i nie były w stanie przedrzeć się dalej. Odzywało się w nich coś znajomego! Ale co? Nie potrafiła tego określić. Ciężar ciała Griffena, jego ręce na jej ciele...

Ból głowy rozsadzał czaszkę.

Z zaciśniętymi powiekami leżała nieruchomo i modliła się, żeby było już po wszystkim, lecz bezkształtny mrok wciąż napierał i wnikał w najtajniejsze zakamarki ciała.

Griffen zaczął dyszeć. Jak zwierzę. Robiło się jej niedobrze, wpijała palce w pościel, jakby tylko dzięki temu miała utrzymać się przy życiu i przy zdrowych zmysłach.

Kiedy skończył, pobiegła do łazienki i zatrzęsnęła za sobą drzwi. Ledwie na czas zdążyła dopaść umywalki.

Długo potem nie wychodziła, próbując ochłonać.

Co ona zrobiła? Dobry Boże, co ona najlepszego zrobiła?

Wreszcie się wyprostowała, obmyła i wróciła do sypialni.

Griffen leżał sztywno na łóżku. Nie spojrzał nawet na nią, kiedy weszła.

Mogła sobie wyobrazić, jak się czuł: zły i zraniony.

- Ja... przepraszam. Griffenie...

- Nie przepraszaj. O Chryste!

- To nie twoja wina. Naprawdę. Byłeś... wspaniały, taki delikatny...

- Jasne. I dlatego, ledwie skończyliśmy, pobiegłaś do łazienki wymiotować.

Miał rację. Jej reakcja nie była normalna. Musi być na to jakieś wytłumaczenie.

Usiadła na krawędzi łóżka.

- Byłam zmęczona po podróży. Może coś mi zaszkodziło - ciągnęła niepotrzebne tłumaczenia. - Zepsułam naszą pierwszą noc.

Przez chwilę się nie odzywał, wreszcie wyciągnął ku niej ramiona.

- Chodź do mnie. Mogłem się spodziewać, że pierwsza noc może nie być idealna. Następnym razem będzie lepiej. Na pewno.

Skye wsunęła się w jego objęcia. Następnym razem? Trudno jej było to sobie wyobrazić, gdy ledwie zniosła ten jeden raz.

Objął ją mocno i przygarnął do siebie. Za mocno, za blisko. Dusila się, brakowało jej powietrza, ale leżała bez ruchu, licząc po cichu, że we śnie przestanie ją tulić tak kurczowo i będzie mogła wymknąć się z łóżka. Nie przestał. Wreszcie sama też usnęła.

Obudził ją dopiero dzwonek telefonu. Było widno. Słyszała szum wody dochodzący z łazienki. Podniosła słuchawkę tak obolała, jakby w nocy ktoś ją zbił.

- Słucham.

- Skye, to ty?

- Adam? - Usiadła na łóżku. Jego głos brzmiał tak, jakby staruszek płakał. W drzwiach łazienki pojawił się Griffen. - Co się stało?

- Wypadek, Skye. Dorothy nie żyje.

Część szósta

HORIZON'S END

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Chicago, Illinois, 1997

W czasie lotu do Chicago i potem, kiedy wylądowała już na O'Hare International, Claire nie mogła uwolnić się od myśli o Skye. Nad jej córką wisiało nieszczęście. Niebawem coś strasznego miało się przydarzyć i to właśnie tutaj. Czowała to!

Do Chicago została wezwana, by pomóc w sprawie dziewczyny uprowadzonej z całonocnej imprezy, która odbywała się u jej koleżanki. Policja nie natrafiła na żaden trop, opinia publiczna się burzyła, w końcu burmistrz musiał zająć stanowisko.

Claire zgodziła się przylecieć do Chicago, chociaż bardzo długo wahała się, czy powinna. Bała się, że jej obecność niewiele da. Zbyt silnie była związana z tym miastem i zbyt wiele miała traumatycznych wspomnień, żeby się otworzyć. W końcu jednak uległa namowom i oto była tu, po raz pierwszy od dnia ucieczki przed dwudziestu jeden laty.

Na lotnisku czekał na nią detektyw Baker. Rozpoznała go od razu. Tak wiele czasu spędzała wśród policjantów, że w największym tłumie odróżniała ich na pierwszy rzut oka.

- Dziękujemy, że pani przyjechała - powitał ją z uśmiechem.

- Obym tylko mogła wam się na coś przydać - odpowiedziała, odwzajemniając uścisk dłoni.

- Proszę dać mi bagaże.

Claire chętnie oddała torbę podróżną, a kiedy dopełnili już rytualnej wymiany zdań na temat udanego (albo nieudanego) lotu i pogody, Baker wprowadził ją pokrótce w sprawę.

- Przekazałem już pani przez telefon to wszystko, co wiemy. Otóż dziewięć czternastolatek urządziło sobie w domu przyjaciółki imprezę z nocowaniem. Dzielnica miła, spokojna i zamożna. Kiedy kładły się spać, były wszystkie. Rano okazało się, że jedna zniknęła.

- Becky Williams.

- Tak jest. - Detektyw dotknął łokcia Claire, kierując ją w prawo.

- Początkowo dziewczynki myślały, że poszła do domu. Wieczorem pokłóciła się z koleżanką o chłopaka, uznały więc, że, obrażona, wyniosła się bez słowa.

- Nie wyniosła się.

- Najpierw zaniepokojona matka gospodyni zarządziła przeszukanie całego domu. Chciała się upewnić, czy przypadkiem Becky nie zaszyła się w jakimś kącie, by w ten sposób odegrać się na koleżance. Dopiero potem zadzwoniła do matki Becky.

- I wtedy rozpętało się pandemonium.

- Mówiąc łagodnie. Pytaliśmy sąsiadów i rozmawialiśmy z rodzinami wszystkich dziewczynek. Wykluczyliśmy od razu możliwość, że w środku nocy Becky pomaszerowała do

domu, bo nie wzięła płaszcz, a to przecież połowa stycznia, okropny mróz. Żeby nie wiem jak była obrażona na koleżanki, kapotę by zabrała.

- Dom był zamknięty?

- Nie. Frontowe drzwi były otwarte, również kilka okien na parterze. - Baker wyjął paczkę papierosów, przypomniał sobie o zakazie palenia na lotnisku, zaklął i schował papierosy do kieszeni. - Dzielnica należy do spokojnych, to już mówiłem. Znikoma przestępczość, sąsiedzkie patrole, dobre więzi lokalne. Może sobie pani wyobrazić, jak się tam zagotowało, a my nie mamy żadnego tropu.

Claire i Baker zeszli z ruchomego chodnika.

Żadnego tropu.

Skye!

Claire podniosła rękę do czoła, starając się powstrzymać napór obrazów.

Skye jej potrzebuje.

- Pani Dearborne?

Ocknęła się. Detektyw z zatroskaną miną stał o kilka kroków od niej.

- Przepraszam, jestem trochę zmęczona.

- Pytałem, co pani myśli?

Że ludzie mogą zniknąć w mgnieniu oka i nigdy już się nie odnaleźć.

- Jeszcze za wcześnie. Muszę mieć jakieś jej rzeczy, przedmioty, których dotykała na krótko przed zniknięciem. Chciałabym obejrzeć dom, gdzie spotkały się dziewczynki.

Będą mi potrzebne książki telefoniczne, poza tym wszystkie lokalne gazety od dnia zaginięcia Becky aż do dzisiaj.

- Chce pani jechać od razu na policję?

- Nie, mówiłam już, że jestem zmęczona - odparła i uśmiechnęła się. - Muszę być wypoczęta, żeby cokolwiek działać.

- Oczywiście. - Weszli na jadące w dół ruchome schody. - Zarezerwowaliśmy dla pani pokój w Knickerbockerze. To stary, elegancki hotel w Streetville, w śródmieściu.

- Znam Knickerbockera. Nawykłam do skromniejszych miejsc.

- Hotel daje pani apartament gratis. Ludzie są naprawdę zbulwersowani sprawą.

- Ile osób wie, że tu jestem? Pamiętał pan, żeby nie podawać nikomu mojego nazwiska? Nie lubię szumu wokół własnej osoby. Potrzebuję ciszy i samotności, w przeciwnym razie nie mogę się skupić.

- Proszę się nie martwić. O pani przyjeździe wie zaledwie kilka osób. Dyrektor Knickerbockera jest wujkiem dziewczynki.

Claire skinęła głową.

- Dziękuję.

Baker rzucił jej pełne zaciekawienia spojrzenie.

- Powiada pani, że zna Knickerbockera? Musi pani bywać w Chicago.

- Mieszkałam tutaj, detektywie Baker. To było bardzo dawno temu.

- Powrót w rodzinne strony?

- W pewnym sensie.

Claire przeszedł dreszcz. Roztarła ramiona. Wyraźnie czuła, że Skye żyje i potrzebuje jej pomocy. Że wkrótce wydarzy się coś strasznego.

Spojrzała na detektywa.

- Nie myślałam o tym w ten sposób, ale chyba ma pan rację. Może będzie to powrót w rodzinne strony?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Ceremonia pogrzebowa odbyła się w katedrze Holy Name na Wabash. Po mszy zwłoki Dorothy wyprowadzono na cmentarz Graceland, gdzie znajduje się mauzoleum rodziny Monarchów, a potem rodzina i przyjaciele spotkali się na Astor Street.

Do odrętwiałej Skye wydarzenia dnia docierały jak przez otulinę z gęstej mgły. W ostatnich miesiącach Dorothy stała się dla niej ważną osobą, była jej mentorką i przyjaciółką, nieomal prawdziwą ciotką.

Adam i Griffen byli zupełnie załamani i bezradnie szukali wsparcia u Skye. Nigdy jeszcze żadnego z nich nie widziała w takim stanie. W ciągu niespełna roku odszedł Pierce, a teraz Dorothy.

- Muszę się napić - powiedział Adam, kiedy dom wreszcie opustoszał po stypie. - Ktoś jeszcze ma ochotę na drinka? - Skye i Griffen bez słowa przeszli za nim do biblioteki.

- Powinienem bardziej stanowczo nalegać, żeby zatrudniła na stałe gospodynię. - Adam wychylił jednym haustem solidną szklanę whisky, skrzywił się i nalał sobie następną. - Nie doszłoby do tego.

- Nie doszłoby - powtórzył wyciągnięty na kanapie i wpatrzony w sufit Griffen. - Wszyscy widzieliśmy, co się z nią dzieje. Każde z nas ponosi jednakową winę.

- Przestańcie! - nie wytrzymała Skye. - Obciążanie się winą nie przywróci jej do życia. To był wypadek. Tragiczny,

okropny wypadek. Policja jest tego samego zdania.

Griffen zasłonił oczy ramieniem.

- Widzę ją, jak idzie do kuchni, nastawia wodę, a potem kładzie się i czeka, aż czajnik zagwiżdże. Oczywiście nigdy nie zagwizdał. Dorothy już się nie obudziła.

- Co teraz? - Adam zasiadł w ogromnym, skórzanym fotelu. - Co z Monarch's?

Nigdy jeszcze nie wyglądał tak staro jak dzisiaj. Skye serce się ścisnęło. Podeszła do niego i objęła go serdecznie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała cicho.

Griffen wstał z kanapy.

- To prawda, Monarch's ma teraz Skye. To ona jest przyszłością naszej pracowni. I moją. Skye zajmie miejsce Dorothy.

- Nie, Griffenie, nie jestem gotowa. Nie mam doświadczenia i wystarczającej wiedzy. Dorothy nie tylko projektowała, ale prowadziła całą...

- Griffen ma rację - oznajmił Adam niespodziewanie stanowczo. - Masz prawdziwy dar. Reszty możesz się nauczyć.

Skye nie wierzyła własnym uszom.

- Są w pracowni osoby starsze ode mnie stażem. Można też pomyśleć o jakimś projektancie z...

- Z zewnątrz? Nigdy! - sprzeciwił się Adam. Nie potrzeba nam nowych projektantów.

- Ależ Adamie, zaledwie kilka miesięcy temu ja też byłam osobą z zewnątrz!

- Teraz jednak należysz do rodziny.

Skye posłała błagalne spojrzenie Griffenowi.

- Nie jestem gotowa. To niedorzeczne, abym przejęła pracownię.

- Bardzo dorzeczne, kochanie - zapewnił Griffen, podchodząc do niej. - Masz dar, wielki talent. Tego właśnie życzyłyby sobie Dorothy. Rozmawiała ze mną na ten temat, z Adamem zresztą też. Chciała, żebyś przejęła po niej berło. Po powrocie z Mediolanu utwierdziła się jeszcze w swojej decyzji.

Skye popatrzyła na Adama, lecz on niemal z lękiem wpatrywał się w Griffena. Przeszedł ją dreszcz.

Adam się ocknął.

- Też jestem zdania, że tego właśnie chciałyby Dorothy.

- Potrzebujemy cię, Skye - szepnął Griffen. - Jesteśmy teraz rodziną. Należysz do nas. Musisz to zrobić.

Rodzina!

Za którą zawsze tęskniła. I co? Po doświadczeniach tamtej nocy miałyby utrzymać narzeczeństwo z Griffenem? Stać się jedną z nich?

To prawda, że ohydne doznania z upływem dni traciły na ostrości. Być może rzeczywiście coś jej zaszkodziło, bo skąd taka, zupełnie przeciwna naturze, reakcja?

A jednak miała wtedy wrażenie, że Griffen ją gwałci. Był delikatny, nawet ostrożny, w jego zachowaniu nie odczuła cienia przemocy. Mimo to pozostała pamięć jakiejś lgnącej do ciała lepkości, od której trudno się uwolnić.

Adam podszedł do Skye, ujął jej dłoń i przycisnął do serca. Był wyraźnie wzruszony.

- Skye, nie zostawisz nas chyba? Nie zniósłbym tego.

- Oczywiście, że nie. - Griffen ujął jej drugą dłoń. - Skye należy teraz do rodziny. Nie zrobiłaby nam tego. Prawda, kochanie?

Poczuła się jak w pułapce. Co mogła odpowiedzieć w tym dniu tak bardzo niestosownym do tego, by dawać upust własnym uczuciom, lękom i wahaniom? Miała przysparzać im jeszcze bólu?

Unikając wzroku Griffena, zwróciła się do Adama:

- Nie zrobię wam tego. Jeśli rzeczywiście chcecie, żebym poprowadziła pracownię, spróbuję.

Adam uściskał ją serdecznie.

- Nasza dziewczyna. Prawda, Griffenie?

- Nasza - odparł. - Na zawsze.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Bojkot McCord Public Relations wreszcie został przełamany, a to dzięki Marcie: uznała, że nie pozwoli się szantażować Griffenowi, i zaczęła tłumaczyć publicznie, że Chance padł ofiarą oszczerstw.

Chance odzyskał wielu klientów, mało tego, zaczął pozyskiwać nowych. Uświadomił sobie przy okazji, że własną pozycję na rynku zawdzięcza przede wszystkim sobie i swojej ciężkiej pracy. Griffen niczego mu nie dał.

Była jednak znacznie ważniejsza sprawa, która zakłócała Chance'owi odzyskany właśnie spokój ducha. Nie mógł dopuścić, by Skye wyszła za Griffena. Już nawet nie dlatego, że Griffen był niezrównoważony; Chance wreszcie zrozumiał, i był tego całkowicie pewien, że nie mógłby żyć bez Skye.

Z tą myślą wybrał się do Monarch's. Wjechał na czwarte piętro, gdzie mieścił się dział projektowania, recepcjonistce oznajmił tonem wykluczającym wszelkie pytania, że przyszedł zobaczyć się z panną Dearborne, i mężnie poszedł w stronę jej pokoju.

Na szczęście Skye była u siebie.

- Nie wychodź za Griffena - zaczął od progu.

Skye podniosła gwałtownie głowę.

- Co powiedziałaś?

- Prosiłaś mnie kiedyś, żebym podał ci powód, dla którego nie powinnaś za niego wychodzić. Ja jestem tym powodem.

- Mam mnóstwo roboty. Staram się zarządzać działem, który po śmierci Dorothy pogrążył się w chaosie. Muszę przejąć jej obowiązki, nadrabiać braki doświadczenia, radzić sobie z dziesiątkami spraw. A ty stajesz w drzwiach i chcesz mnie wciągnąć w jakieś swoje gierki z Griffenem. Nie interesuje mnie to, Chance.

- To nie są żadne gierki i cała sprawa nie ma nic wspólnego z Griffenem. Chodzi o mnie i o ciebie. O moje uczucia do ciebie. - Podszedł do Skye, ujął jej dłonie i przycisnął je do piersi. - Nie mogę cię stracić. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Chcę być z tobą szczerzy. Nie mogę ci obiecać, przynajmniej jeszcze nie teraz, że tak będzie zawsze. Nie mogę ci obiecać miłości idealnej. Cholera, nie wiem nawet, co to takiego, ale myślę, że cię kocham. Dajmy sobie szansę!

Skye patrzyła na niego bezradnie, wydawała się w tej chwili krucha i zagubiona.

- Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, powiedziałeś, że gotów jesteś nawet zadeklarować mi miłość, byle powstrzymać mnie od wyjścia za Griffena. Właśnie to zrobiłeś. Czy naprawdę aż tak bardzo wszystkiego mu zazdrościsz?

- Niczego mu nie zazdrozczę. - Chance ledwie to powiedział i natychmiast uświadomił sobie, że tak jest rzeczywiście. Czuł się wolny, wreszcie znał swoją wartość. Co za wspaniałe doznanie! - Posłuchaj, Skye. Całe życie pracowałem, żeby być kimś ważnym, kimś na podobieństwo Griffena. Psychoanalityk potrafiłby zapewne wyjaśnić

powody takiej postawy, ale ja pieprzę takie teorie. Wreszcie się uspokoiłem, odetchnąłem i zrozumiałem, że chcę być tylko i wyłącznie sobą.

Skye milczała bardzo długo, wreszcie zapytała:

- Jeśli rzeczywiście przeżyłeś taką iluminację i nie sprowadza cię tutaj chęć konkurowania z Griffenem, czego oczekujesz po mnie? Jak mam odpowiedzieć na twoją niepewną deklarację? Omdleć i paść ci w ramiona? Mam czuć się zaszczycona? Wdzięczna? Nie rób ze mnie idiotki, bardzo proszę.

- Usiłuję tylko być do końca szczery.

- A niech cię szlag! - Skye podeszła do biurka i odwróciła się gwałtownie. - Griffen przyrzekł mi całkowite oddanie, bezwarunkową miłość na zawsze. A ty przychodzisz i zaczynasz swoje wyznania od oświadczenia, że niczego nie jesteś pewien.

- Nie rozumiesz? - Chance był teraz równie zirytowany jak Skye. - Kiedy wreszcie dorośniesz? Nie ma czegoś takiego jak bezwarunkowa, doskonała miłość. Nie ma na zawsze...

- Nie ma dla ciebie, bo nie potrafisz się zaangażować! - Skye zaczęła krzyczeć. - Boisz się pokochać kogokolwiek poza samym sobą.

- Uważasz, że to ja się boję? Ja decyduję się na małżeństwo dla poczucia bezpieczeństwa?

- Wyjdź stąd! Zabieraj się, zanim zawołam strażników i każę cię wyprowadzić.

- Proszę, wołaj, co mi tam. Wściekasz się, bo powiedziałem: spróbujmy. Nie widzisz, że właśnie na tym rzecz polega? Spotyka się dwoje ludzi i podejmują próbę. Poza wszystkim - spojrzał jej prosto w oczy - nie mów mi, że kochasz Griffena.

- Podejmują próbę - powtórzyła Skye z przekąsem. - A długo, twoim zdaniem, tak mają próbować? Aż poczują, że dłużej już nie można? I zaczną pakować walizki?

- Skoro już o tym mówisz, to była najlepsza rzecz, jaką mogłem zrobić, to znaczy zostawić cię u Sary i Michaela. Przestań wreszcie rozumować kategoriami trzynastoletniej dziewczynki. Chcesz, abym ci przyrzekł, że nigdy cię nie skrzywdzę? Nie mogę tego zrobić. Nikt uczciwy nie jest w stanie złożyć podobnego przyrzeczenia. - Chance przyciągnął Skye do siebie i przytulił ją do piersi. - Nie kochasz Griffena. Wiem o tym.

- Niby skąd możesz to wiedzieć? - szepnęła zdławionym głosem. - Kocham go do szaleństwa.

Chance nie zamierzał dłużej tego słuchać, tylko zamknął usta Skye pocałunkiem, a ona zamiast go odepchnąć, przywarła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Brakowało mi ciebie - szepnął, przyciskając ją do ściany. Wsunął dłoń pod jej spódniczkę. - Jesteś taka wilgotna.

Skye zamruczała cicho. Wystarczyło, by tylko ją przytulił, pocałował, dotknął, i ona...

Po chwili Chance odsunął się, sam podniecony do granic możliwości.

- Rozumiesz teraz, skąd wiem, że go nie kochasz? - zapytał spokojnie. - Gdybyś go kochała, twoje ciało nie zareagowałoby w taki sposób. A ja przecież ledwie cię dotknąłem.

Podszedł do drzwi i zatrzymał się w progu.

- Dorośnij wreszcie. Przepraszam, że zraniłem cię wtedy, przed laty. Nie jesteś już dzieckiem, musisz pogodzić się z tym, co wtedy się stało.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Claire nie mogła uwolnić się od uczucia, że Skye grozi niebezpieczeństwo. Źle sypiała, niewiele jadła. Całe dni spędzała w hotelu, przeglądając raporty policyjne. Wychodziła tylko wtedy, kiedy musiała zaczerpnąć świeżego powietrza albo spotkać się z ludźmi z policji. Była w domu Becky Williams, była też u dziewczynki, u której odbywała się fatalna impreza.

Wszystko na nic.

Nie powinna była tu przyjeżdżać i przyjmować tej sprawy. Złe przeczucia dotyczące Skye brały się zapewne ze wspomnień Claire związanych z Chicago.

Tego ranka dostała lokalne gazety z okręgu Chicago z całego okresu, jaki minął od zaginięcia Becky. Wzięła pierwszy plik „Tribune” i usiadła za biurkiem. Powoli przeglądała kolejne numery. Nigdy nie wiedziała, co może przywołać wizję.

Przewróciła stronę i jej wzrok padł na kolumnę towarzyską, tam, gdzie pojawiały się informacje o ślubach i zaręczynach. Wpatrywała się w duże, kolorowe zdjęcie uśmiechniętej pary. Przeczytała podpis: „Griffen Monarch i Skye Dearborne”.

Krzyknęła przerażona. Teraz już rozumiała, dlaczego prześladowały ją złe przeczucia.

Skye jest w Chicago.

Zaręczyła się ze swoim bratem.

Claire zerwała się gwałtownie zza biurka, chwyciła książkę telefoniczną i drżącymi dłońmi przerzucała cieniutkie kartki, aż natrafiła na literę D.

W spisie nie było Skye Dearborne.

Musi znaleźć córkę, musi ją ostrzec! Rozejrzała się gorączkowo po pokoju, jakby spodziewała się znaleźć tu jakiś sposób, odpowiedź. Jest! Baker przyniósł razem z gazetami również książki telefoniczne. Odszukała je i porównała z hotelową. Przyniesione przez Bakera były z tego roku, hotelowa z ubiegłego.

Dearborne, Skye. Jest!

Odezwała się automatyczna sekretarka. Claire zostawiła chaotyczną, histeryczną wiadomość, rzuciła słuchawkę na widełki i zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju tam i z powrotem. Co dalej? Nie mogła tkwić w hotelu i czekać z założonymi rękoma. A jeśli Skye właśnie dzisiaj bierze ślub? Co robić? Jak temu zapobiec?

Chance!

Zamarła na moment.

Mało prawdopodobne, żeby i jego numer znalazła w książce telefonicznej, ale kto wie? Zostawiła ich razem, być może więc razem przyjechali do Chicago?

Znowu chwyciła książkę. O dziwo, znalazła również numer telefonu Chance'a McCorda. Tak jak w mieszkaniu Skye, odezwała się automatyczna sekretarka. Claire nieskładnie powiedziała, gdzie można jej szukać, i błagała, by Chance natychmiast po powrocie do domu skontaktował się z nią.

Teraz mogła tylko czekać.

Odnalazła wreszcie córkę. Swoje ukochane dziecko. Czuła się tak, jakby odzyskała utracony fragment własnego ja.

Oby tylko Skye jej wybaczyła, żeby zrozumiała powody jej decyzji sprzed lat.

Powinna była powiedzieć jej prawdę. Skye musi wiedzieć, kim są Monarchowie, kim jest Griffen.

Zbyt oszołomiona, nie pomyślała, żeby przeczytać notkę, którą opatrzone było zdjęcie w gazecie. Dopiero teraz sobie to uprzytomniła. Przebiegła wzrokiem krótki tekst i tchu jej zabrakło. Kurczowo zacisnęła palce na woreczku z kamieniami, który zawsze nosiła na szyi.

Skye pracuje w Monarch's.

Jest projektantką.

Stało się tak, jak pragnęli tego zawsze Adam i Pierce. Jak to możliwe? Wywiozła córkę z Chicago, byle dalej od rodziny, minęło ponad dwadzieścia lat i Skye jest znowu z nimi, całkowicie zdana na łaskę tych samych ludzi, przed którymi Claire starała się ją ustrzec.

Niebawem musi zdarzyć się coś złego!

Skye jej potrzebuje!

Claire podeszła do telefonu, wystukała numer Monarch's i poprosiła o połączenie ze Skye Dearborne.

- Kto dzwoni?

- To... prywatna rozmowa. Mam bardzo pilną sprawę. Muszę koniecznie rozmawiać z panną Dearborne.

- Przykro mi - oznajmiła sekretarka. - Panna Dearborne jest w tej chwili na zebraniu. Może powie pani, o co chodzi?

- Muszę z nią natychmiast rozmawiać! - Claire podniosła głos. - To bardzo pilne. Proszę jej powiedzieć, że dzwoni matka.

- Matka? - powtórzyła recepcjonistka - Proszę zostawić mi swój numer, przekażę jej, jak tylko to będzie możliwe.

- Och, dziękuję. Zatrzymałam się w Knickerbockerze, pokój dwieście dwanaście. - Tu Claire podała numer telefonu i podziękowała kobiecie za pomoc.

- Drobiazg, pani Dearborne. Postaram się, żeby Skye... - Nagle w słuchawce rozległ się męski głos: - Tu Griffen Monarch. W czym mogę pomóc?

Claire nie była w stanie dobrać głosu, serce zaczęło bić szybciej, a na czoło wystąpił pot. Rzuciła słuchawkę i osunęła się na kolana. Znowu przed oczami pojawiła się jej wizja, która już tyle razy ją nawiedzała. Biały las. Tym razem widziała dwie postacie, jedna uciekała, druga ją goniła. Zabawa w kotka i myszkę. Myśliwy i zwierzyna. Usłyszała krzyk kogoś wzywającego pomocy i nieprzyjemny śmiech.

Obraz się zmienił. Muzyka. Jazz. Stare domy z balkonami z kutego żelaza, jak w Nowym Orleanie. Dziewczyna i młody mężczyzna. Trzymają się za ręce, są roześmiani.

Znowu obraz się zmienił. Widziała czyjeś zaciskające się dłonie, człowieka padającego na podłogę bezwładnie jak szmaciana lalka. Claire nie była w stanie oddychać. Otworzyła gwałtownie oczy. Bała się. O siebie. O Skye.

Tylko o Becky Williams mogła być spokojna. Dziewczyna śmiała się, była bezpieczna.

A ona? Zostawiła swój numer telefonu i adres recepcjonistce w Monarch's. Griffen w każdej chwili może ją tutaj odnaleźć.

Podeszła do telefonu i wystukała numer detektywa Bakera, opisała mu ze szczegółami wizję dotyczącą Becky, po czym wyjęła papeterię hotelową i zaczęła pisać. Skye powinna znać całą prawdę. Powinna była poznać ją dawno temu. Claire opowiadała jej w swoim liście o wszystkim, co się zdarzyło, począwszy od pamiętnego dnia w pokoju dzieciennym przed dwudziestu sześciu laty. Pisała o wydarzeniach i o swojej miłości do Skye.

Kiedy skończyła, opróżniła pudełko, w którym były dostarczone przez policję drobiazgi należące do Becky. Włożyła do niego list i woreczek z kamieniami, wezwała boya hotelowego i poprosiła, by przesyłkę dostarczono pod widniejący na wieku adres. Pod adres jej córki.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Griffen przyszedł do niej, jak tego oczekiwała. Ten sam co przed laty, tylko bardziej przebiegły i potężniejszy. Kiedy spojrzała w jego oczy, przeraziła się. Zobaczyła potwora. Człowieka pozbawionego duszy.

Zabrzmiały jej w uszach dawno temu wypowiedziane słowa:

- Kiedy dorosnę, ożenię się z Grace.

Był bliski spełnienia danej samemu sobie obietnicy.

Wielkim czarnym ptakiem z koszmarów sennych okazał się on, nie Pierce.

- Nie możesz tego zrobić.

Griffen uśmiechnął się.

- Nie lubię, kiedy ktoś mi mówi, że czegoś nie mogę zrobić. Powinnaś chyba o tym wiedzieć, mamó Madeline.

Cofnęła się o krok, dłoń odruchowo powędrowała ku szyi, w poszukiwaniu woreczka z kamieniami, ale talizmanu nie było. Wysłała go Skye.

Dzięki Bogu, że to zrobiła. Dzięki Bogu.

- Obydwoje poznaliśmy się na sobie, prawda, Madeline? - Zamknął za sobą drzwi. - Nikt inny poza tobą nie wiedział, jaki naprawdę jestem. Zdawałaś sobie z tego sprawę? Zawsze się zastanawiałem, jak to jest być jasnowidzem. Czemu nic nie mówisz, Madeline? Rozumiem, nagle zetknęłaś się z przeszłością. Biedna Skye, co też ją czeka! Czasami coś sobie przypomina, ale nic z tego jeszcze nie

rozumie. - Pokręcił głową z uśmiechem. - Zanik pamięci. Musiało być ci to bardzo na rękę. Mnie zresztą też.

- Jesteś obłąkany - szepnęła Claire, kiedy wreszcie odzyskała głos. Cofała się powoli w stronę szafki, na której stał telefon. - Chory!

- Co za wstrętne słowa. I jakie nieprawdziwe. Wielcy ludzie zawsze spotykają się z niezrozumieniem.

- Ona jest twoją siostrą!

- Ona jest moim przeznaczeniem. Chciałaś mi ją zabrać, ale ci się nie udało. Los zrządził inaczej. Tak miało być.

- Oprzytomnij, Griffenie. Nie możesz ożenić się ze Skye. Kim będą wasze dzieci? Degeneratami? Co stanie się z Monarch's?

Griffen obojętnie słuchał tego, co mówiła Claire, tylko na jego ustach cały czas błąkał się nieznacznym uśmiechem. Claire spróbowała innej taktyki:

- Pewnego dnia Skye tak czy inaczej o wszystkim się dowie. Może odzyska pamięć? Co wtedy sobie pomyśli? Znienawidzi cię. Odejdzie od ciebie, porzuci firmę. Słuchaj tego, co mówię, Griffenie.

Cmoknął z niesmakiem.

- Jesteś idiotką, Madeline. Melodramatyczną idiotką. Powtarzam ci, ja i Skye jesteśmy sobie przeznaczeni. Ty zawsze chciałaś postawić na swoim.

- Nie dopuszczę do waszego ślubu.

Griffen zaśmiał się głośno.

- A jak mnie powstrzymasz?

Claire odwróciła się i rzuciła do telefonu. Miała już słuchawkę w dłoni, ale Griffen wyrwał ją jej, wyrwał kabel z gniazdka, po czym pieczołowicie położył aparat na kanapie.

- Nie dopuszczę - powtórzyła Claire. - Zabiję cię, ale nie dopuszczę do waszego ślubu.

- Przykro mi, Maddie, ale to ja będę musiał cię zabić.

Claire pobiegła do drzwi, lecz nie zdążyła ich otworzyć, bo Griffen chwycił ją z tyłu w pasie i za szyję. Szarpała się, wiała, kopała. Wbiła paznokcie w ramię Griffena.

Skye... maleńka. Jestem. Kocham cię.

Claire zamknęła oczy, usiłowała dotrzeć do córki, przemówić do niej w myślach. Powiedzieć jej, że... powiedzieć...

Zegar na kominku wybił czwartą.

Rozległ się cichy trzask łamanego karku i głowa Claire opadła bezwładnie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Griffen, ciężko dysząc, otarł pot z czoła. Wpatrywał się w ciało leżące na podłodze.

Musiał ją zabić. Po prostu musiał. Inaczej wszystko by popsukało i jak kiedyś odebrałaby mu jego Grace. Głupia suka! Po co wchodziła mu w drogę? Powinna była trzymać się z daleka. Właśnie ona, lepiej niż ktokolwiek inny, powinna była zrozumieć, że nic nie działo.

Ale nie! Uparła się wrócić.

Narobiła mu tylko kłopotów.

Trzeba usunąć ślady. Nie może dać się złapać. Musi myśleć jasno. Powinien ułożyć sobie plan działania.

Rozejrzał się błędnym wzrokiem po pokoju.

Poradzi sobie. Zawsze dawał sobie radę i cało wychodził z każdej opresji.

Zmrużył oczy.

Czego tutaj dotykał? Klamki, oparcia krzesła, framugi drzwi. Niczego więcej. Wyjął chusteczkę i zaczął starannie wycierać odciski. Dopiero teraz zobaczył głębokie, krwawiące zadrapania na ręce. Patrzył ze zgrozą, jak jego krew kapie na dywan. Była też na jedwabnej, jasnoniebieskiej bluzce Claire.

Spojrzał na telefon. Claire dzwoniła do firmy, billing to wykaże. Recepcjonistka była zaskoczona, a nawet trochę przerażona, gdy, słysząc, z kim rozmawia, gwałtownie

wyrwał jej słuchawkę. Na pewno nie zapomni tego incydentu. Policja dojdzie po nitce do kłębka.

Złapią go i wsadzą do więzienia.

Nie, tak być nie może.

Jeśli go schwytają, McCord, to zero, ten przybłęda będzie miał Grace. Grace i Monarch's.

Nie, nigdy nie dopuści do tego. Grace jest jego własnością.

Jego przeznaczeniem.

Już wiedział, co robić.

Jeśli on nie będzie miał Grace, to nikt jej nie dostanie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Skye krzyknęła cicho.

Kobieta, która stała obok niej w windzie, zapewne klientka, spojrzała na nią z troską.

- Dobrze się pani czuje?

- Tak. - Skye roztarła ramiona. - Przed sekundą miałam wrażenie...

Że ktoś jej potrzebuje. Komuś, kogo kocha, dzieje się krzywda.

- Wszystko dobrze. Dziękuję.

Kobieta odpowiedziała uśmiechem.

- Może mi pani powiedzieć, która godzina? Zegarek mi stanął.

- Dwie po czwartej.

Drzwi windy otworzyły się i kobieta wysiadła. Skye stała bez ruchu i myślała o matce. Nie wiedziała, dlaczego, ale całe popołudnie, od wyjścia Chance'a, wciąż myślała o niej.

Może sprawiły to jego słowa.

„Dorośnij wreszcie, Skye”.

Chance... Jego słowa, jego dotyk i jej gwałtowna, nieoczekiwana reakcja.

Nie może wyjść za Griffena. Nie kocha go.

Kocha Chance'a.

Wiedziała o tym od tamtej nocy, spędzonej z Griffenem, ale bała się spojrzeć prawdzie w oczy, pożegnać się z marzeniem o miłości idealnej.

Nie ma doskonałej, idealnej miłości. Chance miał rację. W życiu nie ma nic pewnego, nic na zawsze. Pewna jest tylko śmierć.

Musi zerwać z Griffenem.

Winda zatrzymała się na parterze. Skye wysiadła, życzyła recepcjonistce miłego, udanego weekendu i wyszła na ulicę.

Był słoneczny, mroźny dzień. Skye schowała ręce do kieszeni trochę zła, że nie przysłali jeszcze rękawiczek, które zamówiła u Marshalla Fielda.

Ruszyła Michigan Avenue w kierunku podziemnego garażu, gdzie zawsze parkowała swój wóz.

Dwadzieścia pięć minut później podjechała pod dom i wyskoczyła z samochodu, marząc o kominku i filizance gorącej czekolady.

W drzwiach wejściowych niemal zderzyła się z posłańcem. Na paczce, którą miał w ręku, zobaczyła swoje nazwisko. Nowe rękawiczki. Wreszcie!

- Przepraszam, jestem Skye Dearborne. Zdaje się, że to przesyłka dla mnie?

- To na pewno pani? - zapytał chłopak z szerokim uśmiechem.

- Na pewno. Chce pan zobaczyć prawo jazdy albo jakiś inny dokument?

- Nie, wystarczy, jak pani tu podpisze. Ma pani szczęście. Cztery razy musiałem objechać kwartał, zanim znalazłem miejsce do parkowania. Już sobie jedno upatrzyłem, ale facet wcisnął się w ostatniej chwili. O ten. - Wskazał na

znanego Skye czarnego porsche, który stał kilkadziesiąt metrów dalej.

Skye zmarszczyła czoło.

W samochodzie nie było nikogo. Odruchowo spojrzała w okna swojego mieszkania.

Griffen? Co on tutaj robi?

- Mało brakowało, a byłbym się z panią minął.

Odebrała paczkę od chłopca, podziękowała mu i weszła do budynku.

Drzwi od mieszkania były lekko uchylone. Ktoś był w środku. Słyszała go.

Griffen siedział przy stoliku w bawialni odwrócony plecami i przeglądał pocztę. Jej pocztę.

Zamurowało ją z wściekłości.

- Grace! - krzyknął na jej widok, zrywając się z fotela.

- Jak mnie nazwałeś?

- Skye. Przestraszyłaś mnie.

- Kto by pomyślał. - Przełożyła pudełko z jednej ręki do drugiej. - Co robisz w moim mieszkaniu? Jak się tu dostałeś?

- Przyjechałem cię zabrać.

Wyglądał dziwnie i tak samo się zachowywał. Błady, spocony, z trudem chwycił powietrze. Był bardzo zdenerwowany i spięty. Skye dostrzegła krew na mankiecie jego koszuli.

- Jedziemy do letniego domu w Horizon's End. Spakowałem już twoją torbę.

Poczuła niemiłe mrowienie. Griffen wchodzi do jej mieszkania, szpera w rzeczach. Nie podobało się jej to.

- Jak się tutaj dostałeś?

Nie odpowiedział.

- Musimy jechać. Robi się późno.

- Griffen? - Skye cofnęła się krok ku drzwiom. - Dobrze się czujesz? Dziwnie wyglądasz.

- Dobrze się czuję, chcę tylko jak najszybciej wyjechać z miasta. To wszystko.

Przejechał palcami włosy. Dopiero teraz Skye zobaczyła jego rozoraną dłoń. Jakby ktoś go podrapał.

- Nagła śmierć Dorothy... Wszyscy jesteśmy jeszcze w stresie. Musimy odpocząć, odprężyć się. Pobyć trochę razem.

Skye pokręciła głową.

- Nie, Griffenie. Wiele myślałam i doszłam do wniosku, że...

Zamilkła. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma Pana Muu.

- Gdzie mój pies?

- Muu? - zapytał Griffen nieprzytomnie. - A, Muu. Z dziadkiem.

Skye zaczęła ogarniać paniką.

- Jak to, z dziadkiem?

- Zapomniałem ci powiedzieć. Adam już wyjechał i zabrał psa. Spotykamy się w Horizon's End. - Griffen podniósł torbę Skye z ziemi. - Pomyślałem, że pies będzie szczęśliwy, bo wyszaleje się w lesie, a mój samochód byłby za ciasny dla całej naszej trójki.

Skye potarła czoło.

Coś tu było nie tak.

- Jesteś pewien, że Adam i Muu już wyjechali?

- Oczywiście. - Uśmiechnął się niespodziewanie. Znowu przypominał tego Griffena, którego znała i któremu ufała. - Jakże mógłbym się mylić?

Instynkt podpowiadał jej, że nie powinna jechać, ale skoro Adam zabrał Muu, to po prostu musi.

- Dobrze. Wziąłeś moje tabletki przeciw bólowi głowy?

- I szczoteczkę do zębów, i butelkę wina. Pomyślałem o wszystkim, kochanie. Jak zawsze.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Chance po raz trzeci odsłuchiwał wiadomość na sekretarce. Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć. Claire? Naprawdę ona? Nie wszystko zrozumiał z potoku nieskładnych, histerycznych słów. Zatrzymała się w Knickerbockerze. Pokój 212. Twierdziła, że Skye jest w niebezpieczeństwie. Wymieniła imię Griffena. Błagała, żeby Chance jak najszybciej do niej przyjechał.

Griffen. Chance zasępił się. Skąd Claire zna Griffena?

Raz jeszcze odsłuchał nagranie. Nie mógł zrozumieć sensu tego, co Claire mówi o Griffenie, ale był to bez wątpienia jej głos.

Chciał już zadzwonić do Skye, lecz rozmyślił się w ostatniej chwili. Najpierw zobaczy się z Claire i dowie się, dlaczego zostawiła córkę, oraz co robiła przez ostatnie czternaście lat. Nie pozwoli znowu skrzywdzić Skye.

Chwycił płaszcz i ruszył do drzwi.

W dwadzieścia minut później podjechał pod hotel. Coś musiało się stać, sądząc po panującym wokół zamieszaniu. Wsiadł z samochodu i podał kluczyki chłopcu hotelowemu, żeby odprowadził wóz na parking.

- Dlaczego tyle tu glin? Czy ktoś porwał wam jakiegoś ważnego gościa?

- Nie, proszę pana, nic takiego. - Chłopak drżącą dłonią wręczył mu kwitek.

- Ej, żartowałem przecież. Nie denerwuj się tak.

Chance wszedł do holu i wsiadł do windy. Razem z nim wsiadło dwóch milczących policjantów o grobowych minach.

Policjanci wysiedli na drugim piętrze, Chance również. W uszach rozbrzmiewały mu słowa Claire: „Coś straszego się stanie, Skye jest w niebezpieczeństwie. Przyjedź tak szybko, jak tylko będziesz mógł”.

Chance modlił się, żeby policjanci poszli do innego pokoju, żeby to nie chodziło o Claire.

Modlitwa zdała się na nic. Detektywi zatrzymali się przed drzwiami oznaczonymi numerem 212. Drzwi na moment się uchyliły i Chance zdążył zobaczyć kilku mundurowych, paru dochodzeniowców ubranych po cywilnemu i coś na podłodze.

Nie coś. Kogoś. Czyjeś ciało.

Zatrzymał się jak rażony piorunem i oparł o ścianę, żeby nie upaść.

Kiedy znowu mógł swobodnie oddychać, zjechał na dół, jeszcze nie dowierzając samemu sobie. Przywidziało mu się? Może śni koszmar i za chwilę się obudzi?

- Mały! - przywołał chłopaka, któremu przed chwilą oddał kluczyki do wozu.

- Długo pan tam nie był.

- Mój przyjaciel już się wymeldował. Minęliśmy się - mruknął Chance.

- Trudno. Pański samochód jest tam. - Chłopiec wskazał stojący kilkadziesiąt metrów dalej wóz. - Nawet nie miałem czasu go zaparkować.

Chance wyjął z portfela banknot dwudziestodolarowy i trzymał go w ręku.

- Ktoś został zamordowany?

Chłopak pokręcił głową.

- Nikt.

- Widzę wóz koronera, a w hotelu jest pełno glin. Dam dwudziestaka.

Chłopiec rozejrzał się wokół.

- Ode mnie nic pan nie słyszał.

- Ani słowa.

- Nie wiem, jak się nazywała, ale słyszałem, jak gliniarze gadali między sobą. To jakaś jasnowidząca czy coś takiego. Przyjechała pomóc glinom w szukaniu zaginionej dziewczyny.

- Jasnowidząca? - powtórzył Chance zdławionym głosem.

- Jesteś pewien?

- No.

Chryste. A więc to jednak Claire!

- Nasz stary robi pod siebie. Jutro mieliśmy przyjmować gości jakiegoś zjazdu, dwieście luda, no i klops. A pan kto, z prasy?

- Tak, z prasy. - Chance wręczył chłopcu dwudziestodolarowy banknot.

Jak powiedzieć Skye, co się stało?

Musi jej powiedzieć, zanim sama dowie się z telewizji.

Z samochodu zadzwonił do Monarch's.

- Panna Dearborne wyszła z pracy przed godziną - oznajmiła recepcjonistka.

Pojechał pod dom Skye.

Domofon nie odpowiadał.

Coraz bardziej niespokojny, Chance wrócił do samochodu i z komórki usiłował dodzwonić się na górę. Bez skutku. Rzucił telefon na siedzenie i pobiegł do bocznego wejścia, które prowadziło na dziedziniec wewnętrzny.

Wysoki, dwumetrowy mur zakończony zaporą z tłuczonego szkła. Mowy nie ma, w ten sposób nie dostanie się do środka. Pchnął w desperacji bramę. O dziwo, była otwarta. Wszedł do budynku, na galerię pierwszego piętra i zajrzał w kuchenne okno mieszkania Skye. Pusto. Ani śladu Muu.

Gdzie jest pies?

Zapukał, oczekując, że Pan Muu zacznie szczekać. Raz jeszcze zapukał, w końcu zaczął dobijać się do drzwi.

Nagle przyszło mu do głowy, że Skye wyszła na spacer z psem. Zawsze przecież tak robiła po powrocie z pracy.

Już miał usiąść na stopniach schodów i czekać na jej powrót, kiedy wydało mu się, że słyszy stłumione szczekanie dochodzące pewnie z dziedzińca.

Zbiegł na dół. Pusto.

- Muu, to ty, stary?

Znowu odezwało się szczekanie. Idąc za jego odgłosem, Chance dotarł do małej szopy w kącie dziedzińca. Kłódka znajdowała się na swoim miejscu, ale nie była zamknięta na klucz. Zerwał ją i biało-czarny potwór rzucił się na niego, omal nie przewracając z radości.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Chance pojechał na Astor Street.

- Gdzie pan Monarch? - zapytał bez zbędnych wstępów, kiedy w drzwiach pojawiła się gospodyni.

- O, pan McCord! Dzień dobry. Starszy pan jest w swoim gabinecie - wyjąkała zaskoczona - a pan Griffen...

- Gdzie jest ten gabinet?

- Ale... ja... Nie może pan.

- Mam to gdzieś! Proszę powiedzieć, którędy do gabinetu.

Już!

Wyraźnie przerażona, gospodyni wskazała mu drogę.

Adam siedział za biurkiem i przeglądał jakieś dokumenty.

- Gdzie Skye?

Podniósł głowę i skrzywił się na widok Chance'a.

- Kto cię wpuścił?

Chance nie zamierzał wdawać się w dyskusję.

- Jest z Griffenem? Tak czy nie?

- Wiem, co cię męczy, chłopcze. - Adam podniósł się ciężko zza biurka. - Griffen o wszystkim mi powiedział. Chciałeś zabrać mu Skye.

- Bzdury. Skye jest w niebezpieczeństwie.

- Nie może być w niebezpieczeństwie, bo jest z moim wnukiem. Zabieraj się stąd, McCord, zanim wezwę policję.

- To świetny pomysł, ale zanim pan to zrobi, proszę mi powiedzieć, skąd Griffen znał Claire Dearborne?

Adam zbladł.

- Kto ci powiedział?

- Ona sama. Znalazłem dzisiaj wiadomość od niej na mojej automatycznej sekretarce. Mówiła, że Skye jest w niebezpieczeństwie. Wymieniła imię Griffena. A Claire nie żyje, Adamie. Została zamordowana dzisiaj po południu w swoim pokoju hotelowym.

- Kłamstwo!

- Niestety, nie.

Chance podszedł do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

- Zadzwoń na policję, sprawdź, czy kłamie.

Adam przez chwilę bez słowa wpatrywał się w Chance'a, po czym ciężko opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

- A więc ty też znałeś Claire Dearborne? - odezwał się Chance ostrym tonem, bez cienia współczucia dla starca.

Adam pokiwał głową.

- Nic nie rozumiesz. Nie masz pojęcia... jak bardzo jej potrzebowaliśmy.

- Kogo? Kogo potrzebowaliście?

- To był pomysł Griffena - mówił Adam, jakby nie słyszał pytania. - Wszyscy się zgodziliśmy, cała trójka. Ja, Dorothy, Grif. Była nam potrzebna. Madeline ukradła nam ją. A ona ma dar. Dawno o tym wiedziałem, jeszcze kiedy była dzieckiem. Wszystko się rozpadało. To był jedyny sposób, rozumiesz?

- Nie, do cholery! Kim była Claire Dearborne dla Griffena?

- Macochą.

- Maco... - Chance stał przez chwilę z otwartymi ustami, nie wierząc własnym uszom. - To znaczy, że Skye i Griffen...

Skye i Griffen są rodzeństwem! Gdzieś w głębi duszy domyślał się tego, bowiem dostrzegał rodzinne podobieństwo.

- Ty sukinsynu! - wykrztusił. - Wiedziałeś o wszystkim od początku i godziłeś się na to. Ty draniu, ty skończony draniu! - Chwytał Adama za koszulę i zaczął nim potrząsać.

- Musiałem. Mam tylko Griffena.. On i Skye mogliby dalej prowadzić Monarch's, a bez niej nie sposób... Koniec... - Adam nie był w stanie mówić dalej.

- Co z Dorothy?

- Ona była za miękka. Nawet gdybym wiedział, nie byłbym w stanie go powstrzymać.

- O czym ty mówisz? - Chance nagle zrozumiał i ogarnęło go przerażenie. - Boże, chcesz powiedzieć, że Griffen... ma coś wspólnego ze śmiercią Dorothy?

- Tak nie miało być! - krzyknął Adam. - Nie dałem mu pozwolenia. Ona była moją siostrą, jedną z Monarchów.

- A Claire? Na to też nie dałeś pozwolenia, czy może jednak dałeś? - Chance cały czas potrząsał starcem jak kukłą, nie panując zupełnie nad sobą. Zbyt wiele usłyszał w ciągu tych kilku koszmarnych minut.

- Ja nic o niej nie wiedziałem! Nic! - Adam zaczął rozpaczliwie łkać.

- Gdzie oni teraz są, Adamie? Skye grozi niebezpieczeństwo.

- On nie zrobi jej nic złego. Wiem na pewno, że nic się jej nie stanie.

- Posłuchaj mnie uważnie. Griffen powiedział mi, że jeśli on nie będzie mógł mieć Skye, nikt inny jej nie dostanie. Mówił najpoważniej w świecie. Jest gotów na wszystko. Gdzie oni są? Muszę wiedzieć.

- W Wisconsin - szepnął Adam, teraz już zupełnie załamany. - W naszym domu w Horizon's End. - Ukrył twarz w dłoniach. - Gospodyni powie ci, jak tam dojechać.

- Dzwon na policję - zawołał Chance, biegnąc do drzwi. - Powiedz im wszystko. Ja jadę po Skye.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY

Jechali przez zaśnieżone, wyludnione Horizon's End. Skye chciała znaleźć się jak najszybciej w letnim domu, z Adamem i Panem Muu. Zachowanie Griffena coraz bardziej ją niepokoiło.

- Wszystko ułożyło się doskonale, nie sądzisz? - Griffen przerwał nagle milczenie.

- Słucham?

- Wszystko doskonale się ułożyło. Były, co prawda, drobne przeszkody, ale je usunąłem. Wreszcie możemy być razem, a to jest najważniejsze. - Griffen westchnął. - Najgorzej było z Dorothy. Ona była taka słaba, a ja nienawidzę słabości. Ale i tak bardzo ją kochałem. Szkoda, że musiała odejść.

Musiała odejść? O czym on mówi? Skye wzdrygnęła się i przysunęła bliżej drzwi samochodu.

- Ojca nie było mi żal ani trochę. To było nawet zabawne. Taki żalosny fiut! Zasłużył sobie na śmierć. - Griffen uśmiechnął się do Skye. - Czasami zaskakuję sam siebie. Na przykład z twoim mieszkaniem... To było naprawdę genialne posunięcie.

- Genialne posunięcie - wyjąkała Skye, zbyt osłupiała i przerażona, by zatrzymać się nad tym, co usłyszała o śmierci dwojga Monarchów. - Dlaczego?

- Dlatego, że ja jestem właścicielem tego domu. Zapomniałaś?

Zamknęła oczy. A więc jednak miała rację. Griffen bywał w mieszkaniu pod jej nieobecność. Ruszał jej rzeczy. Nic się jej nie przywidziało.

Musiał też mieć klucz do bramy prowadzącej na dziedziniec. To on otruł Muu.

Zacisnęła pięści w bezradnej wściekłości. Nie знаła dotąd Griffena i nie miała pojęcia, że ma do czynienia z potworem.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił pogodnym tonem.

Dzięki Bogu, Adam będzie wiedział, co robić. W jego obecności będzie bezpieczna.

Tylko że Adam wcale na nich nie czekał. Dom był ciemny, pusty i martwy.

- Mówiłeś, że Adam miał przyjechać tu przed nami - wykrztusiła, szcękając zębami.

- Musiał widać zatrzymać się na chwilę u przyjaciół - powiedział Griffen, otwierając drzwi. - Zaniosę torby na górę i zaraz rozpalę ogień w kominku. Ogrzejesz się.

Kiedy po godzinie Adama nadal nie było, Griffen odegrał całe przedstawienie. Zadzwoił na policję, sprawdzić, czy nie było jakiegoś wypadku, zatelefonował na Astor Street i rozmawiał z gospodynią, wreszcie, zadowolony z siebie, zwrócił się do Skye:

- Widzisz, jednak miałem rację. Musiał zatrzymać się u przyjaciół.

Skye była pewna, że Griffen kłamie. Wiedziała, że Adam nie pojawi się i że Muu z nim nie ma. Ten drań musiał zrobić coś z psem. Przyjeżdżając tutaj, popełniła straszliwy

błąd. Przypomniała sobie wszystko, co mówił Chance. Miał rację. Ostrzegał ją, a ona to zlekceważyła i dobrowolnie naraziła się na niebezpieczeństwo.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zagadnął Griffen.

- Dobrze, jestem tylko trochę zmęczona i zaczyna boleć mnie głowa.

- Biedne dziecko. Połóż się na chwilę, odpocznij, a ja przygotuję coś do jedzenia.

W holu na piętrze zauważyła telefon. Zadzwoń na policję, poprosi, żeby kogoś przysłali.

Uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście tak zrobię, Griffenie.

Kiedy pomagał jej wstać, uderzył ją w nozdrza dziwny, przyprawiający o ciarki zapach. Zapach śmierci.

Musi dostać się do telefonu i wezwać pomoc.

Dotarła na górę, obejrzała się za siebie, podniosła słuchawkę. Nie ma sygnału. Nacisnęła kilka razy na widełki. Nic, głucha cisza.

A więc Griffen nigdzie nie dzwonił.

Planował coś przerażającego.

Zabije ją.

Dopiero teraz dotarło do niej, w jak wielkim jest niebezpieczeństwie. Wcześniej była zdenerwowana i przestraszona, ale pewna, że Griffen nie zrobi jej nic złego. Teraz była przekonana, że może stać się najgorsze.

Myśl, Skye, myśl, co robić.

Rozejrzała się dookoła, szukając sposobu wydostania się z pułapki.

Okno!

Pobiegła w jego stronę i wyjrzała na zewnątrz.

Mogłaby skoczyć. Wyląduje bezpiecznie w puszystej, grubej warstwie śniegu.

Płaszcz Griffena! Kluczyki do samochodu!

Nie znalazła ich. Trudno, będzie musiała uciekać pieszo. Kiedy tu jechali, miasteczko sprawiało wrażenie całkowicie wyludnionego, ale dostrzegła otwarty bar i czynną stację benzynową. Znajdzie kogoś, kto jej pomoże.

Musi tylko ciepło się ubrać. Na szczęście Griffen zapakował jej dzinsy, gruby golf i wełniane skarpety. Było też pudełko z rękawiczkami. Sama wrzuciła je do torby przed wyjazdem.

Rozerwała papier i uniosła wieczko. Dziwne, pomyślała. Zamiast rękawiczek włożono do paczki jakiś woreczek. Otworzyła go i wysypała zawartość na dłoń.

Wpatrywała się bez ruchu w roziskrzzone szafiry, rubiny i diamenty.

Siedzi na podłodze, matka pakuje walizki. Wie, że mama jest bardzo zdenerwowana. Zaraz pojedą na wycieczkę. Tylko we dwie. Mama mówi, że na wycieczce będzie bardzo fajnie.

Skye podkrada się do walizki mamy. W środku jest śliczny czarny woreczek z wyhaftowaną na nim srebrem literą „M”. „M” jak Monarch. Otwiera woreczek i wysypują się z niego drogie kamienie, tocząc się po podłodze.

- Mamusiu, zobacz, jakie śliczne kamyki!

Mama odwraca się i krzyczy:

- Grace! Niegrzeczna dziewczynka.

A potem do pokoju wpada stary pan, a mama rzuca się na niego. A potem wszędzie jest pełno krwi. Skye płacze i tylko piękny anioł uśmiecha się do niej łagodnie.

Krzyknęła przerażona i zaniósła się histerycznym śmiechem. Anioł! Stary dom na Astor Street! „M” jak Monarch.

Dlaczego wcześniej nic sobie nie skojarzyła, niczego nie dostrzegła? Podświadomość usiłowała ją ostrzec, dawała sygnały. Bóle głowy, uczucie klaustrofobii, ciągły niepokój. Oraz reakcja na Griffena, kiedy się z nią kochał.

Griffen. Wielki Boże, Griffen!

Jest jej bratem, potworem z koszmarnych snów.

Prześladował ją, nie odstępował na krok. Przychodził do jej łóżeczka. Jeszcze teraz pamięta jego oddech i ciężar jego ciała na sobie.

To dlatego matka uciekła z nią z Chicago.

A ten łajdak jednak ją znalazł po latach.

Spojrzenia, które wymieniał z dziadkiem.

„Witaj w domu, Skye, kochanie”.

„Należysz teraz do rodziny, Skye, kochanie”.

„Nigdy już nas nie opuścisz”.

„Masz dar”.

„Musisz zająć miejsce Dorothy”.

Brat i siostra, doskonały duet. Wiedzieli o wszystkim. Byli nienormalni, chorzy, Griffen okazał się ludzkim monstrum.

Trzeba uciekać!

Za wszelką cenę uciekać.

Usłyszała kroki w holu. To on.

Idzie po nią.

Otworzyła okno, usiadła na parapecie, wzięła głęboki oddech.

Klamka u drzwi się poruszyła.

Skye w tej samej chwili skoczyła w ciemność.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Wylądowała na stromym, oblodzonym daszku i zaczęła zsuwać się w dół. Gorączkowo szukała zaczepienia dla dłoni, ale palce ślizgały się po dachówkach. Wreszcie wyczuła stopą rynnę i znalazła oparcie dla nóg. Ból przeszywał lewą kostkę. Musiała ją skrócić w czasie upadku. Bała się, że teraz nie ma już szans na ucieczkę.

Nad nią w oknie stał Griffen i zanosił się śmiechem.

- Skye, kochanie, wybierasz się dokądś? Chyba nie. Widzisz, ode mnie nie da się uciec. Jesteśmy sobie przeznaczeni, Grace. - Uniósł dłoń do ust. - Och, zdradziłem się! Tak, moja Grace Elizabeth Monarch. Jesteś moja. Nic i nikt nie zmieni przeznaczenia. Twoja matka próbowała. Głupia dziwka! Będziemy na zawsze razem. Tego przecież chciałaś, prawda? Ja też, ale Chance i Terri mi przeszkadzali. Musiałem usunąć Terri.

- Ty posłałeś jej szczura?

- Owszem, a także zostawiłem wiadomość dla małej Raye. Tyle różnych przeszkód pokonałem, żebyśmy mogli być razem.

- Niech cię piekło pochłonie! - zawołała Skye. - Nie będziemy nigdy razem. Możesz mnie zabić, ale nie będziemy razem.

- Zabić to takie brzydkie słowo. Raczej powiedz, połączeni w śmierci, Grace. - Rozbawiony Griffen oparł się o parapet.

- Ciekawa jestem, jak tego dokonasz!

- Ja wiem, a ty zgadnij!

Skye nie myślała zgadywać. Przemagając ból w kostce, uwolniła stopy i zsunęła się w dół.

Usłyszała tupot nóg Griffena, trzaśnięcie drzwi i wołanie:

- Nigdzie nie uciekniesz, Grace. Najbliższy dom jest trzy kilometry stąd, w dodatku zamknięty na zimę. Jak wszystkie w okolicy.

Nie oglądając się za siebie, brnęła w ciemnościach po wysokim po kolana śniegu. Griffen szedł za nią, jego głos rozlegał się coraz bliżej. Kiedy dotarła do pierwszych drzew, odetchnęła z ulgą. Kluczyła wśród nich, przedzierała się przez zarośla, a Griffen szedł po jej śladach. Nawoływał, przyświecał sobie latarką.

- Nie mogę uwierzyć, że po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, tak mnie traktujesz. Kocham cię, Grace. Usunąłem nawet małą Stephanie, twoją siostrzyczkę przyrodną. Nikt nie mógł cię zastąpić. Nie miał prawa zająć twojego miejsca.

Skye podniosła dłoń do ust. Mała Stephanie, która utonęła w kąpeli. Ją też zabił!

- Wiesz, tak naprawdę przyjechaliśmy tutaj z powodu twojej matki - wołał, brnąc po śniegu. - Jak zwykle chciała wszystko popsuć. Pojawiła się nagle w mieście, szukała cię w firmie, dzwoniła. Na szczęście to ja odebrałem telefon.

Jej matka jest w Chicago. Szuka jej? No tak, woreczek z kamieniami. Ona go przysłała. W sercu Skye wezbrała radość.

- Niestety, musiałem ją zabić.

- Nie! - krzyknęła Skye histerycznie. - Nie! - Łkając, zaczęła biec przed siebie.

Zabił jej matkę! Wielki Boże, zabił ją!

Zatrzymała się po kilku minutach, nie miała już sił. Nie mogła biec ani zaczerpnąć powietrza w płuca. Griffen był blisko, tuż-tuż. Słyszała go. Trzasnęła gałązka. Rozejrzała się gorączkowo za jakąś bronią. Jest! Schyliła się, podniosła grubą, krótką gałąź.

W sekundę później zobaczyła Griffena. Stała ukryta za drzewem. Ona go widziała, on jej nie. Kiedy był na wyciągnięcie ręki, zamierzał przejść koło jej kryjówki, wyskoczyła i zdzieliła go w pierś gałęzią. Zachwiał się, zatoczył do tyłu z wyrazem całkowitego zaskoczenia na twarzy.

- Za moją matkę, ty potworze! - Zadała drugi cios. - Za mnie! - Odrzuciła gałąź i zaczęła biec.

Nagle drzewa się rozstały i ukazało jezioro. Wstrzymując oddech, weszła na lód. Pokrywa lodowa zdawała się twarda i pewna, Skye posuwała się jednak powoli, ostrożnie, krok za krokiem.

Griffen poruszał się szybciej. Zdała sobie sprawę, że teraz nie ma już dla niej żadnego ratunku: ani nie ucieknie, ani nigdzie się nie ukryje. Nawet gdyby próbowała cofnąć się do lasu, nic jej to nie da. Nigdzie nie zdoła dotrzeć w poszukiwaniu pomocy. Wcześniej zamarznie na śmierć.

Zmieniła kierunek i zaczęła posuwać się w stronę pomostu koło domu Monarchów. W tej samej chwili wydało

się jej, że słyszy swoje imię. Zatrzymała się, zaczęła nasłuchiwać. Znowu ktoś ją zawołał.

Chance? To na pewno on! Przyjechał po nią!

W chwilę później usłyszała donośne szczekanie.

Pan Muu jest z nim.

- Chance! - zawołała, szlochając. - Tu jestem! Tutaj! Na jeziorze.

Dojrzała go w końcu. Stał blisko pomostu Monarchów. I on ją zauważył, bo zaczął biec w jej stronę, a Muu z nim.

- Nie będziesz jej miał! - krzyknął Griffen i rzucił się ku Skye. Upadł, ale zdążył chwycić ją za kostkę.

Lód zaczął pękać. Skye patrzyła w przerażeniu na powiększającą się pajęczynę pęknięć.

- Chance! Lód pęka - zawołała.

- Idę po ciebie. Nie bój się!

Skye wyrwała się Griffenowi i rzuciła się ku brzegowi. Lód pękał wokół niej.

- Skye, zaraz będziesz bezpieczna.

Była niemal przy pomoście, gdy lód się załamał. Skye wpadła do wody. Rozpaczliwie chwyciła się lodowej krawędzi, próbując wpełznąć na tafłę, ale ta kruszyła się pod naporem jej ciała. Słyszała, jak Griffen rozpaczliwie walczy z wodą.

Chance dobiegł na sam koniec pomostu, zszedł w dół po drabince i wyciągnął rękę. Skye dotykała jej palcami. Wtem poczuła, że Griffen zaciska dłoń na jej kostce, wciągając ją w otchłań.

Na zawsze razem. Będą na zawsze razem.

- Trzymaj mnie, Chance! Chwyć! - wydyszała, krztusząc się, i jej głowa na moment zniknęła pod wodą.

Walcząc o życie, kopnęła z całych sił. Griffen dostał butem w twarz, jego głowa odskoczyła do tyłu i zwolnił uchwyt. Była wolna! Wychyliła się na powierzchnię, łapiąc gorączkowo powietrze.

Do połowy zanurzony Chance stał na drabince i próbował schwycić Skye. Udało się. Wycieńczoną i zziębniętą wciągnął na pomost.

- Mogłem cię stracić - szepnął. - Kiedy sobie uświadomiłem, że...

- Tak strasznie się bałam. Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

- Kocham cię, Skye! Tak bardzo cię koch...

- Przytul mnie. Mocno mnie przytul.

Następnego ranka Skye obudziła się w ramionach Chance'a.

Poprzedniego wieczoru długo jeszcze przesłuchiwała ją miejscowa policja, zaalarmowana przez Adama i policję z Chicago.

Ciała Griffena nie znaleziono.

Skye skuliła się u boku Chance'a.

Przez cały wieczór nie odstępował jej na krok. To on w końcu zażądał, żeby policjanci zakończyli przesłuchanie i nie męczyli dłużej ledwie żywej dziewczyny. On przygotował gorącą zupę, a potem położył Skye do łóżka. Spojrzała teraz na niego, jak spał, i pocałowała go leciutko

w usta. Kochała go. Zawsze go kochała. Może nawet wtedy, kiedy jeszcze go nie znała.

Po cichu wyszła z sypialni i przeszła do pokoju, gdzie leżały jej rzeczy, a wśród nich woreczek z kamieniami i list, którego nie zauważyła poprzedniego wieczoru.

List od matki.

Zaczęła ów list czytać.

Tak zastał ją Chance, pochyloną nad kartkami, ze łzami w oczach.

Długo jeszcze płakała w jego ramionach.

Claire poświęciła wszystko, by ją uchronić.

Wszystko, łącznie z życiem.

Skye wiedziała, że wiele czasu musi minąć, by cierpienie ustało. Wiedziała też, że kiedy ustanie, pozostanie już tylko czysta, niezmacona niczym miłość.

Spełniły się wszystkie życzenia, które wypowiedziała w myśli owego pamiętnego dnia na Rhode Island. Ich konsekwencje okazały się wyjątkowo bolesne, ale po drodze zdarzył się cud, bo spotkała Chance'a. To, przez co przeszła, nauczyło ją jednego: nie pragnąć zbyt wiele i cieszyć się tym, co się ma.

Skye włożyła na szyję talizman matki, a potem spakowała swoje rzeczy. Chciała jak najszybciej opuścić ten dom, by zostawić za sobą wspomnienie Griffena i wydarzenia ostatnich miesięcy. Oderwać się od Monarchów.

Zacząć wszystko od nowa razem z Chance'em. Całkowicie zerwać z rodziną, z tym wszystkim, co dla nich było ważne i drogie.

- Jesteś pewna? - zapytał Chance, kiedy powiedziała mu o swoich intencjach. - Nie chcesz firmy Monarchów ani fortuny? Może są twoim przeznaczeniem.

Skye pokręciła głową i zacisnęła palce na woreczku z klejnotami.

- To jest moje przeznaczenie - powiedziała cicho. - Moja fortuna. Te klejnoty i ty.

Chance pocałował ją i razem wyszli w słońce.

Nie odwracając się, ruszyli ku wspólnej przyszłości.

Tytuł oryginału:
Fortune

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 1997

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordega

Korekta:
Ewa Szczepańska

© 2008 by Harlequin Books S.A.

© 1997 by Erica Spindler

© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Powieść Fortune ukazała się w roku 2001 i 2003 pod tytułem Fortuna oraz w 2006 roku pod tytułem Obsesja

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.

02-517 Warszawa, ul. Starościńska 1B lok. 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 9788323896579

Konwersja do postaci elektronicznej:

Legimi Sp. z o.o.